

POCŁUUNEK  
ZDRÓJ

ERIN BEATY

ERIN BEATY

# POCAŁUNEK ZDRAJCY

TEUMACZENIE  
ZUZANNA BYCZEK

  
Jaguar

Tytuł oryginału: *Traitor's Kiss*

Redakcja: Piotr Jankowski

Korekta: Elżbieta Śmigielska, Anita Rejch

Skład i łamanie: Ekart

Projekt okładki: Joanna Wasilewska

Zdjęcia na okładce:

Zdjęcie dziewczyny: copyright © faestock/[shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Grafika w tle: copyright © Slava Geri/[shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Płatki róż: copyright © Kamil Hajek/[shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Copyright © 2017 by Erin Beaty

Published by arrangement with Imprint, A part of Macmillan Children's Publishing Group, a division of Macmillan Publishing Group, LLC. All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

**ISBN 978-83-7686-624-6**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://www.youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar\_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Mapa

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

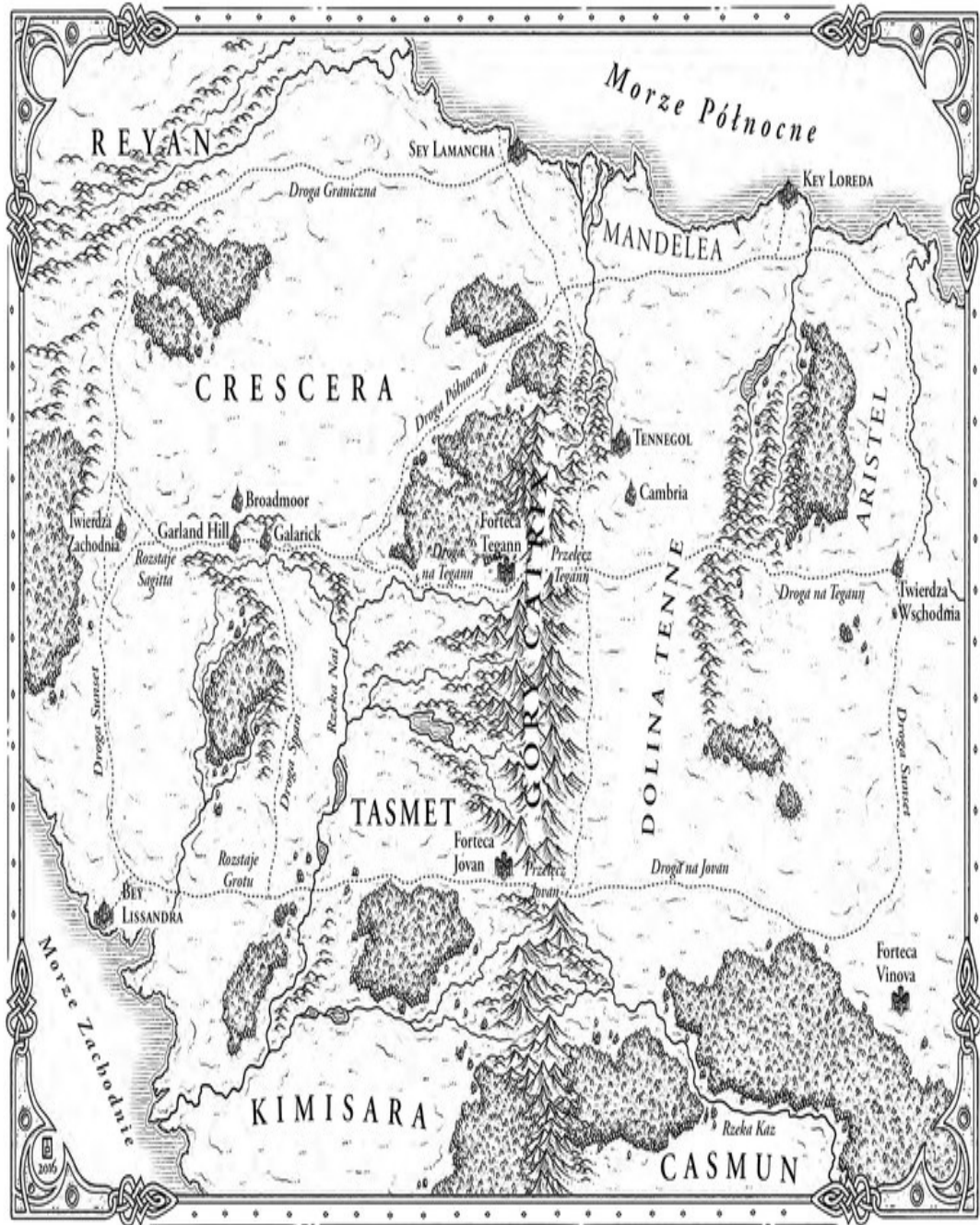
88

89

90

91

Podziękowania





*Dla Michaela, na zawsze.*  
*I dla Niego: Fiat voluntas tua in omnibus.*

# 1

Wuj William wrócił ponad godzinę temu i jeszcze nie wezwał jej do siebie.

Sage siedziała przy swoim biurku w szkolnej sali, usilnie próbując się nie wiercić. Jonathan zawsze wiercił się podczas lekcji, czy to z nudów, czy niezadowolenia, że jego nauczycielką jest dziewczyna zaledwie kilka lat starsza. Nie przejmowała się tym za bardzo, nie zamierzała jednak dawać mu powodów, by z niej szydził. W tym momencie siedział pochylony nad mapą Demory, uzupełniając na niej brakujące elementy. Potrafił zdobyć się na wysiłek tylko wtedy, gdy jego rodzeństwo dostawało podobne zadanie i mógł się z nimi porównać. Sage odkryła ten fakt dość szybko i wykorzystywała w walce z jego wzgardliwą postawą.

Zacisnęła pięść, żeby powstrzymać się od bębnienia palcami. Jej wzrok powędrował w stronę okna. Na dziedzińcu kręcili się służący i pracownicy zatrudnieni do prac w polu, niektórzy trzepali chodniki, inni znosili zapasy siana na zimę. Odgłosy towarzyszące pracy łączyły się z dochodzącym z drogi nieustannym skrzypieniem wozów wyładowanych zbożem, tworząc rytm, który zwykle działał na nią kojąco – ale nie dzisiaj. Tego ranka lord Broadmoor wyruszył w kierunku Garland Hill; w jakiej sprawie, tego nie wiedziała. Wrócił wczesnym popołudniem, wjechał przez główną bramę, rzucił wodze stajennemu i zerknął w stronę okna szkolnej sali.

Wtedy zrozumiała, że wyprawa dotyczyła jej losów.

Sądząc po tym, jak długo go nie było, spędził w mieście zaledwie godzinę, co w pewnym sensie jej pochlebiało. Widać ktoś od razu zgodził się przyjąć ją na naukę – może zielarz, producent świec czy tkacz. Była gotowa nawet zamiatać podłogi u kowala. W dodatku wiedziała, że będzie mogła zatrzymać zarobione pieniądze. Większość pracujących dziewcząt musiała wspierać sierociniec bądź rodzinę, ale Broadmoorowie nie potrzebowali pieniędzy; poza tym Sage zapewne nawet z nadwyżką odpłacała im za utrzymanie pracą guwernantki.

Zerknęła na Aster, która pracowała przy szerokim dębowym stole nad własną mapą. Mrużąc oczy w skupieniu, pięciolatka niezgrabnie chwyciła w pulchne palce żółtą kredkę, by pokolorować Crescerę – spichlerz Demory, krainę, w której Sage mieszkała przez całe swoje życie. Po chwili Aster zmieniła kredkę

na zieloną, a Sage próbowała tymczasem policzyć, ile powinna zaoszczędzić, zanim zdecyduje się odejść z Broadmoor. Tylko dokąd pójdzie?

Jej spojrzenie powędrowało w stronę mapy wiszącej na ścianie. Uśmiechnęła się. Góry sięgające chmur. Bezkresne oceany. Miasta brzęczące życiem niczym ule.

Dokądkolwiek.

Wuj William pragnął pozbyć się jej tak samo mocno, jak ona pragnęła odejść.

Tylko dlaczego jej nie wzywa?

Miała dosyć czekania. Pochyliła się nad biurkiem i zaczęła przeglądać piętrzące się na nim papiery. Co za marnotrawstwo zużywać papier w takiej ilości. Ale zarazem symbol statusu, wydatek, na który wuj William mógł spokojnie sobie pozwolić. Sage nadal wzdrygała się przed wyrzuceniem choćby kawałka, mimo że mieszkała w tym domu już od czterech lat. Z góry książek wyciągnęła nudny tom o tematyce historycznej, do którego nie zaglądała od ponad tygodnia. Wsunęła księgę pod pachę i podniosła się.

– Wrócę za kilka minut.

Troje dzieci na chwilę podniosło wzrok, po czym bez słowa wróciło do pracy, ale ciemnoniebieskie oczy Aster śledziły każdy jej krok. Sage próbowała zignorować poczucie winy, które ścisnęło jej żołądek niczym supeł. Rozpoczęcie terminowania oznaczało, że będzie musiała się rozstać z ulubioną kuzynką, jednakże Aster nie potrzebowała jej opieki. Ciotka Braelaura kochała ją jak własną córkę.

Sage pospiesznie wyszła z sali i zamknęła za sobą drzwi. W bibliotece przystanąła, żeby przyglądać kosmyki, które wymknęły się z upiętego nad karkiem warkocza. Miała nadzieję, że będą posłuszne przynajmniej przez kolejny kwadrans. Potem wyprostowała plecy i wzięła głęboki wdech. Zapukała do drzwi – z powodu podekscytowania znacznie energiczniej, niż zamierzała. Ostry dźwięk sprawił, że aż się skuliła.

– Proszę.

Pchnęła ciężkie drzwi, zrobiła dwa kroki i dygnęła.

– Wybacz, wuju, że przeszkadzam, ale chciałam to zwrócić. – Uniosła wyżej książkę, która nagle wydała się niedostatecznym argumentem. – I pożyczyć kolejne dzieło, żeby mogło, em, służyć nam w czasie lekcji.

Wuj William podniósł wzrok znad pergaminów rozsypanych na biurku. Z oparcia krzesła zwisał zaczepiony na skórzanej pętli błyszczący miecz. Zabawne. Wuj nosił go, jakby uważał się za obrońcę królestwa. Tak naprawdę miecz oznaczał, że wuj odbył dwumiesięczną podróż do Tennesolu, stolicy,

i złożył hołd lenny na królewskim dworze. Sage przypuszczała, że największe zagrożenie, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia, to agresywny żebrak. Natomiast jego rosnący obwód w talii bez wątpienia zagrażał paskowi. Zacisnęła zęby i czekała w przykurzonej pozycji, aż wreszcie raczy ją zauważyć. Lubił zwlekać w takich sytuacjach – tak jakby chciał przypominać Sage, kto decyduje o jej losie.

– Wejdz – powiedział w końcu. Jego głos chyba zdradzał zadowolenie.

Włosy wciąż miał potargane od wiatru po jeździe konnej, nie zdążył też zdjąć zakurzonej kurtki, co świadczyło o tym, że działał w pośpiechu.

Sage wyprostowała się. Próbowwała nie zdradzić spojrzeniem zniecierpliwienia.

Odłożył pióro i przywołał ją ruchem ręki.

– Podejdz bliżej, proszę.

Niemal biegiem rzuciła się w stronę biurka. Przystanęła. Wuj złożył jeden z dokumentów. Zdążyła dostrzec, że są to prywatne listy, co wydało jej się dziwne. Czyżby aż tak się cieszył z jej odejścia, że pragnął powiadomić znajomych? Tylko dlaczego nie ją najpierw?

– Tak, wuju?

– Ostatniej wiosny skończyłaś szesnaście lat. Czas zdecydować o twojej przyszłości.

Sage zacisnęła dłonie na książce i ograniczyła odpowiedź do entuzjastycznego skinienia głową.

Wuj pogładził czerniony wąs i odchrząknął.

– Dlatego umówiłem cię na spotkanie z Darnessą Rodelle...

– *Co takiego?* – Zawód swatki był jedynym, którego nie brała pod uwagę, jedynym, który budził w niej zdecydowany opór. – Ale ja nie chcę zostać...

Urwała. Nagle zdała sobie sprawę, co tak naprawdę wuj miał na myśli. Książka wysunęła się z jej dłoni i wylądowała na podłodze.

– To mnie mają wyswatać?

Wuj William przytaknął, wyraźnie zadowolony.

– Tak. Pani Rodelle zajmuje się wprawdzie przygotowaniami do Concordium, które odbędzie się latem, ale wytłumaczyłem jej, że zdajemy sobie sprawę, że może potrwać kilka lat, zanim znajdzie kogoś chętnego, by się z tobą ożenić.

Pomimo zaskoczenia i oszołomienia Sage odczuła obraźliwe słowa jak fizyczny cios, który odebrał jej powietrze.

Wuj machnął nad listami poplamioną atramentem dłonią.

– Właśnie piszę do młodzieńców ze znajomych mi rodów z zaproszeniem

w odwiedzin. Przy odrobinie szczęścia może spodobać się któremuś na tyle, by zechciał porozumieć się z panią Rodelle. Decyzja należy do niej, ale nie zaszkodzi pomóc.

Sage brakowało słów. Pani Rodelle, najważniejsza swatka w regionie, przyjmowała wyłącznie kandydatów mogących pochwalić się szlacheckim pochodzeniem lub bogactwem, ewentualnie pod jakimś względem wyjątkowych. Sage nie zaliczała się do żadnej z tych kategorii.

– Ale dlaczego miałyby mnie przyjąć?

– Ponieważ znajdujesz się pod moją opieką. – Wuj William z uśmiechem splótł dłonie na stole. – Więc jednak z twojej sytuacji wyniknie coś dobrego.

Na Ducha w niebiosach, on oczekiwał wdzięczności! Spodziewał się, że będzie mu wdzięczna za możliwość poślubienia nieznanego właściwie mężczyzny. I za to, że jej rodzice, którzy dobrali się sami, nie żyją i nie mogą zaprotestować.

– Pani Rodelle ma tak rozległe kontakty, że z pewnością znajdzie kogoś pozbawionego uprzedzeń co do... twojego wcześniejszego wychowania.

Sage gwałtownie poderwała głowę. Co niby było nie tak z jej wcześniejszym życiem? Bez wątpienia było szczęśliwsze.

– To spory zaszczyt – ciągnął wuj – szczególnie biorąc pod uwagę, jaka jest ostatnio zajęta; przekonałem ją jednak, że twój talent guwernantki wznosi cię ponad skromne pochodzenie.

Pochodzenie. Powiedział to tak, jakby było wstydem urodzić się wśród niższych warstw. Jakby sam nie ożenił się z kobietą z pospólstwa. Jakby było skazą mieć rodziców, którzy sami się dobrali.

Jakby sam nie ośmieszył publicznie złożonej przez siebie przysięgi małżeńskiej.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Tak, to będzie prawdziwy zaszczyt mieć męża równie wiernego co ty.

Zesztywniał. Protekcyjna mina ustąpiła czemuś znacznie gorszemu. Sage ucieszyła się – ten widok dawał jej siłę do walki. Głos wuja drżał od tłumionej z trudem wściekłości.

– Jak śmiesz...

– A może wierności oczekuje się jedynie od żony szlacheckie urodzonego człowieka? – zapytała.

Och, jak jej się podobała ta jego wściekłość. Karmiła się nią jak płomień wiatrem.

– Nie zamierzam wysłuchiwać pouczeń z ust dziecka...

– Nie, ty wolisz pouczać innych, dając im dobry przykład. – Wymierzyła palcem w leżące na biurku listy. – Jestem pewna, że twoi znajomi wiedzą, skąd czerpać naukę.

Zerwał się z krzesła, rycząc:

– Nie zapominaj, gdzie twoje miejsce, Sage Fowler!

– Znam swoje miejsce! – krzyknęła w odpowiedzi. – W tym domu nie da się o tym zapomnieć! – Napędzwały ją emocje powstrzymywane przez wiele miesięcy. Rozsnuwał przed nią kuszącą wizję, że pozwoli jej odejść, pozwoli jej wyzwolić się spod jego opieki, tylko po to, żeby skazać ją na aranżowane małżeństwo. Zaciśnęła pięści i pochyliła się nad biurkiem. Nigdy jej nie uderzył, ani razu, chociaż wiele razy go prowokowała, ale też nigdy nie posunęła się tak daleko jak teraz.

W końcu wuj William przemówił, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

– Obrażasz mnie, dziewczyno. Zaniedbujesz swoje obowiązki. Jesteś mi coś winna. Twoi rodzice by się za ciebie wstydzili.

Raczej w to wątpiła. Zbyt wiele przeszli, by móc żyć według własnych wyborów. Wcisnęła paznokcie we wnętrze dłoni.

– Nie. Pój. Dę.

Odpowiedział na jej gorączkę lodowatym głosem.

– Owszem, pójdiesz. I zrobisz dobre wrażenie. – Znów przybrał ten wyniosły, protekcyjny wyraz twarzy, którego tak nienawidziła, i wziął pióro do ręki.

Tylko zbiegłe knykcie zdradzały wzburzenie. Machnął niedbale dłonią.

– Możesz odejść. Twoja ciotka dopilnuje przygotowań.

Zawsze tak robił. Zawsze ją lekceważył. Chciała, żeby przestał ją ignorować, miała ochotę wskoczyć na biurko, stłuc go zaciśniętymi pięściami, jak worek z piaskiem wiszący w stodole. Ale takiego zachowania jej ojciec z pewnością by nie zaakceptował.

Sage odwróciła się i wyszła, nie dygając na pożegnanie. Ledwo znalazła się w korytarzu, zaczęła biec, przepychając się pośród ludzi dźwigających skrzynie i kosze, nie zastanawiając się, kim są i skąd nagle wzięli się we dworze.

Jej umysł zajmowało tylko jedno pytanie: jak daleko zdoła uciec, zanim zajdzie słońce.

## 2

Sage zatrzasnęła drzwi do swojej sypialni z satysfakcjonującym *bum* i podeszła do wysokiej szafy w kącie. Otworzyła ją i zaczęła grzebać w poszukiwaniu ukrytej z tyłu torby. Palce wyczuły w ciemności szorstkie płótno, rozpoznając je natychmiast, chociaż nie używała tej torby od lat. Wyciągnęła ją i uważnie obejrzała. Paski wciąż były mocne, żadna mysz nie wygryzła dziur w tkaninie.

Torba zachowała jego zapach. Maść na skaleczenia i otarcia, z łożu i dziegiu sosnowego, którą robił ojciec. Smarował nią i Sage, i ptaki, które trenował. Zacisnęła powieki. Ojciec by to powstrzymał. Nie, nigdy by nie pozwolił, żeby coś takiego w ogóle się zaczęło. Ale ojciec nie żył.

Ojciec nie żył, a jego śmierć zamknęła ją w pułapce losu, przed jakim obiecał zawsze ją chronić.

Nagle otworzyły się drzwi. Przestraszyła się, ale to była tylko ciotka Braelaura, jak zwykle przyszła załagodzić sytuację. Cóż, tym razem jej się nie uda. Sage zaczęła wpychać do torby ubrania, zaczynając od spodni, które nosiła podczas wędrówek po lesie.

– Odchodzę – warknęła przez ramię.

– Tak myślałam – odparła ciotka. – Powiedziałam Williamowi, że źle to przyjmiesz.

Sage obróciła się na pięcie.

– Wiedziałaś? Dlaczego nic nie mówiłaś?

Wokół oczu Braelaury pokazały się lekkie zmarszczki z rozbawienia.

– Szczerze? Nie przypuszczałam, że odniesie sukces. Nie chciałam cię denerwować z powodu czegoś, co i tak nie miało większych szans na realizację.

Nawet ciotka nie widziała w niej materiału na żonę. Sage nie chciała wychodzić za mąż, ale i tak poczuła się urażona. Wróciła do pakowania.

– Dokąd pójdziesz?

– Bez znaczenia.

– Myślisz, że tym razem pójdzie lepiej niż poprzednio?

Oczywiście musiała o tym przypomnieć. Sage wściekłym ruchem wepchnęła do torby zapasową parę skarpetek. Noce robiły się chłodne, z pewnością się przydadzą.

– To się zdarzyło lata temu. Teraz potrafię o siebie zadbać.

– Nie wątpię. – Tak spokojnie. Tak rozsądnie. – A skąd zamierzasz brać jedzenie?

W odpowiedzi Sage wzięła procę leżącą na stosie książek, zwinęła ją dramatycznym ruchem i wcisnęła do kieszeni spódnicy. Przed wyjściem trzeba będzie się przebrać.

Braelaura uniosła brwi.

– Wiewiórki. Pycha. – Zawiesiła głos, po czym dodała: – Dostępne przez całą zimę.

– Znajdę pracę.

– A jeśli nie?

– To będę wędrować tak długo, aż wreszcie się uda.

Widocznie jej słowa zabrzmiały wystarczająco poważnie, bo ciotka zmieniła ton.

– Na podróżującą samotnie dziewczynę czyha wiele niebezpieczeństw.

Sage prychnęła, żeby pokryć narastającą niepewność. Niegdyś wędrowała z ojcem po kraju i dobrze wiedziała, jakich zagrożeń powinna się obawiać – ze strony ludzi i zwierząt.

– Przynajmniej nie będę musiała wychodzić za człowieka, którego nawet nie znam.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś uważała, że swatki nie znają się na swojej profesji.

– Pani Rodelle bez wątpienia wybrała dla ciebie najlepszą partię – stwierdziła sarkastycznie Sage.

– Owszem, zgadza się – odparła Braelaura niewzruszenie.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Wszyscy wiedzieli, kim jest Aster. Jej imię – nazwa rośliny – świadczyło o pochodzeniu z nieprawego łoża. Oczywiście nie było w tym jej winy, Sage nie pojmowała jednak, jak Braelaura mogła wybaczyć mężowi.

– Małżeństwo nie jest łatwe ani proste – powiedziała Braelaura. – Nawet twoi rodzice zdążyli się o tym przekonać w tym krótkim czasie, który razem spędzili.

Możliwe, ale ich miłość z pewnością była prosta, małżeństwo też powinno takie być. Nie powinno wiązać się z wydziedziczeniem i odrzuceniem przez połowę mieszkańców wsi. Ale oni uważali, że warto było zapłacić taką cenę.

– Czego właściwie się boisz? – spytała Braelaura.

– Niczego się nie boję – odwarknęła Sage.

– Naprawdę uważasz, że William wydałby cię za człowieka, który źle by cię



traktował?

Nie, nie uważała tak, ale nie miała ochoty odpowiadać na kolejne pytania. Znow pochyliła się nad torbą. Wuj William, kiedy tylko usłyszał o śmierci jej ojca, jechał po nią przez cały dzień i całą noc. A kiedy uciekła kilka miesięcy później, szukał jej przez wiele dni, aż wreszcie odnalazł na dnie wąwozu, tak zmęczoną i przemarzniętą, że nie miała siły stamtąd wyjść. Nie zganił jej ani jednym słowem, po prostu wziął ją na ręce i odwiózł do domu.

Głos w jej wnętrzu szeptał, że perspektywa swatów to zaszczyt, dar. Świadczyła o tym, że Sage stała się częścią rodziny, że nie jest tylko ubogą krewną, którą są zmuszeni utrzymywać. To najlepsze, co mógł jej ofiarować.

Byłoby znacznie prościej, gdyby mogła go nienawidzić.

Czując dłoń ciotki na ramieniu, zeszywniała.

– Pewnie musiał wyłożyć sporą sumkę, żeby ją przekonać – stwierdziła.

– Nie zaprzeczę. – Uśmiech Braelaury pojawił się również w głosie. – Ale pani Rodelle nie zgodziłaby się, gdyby nie dostrzegła w tobie pewnego potencjału. – Odgarnęła nieposłuszne kosmyki z twarzy Sage. – Myślisz, że nie jesteś gotowa? To nie takie trudne, jak ci się wydaje.

– Przesłuchanie czy bycie czyjąś żoną? – Sage nie zamierzała się uspokoić.

– To i to – odparła Braelaura. – W przesłuchaniu chodzi o to, by odpowiednio się zaprezentować. A co do małżeństwa...

– Ojciec wyjaśnił mi, skąd się biorą dzieci – przerwała jej Sage, rumieniąc się.

Braelaura ciągnęła, jakby te słowa w ogóle nie padły:

– Od kilku lat uczę cię prowadzenia gospodarstwa, jeśli jeszcze nie zauważyłaś. Świetnie poradziłaś sobie zeszłej wiosny, kiedy zachorowałam. William był bardzo zadowolony. – Opuściła dłoń niżej i pogładziła Sage po plecach. – Będziesz miała wygodny dom i dzieci. Czy to takie złe?

Sage poczuła, że zaczyna uginać się pod presją. Własny dom. Z dala od tego miejsca. Chociaż, szczerze mówiąc, nienawidziła nie tyle tego miejsca, co związanych z nim wspomnień.

– Pani Rodelle znajdzie ci męża, któremu potrzebna jest taka kobieta jak ty – dodała Braelaura. – Jest w swoim zawodzie najlepsza.

– Wuj William powiedział, że to może potrwać całe lata.

– Możliwe – przyznała ciotka. – Tym bardziej nie powinnaś ulegać emocjom.

Sage włożyła torbę do szafy. Czowała się pokonana.

Braelaura wspięła się na palce i pocałowała ją w policzek.

– Będę przy tobie przez cały czas, postaram się zastąpić ci matkę.

Ponieważ rzadko o niej wspominała, Sage chciała wykorzystać okazję i zadać

kilka pytań, zanim zmienią temat, ale w tym momencie do komnaty wpadła dwunastoletnia Hannah. Jasne loki podskakiwały wokół jej twarzy. Sage rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Nigdy nie pukasz?

Hannah jednak ją zignorowała.

– Mamo, czy to prawda? Sage idzie na spotkanie ze swatką? *Główną* swatką? Ciotka Braelaura otoczyła ramieniem talię Sage, jakby bała się, że ta ucieknie.

– Zgadza się.

Sage wciąż przewiercała kuzynkę wrogim spojrzeniem.

– Masz coś ważnego do powiedzenia?

Hannah machnęła ręką za siebie.

– Przyszła krawcowa.

Sage pokryła się zimnym potem. Tak szybko?

Hannah zwróciła na nią wielkie niebieskie oczy.

– Myślisz, że wybierze cię na Concordium?

– Cha! – Z korytarza dobiegł śmiech trzynastoletniego Jonathana. Chłopak niósł jakąś skrzynię. – Chciałbym to zobaczyć.

Sage zrobiło się niedobrze. Kiedy nastąpi przesłuchanie? Przerwała wujowi, zanim zdążył to powiedzieć. Braelaura poprowadziła ją do wyjścia.

Hannah wspięła się na palcach i powiedziała:

– Jest w sali szkolnej.

– Kiedy mam tam pójść? – zdołała wydusić Sage.

– Jutro, kochanie – odparła Braelaura. – Po południu.

– *Jutro?* Jak w takim razie niby zdążą uszyć mi suknię?

– Pani Tailor dopasuje dla ciebie coś gotowego. Przyjedzie ponownie jutro rano.

Sage pozwoliła poprowadzić się korytarzem. Stała nieruchomo, czekając, aż Braelaura rozluźni sznurówki przy jej gorsecie, tak żeby dało się z niego wyśliznąć. Nagle w komnacie pociemniało; przez chwilę Sage sądziła, że mdleje, ale to Hannah i Aster zaciągnęły zasłony w jednym z okien. Kiedy skończyły, Aster przysiadła na krześle w kącie, zapewne w nadziei, że nikt jej nie zauważy i będzie mogła zostać. Hannah płąsała dokoła, paplając, jak to nie może doczekać się na własne spotkanie ze swatką, i jak matka uważa, czy ojciec pozwoli jej na taką rozmowę, gdy skończy piętnaście lat, chociaż będzie można ją swatać dopiero rok później.

Dziewczyna wyobrażała sobie, że Sage ma szansę dostać się na Concordium. Sage nie miała tego rodzaju złudzeń. Główne zadanie najważniejszej swatki

w regionie polegało na wybieraniu najlepszych kandydatek na zjazd, który odbywał się co pięć lat, ale Sage nie chciałyby tam pojechać, nawet gdyby była ładna czy wystarczająco bogata, żeby brano ją pod uwagę. Nie miała najmniejszej ochoty, by wieziono ją przez cały kraj do Tennesolu i praktycznie sprzedano niczym nagrodzoną w konkursie sztukę bydła. Ale Hannah snuła fantazje na ten temat, podobnie jak wszystkie dziewczęta w Demorze.

Braelaura ściągnęła suknię z ramion Sage, jedną z wielu sukien, których ta nie mogła ścierpieć. Jakże to dziwnie niesprawiedliwe, miała tyle rzeczy, których w ogóle nie chciała. Większość dziewczyn zabiłaby za spotkanie ze swatką.

Pani Tailor przerwała grzebanie w koszu stojącym na stole i wskazała na stołek, który przysunęła w stronę Sage.

– Wskakuj – zarządziła. – Nie mamy czasu do stracenia.

Braelaura pomogła jej wdrapać się na stołek i podtrzymała go, gdy się pod nią zachwiały. Sage czuła, że kręci jej się w głowie, ale nie miało to nic wspólnego z tym, że na chwilę straciła równowagę.

– Rozbierz się – rzuciła krawcowa przez ramię.

Sage skuliła się, zdjęła halkę przez głowę i podała ją ciotce. Zwykle przymiarki nie wymagały rozbierania się – krawcowa po prostu zdejmowała miarę za pomocą sznurka, na którym wiązała supełki. Sage splotła ramiona na piersi osłoniętej specjalną przepaską i zadrżała. Cieszyła się, że zasłony nie wpuszczają do środka zimnych podmuchów – a także cudzych spojrzeń.

Pani Tailor obróciła się i marszcząc brwi, zmierzyła spojrzeniem bieliznę Sage. Chłopięce lniane spodnie były jedyną częścią stroju, którą Braelaura pozwoliła Sage zachować, gdy zmuszono ją do noszenia sukien. Wersja dla chłopców była znacznie wygodniejsza od tej dla kobiet, a i tak nikt ich nie oglądał.

Krawcowa wyduła wargi i obejrzała Sage ze wszystkich stron.

– Jej najsłabszą stroną jest nadmierna szczupłość – mruknęła. – Trzeba ją wypełnić, szczególnie na górze.

Sage wywróciła oczami, wyobrażając sobie te wszystkie poduszki i przymarszczenia, których będzie wymagało zakamuflowanie jej płaskiej piersi. Braelaura już dawno temu zrezygnowała z doszywania koronek i kokardek do jej sukien. Kiedy nikt nie patrzył, zawsze spotykała je dramatyczna konfrontacja z nożyczkami.

Zimne palce szczyknęły jej talię.

– Dobrze wcięcie, mocne biodra do rodzenia. Można to podkreślić.

Sage czuła się jak klacz, którą kupił jej wuj w zeszłym miesiącu. *Mocne*

*ścięgną oznaczają dobrą klacz rozplodową, oznajmił handlarz, uderzając w koński bok. Będzie można ją zażrebić jeszcze przez kolejne dziesięć lat.*

Krawcowa uniosła ramię Sage, żeby obrócić je do światła.

– Naturalnie jasna skóra, lecz strasznie dużo piegów.

Braelaura kiwnęła głową.

– Kucharka właśnie przyrządza mazidło z cytryny, które temu zaradzi.

– Nie żałujcie go. Dziecko, czy to są blizny?

Sage westchnęła. W większości były stare i niewielkie, widoczne tylko z bardzo bliska.

– Jej ojciec był człowiekiem lasu – przypomniała Braelaura. – Spędzała mnóstwo czasu na zewnątrz, zanim do nas trafiła.

Pani Tailor przeciągnęła kościstym palcem wzdłuż czerwonego zadrapania.

– Niektóre są świeże. Coś ty robiła? Łaziłaś po drzewach? – Sage wzruszyła ramionami. Kobieta opuściła jej ramię i dodała oschle: – Nie powinnam się skarżyć. Dzięki naprawom twojej garderoby przez te wszystkie lata przynajmniej miałam co do garnka włożyć.

– Zawsze do usług – odparowała Sage, już w nieco lepszym nastroju.

Gniew był znacznie przyjemniejszym uczuciem niż strach.

Krawcowa zignorowała jej uwagę i potarła w palcach końcówkę jej warkocza.

– Ani brązowe, ani blond – burknęła. – Nie mam pojęcia, jaki kolor by do nich pasował. – Spojrzała na ciotkę Sage. – Jak zamierzacie ją uczesać na spotkanie ze swatką?

– Jeszcze nie zdecydowałam – odparła Braelaura. – Kiedy zbierze się je z tyłu, zawsze się wymykają. Ale są podatne na skręt, mimo że takie cienkie.

– Hm. – Krawcowa złapała podbródek Sage i obróciła jej głowę w swoją stronę, by spojrzeć prosto w oczy. Sage miała wielką ochotę ugryźć ją w palce. – Szary... Może błękit doda nieco barwy twoim oczom. Zabrała rękę i dodała: – Ech! Te piegi.

Aster ze zdumioną miną przekrzywiła głowę. Zawsze zazdrościła Sage piegów. Sage przyłapała ją kiedyś – gdy Aster miała trzy lata – jak próbowała namalować sobie atramentem kropki na twarzy.

– A więc błękit – zawyrokowała pani Tailor, wyrywając Sage z zamyślenia. Potem odwróciła się w stronę ciotki Braelaury i zaczęła grzebać w ogromnej, stojącej z boku skrzyni. – Mam tu coś, co powinno się nadać, ale dopasowanie tego zajmie całą noc.

Podniosła kłęb tkaniny i potrząsnęła nią, a wtedy ukazał się niebiesko-fioletowy koszmar. Sage nigdy nie przypuszczała, że przyjdzie jej włożyć coś

podobnego. Wzdłuż długich rękawów wiły się hafty wyszyte złotą nicią – bez wątpienia bardzo drapiące. Stanik ozdobiono podobnym motywem. Wokół sporego dekoltu opadał luźny kołnier, który zapewne krawcowa zamierzała dodatkowo ozdobić, by stworzyć wrażenie obfitych kształtów.

– Suknia odkrywa ramiona – powiedziała pani Tailor przy wtórze ochów i achów, które wydawały z siebie Hannah i Braelaura. – Ona ma całkiem ładne ramiona, warto je pokazać. Ale to znaczy, że nie będzie mogła włożyć opaski na piersi.

Sage prychnęła. I tak właściwie nie potrzebowała tej części garderoby.

### 3

W październikowej mgle majaczył piętrowy bielony budynek. Sage zeskoczyła na ziemię, ledwo pojazd się zatrzymał, tak zapatrzona na dom swatki, że nie zauważyła błotnistej kałuży, dopóki w niej nie usiadła. Ciotka z westchnieniem chwyciła ją za łokieć i pomogła wstać, po czym zaprowadziła do umywalni na tyłach budynku.

– Nie martw się – powiedziała na pocieszenie. – Właśnie dlatego wszystkie dziewczęta szykują się dopiero na miejscu.

Pani Tailor już czekała w środku, gotowa pomóc przy ostatnich poprawkach. Sage prędko ściągnęła zabłocone ubranie i zanurzyła się w ciepłej kąpieli.

– Umyj ręce i więcej nie zanurzaj ich w wodzie – poleciła Braelaura – bo inaczej zetrze ci się farbka z paznokci.

– To jak niby mam się umyć?

W odpowiedzi ciotka chwyciła myjkę i zaczęła szorować plecy Sage, która wzdrygnęła się, lecz nie protestowała. Chciała tylko, żeby ten dzień jak najszybciej się skończył.

Kiedy Braelaura uznała, że wystarczy, Sage wyszła z kąpieli i wytarła się do sucha. Potem musiała stać spokojnie, trzęsąc się z zimna i czekając, aż wysmarują wygładzającymi kremami jej ramiona i szyję, a całe ciało obsypią pudrem.

– Swędzi – poskarżyła się.

Braelaura pacnęła ją po ręce.

– Nie drap, zniszczysz farbkę. Dzięki pudrowi nie będziesz się pocić.

– Pachnie rumiankiem. Nie cierpię rumianku.

– Nie wygłupiaj się. Każdy lubi rumianek, ma właściwości łagodzące.

*Widocznie nie jestem każdy.* Sage uniosła ramiona, a ciotka włożyła jej gorset. Duchu w niebie, nigdy dotąd nie miała na sobie czegoś tak niewygodnego. Kiedy Braelaura zaciągnęła sznurówki, fiszbinę boleśnie wbiły się w biodra. A gdy Sage zrobiła krok w przód, by wejść w jedną z trzech halek, gorset przesunął się i zaatakował w nowych miejscach.

Pani Tailor i ciotka Braelaura założyły Sage suknię przez głowę, a ona wsunęła zmarznęte ramiona w długie rękawy. Potem obie kobiety zaczęły uwijać się dokoła niej, poprawiając suknię i obciągając jej górną część, żeby

pokazać jak najwięcej dekoltu i wreszcie na koniec zasznurować z przodu stanik. Sage przesunęła palcami po aksamicie i koronkach spływających z jej ramion. Po dzisiejszej rozmowie suknia miała zawisnąć w jej szafie i zostać tam aż do dnia – który nastąpi być może za kilka miesięcy czy nawet lat – gdy przedstawią ją kandydatowi wybranemu przez panią Rodelle.

Mężczyzna mógł wprawdzie wskazać swatce dziewczynę, która mu się spodobała, lecz ostateczna decyzja co do tego, czy należy połączyć ich w parę, zawsze należała do swatki. Często kobieta i mężczyzna przed ślubem prawie nic o sobie nie wiedzieli. Start od zera uważano za bardzo korzystny. W ojcu Sage ta idea budziła odrazę, a ona podzielała jego poglądy, ale podobno swatka łączyła ludzi na podstawie cech charakteru – nawet w przypadku małżeństw politycznych, jak te zawierane na Concordium.

Małżeństwa zawierane poza systemem rzadko okazywały się trwałe i szczęśliwe, chociaż Sage przypuszczała, że może to w dużej mierze wynikać z ostracyzmu, z jakim spotykały się pary tego rodzaju. Pomyślała, że może powinna przekonać wuja, żeby pozwolił jej przynajmniej poznać potencjalnego kandydata. W końcu on sam znał ciotkę Braelaurę na wiele lat przed ślubem. Ta myśl obudziła w niej iskrę nadziei, której wcześniej nie miała.

Ciotka posadziła ją na stołku i udrapowała na sukni lniane prześcieradło, by ochronić strój na czas nakładania makijażu. Kobiety wyjęły szmaciane papiloty, na które nawinięto włosy Sage poprzedniego wieczoru i na jej plecy opadła kaskada loków. Podpięły włosy z przodu spinkami ozdobionymi perłami, by wyeksponować ramiona. Pani Tailor mruknęła z zadowoleniem i podała Braelaurze pierwszy z wielu słoiczków z kosmetykiem.

– Sądzisz, że wuj William pozwoli mi poznać męża, zanim da mu swoją zgodę? – spytała Sage ciotkę, gdy ta rozsmarowała krem na jej policzkach.

Braelaura zrobiła zaskoczoną minę.

– Ależ oczywiście.

– A jeśli mi się nie spodoba?

Ciotka, unikając jej wzroku, znów zanurzyła palce w słoiku.

– Nie zawsze podoba nam się to, co jest dla nas dobre – odparła. – Szczególnie z początku.

Sage zastanawiała się mimowolnie, czy ciotka ma na myśli swoje małżeństwo, ale w tym momencie bardziej interesował ją własny los.

– A więc jeśli wuj uzna, że jakiś mężczyzna jest dla mnie odpowiedni, nie będę miała nic do powiedzenia?

– Szczerze mówiąc, Sage – westchnęła ciotka – wydaje mi się bardziej

prawdopodobne, że nie dasz temu mężczyźnie szansy. Jesteś tak źle do niego nastawiona, a on nawet jeszcze nie istnieje.

Sage pogrzyżała się w ponurym milczeniu. Braelaura poklepała ją po policzku.

– Nie dąsaj się. Nie mogę pracować, kiedy robisz taką minę.

Sage próbowała rozluźnić ściągnięte brwi, ale myśli jej na to nie pozwalały. Przypuszczała, że wuj pragnie jak najszybciej się jej pozbyć i to przeważą inne względy. Zapewne przyjmie propozycję pierwszego mężczyzny, jeśli tylko uzna, że Sage nie spotka z jego strony żadna krzywda; to jednak nie była wystarczająca recepta na szczęście. Sage ciągnęła swoje ponure rozmyślenia, podczas gdy ciotka nakładała na jej twarz przeróżne kremy i barwniki. Odnosiła wrażenie, że trwa to już co najmniej godzinę. Wreszcie ciotka podała jej ręczne lustro, żeby Sage mogła obejrzeć rezultaty.

– Proszę – powiedziała. – Wyglądasz prześlicznie.

Sage wpatrywała się w swoje odbicie z makabrycznym zafascynowaniem. Spod gładkiej farby w kolorze kości słoniowej nie wycierał nawet jeden pieg. Krwistoczerwone wargi tworzyły ostry kontrast z bladą cerą, a na policzkach widniały nienaturalnie różowe plamy. Fiołkowy pyłek na powiekach sprawiał, że szare oczy wydawały się niemal błękitne, zapewne zgodnie z intencją, tylko że niemal nie było ich widać pomiędzy firankami podkręconych i uczernionych rzęs.

– Czy damy na dworze wyglądają tak na co dzień? – spytała.

Ciotka wywróciła oczami.

– Nie, tak wygląda panna na wydaniu arystokratycznego pochodzenia. Jak ci się podoba?

Sage z odrazą wygięła szkarłatne wargi.

– Chyba wiem, dlaczego moja mama uciekła.

Potem wyszły z umywalni i ruszyły w stronę wejścia od frontu. Sage z trudem utrzymywała równowagę na absurdalnie wysokich obcasach. Na schodach prowadzących do wejścia ustawiła się za plecami ciotki, spuściła wzrok i splótła dłonie, by pokazać pomalowane paznokcie. W otwartych drzwiach i oknach pobliskich budynków tłoczyli się mieszkańcy wsi, ciekawi najnowszej kandydatki. Sage zarumieniła się pod makijażem. Gapią się, ponieważ jej nie rozpoznają, czy dlatego, że rozpoznają?

Braelaura pociągnęła za dzwonek przy wejściu, rozległ się donośny dźwięk i rozszedł się echem dokoła, przyciągając uwagę jeszcze większej liczby osób. Gospodyni kazała im czekać niemal minutę, a po plecach Sage



ze zdenerwowania spłynęła strużka potu.

W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich Darnessa Rodelle. Była wysoka, mierzyła niemal metr osiemdziesiąt i miała władcą postawę; siwiejące włosy nosiła zebrane w ciasny kok z tyłu głowy. Liczyła sobie około pięćdziesięciu lat. Jej sylwetka przypominała wielką pyzę, a pulchne, obwisłe ramiona świadczyły o życiu w wygodzie i dostatku. Miała skrzywione usta, jakby spodziewała się czegoś nieprzyjemnego ze strony nowo przybyłych.

– Madame Rodelle, Władczyni Ludzkich Serc – powiedziała Braelaura. Sage domyśliła się, że to jakaś tradycyjna forma pozdrowienia. – Pragnę przedstawić moją siostrzenicę, w nadziei, że twa mądrość pomoże znaleźć dla niej męża, który dorówna jej wdziękowi, mądrości i urodzie.

Sage zgarnęła spódnicę w okolicy drżących kolan i dygnęła tak głęboko, jak tylko się odważyła w przeklętych niewygodnych butach.

– Pozwolisz, lady Broadmoor – odparła swatka, wykonując ręką gest godny wielkiej damy. – Przyrowadź dziewczynę bliżej, by mogła oddać honor swemu rodowi.

Sage wyprostowała się i zrobiła kilka kroków w stronę swatki. Miała wrażenie, jakby występowała w sztuce – te wszystkie ściśle określone kwestie, miejsca na scenie, kostiumy. Była nawet publiczność. Poczula mdlący ucisk w żołądku. To wszystko wydawało się takie nieprawdziwe.

– Sage Broadmoor, czy małżeństwo jest twoim życzeniem?

Sage drgnęła, słysząc zmienione nazwisko.

– Tak, pani.

– A więc wejdź do mego domu, bym mogła poznać twoje zalety. – Odsunęła się, żeby przepuścić Sage w drzwiach.

Sage zdążyła jeszcze pochwycić spojrzenie ciotki Braelaury, a potem drzwi się zamknęły i wszystkie cienie zlały się z mrokiem panującym w salonie. Podłogę pokrywał gruby pleciony chodnik, na środku stał niski stolik, a z boku tapicerowana sofa. Chociaż ciężkie lniane zasłony wpuszczały do środka niewiele światła, Sage cieszyła się, że chronią ją przed natrętnymi spojrzeniami.

Swatka krążyła wokół niej powolnym krokiem, mierząc ją spojrzeniem. Sage wbijała wzrok w podłogę. Nie mogła znieść tej ciszy. Czy zapomniała, że miała coś powiedzieć? Skóra pod gorsetem swędziała, materiał nasiąkał potem. *Głupi, wstrętny, beznadziejny puder rumiankowy.*

W końcu kobieta kazała jej usiąść na niewygodnym drewnianym krześle. Sage przycupnęła na brzegu, rozkładając spódnicę niczym wachlarz. Przesunęła

stanik w nadziei, że dozna ulgi. Na próżno.

Pani Rodelle usiadła naprzeciwko na szerokiej sofie i utkwiała w niej krytyczne spojrzenie.

– Obowiązki żony wysoko urodzonego człowieka są proste, lecz absorbujące – oznajmiła. – Jej powinnością jest zajmować w jego sercu pierwsze miejsce dzięki urodzie i miłym manierom.

Te słowa zirytowały Sage. Mąż będzie ją kochał, dopóki jest ładna i wesoła? Ludzie najbardziej przecież potrzebują miłości, kiedy w życiu pojawiają się przeszkody. Sage zamrugła i skupiła uwagę na swatce, ale ta myśl utkwiała w jej głowie niczym cień.

Kobieta ciągnęła swoją wyliczankę: żona powinna być posłuszna, powinna być uległa, powinna być uprzejma, musi zawsze zgadzać się z mężem. I jeszcze trochę o tym, że ma spełniać jego oczekiwania. Swatka pochyliła się do przodu i przekrzywiła głowę, patrząc na dziewczynę z góry.

Nagle Sage zauważyła, że pani Rodelle od jakiegoś czasu nic nie mówi. Czy zakończyła swoją tyradę pytaniem? Sage postanowiła odpowiedzieć tak, jak miała nadzieję, że tego od niej oczekiwano, bez względu na to, czy pytanie padło, czy nie.

– Jestem gotowa jak najlepiej spełnić wszelkie oczekiwania swego przyszłego męża.

– A wszelkie życzenia twego pana...?

– Staną się moimi.

Sage ćwiczyła odpowiedzi do późna w nocy. Uważała jednak za absurd składanie takich obietnic, skoro nawet nie wiedziała, czego będzie pragnął jej przyszły mąż. Biorąc pod uwagę fałszywe oczekiwania, które tworzyła suknia na temat jej figury, z pewnością czeka go rozczarowanie choćby pod tym jednym względem. Padały kolejne pytania, a Sage z łatwością odnajdywała w pamięci poprawne odpowiedzi. Rozmowa wymagała niewielkiego wysiłku i zdawała się absurdalna. Żadna z odpowiedzi nie pochodziła od niej – były tym, co chciała usłyszeć swatka. Identycznych odpowiedzi udzielała każda z dziewczyn. Jaki to miało sens?

– Dobrze, teraz przejdźmy dalej – odezwała się kobieta, wyrywając Sage z zamyślenia. Jej wargi ułożyły się w uśmiech, który nie objął oczu. – Porozmawiajmy o twoich... bardziej intymnych obowiązkach.

Sage wzięła głęboki wdech.

– Pouczono mnie, czego mam się spodziewać i jak... reagować. – Miała nadzieję, że to wystarczy.

– A kiedy twoje pierworodne dziecko okaże się tylko dziewczynką, co powiesz, podając je mężowi?

*Następnym razem postaram się dać ci syna*, brzmiała odpowiedź. Ale Sage widziała, ile trudu kosztowała kobiety ciąża. Nawet te najzdrowsze na początkowym etapie czuły się fatalnie, a pod koniec cierpiały okropny dyskomfort, nawet nie wspominając o samym porodzie. Myśl, że miałyby przebyć te wszystkie trudy i na koniec jeszcze przeproszać, budziła w niej gwałtowny sprzeciw. Gorąca fala wściekłości wzbierająca w jej wnętrzu była wspaniałym uczuciem i Sage nie zamierzała z nim walczyć.

Spojrzała na swatkę.

– Powiem: czyż nie jest piękna?

Pani Rodelle zdusiła coś, co wyglądało na uśmiech i zapytała z lekką irytacją:

– A potem?

– Zaczekam, aż mąż odpowie, że jest niemal tak piękna jak ja.

Znów zduszony uśmiech.

– Dla wysoko postawionego mężczyzny dziewczynki są bezużyteczne. Musisz przeprosić.

Palce Sage zacisnęły się na fałdzie sukni. Zapytała kiedyś ojca, czy czuje się rozczarowany, że jego jedyne dziecko to dziewczynka, on zaś spojrzał jej prosto w oczy i odparł: *Nigdy*.

– Bez dziewczynek nie byłoby też chłopców.

– Niewątpliwie – warknęła swatka. – Jednakże, jeśli nie dasz mężowi dziedzica, poniesiesz porażkę.

Dwa ostatnie słowa zabrzmiały tak, jakby odnosiły się do chwili obecnej: *poniesiesz porażkę*. Co w nią wstąpiło, że odeszła od wyuczonych odpowiedzi? Jej umysł pracował gorączkowo, by naprawić błąd, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co nie byłoby zarazem szczere i obraźliwe.

– A jeśli długo nie będziesz w stanie dać mu dziedzica, czy ustąpisz miejsca innej kobiecie?

*Co ojciec by na to powiedział?* Sage wbiła wzrok w podłogę i powoli wciągnęła powietrze, żeby uspokoić drżenie głosu.

– Ja...

Kobieta podjęła:

– Kiedy zostaniesz żoną, Sage Broadmoor, musisz postarać się stworzyć w małżeństwie coś więcej niż to, z czym do niego wejdiesz.

W tym momencie coś w niej pękło – znów zmieniono jej nazwisko, tak jakby to prawdziwe przynosiło jej wstyd.

– Fowler – odparła. – Nazwisko mojego ojca brzmi Fowler i moje również.

Twarz pani Rodelle wykrzywiła się z pogardą.

– Nie możesz oczekiwać, że takie nazwisko spotka się z dobrym przyjęciem. „Sage Broadmoor” już brzmi jak nazwisko bękarta, a „Sage Fowler” brzmi jak nazwisko bękarta człowieka z pospólstwa. – Swatka miała na myśli także jej imię, które znaczyło „szałwia”, a imiona pochodzące od roślin tradycyjnie nadawano dzieciom z nieprawego łoża.

– Takie nazwisko dali mi rodzice. – Sage trzęsała się z oburzenia. – Cenili je i ja też zamierzam je szanować.

Słowa swatki zabrzmiały jak cięcie biczem:

– W uszach każdego wysoko urodzonego człowieka brzmi nie lepiej niż nazwisko zwykłej wywłoki.

Sage zerwała się z krzesła. Krew buzowała w jej żyłach. A więc dowiedziała się, co pani Rodelle tak naprawdę o niej myśli. A ona godziła się na takie traktowanie, zdradziła pamięć o rodzicach, o wszystkim, co wycierpieli ze strony takich ludzi jak ta kobieta.

– Lepiej być wywłoką niż żoną takiego człowieka. – Z każdym słowem jej głos przybierał na sile. – A twoje nazwisko świadczy o tym, że należysz do podobnych mu ludzi, ja zaś nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Zapadła gęsta cisza.

– Chyba skończyłyśmy. – Głos swatki brzmiał tak spokojnie, że Sage miała ochotę podrapać jej twarz.

Zamiast tego rzuciła się do wyjścia i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi. Ciotka Braelaura, czekająca obok powozu, zamarła na jej widok. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, oczy ciotki rozszerzyły się z przerażenia.

Sage podciągnęła suknię do kolan, zbiegła ze schodów i ruszyła dalej, na drugą stronę ulicy, tak mocno wciskając stopy w błoto, że po chwili spadły jej buty. Maszerowała dalej, a na jej pończochach zbierały się kamyki i błoto. Mijając ciotkę, usłyszała głos swatki – usłyszeli go pewnie również wszyscy mieszkańcy wsi.

– Lady Broadmoor. Proszę przekazać mężowi, że zwrócę zapłaconą sumę. Nie mogę nic zrobić dla waszej siostrzenicy.

Stangret pomógł ciotce wsiąść do powozu, który wyjechał na drogę, a Sage pomaszerowała dalej, nie oglądając się za siebie.

## 4

Dwa dni później wczesnym rankiem Sage udała się do Garland Hill, ubrana w spodnie i zniszczoną skórzaną kurtkę po ojcu. Wuj William był tak wstrząśnięty, kiedy usłyszał o katastrofalnym przebiegu spotkania ze swatką, że nie nawrzeszczał na nią, tak jak się spodziewała, tylko kazał jej zejść mu z oczu. Sage miała chwilę czasu, żeby postanowić o swoim dalszym losie i znaleźć pracę, zanim wuj zbierze siły, by się z nią rozmówić. Poprzedniego dnia rozpytywała o pracę w Broadmoor Village, bez skutku jednak, i przypuszczała, że dzisiejsza wyprawa do Garland Hill okaże się równie bezowocna, lecz była to jedyna miejscowość w zasięgu dnia marszu. Poza tym Sage doszła do pewnego bardzo poważnego wniosku.

Otóż jej wybuch podczas rozmowy ze swatką mógł znacząco wpłynąć na perspektywy zamążpójścia młodszych kuzynek, Aster zaś od początku znajdowała się w niekorzystnym położeniu. Przez całą noc Sage przewracała się z boku na bok, nie mogąc spać, i wreszcie podjęła decyzję.

Będzie musiała przeprosić.

A teraz stała przed domem swatki, wbijając wzrok w dzwonek przy drzwiach. Dokoła toczyło się zwykłe życie. Z głębi domu dochodziły jakieś głosy. Okrążyła budynek, dostrzegła ruch w oknie kuchni. Wzięła głęboki wdech i zapukała do drzwi od tyłu, niezbyt głośno, akurat na tyle, by ją usłyszano.

W szparze pokazało się jedno oko. Po chwili pani Rodelle zdjęła haczyk i pchnęła drzwi. Jeszcze nie zdążyła pomalować twarzy, a szpakowate włosy splotła w luźny warkocz przerzucony przez ramię. Miała na sobie prostą wełnianą suknię.

– Wróciłaś, hm? – mruknęła. – Przyszłaś poczęstować mnie kolejną porcją zniewag?

Sage myślała, że będzie musiała się przedstawić, ale okazało się to niepotrzebne.

– R-rozpoznałaś mnie? – wyjąkała.

– Ależ naturalnie. – Swatka rzuciła jej groźne spojrzenie. – Wiem, jak wyglądasz bez warstwy farby na twarzy i falbanek dodających kształtów figurze. Myślisz, że moja praca zaczyna się z chwilą, gdy odezwie się dzwonek do drzwi? Czego sobie życzysz?

Sage uniosła głowę.

– Chciałabym z tobą porozmawiać jak kobieta z kobietą. Proszę.

Pani Rodelle prychnęła.

– A gdzie jest ta druga? Bo ja widzę tylko zarozumiałą rozpuszczoną dziewczynkę.

Obrażliwe słowa spłynęły po Sage jak po kaczce. Jej sytuacja wyglądała tragicznie i nic nie mogło jej pogorszyć, co stanowiło swego rodzaju pociechę. Czekwała w milczeniu, aż pani Rodelle otworzy szerzej drzwi.

– No dobrze. Wejź i powiedz, z czym przychodzisz.

Sage minęła ją i weszła do zaskakująco jasnej kuchni. Ściany pomalowano na pastelowy odcień żółci, a drewniana podłoga i stół aż lśniły. Ogień wesoło buzował w stojącym w kącie żelaznym piecyku, na którym naciągała w czajniku herbata, wypełniając powietrze zapachem mięty. Obok stały dwie filiżanki. Sage pomyślała, że pani Rodelle spodziewa się gości, więc trzeba się pospieszyć. Kobieta wskazała jej drewniane krzesło stojące przy stole pośrodku pomieszczenia i sama zajęła miejsce naprzeciwko. Sage przez kilka sekund wpatrywała się w słoje na gładkich dębowych deskach, aż w końcu odchrząknęła.

– Przyszłam przeprosić, pani. Moje słowa i zachowanie były niegrzeczne i pozbawione szacunku. Żałuję ich z całego serca i bólu, który zapewne wywołały.

Kobieta splotła na piersi tłuste ramiona.

– Sądysz, że gorące przeprosiny cokolwiek zmienią?

– Nie. – Sage kilka razy poruszyła szczęką. – Nie sędzę.

– To po co zadałaś sobie taki trud?

Żar w sercu Sage rozgorzał płomieniem.

– Widzisz, to działa w ten sposób: ja przepraszam za okropne rzeczy, które powiedziałam, ty przepraszasz za okropne rzeczy, które powiedziałaś. Potem uśmiechamy się i udajemy, że sobie nawzajem wierzymy.

Oczy pani Rodelle rozbłysły rozbawieniem, ale wyraz twarzy pozostał surowy.

– Uważasz, że masz prawo przychodzić do mojego domu i uczyć mnie manier, dziewczyno?

– Niczego nie uważam. Zrobiłam swoje i cierpliwie czekam na ruch z twojej strony.

– Jesteś na niewłaściwej drodze. – Oczy kobiety znów przeczyły groźnej minie.

Sage wzruszyła ramionami.

– Mam pełne prawo rujnować sobie życie. – Ułożyła wargi w krzywym uśmiechu. – Niektórzy pewnie by powiedzieli, że przejawiam takie skłonności. Ale moje zachowanie świadczy wyłącznie o mnie i w żaden sposób nie odzwierciedla postawy rodziny Broadmoorów. Chciałabym wierzyć, że moje kuzynki nie ucierpią z powodu popełnionych przeze mnie błędów.

– Ładnie powiedziane. Szkoda, że wczoraj twoje słowa nie były równie wyważone.

Sage zaczynało męczyć to ćwiczenie pokory. Można przez kilka godzin śpiewać serenady do kamienia, lecz ten z pewnością nie załka w odpowiedzi.

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że nad niektórymi zwierzętami nie można zapanować – oznajmiła, skubiąc pomalowane paznokcie. – To nie znaczy, że są złe, po prostu są tak dzikie, że nie da się ich oswoić.

Ku jej zaskoczeniu pani Rodelle się uśmiechnęła.

– Chyba po raz pierwszy zobaczyłaś samą siebie tak wyraźnie. – Sage uniosła wzrok i napotkała spojrzenie przenikliwe, ale znacznie mniej wrogie niż do tej pory. – Jak na nauczycielkę dziwnie opornie idzie ci przyswojenie własnych lekcji.

– Uczę się każdego dnia – zaprotestowała Sage.

– Nie mówię o historii i geografii. – Pani Rodelle z irytacją machnęła ręką. – Spójrz na mnie. Ledwo potrafię czytać i pisać, ale to ode mnie zależy przyszłość twoja i wszystkich dziewcząt mieszkających w Demorze. Nie cała mądrość pochodzi z książek. Tak naprawdę to bardzo niewiele.

Sage walczyła ze słowami swatki. Chciała je odrzucić, ale brzmiały tak, jakby mogły wyjść również z ust jej ojca.

Kobieta wstała i podeszła do pieca. Nalała herbaty do filiżanek i dorzuciła:

– Ja też przepraszam za to, co powiedziałam tamtego dnia. Chciałam ci tylko pokazać, jak bardzo nie chcesz, by cię wyswatano. – Sage zrobiła wielkie oczy, a pani Rodelle spojrzała na nią przez ramię z krzywym uśmiechem. – Tak, dobrze cię rozumiem, i nie, nigdy nie miałam zamiaru zmuszać cię do małżeństwa.

– Ale...

– A teraz twój wuj również to zrozumie i będzie bardziej otwarty na to, czego ja pragnę. – Obróciła się i spojrzała Sage prosto w oczy. – Chcę przyjąć cię na naukę.

Sage odsunęła krzesło od stołu i wstała.

– O, nie. Zawód swatki jest zacofany i poniżający. W ogóle mi się nie podoba.

Pani Rodelle spokojnie postawiła na stole filiżanki i spodki, nie zwracając uwagi na to, że Sage jest już w połowie drogi do wyjścia.

– Bardzo byś się zdziwiła, gdybym powiedziała, że ja też tak kiedyś myślałam? – Usiadła i dodała: – Nie musisz przejmować po mnie schedy. Potrzebuję asystentki.

Sage odwróciła się, zaskoczona.

– Dlaczego ja?

Pani Rodelle splotła ramiona i odchyliła się na oparcie krzesła, które przeciągle stęknęło.

– Jesteś inteligentna i pełna determinacji, nawet jeżeli jeszcze niezbyt mądra. Masz przyjemną aparycję, ale nie należysz do piękności, które potrafią oszalać mężczyzn. W przyszłym roku odbędzie się Concordium, mogłaby przydać mi się pomoc przy wyborze najlepszych kandydatek. I wreszcie, nie masz ochoty wychodzić za mąż, więc nie wbijesz mi noża w plecy.

– Jak niby miałabym to zrobić? – spytała Sage. – Znaczy, wbić ci nóż w plecy?

– Jeden z najlepszych sposobów, żeby osiągnąć zamierzony cel, to stworzyć fałszywy wybór. – Pstryknęła palcami. – Mogę przedstawić mężczyźnie wybór: dziewczyna, z którą chcę go ożenić, albo ty, może i nie najgorsze rozwiązanie, lecz znacznie mniej zachęcające. Nie będę musiała się martwić, że dokonasz sabotażu i sama zgarniesz kandydata. – Pani Rodelle spokojnie uniosła parującą filiżankę do ust i podmuchała.

– A więc potrzebujesz mnie po to, żeby co chwila mnie odrzucano – stwierdziła Sage, opadając z powrotem na krzesło. – Tylko do tego się nadaję?

Pani Rodelle wsparła łokcie na stole i zmierzyła Sage wzrokiem.

– Do tego i do innych rzeczy. Swatanie polega przede wszystkim na poznawaniu ludzi, zbieraniu informacji i składaniu ich w całość, a ty masz ku temu talent. Trudno mówić o odrzuceniu, jeśli jest ono twoim celem. Pomyśl o tym jak o grze, w której wygrywa najniższy wynik.

Sage zmarszczyła nos.

– Trąci manipulacją.

– I nią jest. Kowal nagina żelazo zgodnie ze swoją wolą, swatki naginają ludzi. – Upiła herbaty i wzruszyła ramionami. – Nie jesteśmy samotne w naszym powołaniu. Aktorzy i bazarze również manipulują publicznością.

Sage popatrzyła na stojącą przed nią filiżankę. Porcelana była wysokiej jakości, mocna i funkcjonalna, jak można się spodziewać w domu zamożnej, ale praktycznej osoby. Osoby, która ponad formę ceni treść. Pani Rodelle dokładnie



przewidziała jej wizytę. Sage uniosła filiżankę i wciągnęła w nozdrza słodki zapach zielonej mięty. Lubiła ją znacznie bardziej od popularniejszej mięty pieprzowej czy rumianku.

– Od kiedy mnie obserwujesz? – spytała.

– Przez niemal całe twoje życie, ale niech cię to nie wbija w dumę. Obserwuję wszystkich. Znałam twoich rodziców. Może sądzili, że sami się dobrali, ale niektóre moje działania cechuje subtelność.

Głowa Sage sama odskoczyła do tyłu, jakby ktoś za nią pociągnął. Dłoń z filiżanką opadła o kilka centymetrów.

– Chyba niezbyt korzystny to interes – stwierdziła Sage. – Kto ci zapłacił w tym przypadku?

Pani Rodelle z rozbawieniem uniosła brwi, a Sage odstawiła filiżankę na spodek, wychlapując przy tym herbatę. Już знаła odpowiedź.

– Wysokie wynagrodzenie za wyswatanie mojej ciotki pochodziło z wiana, które odebrano mojej matce.

Swatka skinęła głową.

– To był całkiem intratny interes. Nie żałuję. A twoi rodzice byli sobie przeznaczeni.

W odpowiedzi Sage tylko rozdziawiła usta.

Po chwili milczenia kobieta podniosła się i powiedziała:

– Zastanów się przez kilka dni nad moją propozycją, ale wątpię, by ktokolwiek we wsi zaoferował ci miejsce. Niczego ci nie odbieram. Obie wiemy, że nie da się cię wyswatać, dzika Sage.

Sage wstała i pozwoliła zaprowadzić się do wyjścia. Już miała ruszyć w drogę, gdy pani Rodelle zawołała ją po imieniu. Dziewczyna spojrzała przez ramię.

– Twoja rodzina oczekuje dzisiaj gościa, prawda?

Sage przytaknęła. Miał ich odwiedzić pewien młody lord. Wybierał się na polowanie w towarzystwie wuja Williama. Drugi cel jego przyjazdu okazał się nieaktualny.

– Potraktuj tę wizytę jako ćwiczenie obserwacji – dodała pani Rodelle. – Kiedy znów się spotkamy, opowiesz mi, czego się o nim dowiedziałaś.

## 5

Kapitan Alexander Quinn wyjrzał zza poszarpanej linii skał sterczących ze stoku wzgórza i mrużąc oczy, skierował wzrok między drzewa. Poniżej rozpościerała się jasno oświetlona polana; nikt nie mógł go zobaczyć, ukrytego w cieniu, ale na wszelki wypadek siedział mocno skulony. Czarna skórzana kurtka lekko zakrzypiała. Drgnął na ten odgłos, chociaż zbyt cichy, żeby zdradzić jego obecność.

Przycisnął dłoń do złotych belek po wewnętrznej stronie kołnierza – mocno lśniły, nieskazitelne, zdradzając, jak niedawno dostał awans i jak niewiele przeżył od tamtego czasu. Kiedy minęło pierwsze uniesienie wywołane otrzymaniem stopnia kapitana na miesiąc przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami, blask belek zaczął bardzo mu przeszkadzać, w tym momencie jednak najbardziej martwił się tym, że ich błysk w ciemności może zdradzić wrogom jego obecność.

Dwadzieścia metrów dalej, po jego prawej stronie, siedzieli jego dwaj porucznicy, obaj w kapturach – długoletni przyjaciel i zastępca, Casseck, zakrywał w ten sposób swoje jasne włosy, Luke Gramwell zaś brązowe o rudawym odcieniu. Matka Quinna pochodziła ze wschodnich obszarów Aristelu, odziedziczył po niej śniadą cerę i czarne włosy, więc nie potrzebował tego rodzaju zabezpieczeń. Podobnie jak siedzący obok niego Robert Devlin. Rob ubłagał Quinna zeszłej jesieni, żeby go wybrał. Nowy kapitan konnicy mógł bowiem sam dobrać sobie oficerów, by w pełni ponosić odpowiedzialność za pierwsze sukcesy i porażki, ale musiał się mocno postarać, zanim generał zgodził się, by następca tronu dołączył do regularnej kompanii.

W tym momencie orzechowe oczy Roba były szeroko rozwarte, a twarz blada. Zaciskał dłonie w rękawicach, żeby powstrzymać ich drżenie. Nie licząc wzrostu i koloru oczu – książę był bowiem nieco wyższy, a Quinn miał niezwykle ciemne, niemal czarne – byli do siebie tak podobni, że ludzie często ich mylili. Quinn patrzył na kuzyna, zastanawiając się, czy on też przed swoją pierwszą bitwą miał taką przerażoną minę. Zapewne tak. Istniał jednak tylko jeden sposób, by się jej pozbyć, podobnie jak blasku złotych belek – doświadczenie.

Obfite opady śniegu i burze lodowe szalejące w marcu zatrzymały armię w obozie zimowym w Tasmecie, niedaleko granicy z Kimisarą. Patrole ponownie

wyruszyły na zwiady zaledwie kilka tygodni temu, a Quinn nie mógł się doczekać, kiedy dowiedzie wartości swojej nowej kompanii. Jako najmłodszy dowódca musiał czekać na swoją kolej.

Długo czekać.

Okazja nadarzyła się w zeszłym tygodniu. Jego jeźdźcy niemal natychmiast wpadli na trop dziesięciu ludzi. Nie miał pewności, czy ta grupa rzeczywiście przekroczyła granicę, ale mógł się domyślać, że są to pierwsi najeźdźcy z Kimisary, jakich widziano w tym roku. Po dwudniowych obserwacjach doszedł do wniosku, że samo śledzenie ich nie wystarczy, trzeba zdobyć więcej informacji.

Kiedy pokazali się na drodze, idąc przed siebie niemal marszowym krokiem, w ciele Quinna napięły się wszystkie mięśnie. Tamci mieli postawę wojowników. Nie podobały mu się kije w ich dłoniach. A jeśli wyczuli, co się święci? Rob wyciągnął szyję i pobladł jeszcze mocniej, chociaż Quinn myślał, że to już niemożliwe.

Nagle pokazała się jeszcze jedna postać zmierzająca z przeciwnej strony. Mężczyzna gwałtownie zwolnił kroku – normalne zachowanie w przypadku samotnego człowieka stojącego naprzeciwko grupy złożonej z dziesięciu obcych ludzi. Ci również mierzyli go nieufnym spojrzeniem, ale nie wyglądali na wystraszonych. Mysz Quinna potrafiła o siebie zadbać, ale na wszelki wypadek w gotowości czekało pięć kusz mierzących pod różnymi kątami.

Kiedy Ash Carter podszedł do grupy obcych i uniósł rękę na powitanie, Quinn poczuł jeszcze większe napięcie. Tamci odpowiedzieli, ale zachowali czujność. Ash odwrócił się i wskazał za siebie, zapewne opisując odległość do jakiegoś miejsca czy opowiadając fragment swojej legendy. Zawsze powtarzał, że cała sztuczka polega na tym, by trzymać się jak najbliżej prawdy i zmieniać tylko nieliczne szczegóły. Może dlatego tak doskonale radził sobie jako zwiadowca. Quinn musiałby zmienić znacznie więcej, zaczynając od nazwiska.

Rozmowa się skończyła, mężczyźni ruszyli w swoją stronę, Ash w swoją. Kilka razy oglądali się za nim, on jednak nie obrócił się ani razu. Nie musiał – kilkanaście par oczu śledziło każdy ich ruch. Quinn odprężył się i usiadł wygodniej. Przypuszczał, że nigdy nie przywyknie do tego, żeby narażać przyjaciół na niebezpieczeństwo. Za pomocą serii ustalonych gestów podał instrukcje dwójce siedzącej po jego prawej stronie. Porucznicy wycofali się ze swojej pozycji i znikli.

Kilka minut później zjawił się Ash, który zatoczył koło, ledwo obcy stracili go z oczu.

– Poszli? – zapytał cicho.

Quinn potaknął.

– Cass i Gram ruszyli przodem, żeby ich obserwować. Czego się dowiedziałeś?

– Na pewno nie są stąd – odparł Ash. – Większość milczała, ale ci dwaj, którzy się odezwali, mieli akcent z Kimisary. Nie taki jednak znowu niespotykany w tym rejonie.

Jeszcze niecałych pięćdziesiąt lat wcześniej prowincja Tasmety należała do Kimisary; Demora zagarnęła ją po Wielkiej Wojnie, głównie po to, żeby wykorzystywać jako strefę buforową w razie inwazji. Dla wielu ludzi mieszkających tak daleko na południu kimisarski wciąż był pierwszym językiem. To utrudniało identyfikację napotkanej grupy.

Księżę, od trzech godzin dziwnie milczący, wpatrywał się gdzieś w przestrzeń przed sobą. Ash pochylił się i dał mu lekkiego kuksańca w ramię.

– Pobudka, poruczniku.

Rob drgnął, wyrwany z zamyślenia, i rzucił przyrodniemu bratu mordercze spojrzenie.

– Lepiej uważaj, sierżancie.

Ash uśmiechnął się szeroko.

– Tak jest, sir.

Służył jako paż i giermek, podobnie jak reszta oficerów, ale zrezygnował z nominacji na oficera zeszłego lata, nie chcąc ryzykować, że w którymś momencie przerośnie brata rangą wojskową. Jednakże większość żołnierzy i tak traktowała go jak oficera. Często żartował, że jego pozycja w armii odzwierciedla jego życie jako bastarda: same korzyści płynące z wysokiej rangi, a zero odpowiedzialności.

– Zauważyłeś jakieś przedmioty z metalu? – spytał Quinn, wracając do najważniejszego tematu.

Kimisarscy żołnierze zwykle nosili różne symbole mające zapewnić im przychyłność bogów.

Ash pokręcił głową.

– Niczego nie zauważyłem.

– Dowiedziałeś się, dokąd zmierzają?

– Pytali, jak daleko do rozstajów. Powiedziałem, że dotrą tam o zachodzie słońca – oparł Ash. – Chyba się ucieszyli.

– Broń?

– Niektórzy mieli przy sobie krótkie miecze, nie tak długie, by zwracały

uwagę, ale większe od noży. Kilku miało łuki, ale to nic niezwykłego w przypadku ludzi żywiących się tym, co ofiaruje im przyroda i wędrujących z tak niewielkim bagażem. – Urwał. – Ale te kije mi się nie podobały. Były zakrzywione na końcu.

Quinn ponuro kiwnął głową.

– Zagięte piki. Już takie widzieliśmy. – Ta broń dowodziła, że prawdopodobnie ludzie ci przekroczyli granice Demory we wrogich zamiarach, ale też przez dwanaście lat spędzonych w armii nigdy nie słyszał o ludziach z Kimisary, którzy kierowaliby się innymi intencjami. Częstotliwość napadów znacznie wzrosła w ciągu ostatnich dwóch lat, ponieważ szalejąca w Kimisarze zaraza zniszczyła połowę zbiorów. W Tasmecie niewiele dało się ukraść – zaludnienie było niewielkie, a wszystkie spichlerze znajdowały się daleko na północy, w Crescerze. – Zła wiadomość: są przygotowani, by odeprzeć atak jeźdźców. Dobra: te piki nie są zbyt mocne.

Ash uśmiechnął się.

– Poza tym równie dobrze co na końskim grzbiecie radzimy sobie pieszo.

– To chyba przesądza sprawę – stwierdził Quinn, podnosząc się. – Już czas.

– Czas na co? – zapytał Ash.

Quinn uśmiechnął się podstępnie, otrzepując czarną kurtkę z pyłu.

– Czas zgotować twoim nowym przyjaciółom odpowiednie powitanie.

## 6

Quinn i jego ludzie zaatakowali obcych od przodu. Wykorzystali skalisty krajobraz i zakręt na drodze, czyniąc hałas, który odezwał się echem dokoła, wprawiając ich ofiary w dezorientację. Obcy dobyli pik i utworzyli szyk wojskowy, żeby odeprzeć atak zbliżających się jeźdźców, tyle że echo zamaskowało odgłosy drugiej grupy, która przypuściła atak od tyłu. Kiedy obcy zorientowali się w sytuacji, niskie słońce nie pozwoliło im dostrzec kolejnych napastników. Połowa grupy zaczęła odwracać się, by stawić im czoła.

To był ich pierwszy błąd.

Napastnicy wypuścili bełty z kusz, które powaliły dwie ofiary, dwaj inni z atakujących tylko trzymali kusze gotowe do strzału, widocznie uznając, że lepiej tworzyć stałe zagrożenie, niż zadać jedynie rany kilku przeciwnikom. Jeźdźcy otoczyli grupę z obu stron i zaczęli zsiadać z koni, podczas gdy obcy próbowali zorientować się w sytuacji. Zanim się otrząsnęli, jeźdźcy zdążyli podejść do nich bardzo blisko.

Quinn uczynił najszerszą wyrwę w linii obrony: lewą ręką chwycił koniec piki, a prawą zamierzył się mieczem i trafił drugą pikę w miejscu złączenia. Z prawym ramieniem uniesionym w powietrzu narażał się na ciosy, ale Casseck prędko stanął u jego boku i rozprawił się z tym, który stanowił potencjalne zagrożenie. Przeciwnik nawet nie zdążył się zorientować, że ma chwilową przewagę. Kapitan uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym skupił się na kolejnym zagrożeniu.

Po jego prawej stronie książę Robert wbił miecz w brzuch jednego z mężczyzn, a Quinn odskoczył na bok, szykując się na to, co musiało nastąpić. Rob zatoczył się do tyłu. Quinn, nie spuszczając kuzyna z oczu, zamachnął się mieczem, blokując wymierzoną w nich obu broń przeciwników.

– Rob! – krzyknął. – Z prawej!

Książę odzyskał równowagę i próbował sparować cios mieczem, ale nie zareagował dostatecznie szybko. Quinn tymczasem zdążył przełożyć miecz do lewej dłoni, by chwycić sztylet przytroczony do pasa. Jednym ruchem wyciągnął go i zadał cios w szyję mężczyźnie atakującemu Roba. Mieczem zablokował pikę, ale niedostatecznie szybko. Nie czuł bólu, nie mógł jednak nie zauważyć krwi ściekającej do jego lewego oka. Obrócił się, by zasłonić słabszą stronę

ciała, i ponownie przełożył miecz, ale mężczyzna, który go zranił, nagle osunął się na ziemię. Z jego pleców sterczała włócznia.

Ash Carter podszedł do leżącego i wyrwał broń. Mężczyzna jęknął, ale nie poruszył się, chyba nie był w stanie się podnieść.

Quinn powiódł dokoła jednym sprawnym okiem. Potyczkę należało uznać za skończoną.

Ash popatrzył na niego, unosząc brew.

– Krwawisz.

Quinn otarł lewe oko i spojrzał na przyjaciela.

– Ty też.

Sierżant odgarnął z czoła czarne włosy przesiąknięte krwią.

– Przeżyję. – Zerknął na brata. – Rob, wszystko w porządku?

Twarz Roberta przybrała odcień ziemistej zieleni.

– Nie.

Quinn podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu.

– Jesteś ranny?

– Nie – odparł Rob, z trudem łapiąc oddech. – Tylko... chyba zwymiotuję.

Ash podparł Roba z drugiej strony.

– Chodźmy na spacer. – I odprowadził brata na bok.

Ash był znacznie niższy, ale Rob ciężko się na nim opierał.

Quinn odprowadził ich wzrokiem, po czym odwrócił się i spojrzał na stos ciał. Pierwsza bitwa Roba nie okazała się tak pełna chwały, jak zapewne oczekiwał, ale cóż, tak to już było. Quinn nie czuł rozbawienia, jedynie współczucie. Porucznik Casseck podał mu silnie woniejący kawałek materiału, którym Quinn otarł twarz i czoło.

– Trzeba to zszyć – stwierdził Casseck, krzywiąc się.

– Później – odparł Quinn. – Najpierw chcę porozmawiać z ocalałymi.

– Zdaje się, że takich nie ma. – Casseck potrząsnął głową. – Można było odnieść wrażenie, że na nasz widok w ogóle nie próbowali się bronić.

Quinn zmarszczył brwi.

– To tłumaczy, dlaczego wszystko poszło tak szybko. – Podszedł do mężczyzny, którego Ash przebił włócznią. – A ten? – Wsunął mu czubek miecza pod brodę, by unióśł głowę. – Co tu robicie? – spytał po kimisarsku.

Mężczyzna unióśł się na ramionach, spojrzał na Quinna, uśmiechnął się pogardliwie i wyszeptał coś, czego Quinn nie dosłyszał.

Quinn ukucnął obok niego, przeszukał, czy nie ma ukrytej broni, po czym pochylił się, trzymając skierowany do góry miecz kilka centymetrów od jego

gardła.

– Co powiedziałaś? – spytał.

– Idź do piekła – odparł mężczyzna, szeroko rozrzucając ramiona.

Cały ciężar jego ciała oparł się na czubku Quinnowego miecza. Ostrze przebiło szyję. Krew buchnęła na dłoń Quinna, który zaklął i szybko cofnął broń. Było jednak za późno.

Quinn stopą odepchnął wstrząsane drgawkami ciało i uwolnił miecz. Szukał w twarzy mężczyzny wyjaśnienia, lecz ciemne oczy patrzyły przed siebie bez wyrazu. Na żwirowej drodze powoli rozlewała się czerwona kałuża. Quinn widział wcześniej śmierć, wiele razy miał z nią do czynienia, ale w człowieku, który sam odebrał sobie życie, było coś przerażającego.

Wzdrygnął się i przeciągnął lewym kciukiem w poprzek piersi, szepcząc:

– Duchu, ochroń mnie.

Kilku innych poszło za jego przykładem.

Sprawdził pozostałe ciała, szukając oznak życia i zachowując teraz większą ostrożność, ale żaden z mężczyzn nie oddychał, co znaczyło, że nie mieli żadnych jeńców, których można by przesłuchać.

A niech to.



Z powodu skalistego podłoża pogrzebanie ciał Kimisarów okazało się bardzo czasochłonne, ale Quinn uparł się, że należy to zrobić, zamiast palić je czy zostawić, by zgniły. Pięć dni później wrócili do głównego obozu, a wcześniej posłaniec zaniósł wiadomość o potyczce z grupą obcych. Quinn próbował powstrzymać uśmiech na widok głów odwracających się w ich stronę i żołnierzy podchodzących bliżej, by się przywitać. Teraz nikt nie mógł zaprzeczyć, że zasłużył na awans.

Quinn prowadził swoją kompanię szeroką ścieżką między rzędami drewnianych szop służących przez zimę za magazyny i prowizoryczne kuźnie. Za kilka tygodni rozbiorą je i armia ruszy przed siebie niczym niedźwiedź budzący się z zimowego snu. Stajnie już rozebrano do połowy, ponieważ od pewnego czasu częściej wysyłano konne patrole. Quinn zatrzymał swoją kasztanową klacz i dał wszystkim znak, że mają zsiąść.

Ledwo jego stopy dotknęły ziemi, przywarł do niego jakiś drobny kształt.

– Alex!

Quinn uściskał młodszego brata, ciesząc się w duchu, że widzą go teraz tylko najbliżsi przyjaciele.

– Hej, Charlie.

Chłopak zrobił krok w tył. Miał zakłopotaną minę.

– Wybacz, sir. Zapomniałem. – Przytknął dłoń do czoła w wojskowym pozdrowieniu.

Quinn odwzajemnił je, a potem opuścił rękę i położył ją na ciemnych włosach Charliego.

– Robisz się kudłaty, kolego.

Charlie uśmiechnął się od ucha do ucha, pokazując kolejną dziurę po zębie, już drugą w ciągu paru ostatnich tygodni. W zeszłym miesiącu skończył dziewięć lat, ale dla Quinna na zawsze pozostał tym wielkookim berbeciem, który łąził za nim krok w krok za każdym razem, gdy Quinn odwiedzał dom rodzinny w Cambrii. Quinn wstąpił do armii przed narodzinami brata i był dla niego postacią niemal mityczną.

– Słyszałem, że brałeś udział w bitwie – powiedział Charlie. – Zostałeś ranny?

– To tylko zadraśnięcie. – Quinn odgarnął włosy, również zbyt długie, i

pokazał szwy nad okiem. Cass dobrze się spisał, opuchlizna zdążyła zniknąć, ale nadal okropnie swędziało. – Zaczekaj, aż zobaczysz ranę Asha. Znacznie bardziej imponująca.

Charlie powiódł wzrokiem dokoła, szukając innych znajomych twarzy. Nagle przypomniał sobie, że ma zadanie do wykonania.

– Sir, przyszedłem, żeby zająć się Surry. Generał czeka w namiocie na raport.

Quinn kiwnął głową, próbując zignorować łaskotanie w żołądku. Każdy dowódca zwyczajowo składał raport po odbytych patrolu, niezależnie od tego, czy widział coś znaczącego, czy nie, ale w jego przypadku miał to być pierwszy raz. Oddał wodze bratu, poklepał klacz po szyi i odczepił od siodła niewielki tobolek.

– Jak skończysz ją czyścić, zanieś moje torby do namiotu.

– Tak jest.

Quinn odwrócił się, poprawił mundur i otrzepał czarną kurtkę z pyłu. Pochwyił spojrzenie Cassecka, który kiwnął głową na znak, że przejmuje obowiązki do powrotu Quinna ze spotkania z generałem. Quinn ruszył w stronę namiotu, który wnosił się nieco dalej, górując ponad pozostałymi. Próbował iść spokojnym, równym krokiem, by nie sprawić wrażenia nadgorliwego, nie chciał też jednak kazać na siebie czekać.

Strażnik stojący przy wejściu do namiotu zaszalutował, Quinn odwzajemnił pozdrowienie, pochylił głowę i wszedł, nie odrywając dłoni od czoła. Wokół dużego stołu siedzieli oficerowie. Był tam również, jak można się było spodziewać, jego bezpośredni przełożony, major Edgecomb. Obok niego stał dowódca regimentu. Generał zajmujący miejsce siedzące podniósł wzrok. Jego krótko przycięta szpakowata broda i włosy wyglądały jak zrobione z żelaza. Za jego plecami stał oficer sztabowy major Murray, a obok niego jeszcze jeden człowiek, którego Quinn nie kojarzył.

– Kapitan Alexander Quinn składa raport zgodnie z rozkazem, sir – powiedział Quinn.

– Spocznij, kapitanie – odparł generał. – Chętnie wysłuchamy twojego sprawozdania.

Żadnych żarcików ani gratulacji z powodu zakończonego sukcesem spotkania z wrogiem. Quinn sam nie wiedział, czego oczekiwał, ale pięć surowych twarzy budziło w nim pewien niepokój. Odchrząknął i podszedł do stołu, na którym leżała mapa. W prostych, zwięzłych słowach opisał, jak jego kompania dotarła na miejsce i odkryła ślady prowadzące na północ i dalej na wschód.

– Śledziliśmy ich przez dwa dni. Wieczorami wystawiali strażę. Wyglądało na

to, że tworzą zhierarchizowaną grupę. Przed atakiem wysłałem sierżanta Cartera, by spotkał się z nimi i nawiązał bezpośredni kontakt. – Quinn rozwinął tobolek i położył na stole kilka srebrnych medalionów i zwój pergaminu. – Znaleźliśmy te ozdoby przy ciałach, a także tę mapę, za mało szczegółową, by czegokolwiek się z niej dowiedzieć.

Generał gwałtownie uniósł wzrok.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś podjął decyzję o ataku przed nawiązaniem kontaktu.

– Cóż, zgadza się, sir – odparł Quinn. – Ale oczywiście odwołałbym go, gdyby...

– Opisz przebieg ataku.

Quinn przełknął ślinę.

– Zaskoczyliśmy ich w tym miejscu. – Wskazał punkt na mapie. – Zaatakowaliśmy z dwóch stron, wykorzystując kąt padania światła...

– O której to było? – wtrącił major Edgecomb.

– Mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca, sir.

Wszyscy zwrócili spojrzenia na mapę. Quinn czuł, że popełnił błąd, chociaż nie potrafił określić jaki... Chyba że chodziło o Roberta. Generał pewnie się rozgniewał, że Quinn naraził następcę tronu na niebezpieczeństwo, ale wyraził przecież zgodę kilka miesięcy temu, gdy Quinn zaproponował, by kuzyn dołączył do jego kompanii, stwierdził nawet, że odsuwanie Roberta od akcji czyni go w oczach innych słabym człowiekiem. Zima przerwała wszelką łączność ze stolicą i król Raymond zapewne nie wiedział nic na temat nowych obowiązków swojego syna. To generał odpowiadałby przed królem, gdyby księciu coś się stało.

Quinn odchrząknął.

– Tylko trzech naszych ludzi odniosło rany. Niewielkie. Księcia Roberta nie było wśród poszkodowanych...

– Wiemy – warknął Edgecomb.

Przeniósł wzrok na generała, który zmarszczył brwi.

Nieznajomy oficer wziął do ręki jeden z medalionów i przesunął kciukiem po wypukłej czteroramiennej gwiazdzie Kimisary.

– Nie wzięliście jeńców, których można by przesłuchać.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Quinn wiedział, że nie ma sensu się usprawiedliwiać.

– Jeniec, który przeżył, zabił się. Nigdy wcześniej nie miałem z czymś takim do czynienia, ale tak, sir, zawiedliśmy.

Wszyscy niespokojnie kręcili się na krzesłach.

Generał po namyśle podjął decyzję.

– Chciałbym porozmawiać z kapitanem na osobności.

Słodki Duchu, źle to wygląda.

Czterej oficerowie zaszalutowali i wyszli. Po kilku sekundach milczenia generał odchylił się na oparcie i spojrzał na Quinna.

– To była pierwsza grupa od wielu miesięcy. Chyba rozumiesz moje rozczarowanie.

Quinn przeklął po cichu martwego Kimisara.

– Sir, człowiek, który chce odebrać sobie życie, zawsze znajdzie jakiś sposób.

– Samobójstwo to sprawa drugorzędna. Pierwszym błędem, który popełniłeś, było wybranie nieodpowiedniego momentu.

– Nieodpowiedniego momentu, sir? – Quinn poczuł gorący rumieniec na twarzy. – Atak przebiegł idealnie.

Generał z irytacją potrząsnął głową.

– Nie mam na myśli taktyki, nie można mieć do niej zastrzeżeń. Zaatakowaliście za wcześnie.

– Sir, śledziliśmy ich przez cztery dni. Wiedzieliśmy, kim są, a broń w ich rękach dowodziła wrogich zamiarów. Nic więcej nie mogliśmy się o nich dowiedzieć.

– Pomyśl, kapitanie. – Generał pochylił się do przodu i postukał palcem w punkt na mapie. – Jeszcze tylko kilka godzin, a znaleźliby się na Skrzyżowaniu Grotu. Dowiedzielibyśmy się, czy zmierzają na północ, czy na wschód. Czy się rozdziela, czy może mają się z kimś spotkać. A teraz nie wiemy nic. Bo ty nie mogłeś się doczekać, kiedy ich pozabijasz.

Quinn poczerwieniał, nie powiedział nic na swoją obronę.

Generał znów odchylił się na oparcie.

– Jesteś dowódcą. Nie możesz sobie pozwolić na takie pomyłki. – Jego głos stopniowo nieco łagodniał. – Musisz patrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. Szybkie działanie ma swoje zalety, ale cierpliwość również. Pozostają w delikatnej równowadze i nie każdy, kto kroczy po tej linii, za każdym razem podejmuje trafne decyzje.

Quinn wbił wzrok we własne stopy, próbując nie zapaść się pod ziemię.

– Synu – dodał generał Quinn – musisz nauczyć się cierpliwości.

## 8

Sage spojrzała przez dziurkę w ścianie do wnętrza umywalni. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nauczyła się gromadzić w ten sposób przydatne informacje – kiedy już pozbyła się poczucia, że jest zwykłą podglądaczką.

– Hm, i co sądzisz? – spytała pani Rodelle.

Sage odsunęła się od ściany i skrzywiła usta.

– Nie podoba mi się. Jest zepsuta, niegrzeczna i wyniosła.

Darnessa wywróciła oczami.

– Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki wszystkie dziewczyny, które przypadły ci do gustu. To kandydatka na Concordium. Oczywiście, że jest zepsuta. Nic się nie nauczyłaś?

Sage westchnęła i zaczęła wyliczać poczynione obserwacje.

– Pełna wdzięku i wytworna, kiedy wie, że na nią patrzą. Uważa, że wystarczy, jak spojrzy na mężczyznę tymi wielkimi niebieskimi oczami, a żaden jej się nie oprze. Służące jej nie cierpią i boją się jej. Potrafi być okrutna, kiedy coś jej się nie spodoba, co zresztą często się zdarza.

Darnessa kiwnęła głową.

– Dobrze. Dostrzegłam te same cechy. A w kwestii wyglądu?

– Ładna figura. Ale za mocno ściska gorset. Kiedy się pochyla, wygląda, jakby zaraz miała się z niego wylać. – Sage stłumiła uśmiech. – Jej twarz nadal jest nieco dziecięco pucołowata. Wyszczupleje w ciągu kilku nadchodzących lat. Cera niezła, ale pod odpowiednio ułożoną fryzurą kryją się ślady po ospie na czole. Naturalnie nie ma tak jasnych włosów, ale i tak wygląda lepiej niż ta sztuczna ruda z zeszłego miesiąca.

– Co jeszcze?

– Zdeformowana stopa.

– Naprawdę? – zdziwiła się swatka.

Sage potaknęła.

– Kryje tę wadę za pomocą specjalnego buta. Domyślam się, że taniec może jej sprawiać ból. – Z namysłem przygryzła wargę. – Może stąd ten wielki dekolt. Kiedy nie jest w stanie dotrzymać kroku partnerowi w tańcu, hipnotyzuje go widokiem górzystego krajobrazu.

Darnessa parsknęła śmiechem i ruchem dłoni nakazała Sage zakryć otwór w

ścianie ciężkim kobiercem.

Sage wykonała polecenie i odwróciła się.

– Może dlatego jest taka drażliwa. Boi się, że ktoś odkryje tajemnicę i zniszczy jej szansę na Concordium. – Zmarszczyła brwi. – Tej dziewczynie pewnie przez całe życie powtarzano, że korzystne małżeństwo to jedyne, do czego się nadaje. A ponieważ Concordium odbywa się raz na pięć lat, dostała tylko jedną szansę – liczy już dziewiętnaście lat.

Darnessa wywróciła oczami.

– Jesteś w tym lepsza, niż ci się wydaje.

Sage wzruszyła ramionami.

– Po prostu lubię zastanawiać się nad motywacjami. Czasem jest to bardzo interesujące. – Wskazała kciukiem na ścianę. – Prawie skończyły. Jak wyglądam? – Uniosła ramiona nad prostą, lecz ładną suknią.

– Prześlicznie. – Darnessa wyciągnęła rękę, by odgarnąć do tyłu nieposłuszny kosmyk. Sage zeszywniała, ale nie odchyliła się do tyłu jak podczas pierwszych kilku miesięcy w nowej pracy. – A teraz wróć tam i się przygotuj.

Sage poszła do kuchni i została tam, aż rozległ się dzwonek u drzwi. Odczekała jeszcze kilka minut, po czym wymknęła się tylnym wyjściem. Kwietniowe powietrze było ciepłe, świeciło słońce. Młodszy brat dziewczyny siedzącej w salonie Darnessy stał oparty o powóz, podrzucając czapkę. Sage oczyściła umysł i zaczęła sporządzać w myślach listę.

U jego pasa tkwił miecz. Chłopak był praworęczny.

Kiedy ruszyła w jego stronę, gładka metalowa rękojeść zaślniła w słońcu, niemal ją oślepiając. Pochwa również była bez skazy. Tej broni raczej rzadko używano. Ale chłopak miał tylko siedemnaście lat i znajdował się pod pieczęcią bardzo bogatej rodziny, więc można było mu wybaczyć brak doświadczenia.

Haftowana tunika i biała lniana koszula były aż do przesady porządne i eleganckie. Chyba czuł się w tym stroju trochę nieswojo. Wysokie buty, świeżo wypucowane, ale zniszczone, oraz opalona twarz zdradzały, że lubi przebywać na świeżym powietrzu. Sage od razu poczuła się lepiej. Miał potencjał, przynajmniej na polu konwersacji.

Kiedy podeszła, podniósł wzrok, wyprostował się i wsadził ozdobioną piórem czapkę na rozjaśnione słońcem włosy. Sage przywołała na twarz najlepszy ze swoich uśmiechów.

Darnessa weszła do kuchni, wycierając mokre włosy.

– Możesz wpisać lady Jacqueline na listę panien, które pojedą z nami do stolicy – oznajmiła. – Znajdziemy dla niej bogatego hrabię, który nie cierpi

tańczyć.

Sage, nie podnosząc głowy znad wielkiej oprawnej w skórę księgi, w której prowadziła notatki, odparła:

– Czekali z nią do ostatniej chwili.

Darnessa wzruszyła ramionami.

– Z jej pochodzeniem było raczej oczywiste, że się dostanie, a podróż jest daleka. Rodzina zatrzyma się aż do naszego wyjazdu u mieszkających niedaleko krewnych. Teraz przeglądają kontrakt.

– Dlaczego rodziny nie towarzyszą pannom w podróży? – spytała Sage, szukając strony, która ją interesowała. – Darzą cię ogromnym zaufaniem, rezygnując z obecności przy wyborze kandydata.

Darnessa usiadła na krześle i oparła nogi na stole.

– Wykluczaliśmy ich z udziału w Concordium już kilka pokoleń wstecz. Zbyt wielka liczba osób i różne ukradkowe działania z ich strony tylko wszystko psuły. – Darnessa poruszała stopami, obolałymi z powodu eleganckich butów, które zawsze wkładała na rozmowy służbowe. – Skończyłaś pisać list do generała Quinna na temat naszej eskorty?

– Jeszcze nie – odparła Sage. – Ostatnie potwierdzenie dostałyśmy dzisiaj rano, dopiero teraz będę mogła podać wszystkie planowane przystanki. Czekałam też na twoją decyzję w sprawie Jacqueline. Pomyślałam, że od razu załączę pełną listę nazwisk. Lepiej podać za dużo informacji niż za mało. – Rzuciła Darnessie szkic listu do wglądu. – Siostra Fernham oczekuje mnie za godzinę, dokończę wieczorem.

– Nie wiem, co zrobię w klasztorze, kiedy cię zabraknie – mruknęła Darnessa, biorąc kartkę do ręki. Sage wiedziała jednak, że Darnessa nie ma jej za złe, iż poświęca wolny czas nauczaniu sierot. – A jak poszło z bratem Jacqueline?

– Całkiem nieźle – odparła Sage. – Poszliśmy na spacer i dość szybko skłoniłam go, by opowiedział coś o sobie. Taktowny i uważny, lecz głupawy. Opowiedziałam żart, a on zupełnie go nie zrozumiał. – Chłopak lubił też flirtować, ale Sage nie była tak nierozsądna, by pomyśleć, że mu się podoba. Młodzi mężczyźni chcą zaimponować każdej dziewczynie, która im schlebia, Sage zaś potrafiła obrócić to na swoją korzyść. – W sumie miły młodzieniec. Gdyby lady Tamara nie jechała z nami do stolicy, powiedziałabym, że to odpowiednia dla niej partia.

– Cóż, ale przynajmniej po powrocie z Tennesolu będę gotowa, gdy sam zapuka do moich drzwi – odparła Darnessa.

– Powiedział coś, co pozwala przypuszczać, że jego rodzice znaleźli mu

kogoś w Tasmecie.

Darnessa zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewna? Powinam o tym wiedzieć.

– Odniosłam wrażenie, że to umowa zawarta między rodami. – Sage miała w swojej księdze specjalną sekcję przeznaczoną na tego rodzaju małżeństwa. Tasmec, podobnie jak Crescera, był jedną z prowincji Demory, ale nadal przechodził fazę przystosowania do warunków panujących w nowej ojczyźnie. Swatki działały na tamym terenie dopiero od niecałych czterdziestu lat, ledwo dwa pokolenia, ale praktyka szybko się przyjęła, ponieważ tamtejsza arystokracja w przeważającej części była napływowa – wysokie rody przeniosły się tam z innych regionów Demory po tym, jak Kimisara musiała oddać Tasmec w wyniku Wielkiej Wojny. Co roku bardzo wielu mieszkańców korzystało z pomocy swatek. Za kolejnych czterdzieści lat Tasmec zapewne w niczym nie będzie się różnić od innych części kraju i również tam tylko najubożsi będą samodzielnie dobierać się w pary. Nie licząc przypadków skandali.

– Znowu? Sytuacja wymyka się spod kontroli. – Darnessa postawiła stopy na podłodze i wyprostowała się jak struna, potrząsając głową i mrużąc z niezadowoleniem. – Nie chodzi tylko o moją stratę. Małżeństwo może okazać się nieudane, a ludzie pomyślą, że to ja połączyłam ich w parę.

Ojciec zawsze powtarzał, że ludzie mający władzę boją się ją utracić, ale gniew Darnessy nie wydawał się przejawem próżności. Jeśli Sage czegoś się nauczyła w ciągu tej zimy, to tego, że gildia swatek kieruje się wysokimi standardami i ściśle kontrolą. Najłżejsze podejrzenia, że któraś z kobiet zaaranżowała małżeństwo, kierując się własnymi korzyściami, natychmiast sprawdzano, a Darnessa, stojąca na czele gildii Crescery, traktowała swoją funkcję bardzo poważnie.

– Nie wiem, co się ostatnio dzieje – podjęła. – W każdym razie cieszę się, że to rok Concordium. Będziemy mogły porównać notatki i stwierdzić, czy to część szerszego trendu.

– Nie wydawał się zachwycony kandydatką. – Sage powiedziała to, by poprawić Darnessie humor, ale przy okazji było to prawdą.

Swatka nieco się odprężyła.

– Przyjmijmy to za znak, że będzie wolał, żebym to ja wybrała mu żonę. Znajdziemy kogoś dla niego zaraz po powrocie. Zdobęde dla Jacqueline to, czego pragnie jej rodzina, i później do mnie wrócę.

Sage znów pochyliła się nad księgą, nie mogąc się nadziwić, jak ogromną władzę ma jej pracodawczyni. Ale pomimo tylu podróży, tylu nowych



znajomości, dla siebie nikogo nie znalazła. Przez te pięć miesięcy Sage nie dostrzegła jednak najmniejszych oznak goryczy z tego powodu.

Wreszcie zdobyła się na odwagę i zapytała:

– Dlaczego nie wyszłaś za mąż, Darnesso?

– Z podobnych powodów jak ty – odparła, konspiracyjnie puszczając do niej oko. – Mam zbyt wysokie wymagania.

## 9

W dni nabożeństw w kaplicy prace w obozie ograniczano do minimum, żeby wszyscy żołnierze mogli odpocząć bądź nadgonić zaległe obowiązki. Kapitan Quinn zwykle rezerwował specjalnie dla Charliego jedną czy dwie godziny, tym razem jednak, ponieważ nie widzieli się przez niemal trzy tygodnie, obiecał spędzić z nim całe popołudnie. Była to też dobra wymówka, dzięki której mógł unikać niepożądanego towarzystwa. Każde klepięcie w plecy czy słowa uznania, które otrzymywał w związku z zesłotygodniową potyczką z grupą obcych, odczuwał jak cios prosto w splot słoneczny – nie zasłużył na pochwały.

Charlie jak zwykle chciał przynajmniej część wspólnie spędzanego czasu poświęcić na ćwiczenie jakiejś umiejętności. Stał na początku drogi, co znaczyło, że przez ten rok pomagał kowalowi kuć i naprawiać miecze oraz odpowiednio o nie dbać. Quinn święcie wierzył w sens takiej nauki i nie zamierzał się wtrącać i dawać bratu lekcji władania mieczem, niezależnie od tego, jak bardzo ten błagał. Na drugim końcu obozowiska żołnierze właśnie rozpoczynali nieformalne zawody w strzelaniu z łuku, więc Quinn przekonał Charliego, żeby poćwiczył rzucanie nożem, jak najdalej od pozostałych.

Jak na swój wiek i wzrost Charlie już całkiem nieźle trafiał do celu. Quinn chciał, żeby potrenował na większą odległość. Początkowo Charlie zaoponował.

– Ale ja chciałbym rzucać szybciej i sprawniej. Ty rzucasz nożem jak błyskawica.

Quinn uniósł brew, krzywiąc się lekko z bólu. Wczoraj wyjęto szwy, rana mocno świerbiła w kwietniowym słońcu.

– Jak myślisz, co jest bardziej przydatne w bitwie: trafiać do celu z większej odległości czy rzucać bardzo elegancko, ale chybiać?

Charlie westchnął z rezygnacją i zrobił jeszcze trzy kroki do tyłu. Quinn zdusił uśmiech. Nie tak dawno temu był na tym etapie, co teraz brat.

Właśnie wyciągali z tarczy swoje sztylety – po kilku rundach i kolejnym zwiększeniu odległości – gdy Charlie obrócił się w jego stronę i zapytał:

– Wszystko w porządku?

– Tak, a co?

Charlie wzruszył ramionami, próbując wyciągnąć ostrze, które utkwiało między deskami.

– Wydajesz się roztargniony. I chybiłeś cztery razy. Zawsze trafiasz.

– Większość ludzi nie nazwałaby tych rzutów chybionymi – odparł Quinn, stukając w rękojeść sztyletu sterczącego w odległości jakichś siedmiu centymetrów od namalowanego pośrodku pola.

– Ale ty tak.

Quinn próbował zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

– Każdy ma słabsze dni.

Wrócili na stanowiska. Charlie znowu przemówił.

– Kiedy przechodziliśmy obok kapitana Hargrove’a, on coś powiedział, a ty zrobiłeś minę.

Chłopak był stanowczo zbyt spostrzegawczy.

– Jaką niby minę?

Brat, nie patrząc na niego, położył sztylet na wieku beczki.

– Wyglądałeś na zakłopotanego.

– Nie lubię, kiedy ludzie robią tyle hałasu wokół czegoś, co jest po prostu moją pracą, sam wiesz.

Charlie wziął nóż, ustawił się i skupił wzrok na tarczy.

– Nie o to chodzi. Jesteś nieszczęśliwy od powrotu z ostatniego zwiadu.

Quinn nie miał ochoty niczego mu tłumaczyć, wcale nie ze strachu, że brat rozpowie innym pażom o jego porażce, Charlie potrafił dochować tajemnicy. I nie dlatego, że nie chciał utracić jego podziwu – brat i tak miał o nim zbyt wysokie mniemanie. Powinien wreszcie zdać sobie sprawę, że Quinn nie jest idealny. Nie, Quinn nie chciał mu nic mówić, ponieważ nie przemyślał, jak to zrobić w odpowiedni sposób. Do tego czasu chciał zachować sprawę w sekrecie.

Nagle Charlie krzyknął – to Ash Carter podkradł się po cichu i podniósł go wysoko. Quinn ucieszył się, że padło na Charliego, bo był tak roztargniony, że w ogóle nie zauważył zbliżającego się Asha. Równie dobrze to on mógł paść jego ofiarą.

– Zaniedbanie obowiązku, żołnierzu! – ryknął Ash, zarzucając sobie Charliego na ramię i obracając się dokoła. – Trzeba przez cały czas zachowywać czujność! – Postawił zaśmiewającego się chłopca na ziemi i przytrzymał za ramiona, żeby ten nie upadł. – Słodki Duchu, ale on rośnie. Jak się masz, chłopcze?

– Dobrze. Giermek Palomar powiedział, że niedługo wdroży mnie w obowiązki – oznajmił Charlie z dumnym uśmiechem.

– Słyszałem – odparł Ash. – Pokaż, co tam masz. – Sierżant wskazał na noże i tarczę.

Zająwszy uwagę Charliego, poszukał wzrokiem oczu Quinna i rzucił mu wymowne spojrzenie. Coś było na rzeczy.

Zaczekali, aż Charlie rzuci sześcioma nożami i tym, który nosił u pasa. Potem ofiarowali mu własne sztylety. Liczyli na to, że wyjęcie dziewięciu noży z tarczy zajmie chłopcu trochę czasu i będą mogli porozmawiać przez chwilę na osobności.

– Generał kazał nam stawić się w jego namiocie jutro o dziewiątej rano – powiedział cicho Ash, ledwo Charlie znalazł się poza zasięgiem słuchu.

Quinn splótł ramiona, czując ucisk w żołądku. Przez kilka ostatnich dni udawało mu się unikać ojca, nie prosił o kolejne zadanie.

– W jakiej sprawie?

– Nie wiem – odparł Ash, spoglądając na tarczę.

– Może chce cię awansować na porucznika.

– Możliwe, ale wątpię. Wie, dlaczego ja tego nie chcę.

To jednak nie znaczyło, że musi uznać jego powody. Quinn zastanawiał się, czy generał nie uważa przypadkiem, że dając Ashowi większe kompetencje, wzmocni kompanię jeźdźców. Może potrzebował spokoju, który roztaczał wokół siebie Ash. Quinnowi jego stopień był obojętny, dopóki przyjaciel pracował dla niego.

Ash spojrzał na niego.

– Masz zmartwioną minę.

– Nie sądzisz, że to zrozumiałe po zeszłotygodniowej porażce?

Sierżant potrząsnął głową i znów skierował spojrzenie na Charliego.

– Każdy popełnia błędy, Aleksie – zauważył. Przyjaźnili się już w dzieciństwie, ale od dłuższego czasu Ash bardzo rzadko zwracał się do Quinna po imieniu. Czyniąc to, chciał podkreślić, że nadal darzy go wielkim zaufaniem.

– Jesteś kapitanem od niedawna. To normalne.

Tylko że nie każdy jest synem generała. Jego błędy miały też poważniejsze konsekwencje. Stawka mogła tylko wzrosnąć. Quinn obserwował Charliego, który odwrócił się w ich stronę, z trudem trzymając wszystkie noże w drobnych dłoniach. A kiedy nadejdzie ta nieuchronna chwila, gdy życie Charliego znajdzie się w rękach Quinna? Ciężko westchnął.

– Kiedy to spotkanie?

– Godzinę po apelu porannym.

Quinn kiwnął głową. Ash odnalazł swój sztylet pośród noży w dłoniach Charliego, poczochrął włosy chłopca i jeszcze raz spojrzał na Quinna.

– Tylko się nie spóźnij.

Następnego ranka Quinn wyczyścił swój mundur, na którym i tak nie widniał najmniejszy pyłek, i zacisnął pas z mieczem. Czuł narastający lęk. A jeśli czeka go degradacja? Nigdy nie słyszał o podobnym przypadku, ale jego umysł przerabiał wszelkie możliwości. Myślał o tym jeszcze długo w nocy, kiedy już odprowadził Charliego do namiotu zajmowanego przez paziów – wcześniej pozwolił mu posiedzieć dłużej przy ognisku w towarzystwie swoich oficerów i chłopiec był tak zmęczony, że Quinn musiał go niemal nieść.

W końcu uznał, że dłużej nie może odwlekać sprawy. Ash Carter czekał na niego przed namiotem, który Quinn dzielił z Casseckiem. Ruszyli przez obóz, wybierając skróty między rzędami namiotów. W ciągu ostatniego tygodnia rozebrano większość trwalszych konstrukcji, co znaczyło, że wkrótce armia wyruszy w dalszą drogę. Quinn zdawał sobie sprawę, że pewnie nieprędko czeka go kolejna samodzielna misja.

Wszedł do namiotu generała i zatrzymał się, czekając, aż do środka wejdzie grupa oficerów. Nie przypuszczał, że to będzie takie duże zebranie. Przy stole zasłanym mapami i raportami siedziało kilkunastu starszych oficerów. Quinn domyślił się, że jest to spotkanie wywiadu. Od razu poczuł ulgę.

Quinn i Ash stanęli z tyłu, pośród niższych rangą. Quinn dostrzegł ojca siedzącego przy biurku na drugim końcu namiotu, zajętego pisaniem. Prywatna kwatera generała dostarczała wszelkich wygód należnych wojskowemu wysokiej rangi. Brakowało tam jednak zasłon oddzielających ją od reszty namiotu. Oficer zawsze trwa na służbie. Kwaterę ojca zasłaniano tylko w jednym przypadku – podczas wizyt matki.

Major Murray kazał wszystkim stanąć na baczność, a wtedy generał wstał i podszedł do stołu. Kiedy dano rozkaz „spocznij”, starsi oficerowie po kolei zaczęli składać raporty z ostatniego tygodnia. Wyśledzono oddział Kimisarów, którzy przekroczyli granicę i kierowali się na wschód, zgubiono ich jednak u podnóża Gór Catrux. Miejscowi wieśniacy opowiadali, że widzieli grupy mężczyzn podobne do tej, którą spotkał Quinn, ale nie odnotowano żadnych napaści. Obcy zapadli się pod ziemię. Dowódca batalionu Quinna przekazał informację o potyczce, nie komentując jego fatalnego w skutkach braku cierpliwości.

Spotkanie toczyło się dalej. Próbowano odnaleźć jakiś model we wszystkich wydarzeniach przekazanych w raportach. Quinna nie poproszono o żadne uwagi, sam też z niczym się nie wyrywał. Cały kulił się w środku na myśl o skutkach swojego błędu. Gdyby nie on, mogliby osiągnąć znacznie więcej, a nie tylko spekulować.

Jedyne, co mu pozostało, to wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Kiedy dyskusja dobiegła końca, major Murray wziął plik papierów i zaczął odczytywać rozkazy. Quinn wyprostował się jak struna na dźwięk swojego nazwiska.

– Kapitan Quinn: za dwa dni wyruszysz wraz z trzema oficerami i trzydziestoma ludźmi do Galarick. Stamtąd poprowadzicie pod eskortą grupę panien z Crescery udających się do stolicy na tegoroczne Concordium. O zachodzie słońca masz podać nazwiska wybranych ludzi.

Że co?

– Mamy wystąpić w roli straży ceremonialnej? – wyrwało mu się.

Oczy wszystkich skierowały się w jego stronę, kapitan stojący po jego prawej stronie krzywo się uśmiechnął, Quinn jednak całą uwagę skupił na ojcu, który spokojnie odwzajemnił spojrzenie. Rozdano karty z rozkazami, Ash wziął te przeznaczone dla ich kompanii. Kiedy spotkanie się skończyło i wszyscy się rozeszli, Quinn został, w nadziei, że uda mu się porozmawiać z ojcem na osobności.

– Szkoda, że mój ojciec nie jest generałem – powiedział stojący obok niego kapitan Larsen. – Chętnie bym się zaopiekował na kilka tygodni grupką szlachetnie urodzonych dam. – Ostentacyjnym ruchem złożył swoje rozkazy i wsunął je za połę kurtki. – Cóż, muszę przygotować pięćdziesięciu ludzi, wyruszamy o zachodzie słońca. Wybierz jakąś dla mnie, Quinn, co? Lubię blondynki. – Po tych słowach Larsen wreszcie poszedł, a Quinn wbił mordercze spojrzenie w jego plecy.

Ash podał mu papiery z rozkazami, ale Quinn ich nie wziął. Po chwili sierżant złożył kartki i odchrząknął.

– Może powiem wszystkim, dokąd się wybieramy.

Quinn został sam. Co chwila zaciskał pięści. Wreszcie ostatni z pułkowników skończył rozmawiać z generałem i zostali w namiocie sami. Ojciec obserwował go zza stołu, na którym nadal leżała mapa.

– Wiem, że nowa misja ci się nie podoba.

– Niby czemu miałyby się nie podobać? – Quinn splótł ramiona na piersi. – Swatki i wymuskane dziewczątka szlachetnego rodu raczej nie przedstawiają większego zagrożenia. Marzenie każdego oficera.

Ojciec przeszył go spojrzeniem ostrym jak miecz.

– Twoja obecna pozycja nie pozwala ci traktować z pogardą żadnego zadania.

Po chwili milczenia Quinn spuścił wzrok.

– A w ten sposób nauczę się cierpliwości. To moja kara – stwierdził.

Generał westchnął.

– Tak i nie.

Quinn uniósł głowę. Interesowało go „nie”.

– W gruncie rzeczy to mnie należy winić za twój błąd. Wcześniej nie brałeś udziału w spotkaniach tego rodzaju, a powinieneś być. Nie chciałem, by uznano, że cię faworyzuję. – Ojciec odchrząknął i dodał: – O tym, co teraz ci powiem, nie było wcześniej mowy i nie chcę, by ta informacja się rozeszła.

Quinn czekał w napięciu.

Generał pokazał na mapę.

– Intuicja podpowiada mi, że grupa, którą spotkaliście, zmierzała na wschód. Wydaje mi się, że D’Amiranowie nawiązali kontakt z Kimisarą.

Było to poważne oskarżenie, ale uzasadnione. Rodzina D’Amiran ponad pięćset lat temu zjednoczyła Crescerę, Mondeleę, Aristel i Dolinę Tenne w jedną krainę, którą nazwali Demorą, ale dziesięciolecia skorumpowanej i zepsutej władzy trzysta lat później doprowadziły przodków Roberta Devlina do obalenia rządów. Rodzina nie została wymordowana, lecz straciła znaczenie, aż do Wielkiej Wojny, która wybuchła czterdzieści lat temu. Dzięki aneksji Tasmety powstało nowe księstwo, które dostał generał Falco D’Amiran za zasługi w odebraniu tych ziem Kimisarze. Lecz był to tylko okruch dawnej wielkości rodu D’Amiran i biorąc pod uwagę wydarzenia z przeszłości, wielu podejrzewało, że nie zadowolą się oni resztkami ze stołu Devlina.

– Czy wuj Raymond wie o twoich podejrzaniach? – zapytał Quinn.

Ojciec potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Zima była tak ciężka, że nie miałem jak wysłać depechy przez góry, nawet południowe przejście koło Jovanu było niedostępne aż do zeszłego tygodnia. Król właściwie o niczym nie wie.

– A więc odegram rolę twojego kuriera? – Przynajmniej to zadanie wydawało się ważne.

– Nie tylko. – Generał pochylił się i ponownie wskazał na mapę. – Orszak panien będzie podróżował przez Tegann.

Twierdza diuka Morrowa D’Amirana. Quinn nagle zrozumiał, dlaczego Ash brał udział w dzisiejszym spotkaniu.

– Chcesz, żebyśmy go szpiegowali.

– Owszem. Dyskretnie.

Quinn nie był przekonany.

– Nie mam wielkiego doświadczenia w tej dziedzinie. Do tej pory zajmowałem się jedynie rozpoznawaniem terenu.

– Potraktuj to jako szansę nauczenia się czegoś nowego – odparł ojciec.

Quinn skrzywił się. Nabywanie nowych umiejętności zawsze stało u niego na pierwszym miejscu. Casseck nazywał to jego obsesją. Ojciec złapał go w pułapkę.

Jednocześnie wystarczyłoby, gdyby generał wydał rozkaz. Ten chciał jednak, by Quinn sam podjął się misji, a nie wykonywał rozkazy.

Ponieważ nie zaprotestował, ojciec uśmiechnął się i zapytał:

– Kogo chcesz ze sobą zabrać?

Quinn splótł ramiona na piersi.

– Nie mogę wziąć po prostu swoich oficerów?

– Długo się nad tym zastanawiałem. Z jednej strony nie chciałbym stracić z oczu Roberta Devlina. Z drugiej zapewne będzie bezpieczniejszy dalej od granicy.

– Nie powtórzę mu tych słów.

Generał podjął:

– Trzydziestu ludzi powinno wystarczyć, żeby zapewnić mu obronę, szczególnie tak daleko w głębi kraju, ale boję się też zamieszania związanego z jego osobą. Zostawiam decyzję tobie.

Być może powiedział tak, by Quinn poczuł się lepiej, on jednak nie zamierzał protestować.

– Nie chcę niszczyć tego, co mamy, więc zabiorę Roba, tylko pod fałszywym nazwiskiem.

– Bardzo dobrze. I trzymaj go z daleka od panien – powiedział ojciec, wyglądając spod otwartej poły namiotu. – A przy okazji, zabierasz też Charliego.

Quinn wyrzucił ramiona do góry.

– To tylko dowodzi, że wysyłasz mnie daleko, by odsunąć mnie od ważnych spraw.

– Nonsens. – Generał usiadł na krześle. – Potrzebny ci paż, poza tym Charlie poprosił o to w ramach prezentu urodzinowego. Dobrze sobie radzi.

Tak, Charlie rzeczywiście dobrze wykonywał swoje obowiązki, ale Quinn wiedział, że nie będzie mógł traktować brata tak jak każdego innego pazia. Wystarczająco trudno przychodziło mu wydawanie rozkazów najbliższym przyjaciółom, nawet jeśli nie mieli nic przeciwko jego decyzjom. Zacisnął powieki i potarł czoło, zapominając o ranie. Drgnął pod wpływem bólu przeszywającego skroń.

– Ojczy, proszę, zastanów się jeszcze. Już eskortowanie tych kobiet będzie



wystarczającą męką. Czuję się jak niańka.

– Zostawiam decyzję tobie, ale Charlie już wie i sam będziesz musiał mu powiedzieć.

Znowu pułapka.

Ojciec przysunął sobie kartę z notatkami i uniósł dłoń na znak, że Quinn ma odejść.

– Czekają cię spore przygotowania. Proponuję, byś nie zwlekał.

Quinn wyszedł, nie czekając, aż sprawy przybiorą naprawdę zły obrót.

## 10

Casseck i Gramwell ślęczeli nad rozłożoną mapą, zaznaczając miejsca, w których orszak panien miał zatrzymywać się na noclegi. Robert i Ash spisywali listy zapasów i ludzi do obsługi. Wszyscy zerwali się z miejsc, salutując, gdy Quinn wszedł do namiotu. Machnął ręką i powiedział:

– Chyba wszyscy słyszeli.

Rob uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie taka surowa ta kara.

Quinn potrząsnął głową.

– Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego. Pojedziesz pod fałszywym nazwiskiem. W tej wyprawie nie chodzi tylko o eskortę.

Casseck uniósł brew.

– Czyli?

– To nieoficjalna misja szpiegowska. – Quinn pochylił się nad mapą, przeciągnął palcem wzdłuż Drogi Tegann i postukał w twierdzę na przełęczy. – Generała szczególnie interesuje, co dzieje się w tym miejscu.

Rob zrobił wielkie oczy.

– Diuk D’Amiran coś knuje?

– Możliwe.

Musieli podejść do tej misji z neutralnym nastawieniem, inaczej wszystko, co zaobserwują, wyda im się oznaką zdrady.

Ash podał Quinnowi papiery, których ten wcześniej od niego nie przyjął.

– Jestem głównym zwiadowcą?

– Tak – odparł Quinn, zabierając papiery. Znalazł wśród nich list do swojego ojca od najważniejszej swatki Crescery, pani Rodelle, w którym podała szczegóły dotyczące podróży. Przesunął wzrokiem po kartce wypełnionej starannym charakterem pisma, doceniając logiczną formę, w jakiej podano informacje. – Trzy noce spędzimy w Baronii Underwood. To dobrze. Baron jest przyjacielem D’Amiranów.

Robert spojrział mu przez ramię.

– Prawie na końcu listy widzę lorda Fashella. Wszystkie towary dostarczane do Tegannu przechodzą przez jego włości.

Quinn zagryzł od środka policzek, po czym spojrział na Asha.

– Może mógłbyś nawiązać kontakt z którąś z pań z eskortowanej grupy, na przykład służącą? Dostarczyłaby ci informacji, do których normalnie nie mamy dostępu.

Ash skrzywił się.

– Nie mógłbym tym razem zająć się samym zwiadem? To potwornie stresujące tak długo pracować pod przykrywką.

Doświadczenie Quinna ograniczało się do rozpoznawania terenu. To Ashowi zawsze przypadły takie zadania, jak rozmowy z ludźmi, w których zwykle posługiwał się starannie zmyśloną legendą, by zdobyć ich zaufanie.

– Wydaje się to proste.

Ash wzruszył ramionami.

– Czasem ktoś odnosi rany.

– Rany? Stanie na warcie jest znacznie bardziej niebezpieczne.

– Nie chodzi mi o rany fizyczne – odparł Ash. – Jeśli kontakt zorientuje się, że go wykorzystujesz do swoich celów, wszystko, co stworzyłeś, obraca się w ruinę. A kłamstwo to kłamstwo. Nigdy nie wydaje się słuszne.

– To co mam według ciebie zrobić? – spytał Quinn. – Wysłać kogoś mniej doświadczonego?

– Nie powiedziałem, że tego nie zrobię, tylko że mam dosyć. Poza tym – tu Ash się rozpromienił – sceneria tym razem będzie bardzo przyjemna.

Kobiety. Jako sierżant Ash nie musiał, jak jego oficerowie, czekać do dwudziestego czwartego roku życia, żeby się ożenić. Chociaż był dzieckiem z nieprawego łoża – poczętym w wyniku romansu króla ze służącą po śmierci pierwszej królowej – chyba nie znalazłoby się rodziny, która nie pragnęłaby choćby takich koligacji z królewskim rodem.

Quinn odciągnął przyjaciela na bok.

– Zamierzasz się ożenić? – spytał cicho.

– Może. – Ash unikał jego wzroku. – Myślę, że żadna dziewczyna nie spojrzałaby na mnie dwa razy, gdyby nie wiedziała, kim jestem. – To, że wyglądał tak zwyczajnie stanowiło jednak jego największą zaletę jako szpiega. Zerknął na brata i dodał: – Rob mówi, że zaczeka do następnego Concordium, chyba że ojciec postanowi inaczej. A ty?

Rodzice Quinna pobrali się ze względów politycznych, a małżeństwo okazało się udane, ale w nim taki pomysł budził sprzeciw. Nie podobała mu się myśl, że ludzie mają go oceniać na podstawie tego, co posiada, zamiast wedle tego, jakim jest człowiekiem.

– W ogóle nie mam takich zamiarów.

– Życie nie kończy się na armii, wiesz.

Quinn nie miał ochoty rozmawiać o małżeństwie. Wystarczyły ostatnie listy od matki poruszające ten temat.

– A więc będziesz prowadził zwiad. Przygotuj sobie legendę i zapoznaj z nią wszystkich.

Ash kiwnął głową i wrócił do Roberta.

– Zrób ze mnie woźnicę. I obniż mi rangę do szeregowca. Dzięki temu zyskam szerokie pole działania.

Kilka dni później trafili na resztki ogniska. Dla każdego było jasne, że dwa dni wcześniej zatrzymała się tutaj grupa mężczyzn. Ale wyćwiczone oko kapitana widziało znacznie więcej. Po pierwsze było ich dziesięciu – tyle zwykle liczyły oddziały z Kimisary. Po drugie wystawili warty w odstępach aż trzystu pięćdziesięciu metrów. I po trzecie podróżowali w szybkim tempie. Nie jechali wozami, nie musieli trzymać się dróg i jednego dnia pokonywali dwa razy większą odległość niż oni. W dodatku nie miał środków, by ich śledzić.

Ash Carter podszedł do niego i powiedział:

– Dobrze, że zabraliśmy psy. Inaczej pewnie nie znaleźlibyśmy tego miejsca.

Quinn kiwnął głową.

– Skierowali się na północ, w stronę Crescery. Myślisz, że mieli się spotkać z tą grupą, którą rozbiliśmy kilka tygodni temu?

Ash wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale tamten posłaniec twierdził, że od naszego wyjazdu wzdłuż całej granicy panuje spore poruszenie.

Quinn wiozł depeze do króla i jego rady w Tennegolu, ale oprócz tego kurierzy ojca mieli doganiać ich po drodze z aktualnymi raportami. Pierwszy spotkał się z nimi poprzedniego wieczoru. Przyniósł wiadomość, że nastąpiła mobilizacja armii, rozstawiono siły wzdłuż granicy, by odeprzeć ataki z Kimisary.

Czuł, że sytuacja wymyka mu się z rąk.

– Nigdy nie widziałem, żeby tak mała grupa zapuściła się tak daleko na północ – stwierdził Quinn. – Od Crescery dzieliło ich zaledwie kilka dni. – Możliwe, że już dotarli na miejsce.

– Pewnie szukają jedzenia. Tam są wszystkie spichlerze.

– Pieszko? Jak potem przetransportowaliby ziarno w takiej ilości, żeby wyprawa się opłaciła?

Ash zmarszczył brwi.

– Może po drodze ukradną konie. Słyszałem, że w Kimisarze połowę ostatnio zjedzono.

– To ma sens – przyznał Quinn. – Na piechotę łatwiej też przemknąć niepostrzeżenie. Zastanawiam się, czy przeciągnięcie naszej armii na południe nie było celowe. Może chcieli odwrócić uwagę od ataków na północy. – W myślach już pisał raport, zadowolony, że kazał kurierowi poczekać.

Wsiadli na konie i zawrócili na drogę, gdzie był oddział. Quinn zmarszczył brwi na widok ciemnej czupryny Roberta. Jeśli w okolicy przebywali Kimisarzy i jeśli zorientowali się, że jest tu Rob, Quinn nie miał najmniejszych wątpliwości, że po niego przyjdą. Oprócz wypraw łupieżczych Kimisara miała też długie tradycje w porywaniu zakładników, a następca tronu stanowił zbyt łakomy kąsek, by z niego zrezygnować. Quinn wierzył, że jest w stanie go obronić, ale za kilka dni, kiedy spotkają się z orszakiem kobiet, sprawy się skomplikują.

Początkowo nie zamierzał wysłać pikiet, teraz jednak uznał to za konieczność, zwłaszcza że w pobliżu mogły się czaić kolejne obce oddziały. Rozważając w myślach, jak pogodzić ochronę Roberta z planami szpiegowskimi, wpadł na pewien pomysł. Zwrócił się do Asha:

– Mam dla ciebie nowe zadanie, przyjacielu.

## 11

Sage umieściła skrzynię podróżną na wozie, po czym przechyliła się w tył i przeciągnęła. Darnessa wywróciła oczami.

– Zatrudniłam w tym celu mężczyzn.

Sage zeskoczyła z wozu.

– Pomyślałam, że nie ma sensu, żeby stała w pyle, aż ktoś wreszcie ją zabierze.

– Odbywasz tę podróż jako dama – upomniała ją Darnessa. – Każdy przystanek na trasie to szansa, żeby poobserwować ludzi, o których chcemy się czegoś dowiedzieć. Jeśli zniszczysz swój wizerunek, nie będziesz miała jak się do nich zbliżyć.

– Tak, tak. – Sage poprawiła spódnicę. – Chciałam jeszcze chwilę pożyć normalnie, zanim nałożę sobie jarzmo.

Obawiała się, że trwająca miesiąc podróż do Tennesolu będzie bardzo męcząca. Darnessa obiecała przynajmniej, że w drodze powrotnej pozwoli jej włożyć spodnie.

Skrupulatnie odgrywała wobec przybywających kandydatek rolę nieśmiałej dziewczyny arystokratycznego pochodzenia. Większość dziewcząt nigdy wcześniej się nie spotkała. Wiele wyraźnie widziało w pozostałych rywalki. Sage wyobraziła sobie wielki płócienny worek pełen kotów i zastanawiała się, który wyjdzie z tej potyczki najbardziej podrapany.

Darnessa przedstawiła ją.

– To jest moja asystentka, Sage, ale wy będziecie zwracać się do niej mianem lady Sagerry Broadmoor. Będzie podróżowała jako jedna z was. Macie słuchać jej poleceń, tak jakbym ja sama je wydała.

– Wygląda jak córka tego ptasznika, który trenował sokoły mojego ojca, kiedy byłam mała – powiedziała jedna z dziewcząt, blondynka, pochylając się w stronę Sage i mierząc ją spojrzeniem zmrużonych oczu.

– Możliwe, że jest podobna – odparła Darnessa.

Zapewne chciała zachować się uprzejmie, ale w uszach Sage ta wymiana zdań zabrzmiała protekcjonalnie.

Lady Jacqueline splotła ramiona na piersi.

– Sage to imię wiejskiej dziewczyny. Lub bękarta. Z którym przypadkiem

mamy do czynienia?

Zachowywały się tak, jakby jej tu w ogóle nie było.

– Ja też potrafię mówić – warknęła Sage.

Młoda kobieta odwróciła głowę, spoglądając z góry jak na owada, którego zamierzała zdusić satynowym pantofelkiem na wysokim obcasie.

– To z którym?

– Z żadnym, ale możesz założyć się o swój śliczny tyłek, że będziesz lizać mój, zanim dotrzemy do stolicy. – Sage dygnęła z uśmiechem. – Pani.

Jacqueline zrobiła taką minę, jakby zamierzała się odgryźć, ale Darnessa uniosła dłoń ostrzegawczym ruchem.

– Wystarczy. Dla wszystkich moja asystentka nazywa się lady Sagerra Broadmoor, a jeśli któraś z was będzie twierdzić inaczej, to gorzko pożałuje. – Jacqueline odwróciła się i odeszła, a kilka dziewczyn ruszyło w jej ślady. Darnessa skrzywiła się. – Prawdopodobnie mogło pójść lepiej.

Nagle Sage poczuła czyjaś dłoń na swojej dłoni. Odwróciła się zaskoczona. To była lady Clare. Sage utkwiała w pamięci jej śliczna twarz – i te włosy. Lśniące pukle barwy syropu klonowego spływały z ramienia idealną falą, z której nie wymykał się nawet jeden nieposłuszny kosmyk. Clare uśmiechnęła się nieśmiało.

– Miło cię poznać, Sagerro – powiedziała, po czym ścisnęła palce Sage i odeszła, by pożegnać się z rodziną.

Sage odprowadziła ją wzrokiem. Przyjacielski gest nie zrobił na niej większego wrażenia. Ostatniej zimy dziewczęta, które nie rozmawiały z nią od lat, nagle zapragnęły się z nią zaprzyjaźnić, co bardzo jej schlebiało, dopóki zdała sobie sprawy, że ich uprzejmość jest podyktowana wyłącznie chęcią znalezienia odpowiedniego kandydata na męża. Nikt nigdy nie był dla niej miły bezinteresownie.

Od Galarick dzieliło ich zaledwie piętnaście kilometrów, orszak dotarł tam krótko przed południem. Sage niemal natychmiast zlokalizowała bibliotekę. Zamierzała spędzić tam resztę dnia, lecz jakoś tak wyszło, że długo i niespokojnie spacerowała wzdłuż murów. Zabudowania Galarick przypominały fortecę, z wewnętrznym i zewnętrznym dziedzińcem oraz koszarami dla żołnierzy, ale tak naprawdę był to po prostu większy dwór – wyglądający jak zamek, ale pozbawiony jego potencjału obronnego. Tak daleko w głębi kraju fortyfikacje nie były koniecznością, szczególnie od kiedy granica z Kimisarą przesunęła się dalej na południe.

Kiedy dźwięk rogów oznajmił przybycie eskorty wojskowej, Sage, pchana ciekawością, znalazła odpowiedni punkt obserwacyjny na murze wewnętrznym. Żołnierzy było w sumie około trzydziestu, a koni niemal dwa razy więcej. Między nimi plątały się psy myśliwskie, zręcznie unikając końskich kopyt. Jeźdźcy, wszyscy odziani w czarne kurtki, spodnie i wysokie buty, jednocześnie zeskoczyli na ziemię, po czym zaczęli wyładowywać wozy i prowadzić konie do stajni. Słychać było rozmowy i śmiech, ale znacznie mniej niż Sage się spodziewała.

Darnessa również obserwowała przybyłych mężczyzn tym ostrym spojrzeniem, które Sage zawsze u niej widziała, kiedy swatka poddawała kogoś ocenie. Dziewczyna podeszła bliżej.

– To te wozy? – spytała, pokazując na zwykłe furmanki stojące jedna za drugą. – Spodziewałam się czegoś bardziej eleganckiego. – Woźnice i ich pomocnicy nosili proste stroje złożone z brązowych spodni, lnianych koszul i kubraków.

– Jutro ładniej ich ubiorą – odparła Darnessa. – Widziałas już kiedyś żołnierzy?

– Nie przypominam sobie.

Żołnierze stacjonujący na zachód od gór przebywali głównie w Tasmecie i często wdawali się w konflikty z Kimisarą. Wuj Williams, owszem, złożył hołd lenny i nosił miecz, oni natomiast naprawdę żyli zgodnie z przysięgą, w sposób, jakiego on nigdy miał nie doświadczyć. Wzdrygnęła się na myśl o tym, czego zdążyły doznać ich miecze.

– Tam jest kapitan, ten ze złotem na kołnierzu. – Darnessa wskazała na ciemnowłosego jeźdźca. Miał piękne rysy twarzy, przynajmniej z tej odległości, i dumną postawę. Darnessa zerknęła na Sage. – Syn generała Quinna. Niezła partia.

Bez wątpienia.

Generał Quinn poślubił siostrę poprzedniej królowej. To małżeństwo, podobnie jak kilka innych zawartych w tamtym okresie, połączyło najbogatsze rodziny Aristelu w ścisłym aliansie, który okazał się decydujący kilka lat później, gdy przyszło odeprzeć ostatni większy najazd ze strony Kimisary. Im więcej Sage dowiadywała się na temat aranżowania małżeństw, tym mocniej podejrzewała, że to właśnie sztuka swatania stanowi spoiwo tworzące kraj.

Ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się kapitanowi, który wydawał polecenia ludziom rozładowującym wozy.

– Sądzisz, że ojciec wysłał go na Concordium, żeby znalazł sobie żonę?



Wydaje się na to za młody.

– Nie jestem pewna. Za trzy lata będzie w odpowiednim wieku.

– Trochę długie zaręczyny – stwierdziła Sage. – Powinnam zapisać go w księdze?

Darnessa potaknęła.

– Rzadko mamy okazję znaleźć się tak blisko żołnierzy, by im się przyjrzeć i wydać ocenę. Zrób notatki na temat każdego z oficerów.

W tym momencie rozległ się dzwon wołający na południowy posiłek. Baron Galarick zaofiarował paniom osobną komnatę, w której mogły posilać się i odpoczywać, ale Sage nie miała ochoty do nich dołączyć.

– Nie jestem aż taka głodna. Chyba złapię coś w kuchni i zjem w bibliotece, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jeśli rzeczywiście zjesz. Jesteś za szczupła. – Darnessa ścisnęła jej ramię.

Sage wyrwała się. Przywykła do tego, że Darnessa zawsze ocenia innych, i nie potrafiła powiedzieć, czy tym razem potraktować jej słowa jako wyraz krytyki, czy matczynej troski. Obie możliwości wywoływały w niej podobne zakłopotanie.

– Zjem.

Darnessa zostawiła ją samą. Sage jeszcze przez chwilę przyglądała się żołnierzom. Budzili w niej dziwną zazdrość. Poruszali się i zachowywali tak zdecydowanie, konkretnie, podczas gdy ona zawsze czuła się zagubiona. Owszem, Darnessa zapewniała jej zajęcia, a Sage czasami znajdowała w nich radość – chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, zależała jednak od niej w podobny sposób jak od wuja Williama. Żołnierze również zależeli od dowódców, ale z własnego wyboru, w dodatku wszyscy odgrywali ważną rolę podczas każdej misji, a nawet decydowali o losach całego narodu.

Sage rytmicznie postukała palcami o drewnianą barierkę. Była dobrą nauczycielką – może Darnessa poleciłaby ją jakiejś zamożnej rodzinie? Jeszcze nie w tym roku, ale może na kolejnym Concordium. Zapewne do tego czasu wycofa się z zawodu, a Sage będzie już w takim wieku, że ludzie zaczną traktować ją poważnie. Gdyby odpowiednio trafiła, mogłaby nawet mieć własny dom.

Przyjęła tę pracę z desperacji i często wątpiła w słuszność swojej decyzji, chociaż Darnessa zapewniała, że doskonale nadaje się na swatkę. Teraz dostrzegała, że dawno nie podjęła równie dobrej decyzji. Stanowiła ona krok w kierunku wolności.

Sage uśmiechnęła się i ruszyła do swojej komnaty, by odnaleźć księgę.

Czekało ją sporo pracy.

Diuk Morrow D'Amiran oglądał zachód słońca z północno-zachodniej wieży ogromnej kamiennej fortecy, plecami zwrócony w stronę wąskiej i mglistej Przełęczy Tegann. Wiosna bez większego powodzenia próbowała w tym roku zawładnąć okolicą. Tylko rzadko rozsiane drzewa zimozielone tworzyły plamy koloru na stokach wznoszących się ostro niczym granitowa kurtyna.

Bładoniebieskie oczy księcia śledziły mężczyznę, który rażnym krokiem pokonał most zwodzony i zatrzymał się, czekając, aż podniosą kratę. Ubranie Kimisara było równie bezbarwne co krajobraz, postać niemal zlewała się z otoczeniem. D'Amiran, gładząc czernioną brodę, omiół spojrzeniem cieniste lasy, szukając pozostałych Kimisarów, którzy, jak wiedział, gdzieś tam byli. Dostrzegł tylko jednego, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to jednak raczej zwalone drzewo niż żołnierz. Sprawność, z jaką ci ludzie potrafili się kryć, budziła w nim pewien niepokój, chociaż powinien właściwie się cieszyć, w końcu byli teraz jego sprzymierzeńcami.

Ten sojusz był odrażający, ale determinacja Kimisary przesądziła o korzystnych dla niego warunkach. W tym momencie naród z południa pragnął tylko jedzenia, chociaż diuk zdawał sobie sprawę, że kiedy tylko staną na nogi, niewątpliwie znów zaczną podgryzać granice prowincji Tasmety, a może nawet rozpoczną kolejną kampanię w celu jej odbicia. Jeśli o niego chodziło, mogli ją sobie wziąć, tylko bogate zasoby miedzi na południu były tam czegoś warte. Rodzina dostała ziemię w zamian za zasługi jego ojca w Wielkiej Wojnie, czterdzieści lat temu, ale można było uznać ten dar niemal za obelgę. Na mapie obszar robił spore wrażenie, ale ziemia była tu skalista, szara i jałowa. Dorastał w Mondelei i kiedy zobaczył tę fortecę i krainę, która miała stać się jego nowym domem, gorzko zapłakał.

Spodziewał się, że ojciec zareaguje gniewem, on jednak wziął go na bok i wytłumaczył, że to nic w porównaniu z trwającymi od stuleci upokorzeniami, które musi znosić jego rodzina, odkąd ród Devlinów odsunął ją od tronu. To miejsce to tylko odskocznia do odzyskania tego, co im się zgodnie z prawem należy. *Ja zapewne nie doczekam tego dnia*, powiedział ojciec. *Ale ty tak*.

Miał rację co do pierwszej części. Duch wziął go do siebie jedenaście lat później. Morrow doświadczył kilku porażek, kiedy zarówno jemu, jak i

młodszemu bratu uniemożliwiano awans w armii – Rewel nie doszedł nawet do stopnia porucznika. Człowiekiem, który krzyżował im plany, był generał Pendleton Quinn, wschodząca gwiazda i nowy ulubieniec króla, zarówno na polu bitewnym, jak i dzięki koniugacjom rodzinnym. Ale w ciągu czterdziestu trzech lat życia księżę nauczył się jednego: nie wszystkie bitwy wygrywa się bezpośrednio. Czasami cel osiąga się stopniowo, tak jak ocean, który obserwował w młodości, wytrwale przybiera i opada w czasie pływów, spokojny i niezmienny – by pewnego dnia niespodziewanie porwać kawał klifu.

Zbliżał się przyływ. Tylko trochę cierpliwości.

Kroki za jego plecami obwieściły przybycie gościa. Ponieważ była to pierwsza wizyta, prowadziło go dwóch strażników. Ani nieufność gospodarza, ani wspaniałość budowli najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia. Zatrzymał się, splatając ramiona na piersi, pewny siebie i nieporuszony.

Ponieważ młodzieniec milczał, księżę po chwili zdecydował się odezwać pierwszy.

– Kapitan Huzar, zgadza się?

Kiwnął głową przysłoniętą kapturem, ale nic nie powiedział. Kimisarzy mieli skórę ciemniejszą niż Demoranie z Aristelu i nawet z tak bliska zdawał się stapiać z mrokiem. Tatuaze wijące się na odsłoniętych ramionach dodatkowo przyczyniały się do zatarcia konturów sylwetki.

– Twoi ludzie też tu są?

Huzar odpowiedział z twardym akcentem:

– Tak. Przybyli zgodnie z planem.

D’Amiran pozwolił sobie na słaby uśmiech.

– Doskonale.

Pochwała nie zrobiła na przybyszu wrażenia. Księżę czuł się lekko poirytowany jego brakiem szacunku, ale na chwilę postanowił nie zwracać na to uwagi. Wszystko szło po jego myśli, nie miało sensu spierać się o uprzejmości ze strony kogoś, kto pewnie nigdy nie rozmawiał z osobą wysokiej rangi. D’Amiran złączył dłonie za plecami.

– I wszyscy rozumieją swoje zadania?

– Zgodnie z instrukcjami, tylko swoje. Jeśli kogoś złapią, co zresztą jest wątpliwe, nie przekaże żadnych cennych informacji o pozostałych. Czy o tobie.

– Twoi ludzie nie mogą ich wystraszyć. – Księżę wbił w Huzara przenikliwe spojrzenie. – Trzeba tylko odizolować grupę, uniemożliwić jej komunikację. Jeśli będą wierzyć, że wszystko jest w porządku, nie przerwą podróży.

Huzar zacisnął wargi na sugestię, że jego żołnierze nie zrozumieli swojego

zadania.

– Będą działać tylko w razie konieczności. – Urwał. – Kiedy możemy się spodziewać naszego zakładnika? – Tak twardo wymawiał spółgłoski, że zabrzmiało to jak „zagładniga”.

D’Amiran machnął ręką.

– Mój brat właśnie go szuka. Książę Robert jest oficerem kawalerii, więc to tylko kwestia czasu, gdy wybierze się na patrol i odłączy od reszty grupy. Kiedy twoi ludzie przeprowadzą go przez przełęcz koło Jovanu, ruszy za nim przeważająca część armii. Wtedy wkroczymy do akcji. O ile twoi ludzie na południu zdołają przeprowadzić go przez tutejszą przełęcz, jest wasz.

## 13

O zachodzie słońca służący wnieśli tace z jedzeniem do jadalni, zaczęli układać nakrycia i napełniać kielichy winem. Dziewczęta zupełnie nie zwracały na nich uwagi. Zareagowały dopiero wtedy, gdy jeden z nich oznajmił, że podano do stołu.

Któryś skrzywił się z niesmakiem, widząc, jak wysoko urodzone damy w różnych drobnych sprawach wymuszają uprzejme gesty na tych niższego pochodzenia. Kiedy zaczęły się rozmowy, czujnie nadstawił uszu, ale po kilku minutach stwierdził, że chyba zanudzi się na śmierć – paplały o rodzinnym majątku, propozycjach małżeństwa, które odrzuciły, i innych, nawet jeszcze mniej interesujących sprawach. Ciekawe były jedynie ich uwagi na temat żołnierzy, którzy pewnie nieźle by się ubawili, słysząc o tym zainteresowaniu. Na szczęście żadna nie rozpoznała księcia Roberta.

Swatka podała jedynie nazwiska, a panny zwracały się do siebie po imieniu, przez co czuł się mocno dezorientowany, dopóki nie odkrył, że zajmują pozycje przy stole wedle rangi, tak jak na liście. Przyglądał się każdej z nich po kolei, zapamiętując twarze i przypisane im imiona. Trochę go rozpraszały sztuczne środki, którymi podkreślały urodę – jak one mogły wytrzymać z farbą na powiekach? Niektóre fryzury wyglądały, jakby sprawiały ból, od samego patrzenia na nie swędziało go głowa, co przypomniało mu, że nie obcinał włosów już od dwóch miesięcy. Nagle zdał sobie sprawę, że brakuje jednej damy. Policzył jeszcze raz. Piętnaście.

Gnąc się w ukłonach, podszedł do miejsca u szczytu stołu.

– Pani Rodelle, można spytać, czy wszystkie tve podopieczne są obecne? Widzę puste nakrycie.

Swatka omiotła stół spojrzeniem i westchnęła.

– Tak. Zapewne siedzi w bibliotece i nie słyszała wezwania na kolację. – Blondynka siedząca po jej lewej stronie prychnęła.

Uznał, że tego wieczoru niewiele więcej się dowie, i postanowił skorzystać z okazji, by się ulotnić.

– Mam ją przyprowadzić, pani?

Blondynka – lady Jacqueline – wtrąciła:

– Jesteśmy już po drugim daniu. Byłoby bardzo nieuprzejmie z jej strony teraz

się pokazać.

Pani Rodelle rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, po czym odparła:

– Byłabym wdzięczna, gdybyś zaniósł jej posiłek. Dziękuję.

Uklonił się, wycofał i okrążył stół, by nałożyć jedzenia na talerz. Pieczywa już zabrakło. Uznał, że dziewczyna jakoś to przeżyje, ale w tym momencie przywołała go panna siedząca po prawej stronie pani Rodelle. Podszedł do niej, krzywiąc się w duchu, ale ona ku jego zaskoczeniu podała mu chleb.

– Zanieś jej, ja jeszcze mam. – Lady Clare uśmiechnęła się i spojrzała mu prosto w oczy jako jedyna z całej grupy.

A więc nie wszystkie były snobkami.

Wyszedł z jadalni i ruszył ciemnymi korytarzami, których układu zdołał nauczyć się na pamięć w tym krótkim czasie od przyjazdu. Pod drzwiami biblioteki wsparł tacę na kolanie, otworzył drzwi i pchnął je łokciem. *Podaj jedzenie, przypatrz się jej i wracaj do koszar.* Sądząc po miejscu, w którym znajdowało się puste nakrycie na stole, oraz pogardliwym zachowaniu lady Jacqueline, mógł przypuszczać, że chodzi o ostatnią dziewczynę na liście, lady Broadmoor. Wątpił jednak, by zdołał tego wieczoru poznać jej imię.

Siedziała przy stole, obok paleniska. Nie podniosła wzroku, więc podchodząc, odchrząknął i powiedział:

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale przyniosłem coś do jedzenia. Towarzyszki uznały, że już się nie zjawisz, pani.

Dziewczyna uniosła głowę znad stosu książek.

– Och, dziękuję. – Wstała, odsunęła papiery i książki na bok. – Trochę nabałaganiałam, ale przekaz służącemu, że posprzątam przed wyjściem.

Pisała coś w księdze sporych rozmiarów. Przysunął się bliżej, starając się zachować dyskrecję. Mniej więcej połowa kart była zapisana. Księgę podzielono na sekcje zaznaczone zagiętymi rogami, więc nie był to pamiętnik. Omiótł wzrokiem leżące dokoła kartki. Na każdej z nich widniało nazwisko mężczyzny. Na stronie księgi dostrzegł tekst przekopiowany z leżącej obok notatki. Interesujące.

Staranny charakter pisma przypominał ten z listu, który przysłała swatka. Dziwny zbieg okoliczności, zwłaszcza biorąc pod uwagę, czego dotyczyły notatki. Próbował coś jeszcze dojrzeć, ale w tym momencie zebrała część kartek i wsunęła je między strony księgi, po czym ją zamknęła. Następnie położyła na niej kilka książek i odsunęła stos na bok. Zebrała też pozostałe kartki i wrzuciła do ognia. Kiedy buchnęły płomienie, mógł przyjrzeć się jej twarzy.

Wyglądała młodo, na jakieś szesnaście lat, była raczej wysoka, chociaż być

może tylko za sprawą butów. Jej twarzy brakowało lalkowatej urody pozostałych panien, za to uśmiech zdawał się szczery. W tym świetle nie mógł stwierdzić, jakiego koloru ma oczy. Z warkocza wysunęły się drobne kosmyki, które wyglądały jak rozwiane wiatrem. Koloru włosów również nie umiał określić, w blasku tańczących płomieni połyskiwały złotem i czerwienią. I albo cienie płały mu figła, albo miała lekki garb na nosie, jakby kiedyś został on złamany.

Otwarcie odpowiedziała na jego spojrzenie i pozwoliła mu się przyglądać bez śladu zażenowania czy oburzenia. Kiedy zmierzyła go wzrokiem, podwinęła palce, w których trzymał tacę, nagle przypomniał sobie, że ma brudne paznokcie.

Wskazała na stół.

– Postaw gdziekolwiek. Dalej sama dam sobie radę.

Nagle dotarło do niego, że gapi się na nią już od dłuższej chwili, więc pospiesznie postawił tacę, nieco zbyt gwałtownie, wychlapując zupę i brzęcząc sztućcami.

Wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc.

– Chyba cię wcześniej nie widziałam.

– Nie, pani – odparł, wycierając zupę ściereczką. – Przybyłem wraz z eskortą. Mieli braki w kuchni, więc skierowano mnie do pomocy.

– Jesteś żołnierzem? – Oczy jej zaśniły. Przytaknął. – Miło, że pomagasz. Poza tym kto by nie chciał popatrzeć na nasze piękne panny. Szpiegujesz dla swojego dowódcy? – rzuciła lekkim tonem. Drgnął i natychmiast skarcił się za to w myślach. Ciągnęła, jak gdyby nie zauważyła reakcji. – To raczej całkiem normalne, że ludzie są ich ciekawi.

Mówiła o grupie, jakby nie była jej częścią. Albo – dziwne – jakby stała na jej czele. Nagle, przypominając sobie, jak powinien się zachowywać, wyprostował się i uklonił.

– Ash Carter, pani. Głównie pełnię funkcję woźnicy.

Lekki uśmiech na jej twarzy nagle stał się tęskny.

– Ash. Jesion. Jakie ładne imię. Przypomina mi lasy, w których dorastałam. Od jak dawna jesteś w kawalerii?

– Przez całe życie, pani. Służyłem pod dowództwem kapitana Quinna, odkąd tylko je objął, ale znam go od dziecka. – Urwał, bo zdał sobie sprawę, że zdradził więcej informacji, niż powinien.

Przekrzywiła głowę na bok jak ptak i popatrzyła na niego. Czuł, że popełnił błąd, ale nie wiedział, w którym miejscu.



– Cóż, panie Ash – powiedziała. – Mam na imię Sagerra, miło mi cię poznać. Co przyniosłeś?

– Kurczak na zimno z sosem morelowym i warzywami, pani, a także chleb, ser i masło. A to specjalność kuchni. – Uniósł pokrywkę znad miski. – Zupa cebulowa.

Lady Sagerra pochyliła się i powąchała parę unoszącą się znad zupy, ale natychmiast cofnęła się z odrazą.

– Fuj. Tutaj do wszystkiego dodają cebulę. Wolę nawet nie myśleć, jak smakuje zupa z samej cebuli.

Jego dłoń z pokrywką zawisła w powietrzu.

– Doprawdy, pani? To moje ulubione danie.

Ruchem ręki nakazała mu przykryć miskę.

– W takim razie możesz ją zjeść.

– Ależ, pani, nie mógłbym.

– Dlaczego nie? Jeśli odeślę ją do kuchni, co z nią zrobią?

Zamrugął.

– Dadzą świniom, jak przypuszczam.

– A ty nic nie dostaniesz.

Potrząsnął głową.

– Później zjem coś w kuchni, pani.

Sagerra wydała z siebie dźwięk przypominający wymioty, całkowicie niegodny damy.

– Jak sobie chcesz, ale pewnie będziesz miał szczęście, jeśli trafią ci się zimne resztki. A pieczeń wieprzowa w przyszłym tygodniu będzie smakowała cebulą.

Stłumił uśmiech. Może mógłby zrobić z tej znajomości kontakt, o który chodziło żołnierzom. Tym bardziej, że księga wydawała się bardzo interesująca. Nie chciał jednak być zbyt gorliwy.

– Pani, to naprawdę niestosowne.

– Proszę – powiedziała. – Po prostu usiądź, odpręż się na chwilę. Przez cały dzień z nikim nie rozmawiałam. I nigdy nie rozmawiałam z żołnierzem.

Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Sagerra rzuciła mu łyżkę, a on chwycił ją z nieśmiałym uśmiechem.

– Nie wiem, czy będzie ze mnie wielki pożytek, pani.

– To jedz. – Przełamała chleb i pochyliła się nad stołem, podając mu część. Zerknął nerwowo. Była znacznie większa niż ta, którą Sagerra zachowała dla siebie. – Nie jestem bardzo głodna.

Przyjął chleb, uważając, by nie dotknąć jej palców.

– Dziękuję, pani.

Odchyliła się na oparcie krzesła i zaczęła jeść. Poszedł za jej przykładem. Milczał, ale co chwila zerkał na księgę leżącą na brzegu stołu. Do czego służyła?

– A więc – odezwała się, kiedy już uporała się z połową porcji – skąd pochodzisz? Z okolic Doliny Tenne?

Przeżuł i dopiero wtedy odpowiedział.

– Tak. Skąd wiedziałaś, pani? – *I dlaczego cię to interesuje?* – dodał w myślach.

– Tak szybko wypowiadasz słowa, zauważyłam ten sposób mówienia u ludzi mieszkających po tamtej stronie gór.

Odprężył się nieco. Jedną z pierwszych rzeczy, na które z kolei on zwrócił uwagę, był jej akcent z Crescery – robiła lekką pauzę w niektórych słowach, które on wypowiadał płynniej, jak na przykład przy-niosłeś, wy-powiadasz.

– Odszedłem z domu w wieku dziewięciu lat, kiedy wstąpiłem do wojska, ale dom pewnie został we mnie na zawsze.

– Tęsknisz?

Odpowiedź wymagała pewnej dozy prawdy, ale niezbyt wielkiej.

– Początkowo tęskniłem, ale miałem mnóstwo zajęć, to pomagało. Teraz armia jest moją rodziną.

Nagle pomyślał, że ona też zostawiła rodzinę, ale w przeciwieństwie do niego już nigdy nie wróci do domu. Czy czuła się teraz tak, jak on wiele lat temu, kiedy podróżował w nieznane, gdy czuł podekscytowanie i odpowiedzialność związaną z pełnionymi obowiązkami, ale także samotność i lęk przed przyszłością? Znów zerknął na księgę leżącą na dole stosu i zastanawiał się, czy tak jak niegdyś on, dziewczyna specjalnie pogрузыła się w pracy, by zapomnieć.

W polu jego wzroku pojawiła się dłoń Sagerry. Zdjęła książkę leżącą na samej górze.

– Na to patrzyłeś?

– Nie, pani – odparł pospiesznie.

Zbyt późno zrozumiał, że nie miała na myśli księgi z notatkami.

– Och. – Wydawała się rozczarowana. – Cóż, to całkiem interesujący opis rządów króla Pascala Trzeciego. Kojarzysz go?

Wiedział całkiem sporo na temat władców Demory, ale nie chciał się z tym przed nią zdradzać.

– Niespecjalnie, pani.

Sagerra westchnęła.

– Żołnierze zapewne nie muszą znać historii. – Położyła książkę z powrotem

na stosie i wróciła do jedzenia. – Pewnie liczyłam na zbyt wiele.

Miała żołnierzy za niewykształconych ignorantów, z którymi nie warto rozmawiać. Pochylił się nad miską, by ukryć rumieniec zalewający mu twarz.

– Czy w ogóle przeszedłeś jakąś edukację podczas treningu wojskowego? – spytała.

*Nie*, miał ochotę odburknąć. *Uczyliśmy się tylko machać bronią i maszerować.* Zamiast tego odchrząknął i powiedział:

– Na pewno nie taką jak ty, pani.

Wiedział, że musi zważać na ton głosu, bo inaczej wpakuje się w kłopoty. Albo gorzej, straci legendę i wyjdzie na durnia w oczach całej kompanii.

– Edukacja pewnie nie gra większej roli w twoim przypadku – rzuciła.

Zacisnął szczęki i wbił wzrok w kawałek chleba rozpuszczający się w już zimnej zupie.

– Pewnie tak jest w życiu łatwiej – dodała.

– Łatwiej, kiedy jest się tępym nieukiem? – warknął, zanim zdążył się powstrzymać.

Zmarszczyła brwi.

– Nie to miałam na myśli.

– Łatwiej, kiedy jest się posłusznym jak dziecko? Kiedy niczego się nie kwestionuje? – Być może w jej oskarżeniach krył się element prawdy, ale i tak odczuł je jak zniewagę.

– Ależ oczywiście, że nie – odparła. – Ale... sukces armii zależy w dużym stopniu od tego, czy żołnierze wykonują rozkazy, chyba się ze mną zgodzisz?

– Nie wiedziałem, że taka z ciebie ekspertka w kwestiach militarnych, pani.

Sagerra ciężko westchnęła.

– Słuchasz rozkazów czy nie słuchasz?

Gdyby nie słuchał, toby go tu teraz nie było.

– Słucham.

– Próbowalesz kiedykolwiek je podważać bądź się od nich wykręcać?

– Nie, pani. – Powiedział i odwrócił wzrok.

– Tylko o to mi chodziło, panie Carter – odparła, lekko zapadając się na krześle. – Nawet trochę się z tym utożsamiam. Łączy nas więcej, niż przypuszczasz...

– Jest raczej oczywiste, że nie łączy nas absolutnie nic, pani. – Odsunął się od stołu i wstał. – Pójdę już, jeśli pozwolisz.

I wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Zamykając za sobą drzwi, dostrzegł jeszcze jej twarz, czerwoną z gniewu.

I pomyśleć, że z początku ją polubił. Wydawała się bezpretensjonalna, lecz była taka sama jak te wszystkie dziewczęta znajdujące się jedynie na modzie i wiedzy z książek.

Pomaszerował do koszar, ignorując wszystkich po drodze. W połowie drogi uprzytomnił sobie, że pewnie powinien komuś powiedzieć, że zostawił w bibliotece naczynia, uznał jednak, że lady Sagerra sama może znaleźć służącego, który się tym zajmie. Żołnierze są w końcu zbyt tępi, by samodzielnie podejmować decyzje.

Jakaś część jego umysłu wiedziała, że to nie była wina Sagerry. Kobieta, szczególnie taka, która dorastała na sennej wsi w Crescerze, nie musi mieć wiedzy na temat wojska. Sama mówiła, że nigdy wcześniej nie rozmawiała z żołnierzem. Gdyby nie grał roli woźnicy, udowodniłby, jaki jest wykształcony, wytłumaczyłby, że najlepsi żołnierze zawsze potrafią myśleć.

Ale co do wagi wykonywania rozkazów nie była daleka od prawdy.

Nawet nie zauważył, kiedy dotarł do drzwi pomieszczenia, które zajmował kapitan. Rozejrzał się, stwierdził, że w korytarzu nikogo nie ma. Zastukał według ustalonego kodu. Po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi, otworzył drzwi i wszedł, żeby napisać raport.

## 14

W drzwiach pokazała się głowa Sage. Darnessa podniosła wzrok znad robótki.

– Chciałam tylko powiedzieć, że idę spać.

– Dostałaś kolację?

– Tak, służący przyniósł mi jedzenie do biblioteki. Domyślam się, że ty go przysłałaś.

Darnessa potaknęła.

– Zgadza się. Ale nie powinnaś unikać dziewcząt.

– Miałam sporo pracy. – Sage zawahała się. – Wiedziałaś, że ten służący w rzeczywistości jest jednym z żołnierzy z eskorty?

– Naprawdę?

Sage szerzej otworzyła drzwi, przestąpiła próg i zamknęła je, opierając się o nie plecami.

– Powiedział, że posłano go do pomocy, ale mnie się wydaje, że tak naprawdę szpieguje dla kapitana Quinna.

Darnessa zachichotała.

– Szkoda, że nie słyszałaś, co przy kolacji wygadywały panny na temat oficerów. Byłyby zachwycone, gdyby się dowiedziały, że są pod obserwacją. – Uniosła wzrok. Sage z namysłem ściągnęła brwi. – Jesteś zaskoczona?

– Pewnie ma to sens z punktu widzenia wojskowości. – Wzruszyła ramionami. – Odpowiadają za nas.

Oczywiście Sage nie dostrzegła romantycznego aspektu całej sytuacji.

– Początkowo sądziłam, że chłopak mógłby posłużyć za dobre źródło informacji na temat oficerów – podjęła. – Próbowałam wciągnąć go w rozmowę i skłonić do mówienia.

Słyszając gniew w głosie Sage, Darnessa uniosła głowę i spojrzała na nią.

– Nie poszło najlepiej?

– Nie. – Dziewczyna rozłożyła ręce. – Wściekł się! A ja zapytałam go tylko, jaką zdobył edukację.

– I oczywiście wcale nie potraktowałaś go protekcjonalnie. – Darnessa pokręciła głową, znów skupiając wzrok na robótkce.

– To nie moja wina, że jest ignorantem!

Darnessa westchnęła.

– Nie każdy lubi książki tak bardzo jak ty, Sage.

– Aha, bardzo mi się przydają w tej pracy. – Sage splotła ramiona na piersi i znów oparła plecy o drzwi.

Darnessa skrzywiła się.

– Może w takim razie powinnaś skupić się na tym, co może ci w niej pomóc. Na przykład poznać te dziewczęta. – Wskazała na drzwi, przy których stała Sage. – Musimy znaleźć dla nich odpowiednie partie.

– Już przecież wybrałaś kandydatki – zaprotestowała Sage. – Co więcej można zrobić, zanim dotrzemy na miejsce?

– Jak chcesz skutecznie je wyswatać, kiedy ich nie znasz?

– Wiem, co o mnie myślą.

– A czyja to wina? Po ledwo dwóch minutach rozmowy zaczęłaś je obrażać.

Sage oblała się rumieńcem, ale nic nie powiedziała. Pod nieustępliwym wzrokiem Darnessy zaczęła niespokojnie kręcić palcami.

– Dowiedziałaś się, jak ten żołnierz się nazywa, w razie gdybym coś o nim usłyszała?

– Ash Carter. Woźnica. – Sage patrzyła na płomienie w palenisku i nie zauważyła reakcji Darnessy, która aż podskoczyła.

*Ash Carter!*

Darnessa pospiesznie utkwiała wzrok w robótce. Wiele osób wiedziało, że król ma syna o imieniu Ash – było to jedno z popularniejszych imion nadawanych chłopcom urodzonym poza małżeństwem – ale bardzo niewielu wiedziało, że nazwisko matki brzmi Carter. Oficjalnie chłopak nosił nazwisko Devlinore. Nieślubny syn służył pod rozkazami generała Quinna wraz z następcą tronu. Wydawało się logiczne, że posługuje się nazwiskiem matki, by zachować dyskrecję. Jeśli to rzeczywiście był on, należało ten fakt uznać za szczęśliwe zrzęczenie losu.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej prawdopodobne wydawało się, że to naprawdę on; pewnie postanowił skorzystać z okazji, by odwiedzić rodzinę i przyjaciół w Tennesolu. I nie był oficerem – nie istniały żadne ograniczenia w kwestii małżeństwa. Próbowała przypomnieć sobie młodzieńca podającego do stołu. Miał ciemną skórę. Jego matka, podobnie zresztą jak matka księcia, pochodziła z Aristelu, więc wszystko się zgadzało. Sage mogłaby sprawdzić te domysły, o ile nie zaprzepaściła tej szansy.

– Rozmawiałaś z nim o czymś jeszcze?

– Odbyliśmy miłą pogawędkę. Zrobił na mnie wrażenie osoby, z którą mogłabym znaleźć dobre porozumienie, gdybym tylko nie musiała zachowywać

się jak jedna z naszych panienek na wydaniu.

W głosie Sage słychać było nutkę żalu, co bardzo ucieszyło Darnesę, ale coś innego z kolei wzbudziło jej niepokój.

– Miejmy nadzieję, że nie opowie o waszym spotkaniu innym żołnierzom. Trudniej byłoby zebrać informacje na ich temat.

Sage drgnęła. Dobrze. Kiedy ochłonie, zrozumie, że musi przeprosić. Trzeba tylko sprawić, by myślała, że to jej własny pomysł.

– Lepiej już się położyć – powiedziała Darnessa. – Jutro wcześniej wstajemy.

Sage kiwnęła głową.

– Dobranoc.

Darnessa zaczekała, aż zamkną się drzwi. Wtedy pozwoliła sobie na uśmiech, który bardzo długo powstrzymywała.

*Och, dzika Sage, jeszcze znajdę dla ciebie kogoś odpowiedniego.*

Kiedy Charlie przyniósł kolację, Quinn właśnie studiował zapisany notatkami pergamin. Zerknąwszy na świecę służącą do mierzenia czasu, stwierdził, że paż od dawna powinien leżeć w łóżku, nie zamierzał jednak strofować go za to, że się nim opiekuje. Ale kiedy nieco później w pokoju zgromadzili się oficerowie, taca pozostała nietknięta. Jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w kartę, w końcu położył ją na jednym ze stosów papierów wznoszących się na biurku i podniósł wzrok.

– Wybaczenie, zamyśliłem się. – Przeprosiny nie były potrzebne, ale w przeszłości sam czasami musiał czekać w takich sytuacjach, bo oficerowie próbowali w ten sposób podkreślać swoją rangę. Uważał to za odrażający zwyczaj. Chwycił czystą kartę i zanurzył pióro w atramencie. – Słucham.

Każdy po kolei opowiadał, jakie informacje zdołała zdobyć jego grupa na temat domu, jego mieszkańców, rozkładu dnia i otaczających ziem. Quinn prędko wypełnił kartę notatkami i wkrótce musiał rozpocząć kolejną. W końcu rzucił pióro i rozprostował prawą dłoń.

– Świetnie. Jest jeszcze trochę dziur, ale z czasem wszyscy się zorientują, jakie informacje mogą nam się przydać.

Odchylił się na oparcie, zagryzł wargę i podjął:

– Często najlepszym źródłem informacji okazuje się służba, więc niech wasi ludzie spieszą do pomocy i zadają dużo pytań. Mogą flirtować ze służącymi, ale bez przesady. Co przypomniało mi... – Pochylił się, szukając stosownej karty. – Tu są notatki Myszy na temat panien, które eskortujemy. Zapamiętajcie imiona i jutro skojarzcie je z twarzami.

Casseck wziął kartę do ręki, zaczął czytać. Przy ostatnim punkcie zmarszczył brwi.

– Dlaczego przy tej ostatniej osobie jest więcej informacji niż przy pozostałych?

– Mysz z nią rozmawiał. Siedziała w bibliotece, a on zaniósł jej jedzenie.

Cass popatrzył na niego znad kartki, po czym podał ją Gramwellowi. Quinn zignorował jego spojrzenie.

Robert zerknął ponad ramieniem Gramwella.

– Robi notatki na temat ludzi. Co to znaczy?



– Przepisywała notki na temat różnych osób wysokiego pochodzenia. Co lubią, a czego nie, jak wyglądają, jaki posiadają majątek, tego rodzaju rzeczy. Nic niepokojącego.

– Według mnie jednak brzmi trochę niepokojąco. – Cass uniósł brew.

– Początkowo też tak uważałem – odparł Quinn. – Ale pomyślałem, że przecież ma najniższe pochodzenie z tych wszystkich panien, więc pewnie próbuje wkraść się w łaski swatki, wykonując za nią część pracy. Pani Rodelle zbliża się do pięćdziesiątki, może ciężko jej samej zbierać wszystkie informacje.

Gramwell kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

– Brzmi prawdopodobnie.

– To wszystko, co mam. – Spuścił wzrok na znak, że spotkanie skończone, jednak widział, że Casseck ma jeszcze pytania. Zasalutował tak jak pozostali, ale kiedy Robert i Gramwell wyszli, on został i zamknął za nimi drzwi. Usiadł na krześle naprzeciwko Quinna i czekał. Quinn udawał, że przerzuca jakieś dokumenty. Kiedy byli sam na sam, rezygnowali z formalności, ale Casseck zawsze czekał, aż to Quinn zacznie rozmowę.

W końcu odchylił się na oparcie krzesła i zapytał:

– Co jest, Cass?

Casseck wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że Mysz nie zdobył mocnego kontaktu w grupie. A wydaje mi się, że taki był cel.

– Nie poznał jeszcze wszystkich. O co ci chodzi?

– Czemu nie lady Broadmoor?

Quinn poruszył się na krześle.

– Myśleliśmy o którejś ze służących.

– Moim zdaniem ona lepiej się nada. Sam stwierdziłeś, że może wywierać wpływ na swatkę. Mogłaby się przydać w razie kłopotów.

Cass miał rację. Quinn spojrzał na sprawozdanie Asha dotyczące patroli z kilku ostatnich dni. Widziano w okolicy kolejną grupę Kimisarów. Trzeba będzie napisać o tym w raporcie, kiedy tylko zjawi się kurier.

– Poza tym – ciągnął Casseck – tu jest napisane, że to ona nawiązała rozmowę. Dziwię się, że Mysz nie skorzystał z takiej okazji.

– Rozmowa skończyła się, kiedy dziewczyna zasugerowała, że armia to gromada prostaków.

– Czytałem. – Cass pochylił się do przodu, opierając ręce na stole. – Ale to nie ma sensu. Jest tu napisane, że zaczęła rozmowę przyjaźnie, nawet podzieliła się z nim kolacją, więc niby dlaczego nagle miałyby go obrazić? Mysz jest czasem

przewrażliwiony. Nie pierwszy raz by się zdarzyło, że wyciągnął pochopne wnioski.

Quinn mruknął.

– Może masz rację. – Przeciągnął dłonią po zmierzwionych włosach i podrapał się po karku. – W każdym razie wyszedł obrażony. Nie sędzę, żeby jeszcze chciała z nim rozmawiać.

– Mógłbym interweniować, wyjaśnić jej, że Mysz jest drażliwy w kwestii edukacji, bo nie nauczył się czytać.

Po namyśle Quinn odparł:

– Wiesz, to całkiem niegłupie. Jeśli jeszcze kiedyś zanieśie jej kolację, dziewczyna będzie się czuła bezpiecznie i może nie zamknie przy nim księgi z notatkami. Mógłby zerknąć, co jest w środku.

– Myślałem, że cię to nie niepokoi.

– Ostrożności nigdy zbyt wiele.

– Oczywiście – zgodził się Cass. – Ale może wątpisz, czy Mysz da sobie z nią radę. Ładna jest?

Quinn natychmiast się zjeżył.

– Moi żołnierze nie są tutaj dla flirtu, a już na pewno nie z pannami jadącymi na Concordium.

– Oczywiście, że nie – przytaknął skwapliwie Casseck. Quinn lekko się uśmiechnął. – A więc mam z nią jutro porozmawiać? Załagodzić sprawę w imieniu Myszy?

*Mysz narobił niezłego bałaganu.* Quinn westchnął w duchu.

– Dobrze. Spróbuj. Jeśli się uda, zrobimy z niej kontakt.

Casseck wstał i przeciągnął się.

– Tylko upewnij się, że Mysz jest gotowy odegrać tę rolę. – Obrócił się w stronę drzwi. – I prześpij się, Alex. Kilka nadchodzących tygodni będzie trudniejszych, niż ci się wydaje. – Zatrzymał się jeszcze z ręką na klamce. – Musimy nadać jej kryptonim.

Quinn, stukając czubkiem pióra o blat, po raz dziesiąty przeczytał notatki Myszy. Te panienki przypominały mu stado trajkoczących ptaków podążających za przywódcą.

– Szpak.

Cass kiwnął głową i otworzył drzwi.

– Szpaki to inteligentne ptaszki.

– Wiem. I irytujące jak nie wiem co.

Wczesnym rankiem tragarze przyszedli po skrzynie podróżne. Sage była gotowa do wyjazdu, ale niektóre panny trzeba było popędzać i upominać. Ponieważ wszędzie kręciła się służba i panowało niezłe zamieszanie, zdusiła w sobie chęć do pomocy i wyszła za tragarzem niosącym jej skrzynię na dziedziniec zewnętrzny, gdzie już czekały wozy ustawione rzędem. Poranek był chłodnawy. Sage mocniej otuliła się płaszczem, szukając w tłumie twarzy chłopaka, z którym rozmawiała poprzedniego wieczoru. Znalazła go po kilku minutach, gdy właśnie naciągał szeroki kawał tkaniny na jeden z wozów.

Wzór z motywem róży wskazywał na szczególną pozycję podróżnych. Zwykle był zarezerwowany dla rodziny królewskiej. Zawsze była jakaś księżniczka o imieniu Rose, wiele rodzin posługiwało się różnymi wariantami tego imienia, by zasugerować powiązania z królem – na przykład w ich grupie znajdowała się Rosalynn. Dość ironicznie, ponieważ zwykle imiona wywodzące się od kwiatów i roślin oznaczały nieślubne bądź bardzo niskie urodzenie. Chociaż nie w jej przypadku – po prostu ojciec z radością zlekceważył konwencje.

Sage przyglądała się, jak Ash Carter przymocowuje tkaninę do ramy. Jego imię również wskazywało, że jest bękartem lub wieśniakiem. To jej nie przeszkadzało. Był wyższy, niż początkowo sądziła, i szeroki w barach, ale nie potężny. Służalcza postawa, którą przybrał poprzedniego wieczoru, znikła bez śladu, teraz poruszał się energicznie i z wielką pewnością siebie. Wyminęła stos bagaży, by podejść bliżej i porozmawiać z nim, nie przyciągając spojrzeń. Chociaż przypuszczała, że nie potraktuje jej niegrzecznie w obecności tylu innych ludzi.

Nagle zobaczyła przed sobą czarny mundur jeźdźca. Podniosła wzrok i spojrzała prosto w niebieskie oczy spoglądające przyjaźnie spod czupryny w słomkowym kolorze. Porucznik, sądząc po srebrnej belce na kołnierzu.

– Dzień dobry – powiedział. – Mogę jakoś pomóc? Wyglądasz, pani, jakbyś coś zgubiła.

– Wybacz, sir – odparła – ale chciałam pomówić z woźnicą. Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem i chyba opacznie zrozumiał moje słowa. Pragnę go przeprosić.

Porucznik spojrział przez ramię.

– Słyszałem.

Było aż tak źle? Czy teraz wszyscy żołnierze się na nią obrazili? Ale porucznik nie wyglądał na rozgniewanego. Przeciwnie, uśmiechał się.

To była dobra okazja, by zacząć zbierać informacje na temat oficerów, o które prosiła Darnessa. Sage wiedziała jednak, że niczego nie wskóra, dopóki nie pogodzi się z Ashem Carterem. A może uda jej się jedno i drugie.

Żołnierz podał jej ramię.

– Pani, pozwól, że będę pośredniczył. Widzę, że nie zaznasz spokoju, dopóki ta sprawa się nie wyjaśni. A przy okazji, jestem porucznik Casseck.

– Dziękuję. – Wzięła go pod ramię i pozwoliła się prowadzić. – Miło mi, nazywam się Sagerra Broadmoor.

– Musisz zrozumieć, pani – powiedział porucznik – Carter jest nieco drażliwy, ponieważ nie umie czytać.

Spojrziała na niego ze zdumieniem.

– Nie umie czytać?

Casseck wzruszył ramionami.

– To dość powszechne wśród żołnierzy. Uczą się głównie na pamięć. Jeśli ktoś nie nauczy się czytać przed wstąpieniem do armii, to już nigdy tego nie nadrobi.

– Szkoda – mruknęła.

Podeszli do wozu. Carter zeskoczył z kozła, zasalutował, jego ciemne oczy na sekundę spoczęły na ich złączonych ramionach.

– Mój wóz jest prawie gotowy, sir. – Ukłonił się Sage niezgrabnie i spojrział na nią spod prostych czarnych brwi. – Dzień dobry. To... przyjemność... znów cię widzieć, pani.

– Lady Sagerra właśnie opowiadała mi o wczorajszym wieczorze – powiedział Casseck, zanim zdążyła dojść do słowa. – Chyba ją martwi, że rozstaliście się w niezgodzie.

– Zgadza się – wtrąciła pośpiesznie Sage. – Nie chciałam cię obrazić. Wybacz mi, proszę.

– Nie ma za co przeproszać, pani. – Zawahał się, jego słowa wydawały się tak samo wymuszone jak jej. – To ja proszę o wybaczenie, że dałem ci powód do zmartwienia.

I znowu: jego dykcja i treść zdania zabrzmiały bardzo oficjalnie. W żaden sposób nie pasowały do marnej edukacji, ale Casseck mówił, że Ash uczył się na pamięć. Widocznie był zdolny.

Carter jeszcze raz się uklonił i zaczął krzątać się wokół wozu. Sage przypomniała sobie, jakim wzrokiem spojrział na leżące przed nią książki, i pomyślała, że musiał poczuć się bardzo upokorzony, kiedy mu wytknęła, że nie ma zielonego pojęcia o nauce. Wiedziała, jak w takiej sytuacji postąpiłby ojciec.

– Mogę nauczyć cię czytać – oznajmiła.

Carter odwrócił się, szeroko rozdziawiając usta ze zdumienia. Porucznik odsunął się nieco, by na nią spojrzeć.

– To bardzo szczodra propozycja z twojej strony, pani – powiedział.

I niezbyt stosowna w przypadku damy. Darnessa na pewno nie będzie zachwycona, lecz Sage pomyślała, że mogłaby owocnie wykorzystać czas spędzony z Carterem, dowiedzieć się czegoś na temat oficerów.

– Ależ to żaden problem – naciskała. – I tak niewiele mam do roboty podczas podróży. Poza tym umiejętność pisania może pomóc panu Carterowi w dalszej karierze. Sądzisz, sir, że kapitan się zgodzi?

Casseck miał jeszcze bardziej rozbawioną minę niż do tej pory. Zakrył usta dłonią i spojrział na Cartera.

– Sądzę, że kapitan Quinn wręcz przykłaśnie tej propozycji.

– Tak? – wtrącił Carter.

Jego twarz miała nieodgadniony wyraz.

– Mogę z nim pomówić – rzucił Casseck.

Sage wyczuwała napięcie między mężczyznami. Carter pewnie czuł się zakłopotany, że porucznik jej powiedział.

– Możemy zacząć od razu – zaproponowała. – Mam tabliczkę do pisania w swoim bagażu. Mogłabym siedzieć obok ciebie, kiedy będziesz powoził, i pokazywać ci litery. – Dygnęła przed porucznikiem Cassekiem i odeszła pospiesznie, zanim któryś zdążył zaprotestować. To będzie znacznie lepsza zabawa niż siedzenie w jednym powozie z gniazdem żmij. Poza tym uważała, że to przy okazji niezłe wyzwanie. Może nauczy go czytać proste zdania, zanim dotrą do Tennesolu?

Znalazła swoją skrzynię na dziedzińcu i otworzyła ją. W tym momencie pojawiła się Darnessa.

– Co ty wyprawiasz?

A więc ich obserwowała.

– Okazało się, że ten żołnierz, o którym ci wspominałam, Ash Carter, nie umie czytać, więc zaproponowałam, że go nauczę – odparła prędko, wyciągając tabliczkę. – Jeśli usiądę obok niego, panie będą miały więcej miejsca. Może przy okazji uda mi się zdobyć informacje na temat oficerów.

Urwała, czekając na protesty, ale Darnessa przyglądała się w milczeniu Casseckowi, który wciąż coś tłumaczył, i Carterowi słuchającemu z namysłem. Po chwili odwróciła się do niej.

– Tylko pamiętaj o kapeluszu – powiedziała.

Mysz przyglądał się, jak Casseck i Gramwell pomagają paniom wsiąść na wozy, powtarzając w myślach wszystkie nazwiska. Lady Broadmoor gdzieś przepadła, ale czekał, wiedząc, że zaraz będzie musiał pomóc jej wdrapać się na ławeczkę woźnicy. Przeprasiny bardzo go zaskoczyły. Poza tym sądził, że kiedy dowie się od Cassecka, że on nie umie czytać, raz na zawsze uzna, że nie ma co tracić dla niego czasu. A tymczasem zaferowała, że będzie go uczyć.

Żołnierze dosiedli koni, na dziedzińcu przeredziło się, ale jej nigdzie nie było. Czyżby zmieniła zdanie?

– Panie Carter? – usłyszał cichy głos.

Obrócił się gwałtownie, szukając jej wzrokiem. Dopiero po chwili zorientował się, że głos dochodzi z góry. Lady Broadmoor już siedziała na ławce. Na głowie miała słomkowy kapelusz, który podtrzymywała pod brodą zielona wstążka.

Chwycił lejce z haka i również wdrapał się na siedzenie.

– Jak tu się dostałaś?

Przekrzywiła głowę, unosząc jedną brew.

– Wspięłam się.

Szare. Jej oczy były szare. I zapomniał dodać „pani”.

– Przepraszam za kapelusz – dodała, dotykając szerokiego ronda i odchylając się, by nie doszło do zderzenia. – Pani Rodelle nalegała.

Na jej nosie i policzkach widniały piegi barwy miodu. Wcześniej ich nie zauważył. Z tak bliska czuł też zapach szaławii i lawendy unoszący się z jej sukni. Podobał mu się znacznie bardziej niż kwiatowe perfumy, którymi zlewały się inne panie. Odchrząknął.

– Będę mógł poświęcić uwagę lekcji dopiero za kilka minut, kiedy wyjedziemy na prostą drogę, pani.

Kiwnęła głową.

– Tak też przypuszczałam. Zrobimy tyle, ile się da. – Postukała palcami w tabliczkę na swoich kolanach, po czym niepewnym ruchem złożyła na niej dłoń.

Ławka była wystarczająco szeroka dla nich obojga, lecz niewyściełana i Ash zastanawiał się, jak długo lady Broadmoor zdoła wytrzymać te niewygody. Miał

nadzieję, że przynajmniej kilka godzin. Wydawała mu się całkiem intrygująca. Ale nadal również irytująca. Szpak to było dla niej idealne imię.

Kiedy padł rozkaz, Ash zaciął konie i powóz ruszył. Przez kilka minut panował hałas, na który składały się odgłosy koni, skrzypienie kół i dzwonienie rzędu, odbijające się echem od kamiennych murów, tak donośne, że uniemożliwiały rozmowę. Kiedy wyjechali za bramę, dźwięki przycichły, ale oboje nadal milczeli. Orszak wyjechał na drogę i rozciągnął się.

Szpak znów zaczęła bawić się tabliczką na swoich kolanach, czekając na znak z jego strony. Nie odrywając oczu od drogi, wreszcie przemówił:

– Można spytać, dlaczego chcesz mnie uczyć, pani? Nie mam jak odpłacić za twą uprzejmość.

Pytanie chyba ją zaskoczyło.

– Lubię uczyć. Kilka lat temu uczyłam swoich kuzynów. – Zabębniła palcami po tabliczce. – Jestem pewna, że ty też mógłbyś mnie czegoś nauczyć.

– Niby czego? Nie umiem nawet czytać.

– Hm. Jak sam zauważyłeś wczoraj wieczorem, niewiele wiem na temat wojska.

Gdzieś z tyłu jego głowy zapaliło się ostrzegawcze światełko. Niby po co miałyby dowiadywać się czegoś o wojsku?

– Do tej pory poznałam tylko porucznika Cassecka – ciągnęła. – A inni oficerowie?

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wszystko, co powie, wyląduje w tym jej notatniku. Nazwisk ukryć jednak nie mógł, więc wskazał najpierw na Gramwella i powiedział, że to dobry jeździec, nie wspominając przy tym, że jest też synem ambasadora.

– A wasz kapitan? – Spojrzała na ciemną postać jadącą niedaleko czoła kolumny. – Jaki jest?

Ash wzruszył ramionami.

– Przeważnie trzyma się z boku.

– Bycie dowódcą zapewne wiąże się z samotnością.

Odwrócił się i popatrzył na nią z zaskoczeniem.

– Dlaczego tak mówisz, pani?

– Cóż, może nie w przypadku akurat tego zadania, ale wyobrażam sobie, że dowódca musi liczyć się z tym, że posyła swoich ludzi na pewną śmierć. – Prawy kącik jej ust uniósł się w krzywym uśmiechu. – Raczej trudno w tej sytuacji z kimś się zaprzyjaźnić.

Albo była bardzo spostrzegawcza, albo wiedziała na temat wojska znacznie



więcej, niż chciała przyznać. Nie potrafił ocenić, która z tych możliwości bardziej go niepokoi.

– Jestem gotów zacząć w każdej chwili, pani.

– Wspaniale – odparła. – Znasz piosenkę o abecadle, tę, której uczą się dzieci?

– Trochę, ale brzmi dla mnie raczej bezsensownie.

– Od dzisiaj będzie inaczej – stwierdziła z przekonaniem, rysując na tabliczce pierwszy zestaw liter.

I tak zaczęła się lekcja. Nieco przyspieszył tempo, udając, że jednak zna więcej liter, niż mu się wydawało, na przykład te w jego imieniu czy słowach określających różne terminy wojskowe. Szpak skorzystała z okazji, by natychmiast go o nie wypytać, i kilka razy musiał udawać, że musi skupić całą uwagę na powożeniu, żeby zakończyć niewygodne pytania.

– A więc będziemy podróżować z prędkością około trzydziestu kilometrów dziennie – stwierdziła w którymś momencie. – Jak to ma się do tempa, w jakim zwykle posuwa się armia?

– Zależy. – Rozejrzał się pospiesznie w poszukiwaniu deski ratunku. – Jeśli jedzie się drogami albo... spójrz, pani. Może wypróbuję, czy czegoś się nauczył. – Wskazał na znak ustawiony na rozdrożach.

Sagerra zmarszczyła brwi i spojrzała we wskazanym kierunku.

– Śmiało.

Z trudem odczytywał kolejne litery. Dzięki jej cierplivej pomocy zdołał rozszyfrować Maple Glen i Flaxfield. Udając zadowolenie ze swoich postępów, wskazał na przekrzywiony znak, który właśnie mijali.

– A ten zaczyna się od...

– Wintermead – przerwała mu. – Tu jest napisane Wintermead.

Patrzyła prosto przed siebie.

Zerknął na nią kątem oka.

– Nie lubisz Wintermead, pani – rzucił od niechcienia.

Jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Lewą ręką chwyciła się za prawe ramię, mocno wbijając palce. Widywał podobną reakcję u żołnierzy. Kiedy felczer zszywał im rany czy nastawiał kości, szczykali się w jakieś czułe miejsce na ciele, żeby skupić uwagę na czymś innym.

– Zapomniałam, że będziemy jechać przez tę okolicę. – Sagerra dwa razy przełknęła ślinę, w końcu wydusiła: – Mój ojciec tu zmarł.

Zmarszczyła czoło i zwróciła na niego niesamowite szare oczy. Jej emocje były tak intensywne, że nie mógł po prostu odwrócić wzroku.

– Myślałam, że wreszcie się z tym pogodziłam, ale czasami mam wrażenie, że

to stało się wczoraj. Czuję się wtedy, jakby dzikie zwierzę rozrywało mnie na strzępy.

Prawą dłoń zacisnęła na ławce między nimi. Naszła go niespodziewana chęć, by przykryć ją własną dłonią, ofiarować tej dziewczynie odrobinę pocieszenia, lecz wiedział, że byłoby to bardzo niestosowne.

– Nie musimy o nim rozmawiać – powiedział. – Ale to mogłoby pomóc.

– W jaki sposób?

Wzruszył ramionami.

– Może przyniosłoby ulgę, zmniejszyło napięcie, jak wtedy, gdy zdrenuje się zaognioną ranę.

Sagerra wydeła wargi z lekko rozbawioną miną.

– Trafna, choć nieco wstrętna analogia.

Spuścił głowę.

– Przepraszam. Jestem żołnierzem. To są rzeczy, które znam.

Jej milczenie wydawało się cięższe od rytmicznych uderzeń końskich kopyt. Widział, że coś narasta w jej wnętrzu.

– Miał na imię Peter – powiedziała nagle. Jej oczy zaszkliły się, a on wstrzymał oddech, przeczekując pełen obrót kół. – Miał ciemne włosy i niebieskie oczy, zawsze czytał mi przy blasku ognia, kiedy cerowałam mu koszule. Kiedy teraz czytam, czasem słyszę w głowie jego głos. – Odwróciła się i skierowała wzrok na drogę. Dodała, tak cicho, że ledwo ją słyszał: – Boję się, że pewnego dnia zapomnę jego brzmienie.

Teraz pragnienie, by wziąć ją za rękę, tak przybrało na sile, że uniósł czapkę i podrapał się po głowie, żeby do tego nie dopuścić.

– Byłyście pewnie zdruzgotane, ty i twoja matka.

Sagerra wzruszyła ramionami.

– Zmarła na długo przedtem. Nawet jej nie pamiętam.

Czekał, ale nie wspomniała o macosze. Czyżby ojciec wychowywał ją sam? Nigdy o czymś podobnym nie słyszał. Dziewczynki osierocone przez matki zawsze przekazywano pod opiekę krewnym płci żeńskiej, w każdym razie do czasu, aż ojciec ponownie się ożenił, ale Sagerra bez wątpienia była z nim bardzo mocno związana.

– Ile miałaś lat?

– Dwanaście.

Milczała.

– Masz rodzeństwo? – spytał od niechcenia.

– Nie.

Kolejna zdawkowa odpowiedź. Coś tu nie pasowało. Czyżby za bardzo drażył? Kilka razy zapomniał dodać „pani” na końcu zdania, może ją tym zdenerwował. Gdy zastanawiał się, co robić, podjechał do nich Casseck na koniu.

– Carter. – Na ostry dźwięk jego głosu aż podskoczył. – Za chwilę zatrzymamy się na odpoczynek. – Casseck wskazał zakręt, w miejscu, gdzie droga biegła w pobliżu szerokiego strumienia i zagajnika. Wyglądało na to, że podróżni często zatrzymują się tu na popas. Z trawy niewiele zostało, widać też było resztki ognisk. – Kiedy oporzędzisz konie, kapitan Quinn chce zamienić z tobą słowo. – Skinął głową w stronę Sagerry. – Pani. – Uśmiechnęła się lekko i również skłoniła głowę.

Mysz skręcił, ale bardziej niż o tym, co robi, myślał o jej wymownym milczeniu. Czuł, że nie jest to gniew. Raczej ściana. Wiedział, ponieważ też taką miał.

Oficerowie zasiedli do posiłku w ciasnym kręgu, z dala od zasięgu wzroku i słuchu eskortowanych pań. Żołnierze kręcili się dokoła, oporzędzając konie i podając jedzenie. Charlie posługiwał oficerom, czekał z dzbanem wody w pogotowiu. Jeden z żołnierzy zaczął opowiadać prostacki dowcip, ale zaraz przyciszył głos pod karcącym spojrzeniem kapitana. Quinn spojrzał na swoich poruczników.

– Widziałem dym. Nasz żołnierz z pikiety po lewej stronie chce coś powiedzieć.

Casseck kiwnął głową.

– Kapral Mason będzie patrolował po tej stronie. Mam mu coś przekazać?

Quinn potrząsnął głową.

– Nie w tej chwili. Ktoś widział sygnał po prawej? – Trzy odmowne odpowiedzi. – Zachowajcie czujność, niedługo powinien się odezwać. Gram, jak wygląda droga z przodu?

– Czysto, sir – odparł Gramwell, przełykając jedzenie. – Dwór Darrow jest gotów nas przyjąć. Powiedziałem, że zjawimy się w porze kolacji, zostawiłem dwóch ludzi na zwiadzie.

Quinn kiwnął głową i podsunął kubek Charliemu.

– Dobrze. Jeszcze coś?

Casseck odchrząknął.

– Jak się miewa nasza Mysz?

– Dobrze, choć trochę nieswojo. Szpak zadaje wiele pytań.

Casseck spojrział na stojącą opodal grupę żołnierzy.

– Nie wyglądał nieswojo.

Quinn westchnął.

– Gra swoją rolę, nie przeszkadzajmy mu. – Upił wody, zastanawiając się nad doborem słów. – Ale coś mi tu nie pasuje. Czy ktoś zebrał na jej temat więcej informacji?

Robert pomachał ręką.

– Słyszałem, jak panie o niej rozmawiały. Mnóstwo jadu. Zazdroścą, że Cass z nią rozmawiał. – Posłał oczko Casseckowi. – Raz powiedziały „osoby jej pokroju”, jakby nie była jedną z nich. Cokolwiek to może znaczyć.

Quinn potarł kciukiem dolną wargę.

– Zdaje się, że oboje jej rodzice nie żyją. Może wychowywała się w przyklasztornym sierocińcu.

Gramwell odchrząknął.

– Na północny zachód od Galarick leżą dwór i wieś o nazwie Broadmoor. Przejeżdżałem tamtędy w drodze z Reyan. Lord Broadmoor jest bardzo szanowany, ale nic więcej o nim nie wiem.

– Jasne jak studnia – mruknął Quinn, odrywając kawałek suszonej wołowiny.

– Niby wszystko się zgadza, ale też nie za bardzo pasuje. Może być czyimś nieślubnym dzieckiem, dziewczyną szlachetnego pochodzenia, która straciła pozycję po śmierci rodziców. Albo kimś jeszcze innym.

Casseck, siedzący naprzeciwko niego, odchylił się i splótł ramiona na piersi.

– Wygląda na to, że Mysz dostał idealnie skrojone pod siebie zadanie.

Wieczorem orszak zatrzymał się w posiadłości lorda Darrowa, pierwszej z wielu, w których pani Rodelle zorganizowała noclegi. Po kolacji z udziałem lorda Sage zaszyła się w bibliotece, by zapisać w księdze wszystko, czego dowiedziała się tego dnia, i poczytać książki, które wzbudzą jej zainteresowanie. Ku jej zaskoczeniu w pewnym momencie, uporawszy się z obowiązkami, pojawił się Ash Carter i nieśmiało zapytał, czy mógłby poćwiczyć pisanie. Kiedy Sage udała się na spoczynek, Clare, która sama zaproponowała, że będzie dzielić z nią pokój, już spała, więc Sage nie musiała silić się na pogawędkę.

Drugi dzień podróży minął podobnie jak pierwszy. Po kolejnej lekcji, która skończyła się późnym wieczorem, tym razem w bibliotece lorda Ellisona, Sage wróciła do pokoju. Clare siedziała w szlafroku przy kominku, błyszczące loki tworzyły ramę wokół twarzy o kremowej cerze.

– Jesteś – powiedziała. – Zrobiłam herbaty.

Sage położyła księgę na skrzyni i spojrzała na dziewczynę. Pozostałe panny ledwo Sage dostrzegały, więc przypuszczała, że tym uprzejmym zachowaniem Clare próbuje wkraść się w jej łaski. Nie miała jednak powodów do niepokoju, była najbardziej wartościową ze wszystkich kandydatek.

Clare wzięła do ręki filiżankę ze spodkiem.

– Zastanawiałam się, czy wrócisz, zanim ostygnie.

Sage poczuła woń mięty z odrobiną pomarańczy. W bibliotece było chłodno. Nie mogła oprzeć się obietnicy ciepła, płynącego zarówno z paleniska, jak i naczyń z napojem. Usiadła na skórze baraniej, podwijając nogi, i przyjęła filiżankę z podziękowaniem.

– Późno wróciłaś.

Uznała, że nie ma sensu odpowiadać niegrzecznie.

– Znalazłam w bibliotece książkę, której nigdy dotąd nie widziałam i zapewne nigdy więcej nie zobaczę. – W niewielu domach były książki napisane po kimisarsku, choćby niewinne dzieła traktujące o geologii. – Poza tym szeregowy Carter przyszedł na lekcję czytania.

Ale nic nie wyszło z prób dowiedzenia się czegoś na temat oficerów. I wczoraj, i dzisiaj próbowała skłonić go do mówienia, okazując zainteresowanie jego życiem, co zresztą nie było trudne – armia ją fascynowała. Zwykle z

łatwością potrafiła skłonić ludzi do mówienia, on jednak, za każdym razem, gdy rozmowa skręcała na manowce, niezmiennie sprowadzał ją na prostą, przypominając o celu ich spotkania. Mimo wszystko przyjemnie było mieć tak pilnego ucznia. Szczególnie lubił przyglądać się, jak Sage pisze, zapewne dlatego, że jemu szło to na razie bardzo opornie.

Clare poprawiła szlafrok z niebieskiego jedwabiu i powiedziała:

– Pani Rodelle wspominała, że uczyłaś swoich kuzynów i sieroty we wsi. – W jej głosie nie było cienia pogardy, wbrew temu, czego spodziewała się Sage. – Stwierdziła, że jesteś szczęśliwa, tylko kiedy kogoś uczysz lub sama coś studiujesz.

Sage wydeła wargi. Poczowała się trochę nieswojo. Te słowa były bardzo bliskie prawdy.

– Wydaje mi się... – zawahała się. – Wydaje mi się, że odziedziczyłam to po ojcu. Nie mieliśmy domu, ale zawsze mieliśmy książki, które sprzedawał i pożyczał. Sam mnie wykształcił.

Wspomnienie ojca zwykle wywoływało w niej poczucie okropnej, rozdzierającej pustki, ale tym razem obudziło jedynie przytłumiony tępy ból. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że niemal brakuje jej tamtego cierpienia.

Zmieniła temat, nie dopuszczając Clare do głosu.

– Jest to również skutek uboczny przymusowego sześciomiesięcznego leżenia w łóżku. – Po jej nieudanej ucieczce wuj William wyniósł ją z wąwozu i obłożył pogruchotaną kostkę śniegiem, dopiero w domu mogli porządnie ją opatrzyć. Tymczasem wdało się zapalenie płuc, długo nie mogła go zwalczyć, również z powodu smutku i rozpacz, w której się pogrążyła. – Dwoje moich najmłodszych kuzynów przychodziło do mnie, a ja im czytałam. Nauczyłam ich liter i wkrótce wuj William odesłał ich nauczyciela.

Clare zrobiła wielkie oczy.

– Ile miałaś lat?

– Wtedy? Trzyście. Najmłodszy woleli uczyć się ode mnie, ale Jonathan się sprzeciwiał. Dzieli nas różnica zaledwie kilku lat, no i w dodatku jestem dziewczyną.

– Nigdy nie spotkałam nikogo w twoim wieku, chłopca czy dziewczyny, którzy mieliby taką wiedzę jak ty – powiedziała nieśmiało Clare. W jej głosie pobrzmiwał szczery podziw. Sage wbiła wzrok w filizankę, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. – Zawsze lubiłam lekcje bardziej niż moi bracia – ciągnęła Clare. – Chciałabym dalej się uczyć.

Czyżby Clare prosiła ją, by została jej nauczycielką?

Sage odchrząknęła.

– Jak daleko zaszłaś w swoich studiach?

– Poznałam głównie niezbędne podstawy: rachunki, czytanie i poezję. Trochę botaniki, ale ograniczonej niemal wyłącznie do roślin jadalnych. Najbardziej lubiłam historię. Zawsze kradłam braciom książki i czytałam je po nocach. – Ostatnim słowem towarzyszył łobuzerski uśmiech.

Sage poczuła, że również się uśmiecha.

– Wiesz, za dwa dni będziemy w Underwood. Przypuszczam, że mają tam sporą bibliotekę.

– Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

– Pomogę ci.

Twarz Clare rozpromieniła się.

– Byłoby wspaniale. – Przez chwilę w milczeniu popijały herbatę. W końcu Clare zagaiła: – Mogę cię o coś spytać?

Sage skrzywiła się. Teraz Clare pewnie zacznie drażnić temat swatów. Cała rozmowa miała na celu jedynie przygotowanie odpowiedniego gruntu. Może powinna poprosić Clare, żeby skłoniła do mówienia Asha Cartera. Ostrożnie kiwnęła głową i postawiła filiżankę przy palenisku.

– Dlaczego nie chcesz się zaprzyjaźnić z żadną z nas?

Sage otworzyła usta ze zdumienia – i zaraz je zamknęła.

– Może nie zauważyłaś, ale to żadna z was nie chce zaprzyjaźnić się ze mną.

– Ja chcę.

Sage podciągnęła kolana pod brodę, objęła je.

– Nigdy nie miałam przyjaciół.

– Nigdy?

Sage wzruszyła ramionami.

– Zbyt nisko urodzona dla osób szlacheckiego pochodzenia, zbyt wysoko dla pospólstwa. Tak było, kiedy mieszkałam u Broadmoorów.

– A kiedy mieszkałaś z ojcem?

– Dużo podróżowaliśmy. Większość dziewczyn brała mnie za chłopaka, bo zawsze chodziłam w spodniach. Tak więc nie.

Clare rzuciła jej spojrzenie pełne współczucia.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Miałam ojca. Nikogo więcej nie potrzebowałam.

Najwyraźniej Clare uważała takie podejście za co najmniej dziwne.

– Ja rzadko widywałam ojca. Pewnie chętnie wydałby mnie za męża już wiele lat temu, gdyby tylko prawo na to zezwalało.

– Wiesz chyba, skąd się wziął ten zapis, prawda? – Clare pokręciła głową, ale wyglądała na szczerze zaciekawioną.

Sage opuściła nogi na podłogę i sięgnęła po imbryk, by dolać sobie herbaty. Odpowiedziała, wpadając w nauczycielski ton:

– Młode dziewczęta z arystokratycznych rodzin masowo umierały przy porodach. Król Pascal Trzeci zlecił przeprowadzenie badań, które wykazały, że ciąża jest bardzo niebezpieczna dla dziewcząt poniżej siedemnastego roku życia. Chciał wydać zarządzenie w zgodzie z wynikami, ale poszedł na kompromis pod wpływem nacisków ze strony rodów szlacheckich. Od tej pory wolno zawierać śluby najwcześniej po ukończeniu szesnastego roku życia.

Clare odwróciła wzrok i zagryzła dolną wargę.

– Moja siostra wyszła za mąż w wieku szesnastu lat, dwa lata temu. A teraz moja kolej.

– Co o tym sądzisz?

Clare wzruszyła ramionami. Jej twarz była nieprzenikniona.

– To ma jakieś znaczenie?

Sage nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Często czuła, że lepiej zaakceptować to, czego nie da się zmienić, lecz przecież sama odrzuciła to, co zdawało się jej przeznaczone. Prychnęła. Może to przeznaczenie ją odrzuciło.

– A ty? – spytała Clare. – Czy pani Rodelle znajdzie dla ciebie odpowiednią partię podczas pobytu w stolicy?

Sage o mało nie wypluła herbaty.

– Skąd taki pomysł w ogóle przyszedł ci do głowy?

– Tak twierdzi Jacqueline. Wszyscy sądzą, że Darnessa w ten sposób ci zapłaci.

– Cóż, to nieprawda. – Sage postukała palcami o filiżankę. – Co jeszcze mówi?

Clare wsunęła stopy pod brzeg szlafroka.

– Że obniżam poziom, zadając się z tobą.

Sage uśmiechnęła się szeroko.

– I jak się czujesz tu daleko w dole, wśród zwykłych prostaków?

Przyjaciółka również się uśmiechnęła.

– Bardzo mi się tu podoba.



Quinn ze zmarszczonym czołem czytał informacje, które zgromadzili żołnierze podczas zwiadu w ciągu tych trzech dni od wyjazdu z Galarick. Pierwszego dnia, tuż przed przybyciem orszaku na dwór lorda Darrowa, jeden ze zwiadowców napotkał oddział Kimisarów. Następnego wieczoru zatrzymali się u lorda Ellisona i tam dostali wiadomość od kolejnego żołnierza, który również spotkał podobną grupę. Quinn, wiedząc, że nie może ścigać najeźdźców i jednocześnie zajmować się opieką nad eskortowanymi damami, kazał zwiadowcom na razie tylko śledzić podejrzaną grupę.

Tego popołudnia nadeszły wiadomości o dwóch kolejnych. Wszystkie posuwały się na wschód, podobnie jak orszak. Liczyły po dziesięciu ludzi, co oznaczało, że miały nad nimi przewagę liczebną.

Najbardziej martwił Quinna raport zwiadowcy, który szedł na samym przedzie, minął już czwarte z kolei miejsce, w którym mieli zatrzymać się na nocleg – zamek barona Underwooda – i znalazł się na terenie prowincji Tasmec. Nie widział Kimisarów, ale grupy mieszkańców Crescery, zapewne zmierzających do pracy w kopalniach na południe od Tegannu. Może nie wydałoby się to niepokojące, ale zwiadowca rozpytał się w miejscowych gospodarach i okazało się, że liczba gości wcale ostatnio nie wzrosła, więc opuścił wyznaczony mu obszar, by śledzić jedną z takich grup. Tym samym zaniedbał misję i ryzykował karę powieszenia, lecz Quinn ufał temu zwiadowcy nawet bardziej niż pozostałym.

Właśnie dojeżdżali na miejsce, gdy przybyła zakodowana wiadomość:

*Oplaceni żołnierze, nie górnicy, w sile 3 tys.*

*Obóz 60 km na południe od Tegannu. Czekam.*

*Wracam na stanowisko. – C.*

A więc w Tasmecie gromadził się cały regiment. Quinn spodziewał się, że któryś z kurierów ojca wkrótce ich dogoni, więc na razie nie wysyłał raportu. Postanowił jednak, że jeśli jutro nie zostanie kuriera w Underwood, wyśle z depeszą któregoś ze swoich ludzi.

A Szpak – lady Sagerra – niezmordowanie zadawała pytania każdego dnia, wieczorami zaś Mysz chodził do niej na lekcje prywatne. Niewinne pytania, które zawsze prowadziły do tych większej wagi. Pytania, które po zsumowaniu

mogły dostarczyć całkiem cennych informacji ich wrogom. Jak jest zorganizowana armia? Jak Ash Carter awansował? Z jakim rodzajem broni trenował i komu składa raporty? Co jedzą żołnierze? Czy kucharze i paziowie również byli ćwiczeni do walki?

Każdego wieczoru zapisywała coś w tej swojej księdze.

Każdego dnia coraz bardziej przekonywał się, że pozostałe damy nie traktują jej jak jednej z nich.

Instynkt podpowiadał mu tylko jedno.

Lady Sagerra była szpiegiem.

Czwarty ranek podróży okazał się szary i dżdżysty, ale Sage i tak zamierzała jechać na koźle obok Asha Cartera, ubrała się więc ciepło i tym razem z radością włożyła kapelusz. Damy krzątały się podekscytowane. Następny przystanek, w zamku barona Underwooda, miał potrwać aż trzy dni. Na drugi wieczór zaplanowano bankiet. Panny, chichocząc nerwowo, snuły wizje, jak to będą tańczyć z oficerami i innymi możnymi gośćmi. W pewnym momencie Sage usłyszała, jak Jacqueline mówi głośnym szeptem: „A Sagerra może tańczyć ze służbą”, a wszystkie nagrodziły ją kolejną porcją chichotów.

Sage była zbyt zajęta swoimi sprawami, by się tym przejąć. Jeśli Darnessa zorientuje się, jak mało informacji zdołała zebrać, mimo że spędzała z Carterem tyle czasu, wybuchnie piekło. Nie spała przez całą noc, zastanawiała się, jak tu go podejść.

Już siedział na swoim miejscu, wpatrzony w nisko wiszące chmury z niezadowoloną miną. Musiała dwa razy zawołać go po imieniu, zanim zwrócił na nią uwagę.

Spojrzał w dół i ściągnął czapkę.

– Dzień dobry. Obawiam się, że dzisiaj powinnaś raczej podróżować z tyłu, pani.

Sage otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale w tym momencie dostrzegła leżącą obok niego na ławce kuszę i miecz u pasa. Popatrzyła na pozostałych żołnierzy. Wszyscy mieli przy sobie dwa razy więcej broni niż zwykle. Czyżby spodziewali się kłopotów?

Znów spojrzała na Cartera i stwierdziła ze zdziwieniem, że przypiął miecz w ten sposób, by dało się go wyciągnąć prawą dłonią. A zawsze pisał – zresztą raczej marnie – lewą.

– Może tak będzie rzeczywiście najlepiej – odparła. – Przyjmij to w ramach przeprosin. – Wyciągnęła z kieszeni jabłko i rzuciła mu, mierząc w jego lewą rękę.

Przełożył lejce, które trzymał w obu dłoniach, do lewej i złapał jabłko prawą.

– Dziękuję, pani.

Dziwne.

Sage okrążyła wóz i czekała, aż nadejdzie jej kolej. Padał deszcz, a powóz nie

był niczym z tyłu osłonięty, więc żadna z dziewcząt nie chciała siedzieć z samego brzegu. Sage zajęła więc miejsce najbliżej tylnej burty, naprzeciw Clare.

Kiedy orszak ruszył, podejrzania Sage potwierdziły się. Żołnierze zachowywali wyjątkową czujność, przez cały czas przeczesywali wzrokiem linię drzew rosnących przy drodze. W pewnym momencie z lasu wypadł pies i orszak gwałtownie się zatrzymał. Pies zaraz znikł w krzakach, oni jednak czekali.

Sage wychyliła się z powozu. Carter siedział na swojej ławce, kuszę trzymał w zagłębieniu prawego ramienia. To mogło nic nie znaczyć, może nauczył się posługiwać bronią tak jak osoby praworęczne, ale z jakiegoś powodu w to wątpiła. Po co udawał przy niej, że jest leworęczny?

Tak jak pozostali wpatrywał się w las, z bardzo skupioną miną. Powiodła wzrokiem wzdłuż linii drzew, ale niczego nie dostrzegła. Kiedy znów spojrzała na Cartera, okazało się, że on też jej się przygląda.

Bez uśmiechu.

Sage schowała się pod daszkiem z materiału osłaniającym wóz. Clare, wyrwana z drzemki, rzuciła jej pytające spojrzenie. W odpowiedzi Sage wzruszyła ramionami. Pozostałe panny, nic nie rozumieją, skarżyły się na opóźnienie. Po kilku minutach pies wybiegł z krzaków jak gdyby nigdy nic, żołnierze nieco się odprężyli. Porucznik Casseck przejechał wzdłuż orszaku, powtarzając swoim ludziom, że wykonali ćwiczenie jak należy. Sądząc jednak po zaniepokojonych twarzach, nie było to żadne ćwiczenie.

Kapitan Quinn podjechał do ich powozu, a Sage znów się wychyliła, by mu się przyjrzeć. Zwykle zachowywał większą odległość. Pomyślała, że nigdy nie widziała, żeby wykonywał jakieś konkretne zadania. Nosił się dumnie niczym członek rodziny królewskiej. Przypuszczała, że przez całe życie rozpieszczano go tak, jakby naprawdę był księciem. Quinn porozmawiał chwilę z Carterem i coś mu wręczył – pergaminowy zwój niewielkich rozmiarów. Carter rozwinął go i zmarszczył brwi.

Sage szybko się schowała. Miała mętlik w głowie, ledwo zwróciła uwagę, że znów ją. Może to był wykres. A może zdążył nauczyć się na tyle, że potrafił odczytać to, co tam napisano. Robił szybkie postępy.

A może po prostu potrafił wcześniej czytać.

Zaledwie spojrzał na tę kartę i wiedziała, że nie powinna wyciągać wniosków na tak kruchej podstawie, ale ponieważ wiele wskazywało na to, że jednak jest praworęczny, nabrała poważnych podejrzeń. Tylko po co miałyby kłamać w takiej kwestii? Co mógł na tym zyskać, oprócz spędzonego z nią czasu?

Tego ranka nie wydarzyło się nic niepokojącego. Z powodu deszczu tym

razem nie zatrzymali się na odpoczynek. Przybyli do Underwood godzinę po południu, znacznie wcześniej niż zaplanowali. Na twarzach żołnierzy malowała się ulga. Wysokie mury stojące na rozstajach fortecy zapewniały skuteczne schronienie. Underwood wyznaczało granicę między Crescerą a Tasmetem, ale Tasmety od ponad jednego pokolenia był częścią Demory. W tym miejscu mogli czuć się bezpiecznie.

Sage chciała spytać porucznika Cassecka o przyczyny wzmożonej czujności – a przy okazji może przemycić aluzję na temat postępów Asha Cartera w sztuce czytania – lecz znikł gdzieś wraz z innymi oficerami, zanim zdążyła zrealizować swój plan. Ruszyła za żołnierzami noszącymi skrzynie i broń do koszar. Wszyscy ustępowali jej z drogi, ale nigdzie nie dostrzegła jasnej czupryny Cassecka. Nawet Carter gdzieś przepadł, końmi ciągnącymi powóz zaopiekował się paź. Wydawał się stanowczo za młody, żeby zajmować się taką pracą, jednak dobrze sobie radził.

Zamyśliła się. Jego rola polegała na usługiwaniu oficerom, więc powinien dobrze ich znać. Skręciła w jego stronę, kiedy odprowadzał konie do stajni.

– Witaj, młody człowieku – powiedziała. – Podróżujesz z nami od początku?

Zatrzymał się i uklonił.

– Tak, lady Saggero.

– Ach, więc znasz moje imię. Ja jednak nie znam twojego.

– Charlie Quinn, pani.

Niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Jesteś spokrewniony z kapitanem Quinnem?

Chłopak z zapałem pokiwał głową.

– To mój brat.

Sage przybrała obojętną minę.

– Wiele o nim słyszałam, pewnie jesteś z niego bardzo dumny. – Chłopak cały aż się rozpromienił, a ona poczuła wyrzuty sumienia. Nie miała ochoty manipulować dzieckiem, ale była już nieco zdesperowana.

– Nie jadłam od śniadania, a ty? – zapytała. Charlie pokręcił głową. – Kiedy skończysz oporządzać konie, może zjesz ze mną w ogrodzie? Deszcz chyba zaraz ustanie. Chciałabym zjeść na zewnątrz.

– To dla mnie zaszczyt, pani.

Jej wargi wykrzywiły się w czymś, co jak miała nadzieję, przypominało uśmiech.

– Skądże. Raczej dla mnie.

## 21

Ulga z powodu przyjazdu do Underwood nie trwała długo.

– I jeszcze dwa. – Quinn rzucił wiadomość na stół w sali spotkań. – Jeszcze dwa przekłete oddziały z Kimisararu. – Zamknął oczy, ścisnął nos między palcami. Myślał gorączkowo.

– Zwiadowca, którego posłaliśmy przodem, nie donosi o niczym nowym – zauważył Casseck.

Przeczytał notkę na skrawku papieru i podał go dalej.

– Zwiadowca, którego posłaliśmy przodem, w ogóle nie donosi – warknął Quinn. Ależ był drażliwy. Wziął głęboki wdech i otworzył oczy. – Żadnych kurierów od Galarick. Tutaj też nie czekała na nas żadna wiadomość.

– To sam wyślij kuriera – zaproponował Rob.

– Moglibyśmy się tu zaszyć i dać czerwony sygnał – rzucił Gramwell. Każdy oddział nosił ze sobą pakunki z proszkiem, który paląc się wydzielal czerwony dym, umówiony sygnał wzywający na pomoc wszystkie siły znajdujące się akurat w okolicy. – Siedemdziesięciu Kimisarów nie zdobędzie tej fortecy.

– Chyba że jest jeszcze więcej oddziałów – mruknął Rob.

Gramwell nie mógł się z nim zgodzić.

– Potrzebowaliby setek ludzi, żeby sforsować te mury. Gdyby było ich aż tylu, z pewnością byśmy o tym wiedzieli.

– Ale nie możemy tu zostać – odparł Quinn. – Underwood jest wierny diukowi, poza tym nikt nie zobaczy naszego sygnału. Wszystkie kimisarskie oddziały, które widzieli nasi zwiadowcy, zmierzały na wschód, może w ogóle ich nie obchodzimy. Jeśli jednak dowiedzą się, że jest z nami Rob, sprawa może przybrać inny obrót. Generał zorientuje się, że dawno nie miał od nas wiadomości, i sprawdzi, co się dzieje, o ile już tego nie zrobił, więc w tym momencie powinniśmy skupić się na przekazaniu do Teneholu informacji o gromadzącej się armii. Chyba nie ma wątpliwości, że D’Amiranowie coś knują, ale na razie się przyczaili.

Księżę zmarszczył brwi.

– W jakim celu?

– Co się dzieje podczas Concordium? – zapytał Quinn. – Tłusci bogaci panowie ze wszystkich zakątków Demory zostawiają swoje ziemie i udają się do

stolicy, obwieszeni złotem w takiej ilości, jak tylko są w stanie udźwignąć, pod eskortą najlepszych żołnierzy. Podróżują w tempie jeszcze wolniejszym niż my, większość wyruszyła ponad miesiąc temu. Wszyscy, którzy muszą pokonać góry, udali się na północ przez Mondeleę.

Cass uniósł brwi.

– Wszyscy są w podróży. Kiedy wieści dotrą do Tennegolu, będzie po sprawie, przejścia i przełęcz zostaną zamknięte.

Quinn kiwnął głową. Siły, które jego ojciec wysłał przez południową przełęcz, diuk D’Amiran zapewne zatrzyma w Jovanie, ale jeśli panny nie stawią się na Concordium, natychmiast zostanie ogłoszony alarm. Podczas gdy wszyscy będą zajęci handlowaniem pannami i ich posagami, D’Amiranowie wykonają kolejny ruch, zaatakują Armię Zachodnią od tyłu. Quinn starał się nie myśleć, jaki los czeka jego przyjaciół – i ojca. Widział jednak, że wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Po raz pierwszy cieszył się, że Charlie z nimi pojechał. Przy nich był bezpieczniejszy, przynajmniej odrobinę.

– To co robimy? – spytał Gramwell.

– Udajemy, że nic się nie dzieje, i zbieramy wszelkie możliwe informacje. Nasi zwiadowcy spróbują też dyskretnie pokrzyżować im plany. Może gdy pokonamy przełęcz i panie będą już bezpieczne, wyślemy grupę, żeby spaliła im zapasy czy coś w tym rodzaju. Ash na razie zostaje na swoim stanowisku i robi to, w czym jest najlepszy.

Rob odchrząknął.

– A co ze Szpakiem?

Quinn odgarnął ciemne włosy wpadające mu do oczu. Były za długie i zaczynały go irytować.

– W jakim sensie?

– Zauważyłeś, z kim spędza czas, nie licząc Myszy?

Quinn zazgrzytał zębami.

– Rob, jeśli o czymś wiesz, to natychmiast powiedz. – Kuzyn miał upodobanie do dramatycznych efektów, ale tu stawką było ludzkie życie.

– Lady Clare. – Rob powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy, ale najwyraźniej nikt nie rozumiał, co to oznacza. – Siostra Clare Holloway wyszła za hrabiego Rewela D’Amirana, brata diuka. Byłem w imieniu ojca na ich ślubie dwa lata temu.

Quinn spojrzał na Cassecka, który uniósł brwi. Dowody przeciwko Szpakowi były zwykłymi poszlakami, ale z każdym dniem ich przybywało. A teraz okazało się, że być może mają do czynienia z dwoma szpiegami.

Rozległo się pukanie do drzwi. To służąca przyniosła jedzenie. Quinn poczuł nagle, jak bardzo jest głodny; tego ranka pominął śniadanie, pochłonięty ważniejszymi sprawami, zjadł tylko jabłko. Sprzątnęli mapę ze stołu i przerwali zebranie. Właśnie zdążył pochłonąć połowę pierwszego dania i nalewał sobie wody do kubka, gdy dotarło do niego, że czegoś mu tutaj brakuje.

– Gdzie jest Charlie?



Porucznik Casseck obszedł stajnie, po czym zajrzał do kuchni, ale po Charliem nie było śladu – nie licząc wyczyszczonych i nakarmionych koni. Charlie uwielbiał usługiwać oficerom, więc Casseck bał się, że coś mu się stało. Postanowił wrócić do koszar. Jeśli i tam go nie zastanie, podniesie alarm. Wszyscy podniosą.

Wokół ogrodu biegło wysokie ogrodzenie z krzewów. Casseck spojrzał w prześwit i zatrzymał się gwałtownie. Charlie siedział w słońcu na ławce, gawędząc z lady Sagerrą, która słuchała go bardzo uważnie. Charlie majtał nogami i ilustrował swoją opowieść gwałtowną gestykulacją, a kiedy dotarł do zakończenia, Sagerra nagrodziła go śmiechem. Casseck schował się za żywopłotem, mając nadzieję, że go nie zauważą.

Sagerra podała Charliemu szeroki zwój. Teraz ona zaczęła coś opowiadać, a chłopak słuchał oczarowany. Dziewczyna zakończyła historię, udając, że uderza w coś twarzą. Charlie cały aż się skulił.

Z pewnością potrafiła rozmawiać z dziećmi.

Pochyliła się do przodu, chyba zadała pytanie, a Charlie odpowiedział z zapałem, jakby bardzo chciał jej się przypodobać. Casseck poczuł niepokój. Ale Charlie nie znał żadnych niebezpiecznych informacji, poza tym był mądrym dzieckiem. Na pewno niczego by nie zdradził. Na pewno nie specjalnie.

Na odgłos kroków na żwirze Casseck obrócił się na pięcie. To jedna z panien szła do ogrodu. Ale jak mogła chodzić w takich butach, tego nie potrafił pojąć. Jasne, starannie upięte włosy obramowały świeżo umalowaną porcelanową twarz. Natura nie poskąpiła jej kształtów. Nie żeby Casseck notorycznie gapił się w damskie dekolty, ale ten element kobiecej urody niewątpliwie przyciągał wzrok, zwłaszcza w różowej, mocno wyciętej sukni, którą owa dama miała na sobie. Napotkała jego spojrzenie i uśmiechnęła się, przełożyła parasolkę do drugiej ręki i podała mu dłoń na powitanie. Ukłonił się i uniósł ją do ust.

– Dzień dobry, pani.

– Dzień dobry. Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Wyprostował się.

– Jestem porucznik Casseck, lady Jacqueline.

Jej oczy, błękitne jak niebo, rozszerzyły się ze zdumienia.

– A więc znasz moje imię? Pochlebia mi to.

Quinn kazał im nauczyć się na pamięć imion wszystkich panien. W tym przypadku poszło łatwo – Jacqueline zawsze starała się znajdować w centrum uwagi. Ale dzięki niej mógł zbliżyć się do Sagerry i Charliego, więc podał jej ramię, mówiąc:

– Może masz ochotę pospacerować po ogrodzie, pani?

– Byłoby cudownie!

Kiedy ujęła ramię Cassecka, w jej oczach zalśnił twardy błysk. Po kilku krokach wsparła się na nim całym ciężarem ciała, jakby dokuczał jej ból czy zmęczenie. Casseck dzielnie ją podtrzymywał, odchylając się na bok, by uniknąć kolizji z parasolką, którą trzymała nad głową w drugiej dłoni. Kiedy skręcili za róg, Jacqueline zaśmiała się, chociaż wcale nie wyglądała na rozbawioną.

– Och, tam jest – rzuciła, ruchem głowy wskazując Sagerę, która popatrzyła na nich, ale zaraz skupiła całą uwagę na Charliem. Nie było to przyjazne spojrzenie. – Nie zjawiała się na obiedzie, ale wcale mnie nie dziwi, że ją tutaj zastałam. Można by przypuszczać, że z powodu tych wszystkich piegów będzie unikać słońca, ale mnie się wydaje, że gdyby tylko mogła, pewnie również spałaby pod gołym niebem.

Jacqueline skierowała kroki w przeciwną stronę, by uniknąć spotkania z Sagerą. Casseck niechętnie ruszył za nią. Znał wprawdzie odpowiedź, ale i tak zapytał:

– Ale przyjaźnisz się z lady Sagerą, pani?

– Ależ skąd! Nie zadaję się z pospółstwem. – Casseck zamarł w połowie kroku. Jacqueline spojrzała na niego. – Nie wiedziałeś? – Zrobiła zmartwioną minę. – Och! Myślałam, że swatka wam powiedziała, sądząc po tym, jak się nami opiekujecie. Nie mogę uwierzyć, że nic nie powiedziała.

– Lady Jacqueline, chcesz powiedzieć, że Sagera nie pochodzi z arystokratycznego rodu?

Zamachała rękami, aż jej lakierowane paznokcie błysnęły w powietrzu, po czym chwyciła go za ramię.

– Proszę nikomu nie powtarzać, sir. Ja... sądziłam, że wiecie.

– To co robi w waszym towarzystwie? – Widział, że Jacqueline bardzo chce mu to powiedzieć.

– To już wie tylko pani Rodelle. Z jakiegoś powodu nie chciały, żeby ktokolwiek się dowiedział. Nawet nie wiem, jak naprawdę brzmi jej nazwisko. – Jacqueline zwróciła na niego błagalne spojrzenie, oddychając tak ciężko, że Casseck zaczął się martwić, czy jej gorset to wytrzyma. – Nie powinnam była

nic mówić! Proszę, sir, obiecaj, że nikomu nie powiesz!  
– Ależ oczywiście, pani.

Charlie stał na baczność z zadowoloną miną.

– Sir, jadłem obiad w towarzystwie lady Sagerry. Chciałbym zdać raport na temat naszej rozmowy.

Quinn sam nie wiedział, czy ma na niego nakrzyczeć, czy się roześmiać. Casseck, z trudem zachowując kamienną twarz, oparł się o zamknięte drzwi za plecami Charliego. Quinn zmusił się, by spojrzeć surowo na brata.

– Nie poprosiłeś o pozwolenie. Porucznik Casseck poszedł cię szukać.

– Mówiliście, że musimy się więcej o niej dowiedzieć. Akurat nadarzyła się okazja – odparł Charlie z powagą.

Cass zaczął kaszleć. Quinn odchylił się na oparcie krzesła i zasłonił usta dłonią.

– No dobrze. Słucham.

– Przede wszystkim chciałbym zapewnić, że nie rozmawialiśmy o Myszy. Zresztą nawet o niego nie pytała.

Quinn nieco się rozluźnił.

– Czego się dowiedziałeś?

Charlie uśmiechnął się triumfalnie.

– W zeszłym miesiącu skończyła siedemnaście lat. – Wiek miał dla niego duże znaczenie.

Zaczął snuć opowieść o połamanych kościach, łażeniu po drzewach i lekcjach udzielanych czworgu kuzynom, podczas gdy mieszkała u ciotki i wuja we dworze Broadmoor.

Niezbyt przydatne informacje, ale Mysz nawet tyle nie zdołał z niej wyciągnąć.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

– Głównie ja mówiłem. Chciała dowiedzieć się czegoś na temat mojego domu i rodziny. Opowiadałem o tym, jak zostałem paziem, o podróżach z armią, miejscach, które widziałem i nauce, którą chcę przejść, żeby kiedyś zostać oficerem, tak jak ty.

*Informacje na mój temat przez pośrednika. O, Szpaku, jakaś ty sprytna.* Sądząc po wyrazie twarzy Cassecka, widocznej nad głową Charliego, doszedł on do tego samego wniosku.

– Pytała o któregoś z nas?

– Tylko czy dobrze mnie traktujecie. Odparłem, że tak, ale nic więcej nie powiedziałem, żeby przypadkiem nie zdradzić czegoś na temat Roberta, Asha czy ciebie.

Quinn odtworzył w myślach całą rozmowę, zastanawiając się, co mu nie daje spokoju.

– Kiedy opowiadałaś jej o życiu w armii, to co potem mówiła?

Charlie zamyślił się.

– Rozmawialiśmy o tym, ilu żołnierzy liczy armia, jak szybko może się poruszać, jakie są rodzaje żołnierzy, skąd bierze się zapasy. – Wzruszył ramionami. – Dziewczyny nie wiedzą takich rzeczy. Uważała, że to bardzo interesujące.

Quinn poczuł niepokój.

– Niewątpliwie.

W końcu Quinn kazał Charliemu odejść, a Casseck zamknął drzwi.

– Sądził, że pomaga. Wątpię, by powiedział jej coś wykraczającego poza powszechnie dostępne informacje.

– Ona potrafi wzbudzać zaufanie – stwierdził Quinn. Postukał palcem w dolną wargę. – Ale Charlie z kolei umie trafnie oceniać ludzkie charaktery. Wiedział, który służący nas okrada, i zawsze wie, kiedy ktoś go okłamuje.

Casseck usiadł naprzeciwko Quinna.

– To, co powiedziała lady Jacqueline, nabrało sensu. Szpak jest sekretarką pani Rodelle.

– Ale dlaczego podróżuje jako jedna z kandydatek? – Quinn wyrzucił ramię w powietrze. – I dlaczego wypytuje o armię?

– Sądzisz, że jest szpiegiem?

– Mówi po kimisarsku. Wiedziałaś o tym?

Casseck uniósł brwi.

– Tego nie było w raporcie Myszy.

– Ja też mówię po kimisarsku, i ty również. To jeszcze nie czyni z nas zdrajców. – Quinn zignorował spojrzenie, które rzucił mu przyjaciel. – Któregoś wieczoru czytała książkę na temat górnictwa autorstwa pewnego geologa z Kimisary.

– Ciężka lektura.

– Ale nie taka znowu zaskakująca, z tego, co opowiadał Mysz. Może znaczyć tylko tyle, że lady Sagerra lubi skały.

– Alex.

Powaga w głosie przyjaciela kazała Quinnowi wreszcie na niego spojrzeć.  
– Potrzebujemy informacji wykraczających poza te, które może zdobyć Mysz.  
Quinn z wahaniem pokiwał głową.  
Musiał się dowiedzieć, co kryje księga z notatkami Sagerry.

Po nabożeństwie Sage i Clare spędziły resztę dnia w bibliotece lorda Underwooda. Clare pożerała książki, które wybierała dla niej Sage, ona z kolei na przemian czytała i pisała w swojej księdze, dodając informacje, które udało jej się wyciągnąć od Charliego. Chętnie odpowiadał na wszystkie jej pytania dotyczące armii, miał tylko dziewięć lat, a wiedział na ten temat znacznie więcej od niej. Co tylko podkreślało, jak niewiele mówił jej Ash. Co przed nią ukrywał?

Ponieważ Charlie był bratem kapitana, kiedy tylko zdołała skłonić go do mówienia, skupiła się na jego rodzinie. Zasypał ją taką ilością informacji, że nawet nie potrafiła tego wszystkiego spamiętać. Ród Quinnów był od dawna związany z armią i miał dla niej wielkie zasługi. Synowie najwyraźniej poszli w ślady ojca, młody Quinn dostał awans na kapitana, znacznie wyprzedzając swoich rówieśników. Albo był nieprzeciętnie uzdolniony, albo jako syn generała cieszył się szczególnymi względami.

Podczas przerwy na posiłek Sage uważnie przypatrywała się żołnierzom z eskorty. Nadal byli podenerwowani. W korytarzach i pod kwaterami panien stały stráže, co budziło w niej niepokój. We własnym kraju, w dodatku daleko od granic, zachowywali się, jakby przebywali na obcym terytorium. Miała nadzieję, że uda jej się wieczorem zagadnąć porucznika Cassecka i wypytać, o co chodzi.

Clare poszła do siebie, by odpocząć przed bankietem, ale Sage została w bibliotece dłużej, w nadziei, że pojawi się Ash na kolejną lekcję. Nie była pewna, czy jest gotowa na to spotkanie, ale stwierdziła, że tęskni za jego towarzystwem. A może tęskniła tylko za widokiem jego twarzy promieniejącej na jej widok. Potrząsnęła głową i wsunęła książkę na półkę. Najpierw Clare, a teraz Ash. Początkowo trudno przychodziło jej zaakceptować czyjeś towarzystwo, ale kiedy spróbowała, jak to jest, sama zaczęła go szukać.

Kiedy wróciła do pokoju, Clare była już ubrana. Sage zaproponowała, że ułoży jej włosy, na co Clare chętnie przystała. Robiła jednak wrażenie dziwnie zgaszonej. Sage nie miała nic przeciwko ciszy. Upinała włosy przyjaciółki, zastanawiając się, jak by tu zagadnąć porucznika Cassecka.

Nagle zdała sobie sprawę, że Clare o coś pyta. Wyciągnęła szpilkę spomiędzy zaciśniętych warg.

– Co takiego?

– Pytałam, czy macie już dla mnie upatrzonego kandydata.

– Nie wiem – odparła Sage. Pytanie Clare nie brzmiało jak próba zyskania przychylności, raczej słycać w nim było lęk. – Ja nie zajmuję się takimi rzeczami. Głównie zbieram informacje, na których podstawie pani Rodelle dobiera małżeństwa. A jakiego chciałabyś męża?

Clare wbiła wzrok we własne dłonie, bawiące się wstążkami przy staniku.

– Kogoś miłego i nie bardzo starego.

Nagle Sage coś sobie przypomniała. Dwa lata temu siostra Clare, Sophia, wyszła za hrabiego D’Amirana, a Darnessa skomentowała, że żadna szanująca się swatka nie wydałaby dziewczyny za tak okrutnego człowieka.

Sage podpięła ostatni lok i zapytała:

– Czy to ma coś wspólnego z mężem twojej siostry?

– Chyba tak. Nie jest szczęśliwa. – Clare pociągnęła nosem, jakby powstrzymywała łzy. – On... nie jest dla niej dobry. A teraz Sophie nosi jego dziecko. Już drugie. – Mówiła coraz szybciej. – W zeszłym roku rozgniewał się i zepchnął ją ze schodów, straciła pierwsze. Teraz tylko ją bije.

Sage usiadła na ławie i położyła dłoń na ramieniu Clare, która cała się trzęsła, próbując powstrzymać się od płaczu. Spojrzała na Sage, a z jej oczu wyzierał strach schwytanego w pułapkę zwierzęcia.

– Nie chciałam jechać... Mój ojciec skłamał... Mam tylko piętnaście lat... – załkała, a Sage, niewiele myśląc, objęła ją i przytuliła.

Kiedy Clare wypłakiwała wszystkie łęki, których wcześniej nie pozwalała sobie zdradzać, Sage ogarnęło przemożne poczucie, że powinna ją chronić. Kołysała przyjaciółkę w ramionach i pocieszała ją. Wuj William może i był palantem, ale nigdy by jej czegoś takiego nie zrobił.

– Nie – szeptała raz po raz. – Nigdy. Nie pozwolę, żeby cię to spotkało.

W końcu łkania Clare ustały.

– Ale co mam robić? – wyjąkała.

– Nie wiem, ale coś wymyślę. Jeśli masz tylko piętnaście lat, ślub byłby niezgodny z prawem.

– Ale nie mogę wrócić do domu z niczym. Ojciec by mnie zabił.

Sage zwróciła twarz Clare ku sobie.

– Clare, przysięgam: nie pozwolę na to.

Brązowe oczy Clare zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Wierzę ci – szepnęła.

– Świetnie. A teraz umyj twarz. Nie chcemy spóźnić się na kolację.



Sage trzymała się blisko Clare przez większą część wieczoru, odpędzając od niej mężczyzn, chociaż bardzo chciała porozmawiać z Casseckiem. Bankiet odbywał się w wielkiej hali, zaproszono mnóstwo gości. Baron Underwood był już żonaty, ale najwyraźniej postanowił zaimponować orszakowi i miejscowym arystokratom. Była to doskonała okazja do zebrania informacji, ale Sage postanowiła zrezygnować ze swojej misji ze względu na Clare, która wyglądała na coraz bardziej znużoną. Kiedy jednak zasiadły do stołu, musiały rozdzielić się ze względu na pozycję społeczną. Sage bacznie obserwowała przyjaciółkę, wypatrując oznak kolejnego załamania. Nie odrywając od niej oczu, wsunęła do ust widelec pełen jedzenia, by się przekonać, że danie zrobiono niemal wyłącznie z wielkich oślizłych cebul. Sage zaczęła się dławić, ale zmusiła się, by przełknąć, po czym kilka razy spłukała usta winem. To połączenie trochę ciężko leżało jej na żołądku i nie była w stanie nic więcej przełknąć, nawet chleba.

Po deserze Sage znów podeszła do Clare i zaczęła układać plan ucieczki. Porucznik Casseck również zjawił się na bankiecie, ale Sage, udręczona mieszanką alkoholu i cebulowego posmaku, tego wieczoru porzuciła plan rozwiązania jakichkolwiek zagadek. Kiedy zaczęła grać muzyka, podeszło do nich dwóch młodzieńców, a one prędko odwróciły się plecami, nie dbając o to, że wyszły na nieokrzesane gburki.

Darnessa zatrzymała się przy nich i spytała:

– Wszystko w porządku?

Sage potrząsnęła głową.

– Clare nie czuje się najlepiej, ja też wolałabym już wyjść. Mogłabyś jakoś nas usprawiedliwić? – Rzuciła pracodawczyni spojrzenie, które mówiło, że wszystko wyjaśni później.

Darnessa kiwnęła głową.

Kiedy ruszyły do szerokich podwójnych drzwi, drogę zastąpił im Casseck.

– Lady Sagerro, już wychodzisz? Liczyłem na taniec lub przynajmniej rozmowę.

– Obawiam się, że obie nie najlepiej się czujemy, sir. Musisz nam wybaczyć.

– Sage już miała go wyminąć, ale zablokował jej drogę.

Widocznie bardzo chciał z nią porozmawiać. Nadarzyła się wymarzona okazja, lecz Sage nie chciała zostawiać Clare. Casseck popatrzył na nią przez chwilę, w końcu przywołał innego oficera.

Zwrócił się do Sage:

– Jeśli nie czujecie się dobrze, może pomogłoby świeże powietrze w ogrodzie.  
– Do Clare podszedł żołnierz o rudawych włosach i brązowych oczach. – Oto porucznik Gramwell, pani. – Młodzieniec uklonił się i podał Clare ramię.

Clare obejrzała się, ale Sage pochyliła się w jej stronę i szepnęła:

– Będzie dla ciebie lepszą podporą niż ja. Nie martw się, nie spuszczę cię z oka. – Clare, lekko drżąc, chwyciła ramię oficera i dała się poprowadzić.

Casseck podał ramię Sage, a ona je przyjęła. Mężczyzna bez słowa prowadził ją do ogrodu, pozwalając, by odległość między nimi a Clare i Gramwellem coraz bardziej rosła, lecz nie aż tak, żeby stracić ich z pola widzenia. Sage pomyślała, że musi jak najszybciej zaprowadzić Clare do pokoju. Wyglądała na wyczerpaną.

– Czy z twoją towarzyszką wszystko w porządku, pani? – spytał Casseck.

Sage z westchnieniem pokręciła głową.

– Zdaje się, że ta podróż pozbawiła ją sił.

– A ty jak się czujesz, lady Sagerro?

– Ja... – Rozejrzała się dokoła. – Coś mnie dręczy.

– Mogę jakoś pomóc, pani?

Clare chyba nieco się odprężyła. Sage po trzech dniach obserwacji mogła również stwierdzić, że porucznik Gramwell jest porządnym człowiekiem. Może w jego towarzystwie Clare przestanie tak się zamartwiać wizją swojej przyszłości.

– Od naszego przyjazdu nie widziałam szeregowego Cartera – powiedziała Sage. – Mam nadzieję, że wasz kapitan nie jest z niego niezadowolony.

– Ależ skąd, pani – zapewnił Casseck. – Carter jest po prostu zajęty. Kapitan wysłał go dzisiaj na patrol.

– Och? – odparła, chociaż wcale nie była zaskoczona. – Myślałam, że on tylko powozi.

Casseck skrzywił się.

– Kapitan jest zdania, że wszyscy ludzie pod jego rozkazami powinni sprawdzać się również w siodle.

– A także w walce – dodała. – Twój paż mówił, że wszyscy przechodzą trening z bronią, nawet paziowie i kucharze.

Zapadła cisza.

– Widzę, że sporo dowiedziałas się na temat armii, pani.

– Nieszczególnie. – Wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że Charliego nie spotkają kłopoty za to, że tyle jej opowiedział. – Przed tą podróżą nie wiedziałam w ogóle nic. – Przechyliła głowę, by na niego spojrzeć. – Co każe mi się zastanawiać, czy odnoszę mylne wrażenie, czy rzeczywiście wszyscy żołnierze są od wczoraj w stanie pełnej gotowości.

Kolejna pauza. Z porucznika Cassecka widać był myśliciel.

– Jesteś spostrzegawcza, pani. Ale nie mogę o tym mówić.

Nagle się spiął i widocznie było to zaraźliwe. Poczła ciarki na plecach. Przypomniała sobie, jak Ash obserwował po drodze mijane lasy, gotów w każdej chwili stanąć do walki.

– Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

– Prawdopodobnie tak. Ale powtarzam, nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Ja... – Zawahała się. – Chciałabym pomóc. Czasem to bardzo frustrujące być kobietą. Czuję się bezradna.

Plama cienia, którą była w ciemnościach jego twarz, przesunęła się, by na nią spojrzeć. Błysnęły w uśmiechu białe zęby.

– Może gdy trzeba będzie wspiąć się na drzewo, zwrócimy się do ciebie po pomoc.

Sage się zaśmiała.

– Zapewne paż ci o tym powiedział.

– Zgadza się. – Nim zdążyła zadać kolejne pytanie, dodał: – Wiesz, że kapitan Quinn ma siostrę w twoim wieku? Przypuszczam, że również dla niej znajdą męża na Concordium.

Nieudana próba zmiany tematu. Na Sage takie sztuczki nie działały. Poza tym wiedziała o tym od Charliego.

– Szczęściara.

Casseck zatrzymał się.

– Pani, czy uraziłem cię w jakiś sposób? Z twojego głosu bije chłodem.

– Próbujesz odwrócić moją uwagę. – Zesztywniał i puścił jej ramię. Wiedziała, że się nie pomyliła. – Nie jestem dzieckiem, poruczniku. Jeśli nie opowiesz mi o grożącym nam niebezpieczeństwie, to wiedz, że i tak poznam prawdę, bo mam ku temu wielki talent.

– Wierzę, pani – odparł spokojnie. – Ale musisz uwierzyć, kiedy mówię, że nie do końca wiemy, czym ono jest, a obowiązuje mnie ścisły zakaz rozmawiania na ten temat z postronnymi osobami. Kapitan nie wie, komu możemy zaufać.

Sage splótła ramiona na piersi. Jak na kogoś, kto trzymał się z boku, Quinn zaskakująco skutecznie kontrolował wszystkich dokoła. Obserwowała go od kilku dni i zawsze zadziwiała ją jego królewska postawa i zaufanie, którym darzył Cassecka.

– Zastanawia mnie kapitan Quinn. Czy naprawdę jest tak wspaniały, jak uważa Charlie?

Casseck zacisnął wargi, jakby próbował powstrzymać uśmiech.

– Nie jest idealny, ale nikt nie jest.

– I jest twoim najlepszym przyjacielem.

Drgnął.

– Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami i ruszyła dalej. Casseck podziwiał kapitana równie mocno co Charlie, wiedziała, że nigdy nie usłyszy od niego obiektywnej opinii.

– Wskazuje na to sposób, w jaki o nim mówisz. Twoje zachowanie, kiedy ktoś o nim wspomina. Jest dla ciebie jak brat.

Casseck znów podał jej ramię.

– Bardziej niż moi czterej bracia.

Sage przyjęła jego ramię i zwolniła kroku, tak jak on.

– A więc opowiedz o swojej rodzinie.

Quinn wśliznął się do pustej komnaty, którą zajmowały dziewczęta. Nie miał zbyt wiele czasu. Casseck nie mógł w nieskończoność zabawiać Szpaka rozmową. Blask bijący z paleniska dawał dość światła, by Quinn bez trudu odnalazł świecę. Zapalił ją od żaru. Teraz wyraźniej widział dwa łóżka i stojące w nogach skrzynie. Pamiętał, jak wyglądała ta należąca do Sage.

Wiek było zamknięte na klucz, więc odstawił świecznik, wyjął niewielki patyczek i zabrał się do pracy. Po chwili zamek odskoczył. Kapitan przez chwilę przyglądał się, w jakim porządku ułożono rzeczy, po czym zaczął je przerzucać. To, czego szukał, leżało na samym dnie. Quinn pochylił się i wyjął wielką, oprawną w skórę księgę. Ze skrzyni uniósł się zapach szaławii i lawendy, który na chwilę go oszołomił, ale Quinn szybko się otrząsnął, zamknął wieko i otworzył księgę.

W migotliwym blasku świecy przewracał kolejne kartki, odczytując wszystko, co zanotowała na nich Szpak: nazwiska, opisy, majątki, upodobania, cechy charakteru, wykresy, drzewa genealogiczne i powiązania. Ani słowa na temat armii i trasy, którą pokonywała. Nic nie wskazywało też na to, by Szpak posługiwała się kodem. Napięcie, z którego nie do końca zdawał sobie sprawę, teraz zaczęło ustępować.

Pod koniec znajdował się dział dotyczący potencjalnych kandydatów. Byli tam również jego oficerowie. Mysz niewiele jej powiedział, ale ilość informacji, które zebrała na ich temat w ciągu zaledwie kilku dni, napełniała go zdumieniem i podziwem. Gdyby tylko Mysz bardziej się do niej zbliżył, mogłaby okazać się bardzo pomocna w sprawie D'Amiranów. Przerabiał w myślach różne możliwości, jakie dałoby im tego rodzaju źródło. W końcu dotarł do ostatniej strony.

115

*Kapitan ..... Quinn, urodzony ok. 488, w wieku odpowiednim do ożenku ok. 512*

*Pierwsza Armia, Dziewiąty Oddział Konnicy*

*Rodzice: generał Pendleton Quinn, lady Castella Carey Quinn*

Najpierw poczuł lekkie rozbawienie, że nie zdołała poznać jego imienia, lecz mina mu zrzędła, kiedy zobaczył, jak go widzi. Arogancki. Zdystansowany.

Dumny. Skryty. Szpak doskonale scharakteryzowała jego przyjaciół, a jego własny portret napełniał go niepokojem. Pod spodem znajdowało się dokładne podsumowanie jego kariery i życia rodzinnego. Wiedział, że właściwie nie powinien czuć się zaskoczony, widząc imiona swoich sióstr.

*Rodzeństwo: Serena ok. 490 M, Gabriella ok. 492 (509 C), Isabelle ok. 493, Brenna ok. 496, Jade ok. 497, Amelia ok. 499.*

Wszystko się zgadzało. Widocznie zapamiętała te fakty z rozmowy z Charliem. A niech to, była naprawdę dobra. Na samym dole widniała ostatnia notka:

*Charlten (Charlie) Quinn, paż, ur. ok. 500*

*Uroczy idealista, inteligentny, pracowity, ubóstwia brata. Przechodzi trening od 509, przewidziany awans ok. 518, w wieku odpowiednim do ożenku 524.*

Szpak myślała perspektywicznie.

Ale co z nią samą? Quinn zmarszczył brwi i wrócił do strony, która wcześniej rzuciła mu się w oczy.

*Lord William Broadmoor, lady Braelaura Fletcher Broadmoor*

*Jonathan 496, Hannah 498, Christopher 499, Aster 503 (B)*

Czworo dzieci, wszystkie młodsze od niej, więc rzeczywiście mogła być ich nauczycielką. Albo powiedziała Charliemu prawdę, albo z premedytacją wymyśliła tę historyjkę. Quinn nie dziwił się, że brat jej uwierzył. Żona lorda Broadmoora najwyraźniej pochodziła z niższych warstw, ale nazwisko Szpaka wskazywało na lepsze pochodzenie ze strony ojca. Data jej urodzin była wcześniejsza od daty ślubu rodziców, więc być może była nieślubnym dzieckiem lorda Broadmoora. Bogaci panowie dość często miewali potomstwo ze służącymi, szczególnie, zanim się ustatkowali albo kiedy uznali, że mają dosyć dziedziców z prawego łoża – stąd bękart wśród dzieci Broadmoorów. Być może Szpak wychowywała się w rodzinie, którą zawsze uważała za swoją i dostała jej nazwisko. O ile Sagerra Broadmoor to było jej prawdziwe nazwisko – lady Jacqueline, zdaje się, podejrzewała, że nie. Imię Sagerry nie widniało obok imion opiekunów prawnych ani w żadnym innym miejscu.

*A więc kim ona jest, do licha ciężkiego?*

Czas się kończył. Quinn, niezadowolony, zatrzasnął księgę. Przynajmniej dowiedział się tyle, że notatki nie są niebezpieczne w znaczeniu militarnym, a ten aspekt sprawy budził wcześniej jego największy niepokój. Położył księgę na samym dnie skrzyni, sprawdził, czy są tam jeszcze jakieś inne książki, papiery czy schowki. Nic nie znalazłszy, ułożył wszystkie rzeczy tak, jak były. Zamknął wieko i zamek, zdmuchnął świecę, odstawił ją na miejsce i wymknął się z

pokoju.

Zdążył w ostatniej chwili. Kiedy schował się w mroku, w korytarzu już rozbrzmiewał głos Cassecka. Po chwili minęli go, Casseck i Szpak, a zaraz za nimi Gramwell z lady Clare. Quinn uśmiechnął się do siebie. Może Szpak jednak nie była szpiegiem, ale coś czuł, że na stronie poświęconej Casseckowi przybędzie sporo notatek.

Oficerowie odprowadzili je do pokoju. Martwiła się, że za długo rozmawiała z Casseckiem – aż zobaczyła uśmiech na twarzy Clare, gdy Gramwell złożył pocałunek na jej dłoni. A więc trafnie oceniła tego młodzieńca.

Pomogły sobie nawzajem rozebrać się w blasku ognia. Potem Clare zabrała się za robienie herbaty, a Sage wyjęła księgę ze skrzyni. Lubiła zapisywać nowe informacje na świeżo, dopóki wszystko pamiętała. Clare z zapalem rozprawiała ze szczegółami o swojej rozmowie z porucznikiem Gramwellem, co też mogło jej się przydać. A kiedy określiła go imieniem – Luke, do Sage dotarło, jak wielkie zrobił wrażenie na przyjaciółce.

Odwróciła się, ukrywając uśmiech, i chwyciła świecę, żeby zacząć pisać. Wosk na górze był ciepły i miękki.

Uśmiech zamarł jej na twarzy. Ktoś był w ich pokoju.



Quinn bębnił placami o blat, czekając w swoim gabinecie. Chciał jej. Była lepsza od Myszy.

Ale jeśli pracowała dla pani Rodelle, będzie potrzebował jej pozwolenia, szczególnie biorąc pod uwagę, co, a raczej kogo, musiał ukrywać. W dodatku wciąż nie rozumiał, kim ona jest, a musiał się tego dowiedzieć.

Słowa, które napisała na jego temat, bębniły mu w uszach. *Arogancki. Zdystansowany. Dumny. Skryty.*

Nie myliła się.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł Casseck w towarzystwie swatki. Nadal miała na sobie tę suknię co na bankiecie. Wskazał jej miejsce naprzeciwko kapitana i zostawił ich samych. Quinn złożył dłonie na blacie i czekał, czy go rozpozna.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjść, madame – powiedział, uprzedzając ją. – Przepraszam, że wcześniej się nie spotkaliśmy.

– Doskonale rozumiem dlaczego. – Uniosła umalowaną brew. – Jesteś zajęтым człowiekiem, kapitanie.

Poruszył się niepewnie na krześle.

– Chciałbym zadać kilka pytań na temat lady Sagerry.

– Czyżby? Ja z kolei mam kilka pytań na temat Asha Cartera.

Drgnął.

– Odpowiem na nie w miarę możliwości.

Zmrużyła niebieskie oczy.

– Może zaczniemy od tego, dlaczego z nią pogrywasz.

Quinn potrząsnął głową.

– Nie miałem takich zamiarów.

– Doprawdy? – Pochyliła się ku niemu. – A może powiadomię o twych działaniach barona Underwooda? Lub twego ojca?

*A, nie owija w bawełnę.* Rzadko widywało się tak bezpośrednie kobiety.

– Wydajesz się w stosunku do niej bardzo opiekuńcza. Czy podobnie jest w przypadku pozostałych panien?

– Ależ oczywiście – warknęła. – Rodzice powierzyli je mojej opiece.

– Ale Sagerra jest wyjątkowa.

– To ty ją wyróżniłeś, nie ja.

– Owszem. – Quinn odchylił się na oparcie i splótł ramiona na piersi. – Potrzebuję jej. Zajmuje wyjątkową pozycję.

Swatka zapytała, kładąc nacisk na każdym słowie:

– A dokładnie jakąż to?

– Bez trudu porusza się między osobami wysoko urodzonymi a pospólstwem.

– Co najwyraźniej nie jest takie znowu wyjątkowe w naszej grupie. – Kiedy się skrzywił, pani Rodelle lekko się uśmiechnęła.

– Jest również bardzo spostrzegawcza. – Splótł palce i potarł kciukiem o kciuk, starannie dobierając słowa. – Słyszałem, że Sagerra nie ma praw do tytułu lady. Czy to prawda?

– To... skomplikowane – odparła, unikając jego wzroku.

– Dziecko z nieprawego łoża?

– Nie. Została wychowana w rodzinie arystokratów. Z urodzenia należy do pospólstwa. – Swatka przerwała, by na niego spojrzeć, ale zachował kamienną twarz. – Pracuje dla mnie i pobiera nauki, ale jak sam zauważyłeś, jest w stanie zebrać sporo informacji, udając wysoko urodzoną damę. Większości panien nie podoba się jej towarzystwo, wiedzą jednak, że ma wielką władzę, może doprowadzić do małżeństwa bądź do niego nie dopuścić, więc zachowują ostrożność.

Wszystkie informacje na temat Szpaka wreszcie złożyły się w sensowną całość. Co za ulga wiedzieć, że nigdy tak naprawdę nie kłamała. Postukał się w dolną wargę. Myślał gorączkowo.

– Chyba mógłbym to wykorzystać. Potrzebuję informacji, których mogłaby mi dostarczyć.

– Chcesz, żeby dla ciebie szpiegowała?

Zacisnął wargi.

– Nie jest to mój ulubiony termin, ale tak.

Darnessa usiadła prosto jak struna.

– Nie zamierzam pozwolić, by zmarnowała się w waszych militarnych gierkach.

– To nie gra. – Quinn potrząsnął głową. – Sprawa jest śmiertelnie poważna.

Zaczekał, aż swatka przetrawi informację. Widział, jak gniew na jej twarzy ustępuje lękowi.

– Muszę wiedzieć, czy mogę wam zaufać.

Gniew powrócił.

– To działa w obie strony, kapitanie.

– Zrozumiałem – odparł. – Będę tak szczerzy, jak tylko mogę, ale niektóre sprawy muszę zachować w tajemnicy. – Urwał. – Czy mogę liczyć na dyskrecję? To, co powiem, nie może wydostać się poza ściany tego pokoju.

Popatrzyła na niego groźnym wzrokiem.

– Milczenie mogę obiecać, co do zaufania, na razie się wstrzymam.

– W porządku. Moja misja podczas tej wyprawy częściowo polega na szukaniu dowodów świadczących o tym, że rodzina D’Amiranów nawiązała kontakty z Kimisarą.

Zrobiła wielkie oczy.

– I znalazłeś takie dowody?

Quinn pokręcił głową. Nie wiedział, co oznaczają oddziały, które widzieli jego zwiadowcy, nie miało sensu na razie o tym wspominać.

– Gorzej. D’Amiranowie zbierają armię. Wystarczająco silną, by wystąpić przeciw Koronie.

– Podczas gdy połowa arystokratycznych rodów będzie przebywać w Tennegolu – szepnęła.

– Tak. I tylko my o tym wiemy.

– Ale... twój ojciec, generał, armia na południu...

– Rozproszona, zajęta ściganiem przekraczających granice grup Kimisarów. – Tym przynajmniej zajmowali się żołnierze według ostatnich raportów. – Nie spodziewają się ataku od tyłu. Ostrzegłbym ich, gdybym mógł, ale chyba zostaliśmy odcięci.

– A więc wracamy de Crescery, gdzie jest bezpieczniej? – spytała.

– Nie. Musimy iść dalej, uważnie obserwując, co się dzieje, i udając, że o niczym nie wiemy. Tylko my możemy ostrzec króla.

Poczerwieniała z wściekłości.

– Narażasz nas na niebezpieczeństwo, bawiąc się w bohatera.

– Jak myślisz, co się stanie, jeśli zawrócimy? – spytał spokojnym głosem.

Pobladła.

– Domyślą się, że wiemy.

– I?

– Nie wyjdziemy z tego żywi.

– I nie będziemy jedynymi ofiarami. Cieszę się, że to rozumiesz.

Pani Rodelle zacisnęła powieki, wzięła kilka głębokich oddechów, otworzyła oczy i spojrzała mu prosto w twarz.

– Jak mogę pomóc?

– Chcę, żeby panny o niczym się nie dowiedziały. Każdy, kto coś wie, naraża

się na niebezpieczeństwo, teraz dotyczy to również ciebie. Jeśli diuk uzna, że przejrzelśmy jego zamiary, będziemy zgubieni. – Wziął głęboki wdech. – Ale Sagerra jest mi potrzebna. Jako jedna z dam może zaobserwować rzeczy nam niedostępne. Z twoją pomocą chciałbym to wykorzystać.

Sądząc po minie, swatka pojęła jego plan.

– Nie zamierzasz jej powiedzieć, co się dzieje.

– Chciałbym, ale dla bezpieczeństwa i jej, i reszty na razie musimy utrzymać ją w niewiedzy. – Pani Rodelle była niezwykle spostrzegawcza, być może już zdążyła się domyślić, że podróżuje z nimi Robert. Nie zapytała jednak o to, a on wolał nie potwierdzać jej przypuszczeń. – Im mniej będzie wiedziała, tym lepiej – dodał. – Mogę tylko obiecać, że poinformujemy ją o wszystkim, co konieczne. Nie zamierzam narażać jej zdrowia i życia.

Swatka popatrzyła mu prosto w oczy.

– Jeśli nadal będziesz ją okłamywać, nie da się tego uniknąć.

Wbił wzrok we własne dłonie.

– Tak, wiem. Pogodziłem się z tym. Moja praca nie zawsze jest prosta i jednoznaczna. Podobnie jak twoja.

Kiedy znów na nią spojrzął, dostrzegł w jej oczach zrozumienie. Westchnęła.

– W jaki sposób zamierzasz ją wykorzystać? Bo nie bardzo sobie to wyobrażam.

– Chcę, by jej znajomość z Ashem Carterem szybko się zacieśniła. Musi mu zaufać i słuchać jego poleceń.

Pani Rodelle potrząsnęła głową.

– Zajmuje o wiele wyższą pozycję od niego. To już zahacza o nieodpowiednie zachowanie i może budzić podejrzenia.

– Otóż to – zgodził się Quinn. – Każde inne rozwiązanie skupia zbyt wielką uwagę na jej osobie. Poczynań Asha nikt nie dostrzega i dlatego jest mi on tak bardzo przydatny. Już się znają, więc wystarczy, że podniosę jego status, łatwiej będzie im się zaprzyjaźnić. Od jutra będzie sierżantem, przestanie pracować jako woźnica.

Swatka skrzyżowała ramiona na piersi.

– Czy Ash Carter to nie jest przypadkiem nazwisko nieślubnego syna króla?

Znów na nią spojrzął.

– Zgadza się. Jesteś dobrze poinformowana.

– Ponieważ wiem, jak nazywa się młodzieniec z królewskim rodowodem i w wieku odpowiednim do zawarcia małżeństwa? Obrażasz mnie – odparła.

Wiedziała od początku.

– Domyślam się, że dlatego w ogóle pozwoliłaś jej się do niego zbliżyć. Czy Sagerra wie?

Pokręciła głową.

– Tak przy okazji, ma na imię Sage. I nie, nie wie. Właściwie chciałam sprawdzić, czy to dla niej odpowiednia partia. Gdyby wiedziała, popsułaby wszystko przez własny upór.

Quinn potarł twarz, by ukryć rumieniec na policzkach. Nie opuszczało go wrażenie, że swatka tak szybko nie zrezygnuje ze swoich ambicji.

– Myślę, że im szybciej się dowie, tym lepiej. Nie mówię o sprawach matrymonialnych, rzecz jasna. – Pochylił się i dodał: – Ale teraz musisz opowiedzieć mi o niej wszystko, co wiesz, żebyśmy wiedzieli, jak skutecznie ją podejść.

Pani Rodelle uniosła brwi.

– A ile masz czasu?

Sage obudziła się wcześniej. Wciąż miała ochotę w coś przyłożyć. Kiedy Clare zasnęła, przejrzała wszystkie swoje rzeczy, sprawdzając, czy coś poprzekładano. Niby wszystko leżało na swoich miejscach, ale nie opuszczało jej dziwne wrażenie. Dokładnie obejrzała księgę, szukając znaków, że ktoś w niej grzebał, i znalazła na kartach dwie kropki wosku ze świecy i smugę, której wcześniej na pewno tam nie było. Intruzowi chodziło więc właśnie o księgę.

Była pewna, że to sprawka Asha Cartera.

Zawsze zdradzał zainteresowanie jej księgą. Początkowo sądziła, że jest to fascynacja osoby, która nie umie czytać, ale teraz, myśląc o wszystkich chwilach spędzonych w jego towarzystwie, doszła do wniosku, że jego działania wyraźnie zmierzały do tego, by znaleźć się jak najbliżej jej notatek. I na pewno nie działał sam. Porucznik Casseck zatrzymał ją rozmową, żeby nie wróciła za wcześnie do pokoju. Poza tym wiedziała już co nieco na temat armii, żaden z żołnierzy nie zrobiłby czegoś podobnego bez rozkazu kapitana, który, jak powiedział Casseck, polecił Ashowi grać komedię już w dniu wyjazdu z Galarick.

Sage prędko dokończyła śniadanie i zostawiła Clare, mamrocząc, że idzie się przejść. Pobiegła do ogrodu w nadziei, że spali trochę rozsadzającej ją energii, ale sceneria tylko przypomniła jej o poprzednim wieczorze. Żołnierze byli dokładnie tacy jak mieszkańcy Garland Hill – mili, kiedy czegoś chcieli. Była głupia, że wcześniej tego nie dostrzegła.

Zamyślona okrążyła żywopłot i o mało nie wpadła na jakiegoś mężczyznę.

– Lady Sagerra – powitał ją szeregowy Carter z ochoczym uśmiechem. – Miałem nadzieję, że spotkamy się dzisiaj na lekcję czytania.

– Prawie cię nie poznałam – odparła, mierząc go wzrokiem.

Miał na sobie czarny strój jeźdźca zamiast zwykłego brązowego kubraka i lnianej koszuli. Ręce wyszorował do czysta i przyciął czarne włosy, przez co wyglądał starzej.

Ash uśmiechnął się szeroko i unióśł ramiona, by pokazać mundur w całej okazałości. Nie wyglądał na nowy – liczne przetarcia świadczyły o tym, że liczy co najmniej rok. Poczula wściekłość. Czy cokolwiek, co o sobie powiedział, było prawdą?

– Awansowałem na sierżanta. Koniec z powożeniem. – Opuścił ramiona. – I

tobie winien jestem podziękowania, pani.

– Jak to?

Carter, najwyraźniej zaskoczony chłodem jej głosu, aż zrobił krok w tył.

– Kapitan Quinn powiedział, że moja praca nad własnym rozwojem jest godna pochwały.

– I chcesz ją kontynuować?

– Jeśli tylko ty zechcesz, pani. – Ash popatrzył na nią czujnie.

– A więc zaczynajmy. – Sage obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, a on pobiegł za nią. Nie próbował więcej zagadywać.

W bibliotece, gdzie mogli ukryć się przed spojrzeniami przechodzącej służby, Ash zamknął drzwi i zapytał:

– Czy coś się stało, pani?

– Ty mi powiedz – odparła, podchodząc do biurka. – Chciałabym o coś cię prosić, zanim zaczniemy. – Wzięła do ręki kartkę leżącą na stosie papierów i węglem napisała na nim dwa zdania. Potem odwróciła się i podała mu ją. – Przeczytaj to na głos, proszę.

Spojrzał na kartkę. Jego ciemne oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Drżącym głosem przeczytał:

– Okłamałem cię. Już wcześniej umiałem czytać.

Sage splotła ramiona na piersi. Myślała, że kiedy usłyszy te słowa z jego ust, poczuje się lepiej, ale niestety.

– Proszę, wytłumacz się. Zacznij od początku, czyli od wieczoru, kiedy się poznaliśmy.

Opuścił kartkę i przełknął ślinę.

– Dostałem za zadanie obserwować waszą grupę.

Nie zaskoczył jej.

– A więc jesteś szpiegiem.

– W pewnym sensie.

– Nie rozumiem. Po co szpiegować nas, mnie?

Ash zacisnął wargi.

– Miałem zdobyć kontakt na rozkaz kapitana Quinna, by donosić mu o wszelkich niecodziennych zjawiskach.

Sage poczuła ucisk w żołądku.

– A więc byłem kontaktem.

– Nie – odparł pospiesznie, potem się skrzywił. – No, tak. Nie chciałem cię wykorzystywać, ale zaproponowałaś, że nauczysz mnie czytać, a porucznik Casseck uznał, że to doskonała okazja. – Urwał i zaraz dodał: – Podobnie jak

kapitan Quinn.

Jej oczy zapłonęły.

– Wiesz, jakie to upokarzające dowiedzieć się, że przez tak długi czas robiłam z siebie idiotkę?

Ash spuścił głowę.

– Czy to gorsze, niż udawać analfabetę i ignoranta? Ty przynajmniej miałaś szlachetne intencje.

A jednak nie do końca. Owszem, Sage chciała mu pomóc, ale również chciała wydobyć od niego informacje dla Darnessy. Przyszło jej do głowy coś jeszcze.

– Wcale nie dostałeś awansu, prawda? Już wcześniej byłeś sierżantem i żołnierzem konnicy.

Kiwnął głową.

– Ma się więcej swobody, kiedy biorą cię za szeregowca. Nikt wtedy nie zwraca na ciebie uwagi.

Mogła się domyślić. Jego zachowanie i maniery zupełnie nie zgadzały się z niskim stopniem. Ale za bardzo go polubiła i nie przypuszczała, że mógłby ją oszukać.

– Bardzo mi przykro, pani – wyszeptał. – Wykonywałem rozkazy. Nie znosiłem tego, każdej minuty. No... – Podniósł głowę i spojrzał na nią z zażenowanym uśmiechem. – To znaczy, lubiłem twoje towarzystwo.

Właściwie czy tak bardzo się od niej różnił? Owszem, potrafiła wyciągać od ludzi informacje, co jednak nie znaczyło, że robiła to z przyjemnością. O, Duchu, uciekła się nawet od manipulowania Charliem.

Odchrząknęła.

– To nie wszystko. – Przeszyła go spojrzeniem. – Wczoraj wieczorem ktoś włamał się do mojego pokoju i przeglądał księgę z notatkami.

Krew odpłynęła mu z twarzy. A więc miała rację. To był on.

– Dlaczego? – Próbowwała podtrzymać swój gniew, ale jej głos zdradzał, że poczuła się zraniona.

Ash uniósł dłonie błagalnym ruchem.

– Zadawałaś tyle pytań. Zawsze coś notowałaś. W oczach żołnierza to wygląda...

– Jak szpiegowanie – dokończyła za niego. – Zwłaszcza jeśli ten żołnierz sam się tym zajmuje.

Żałośnie pokiwał głową.

– Przepraszam. Nie chciałem.

Pierwszego wieczoru wspomniała o wojskowym posłuszeństwie i



wykonywaniu rozkazów, a on się wściekł. Myślała, że jest przewrażliwiony, ale teraz zrozumiała, że po prostu trafiła w sedno. Co jeszcze kazał mu kapitan?

– Chciałem też jednak oczyścić twoje imię – dodał. – Musieliśmy zdobyć pewność, biorąc pod uwagę to, co odkrył kapitan.

Sage wyprostowała się jak struna. Casseck zbył jej pytania, lecz oto nadarzyła się kolejna okazja, by zdobyć na nie odpowiedzi. Ale zaraz się skrzywiła. Kto tu był prawdziwym manipulatorem?

– Wiem, że coś nam zagraża. O co dokładnie chodzi?

Pokręcił głową.

– Nie mogę ci powiedzieć. Sam nie wiem wszystkiego. Miałem za zadanie znaleźć tylko kogoś, kto mi zaufa.

– Jak mogę ci zaufać, Ashu Carterze? Okłamywałeś mnie od początku podróży.

Opuścił ramiona.

– Pewnie nie możesz.

Sage nagle zrobiło się go żal. Zawiódł, chociaż tylko wykonywał rozkazy.

– Dlaczego kapitan szukał zaufanej osoby? – spytała cicho.

– Chciał zdobyć osobę kontaktową, do której moglibyśmy się zwrócić w razie kłopotów i która zwróciłaby się do mnie, gdyby usłyszała coś podejrzanego. – Spojrzał na pomięty papier w swojej dłoni. – Ale masz rację. Wszystko zepsułem. Przykro mi. – Zrobił krok w tył. – Jeśli pozwolisz, pani, odejdę.

– Zaczekaj – powiedziała. Miała wyrzuty sumienia z powodu swoich kłamstw. Byłoby znacznie prościej, gdyby mogła mu powiedzieć, że również pochodzi z niższych warstw. Ale czy nadal chcieliby z nią współpracować, gdyby okazało się, że nie jest damą z arystokracji? – Nie chcę, żebyś miał kłopoty.

Ash wzruszył ramionami.

– Nadal mam czas, by nawiązać przyjaźń z którąś ze służących. Tyle że teraz będzie nieco trudniej, bo będę jechał w siodle, nie na wozie.

– Nie bądź śmieszny – powiedziała, bojąc się, jak może zareagować Quinn, kiedy dowie się o porażce Asha. – Będę twoim kontaktem.

Rozpromienił się. Podniósł głowę i popatrzył na nią ciemnymi oczami.

– Nie gniewasz się, pani?

Rzuciła mu mordercze spojrzenie, chociaż już właściwie nie była wściekła.

– Tego nie powiedziałam. Wiesz, że twój kapitan mógł mnie zapytać, co notuję i wyjaśnić, jakie mają wobec mnie zamiary.

– Nie chciał cię urazić – odparł Ash, robiąc kilka kroków w jej stronę. Stał

teraz wyprostowany jak struna, wydawał się wyższy. – Miałem przekazać od niego przeprosiny za to, że zawiodłem.

– Hm. – Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego. – A więc zamierzałeś w którymś momencie powiedzieć mi prawdę?

Przytaknął.

– Zamierzałem to zrobić jutro.

– Jak? Chyba miałeś jechać w siodle, nie powozić?

Na jego twarzy pojawił się piękny uśmiech.

– Dostałem pozwolenie na jazdę w twoim towarzystwie, jeśli tylko będziesz tak miła i się zgodzisz.

Poczuła, że też się uśmiecha, chociaż wiedziała, że Quinn nie zgodziłby się na coś podobnego, gdyby nie widział w tym sposobu na uzyskanie od niej tego, o co mu chodziło.

– Nie przywykłam, żeby nazywano mnie miłą, ale jeśli dzięki temu nie będę musiała jechać na wozie, możesz mnie nazywać, jak ci się tylko podoba.

Po obiedzie i wytęsknionej drzemce, która przynajmniej częściowo pozwoliła jej się zregenerować po niespokojnej nocy, Sage poszła poszukać Darnessy. Zastała ją, zajętą haftowaniem, w salonie należącym do przydzielonego jej zespołu komnat.

– Jak się miewa Clare? – spytała Darnessa, nie dopuszczając jej do słowa.

– Och. – Sage próbowała sobie przypomnieć, co Darnessa może mieć na myśli. – Lepiej. Ta podróż, obawiam się, jest dla niej nieco wyczerpująca. Muszę jeszcze przemyśleć kilka spraw, ale chyba powinniśmy przedyskutować jej przyszłość przed przyjazdem do Tennesolu.

Darnessa wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, możesz przyjść w każdej chwili. A rozmawiałaś ostatnio z Ashem Carterem? Prawie nie widuję go od przyjazdu.

Sage zagryzła wargi.

– Dostał awans, więc przybyło mu obowiązków. – Darnessa nie musiała wiedzieć, że już wcześniej był sierżantem.

– Ach, tak? Może ma to coś wspólnego z tobą i lekcjami?

Powiedziała to stanowczo zbyt swobodnym tonem. Chyba coś knuła.

– On tak uważa – odparła Sage. – Już nie będzie pracował jako woźnica i w ramach podziękowania zaproponował, że nauczy mnie jeździć konno.

– To chyba uczciwa wymiana.

Sage umiała jeździć, i to całkiem nieźle – wuj William okazał się pod tym względem zaskakująco otwarty, kilka razy nawet zabrał ją na polowanie. Sage specjalnie przedstawiła to tak, jakby Ash był jej coś winien. Ale jednak spodziewała się jakiegoś oporu.

– Nie sądziłam, że się zgodzisz.

– Dlaczego nie? Damy jeżdżą przecież konno, a ja będę miała więcej miejsca na wozie.

– No tak, ale jeździć w towarzystwie wieśniaka?

Darnessa popatrzyła na Sage sponad drewnianego tamborka.

– Tak o sobie powiedział? – Spuściła wzrok na robótkę i z dezaprobatą pokręciła głową. – Przystojny chłopak opowiada ci półprawdy, a ty mu wierzysz? Chyba tracisz czujność, droga uczennico.

Sage wciąż czuła lekki niepokój w związku z tym, że Darnessa tak łatwo zgodziła się na lekcje jazdy konnej, ale wyszła, nic więcej nie mówiąc. Swatka nią manipulowała. Chciała, żeby spędzała czas z Ashem. Istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie: próbowała ją wyswatać. Zależało jej na tym tak bardzo, że była gotowa nawet pozwolić Sage na zachowania nieprzystające eleganckiej damie. Być może dziewczynie wcale by to nie przeszkadzało – w końcu miała ochotę spędzać czas z Ashem – ale czuła, że on trzyma w tajemnicy coś jeszcze. A Darnessa chce, żeby ona to odkryła.

Poszła więc poszukać jedynej osoby, która mogła jej w tym pomóc. Charlie kręcił się w pobliżu kuchni, zajęty ładowaniem zapasów na wozy. Zaproponowała pomoc. Musiała trochę się namęczyć i zadać sporo podstępnych pytań, ale kiedy wrócili do kuchni, zdołała uzyskać od niego wystarczającą ilość informacji. Po kolejnej rundce – tym razem dźwigała worek z jabłkami – wróciła do swojego pokoju. Kręciło jej się w głowie.

Na Ducha, to wszystko wyjaśniało – wytworną mowę, bezpośredni sposób, w jaki się do niej zwracał, irytację, kiedy musiał wykonywać czyjeś polecenia... oraz zachowanie Darnessy.

Zapatrzyła się w ogień na palenisku, pozwalając, by widok niskich migotliwych płomieni ukoił chaos w jej głowie. Darnessa zapewne nie mogła sobie darować. Ash był jedynym mężczyzną, któremu Sage okazała jakiegokolwiek zainteresowanie, więc swatka uznała, że w związku z tym koniecznie należy połączyć ich w parę. Nie wiedziała jednak, że Ash poświęca jej czas wyłącznie na rozkaz Quinna.

Poczuła zimny dreszcz. Nawet jeśli Ash miałby inne zamiary, natychmiast straciłby zainteresowanie nią, gdyby tylko się dowiedział, że nie jest jedną z panien biorących udział w Concordium – że nawet nie ma arystokratycznego rodowodu. Mógł mieć każdą, którą zechciał. Nawet lady Jacqueline by go nie odrzuciła.

Nie, Darnessa bardzo się pomyliła. Sage nie miała mu nic do zaofiarowania.

Oprócz pomocy, na którą liczyła armia. Oraz przyjaźni.

Tak, to akurat było możliwe.

Na razie jednak musiała wykonać swoją pracę. Wyciągnęła księgę z samego dna skrzyni i odnalazła notatkę na temat kapitana Quinna. Chwyciła pióro drżącymi palcami i napisała na pustej stronie obok.

*Ash Devlinore „Carter” (B) ur. ok. 489*

*Sierżant, Pierwsza Armia, Dziewiąty Oddział Konnicy*

*Ojciec: król Raymond Devlin*

Gdy rozległ się dzwon wzywający na kolację, odbijając się echem od kamiennych murów, odchyliła się na oparcie. Uznała, że więcej tego wieczoru nie zdoła napisać, więc włożyła księgę do skrzyni, pod parę spodni na dnie. Nagle przypomniała sobie znaczący uśmiech Darnessy i na jej twarzy również pojawił się przebiegły uśmieszek.

*Mam jeździć konno? Świetnie, Darnesso. Sama tego chciałaś.*

Diuk D'Amiran właśnie jadł późną kolację w Wielkiej Hali na zamku Tegann, gdy wprowadzono związanego jeńca. Jego czarno-złota liberia była podarta i zabłocona, śmierdziało od niego potem i ekskrementami. D'Amiran zakrył nos chusteczką nasączoną zapachem cytryny i dał strażnikom znak, by wyjęli knebel z ust pojmanego kuriera.

– Zdrajca! – wyrzucił z siebie jeniec.

Próbował splunąć, ale miał zbyt sucho w ustach.

Diuk nawet nie drgnął. Wiedział, że ten człowiek wkrótce będzie błagał o śmierć, lecz wątpił, by miał informacje, które mogłyby im wynagrodzić trud związany z ich zdobyciem. Miał jednak do niego kilka pytań, przede wszystkim: dlaczego jego brat nie może odnaleźć księcia? Sojusznicy robili się niespokojni.

– Skąd on się wziął? – spytał.

Kapitan Geddes, jak to miał w zwyczaju, pociągnął za lewe ucho, przy którym brakowało sporego kawałka.

– Schwytali go nasi przyjaciele z Kimisary. Niósł wiadomość od generała Quinna, miał ją przekazać dowódcy eskorty podczas postoju w Underwood. – Wyciągnął zza pazuchy zwój papieru i położył go na stole. – Wiadomość jest zaszyfrowana.

Diuk przejrzał kartki i zwrócił się do jeńca:

– Czy słusznie zakładam, że nie potrafisz odszyfrować tego, co tu napisano?

– Tak – odparł kurier, patrząc mu prosto w oczy.

– Mogę to sprawdzić, Wasza Miłość – zaproponował kapitan.

D'Amiran potrząsnął głową.

– Wątpię, by generał Quinn zadawał sobie trud szyfrowania depech i wysyłał razem z nimi klucz. – Wydał wargi. – Niepokoi mnie jednak, że powziął takie środki ostrożności. Widocznie coś podejrzewa. – D'Amiran znów przytknął chustkę do nosa i dał znak, by jeńca wyprowadzano. – Skup się na tym aspekcie sprawy, kapitanie.

Strażnicy zaczęli ciągnąć jeńca w stronę tylnego wyjścia. Nie stawiał oporu, ale też nie współpracował.

– Wyświadcz mi pewną przysługę, kapitanie – zawołał diuk zza chustki. Kapitan odwrócił się w jego stronę. – Zaczekajcie, aż zjem, zanim za bardzo się

zaangażujecie. Bardzo ciężko trawi się przy wtórze wrzasków.

Sage wstała wcześniej, ubrała się w spodnie, wysokie buty, lnianą koszulę i gruby filcowy kubrak, włosy związała i zakryła wełnianą czapką i kapturem spłowiałej brązowej kurtki, potem spakowała swoje rzeczy i opuściła skrzydło gościnne, nie czekając, aż obudzi się reszta. Poszła do kuchni, niedostrzegalna wśród służących i szeregowych żołnierzy, zjadła szybkie śniadanie i skierowała kroki do stajni. Odnalazła głównego stajennego i zapytała, którego z koni przeznaczono dla lady Sagerry. Wskazał jej wierzchowca, zadowolony, że ktoś przejmie od niego przynajmniej część obowiązków w ten pracowity poranek. Przejrzała zapasowy sprzęt należący do konnicy, znalazła siodło ze strzemionami już ustawionymi na odpowiednią długość i zaniósła je do stajni.

Nie potraktowali jej protekcjonalnie, nie dali jej kuca ani konia jucznego. Klacz o ciemnoszarej maści wyglądała raczej na zapasowego wierzchowca któregoś z żołnierzy. Sage dała klaczy jabłko i zaczęła czyścić ją zgrzeblę. Szybko się zaprzyjaźniły. Sprawdziła, czy nie ma żadnych uszkodzeń bądź kontuzji, i nałożyła siodło.

Kiedy pochyliła się, żeby zapiąć popręg, usłyszała znajomy głos:

– Chłopcze, do siodła trzeba doczepić specjalną nakładkę dla damy. Musisz to zrobić, zanim zaciągniesz popręg. – Sage uśmiechnęła się szeroko, nic nie mówiąc.

Ash pchnął drzwi i podszedł bliżej.

– Nie słyszysz, co mówię? Najpierw nakładka. – Chwycił Sage za ramię, a ona wyprostowała się i spojrzała mu prosto w twarz.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym obyć się bez niej – odparła.

Zamarł z ręką na jej ramieniu. Sięgała mu do brody, ale stała tak blisko, że musiała odchylić głowę do tyłu, by patrzeć mu prosto w oczy.

– Gdybyś próbował jeździć w spódnicy, to byś zrozumiał.

Ash puścił jej ramię i cofnął się. Patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami, gapił się podobnie jak wszyscy, kiedy pokazywała się w spodniach. Z trudem powstrzymała się, by nie odwrócić się do niego plecami, uciekając przed natrętnym spojrzeniem. Potrząsnął głową.

– Jazda na koźle czy jazda w damskim siodle to jedno, pani. Jazda po męsku to coś zupełnie innego. Wydaje mi się, że na to pani Rodelle się nie zgodzi.



Sage odparła, puszczając do niego oko:

– W takim razie proponuję, byś na razie trzymał mnie poza zasięgiem jej wzroku.

Wyszędłszy przed stajnię, zwróciła twarz ku słońcu, rozkoszując się ciepłymi promieniami. Na pewno nie będzie tęskniła za tym idiotycznym kapeluszem, chociaż pod koniec dnia przybędzie jej piegów. Uczciwa cena za odrobinę wolności. Kiedy wyjechali na drogę, z zafascynowaniem obserwowała krajobraz. Teren stał się bardziej skalisty, pola uprawne rzadsze, a zalesione obszary, przez które przejeżdżali, znacznie większe. Znaleźli się w Tasmecie, prowincji, która ściśle rzecz biorąc, nie stanowiła osobnej krainy, ale i tak wydawała się egzotyczna. W Crescerze tylko najbogatsze domy budowano z kamienia; wieśniacy wznosili swoje domostwa z drewna i pokrywali dachy trawą. Tutaj nawet najskromniejsze domki miały kamienne ściany i łupkowe dachy.

Z początku czuła się zakłopotana, bała się, że wyjdzie na naiwną wiejską dziewczuszkę, zwłaszcza teraz, gdy poznała prawdziwą tożsamość Asha. Przebywał w tej prowincji z armią od wielu lat, więc dla niego nic nie było tu nowe, ale z przyjemnością pokazywał jej wszystko dokoła, zwracając uwagę na różne szczegóły, na przykład kolorowe żyłki minerałów znaczące kamienne ściany. Sage powoli czuła się coraz swobodniej.

Ash był teraz znacznie bardziej skłonny odpowiadać na jej pytania o armię. Opowiadał o towarzyszach broni, jakby mówił o braciach. Pewnie tak właśnie ich traktował. Sage zastanawiała się, jak on się z tym czuje.

– Wiesz o mojej rodzinie – zagała. – A co z twoją?

Wzruszył ramionami.

– Nie da się o niej zbyt wiele powiedzieć. Mój ojciec jest... bardzo znanym człowiekiem. Dorastając, patrzyłem na niego z daleka. Matka była mi oddana, lecz od kilku lat bardzo rzadko się widzimy. Teraz moją rodziną jest armia. – Unikał jej spojrzenia. – Moje imię chyba dobitnie świadczy o tym, kim jestem.

– Dla mnie to żadna różnica – odparła. Rozumiała, że Ash nie jest gotów wyznać jej prawdy o sobie. – Opowiedz mi o nauce, którą przechodzą paziowie. Część obowiązków, które musi wykonywać Charlie, wydaje mi się stanowczo za poważna na jego wiek.

Ash ściągnął brwi. Miał śniadą skórę mieszkańców Aristelu i niemal czarne włosy. Sage nigdy nie osiągnęłaby takiego koloru cery, nawet gdyby przebywała na zewnątrz przez całe lato, nie zważając na niekończące się upomnienia ze strony ciotki twierdzącej, że w ten sposób zniszczy cerę.

– Najbardziej w pamięci utkwilo mi to, jak starsi chłopcy dręczyli młodszych. Ojciec Quinna był wówczas pułkownikiem. Dzień po przybyciu Quinn pomaszerował prosto do niego i oznajmił, że jeśli do końca życia ma mieć do czynienia z takimi ćwokami, to woli od razu zrezygnować ze służby.

Sage zaśmiała się, chociaż nie przepadała za kapitanem.

– Ojciec pewnie kazał mu zostać.

Ash pokręcił głową.

– Ojciec powiedział, że jeśli chce, może wracać do domu, bo smarkacze nie mają od kogo brać dobrego przykładu. – Uśmiechnął się. – Quinn uznał to za wyzwanie, wrócił do namiotu zajmowanego przez paziów i wdał się w bójkę.

Sage prychnęła.

– Pewnie tego dnia zdobył szacunek wszystkich chłopaków, a tydzień później mianowano go porucznikiem.

Ash puścił sarkazm mimo uszu.

– Nie. Dostał nieźle w skórę, ale odmówił podania nazwisk winowajców. Pewnie słusznie, skoro sam zaczął. – Ash wbił wzrok w uszy swojego rumaka. – Tak zaczął się bardzo trudny dla niego rok. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nie odszedł.

– Co się stało? – spytała zaciekawiona. – Jak widać, poradził sobie i odniósł sukces.

– Naprawdę nie wiem. Powoli uczył się właściwego postępowania, zdobywał przyjaciół, między innymi mnie, aż wszyscy zaczęli go szanować i podziwiać. Do swojej odpowiedzialnej pozycji podchodził bardzo poważnie. I nadal tak jest. Kiedy zostaliśmy giermkami, wszystkie bójki i dręczenie ustały, a paziowie zaczęli dostawać zadania zwykle przeznaczone dla giermków, co im z kolei pozwoliło na szybszy rozwój.

A więc oddanie przyjaciół dla Quinna sięgało bardzo głęboko, brało początki jeszcze w dzieciństwie. Sage czuła, że z tego powodu wszyscy starają się go zadowolić, nawet jeśli jego rozkazy nie budzą entuzjazmu. Owszem, teraz wymuszał na nich jedynie drobne kłamstewka i oszustwa, lecz prawdopodobnie na tym miało się nie skończyć – aż pewnego razu ktoś mu się przeciwstawi.

Ash obrócił twarz w jej stronę. Słońce zaświeciło skośnie w jego ciemnych oczach, rozjaśniając je głębokim odcieniem mahoni.

– A więc pokrótce: my nie mieliśmy takich obowiązków jak teraz Charlie. Cóż za stracona szansa.

Sage zrozumiała, że Ash był paziem i giermkim, a jednak nie został oficerem. Już miała o to zapytać, gdy ją ubiegł.

– A ty, lady Sagerro? Też biłaś się w dzieciństwie? Czy tylko rzucałaś we wrogów szyszkami?

Żartował, ale odparła zgodnie z prawdą:

– Odbyłam trzy bójki. Pierwszą przegrałam. Ojciec stwierdził, że spotkał mnie wątpliwy zaszczyt walki z chłopakiem, który był zbyt wielkim tchórzem, żeby wybrać kogoś własnej postury. Podczas naszego kolejnego spotkania posłużyłam się lewym kolaniem dla lepszego efektu. Chyba przez trzy tygodnie miał trudności z chodzeniem.

Ash skrzywił się.

– A trzecia bójka?

– To był raczej pojedynek: inteligencja przeciwko nieuzbrojonemu oponentowi.

– Opowiedz.

Sage wzruszyła ramionami.

– To był tępy samochwała, źle wyrażał się o dziewczynach i chociaż zgadzałam się z większością zarzutów, kiedy stwierdził, że potrafi pokonać każdą w obojętnie jakiej konkurencji i doprowadzić ją do łez, wyzwałam go na siłowanie się na rękę w stylu kimisarskim. – Ash wyznał, że nigdy nie słyszał o podobnej dyscyplinie. – Nic dziwnego, ponieważ sama ją wymyśliłam. Polegała na tym, że próbowałam położyć jego ramię oparte łokciem na stole. – Wyciągnęła rękę z zaciśniętą pięścią zwróconą w swoją stronę.

– Zdaje się, że przypadło ci łatwiejsze zadanie.

Przytaknęła.

– Też tak powiedział. Zapytałam więc, czy się boi, bo przecież jest znacznie lepszy ode mnie.

– Kto wygrał?

– Zależy od punktu widzenia. Udało mi się przechylić jego ramię zaledwie o tyle. – Tu odciągnęła ramię i popatrzyła na Asha z podstępny uśmiechem. – Ale potem puściłam. – I zademonstrowała, jak luźno puszczone ramię uderzyło przeciwnika w twarz.

Ash wybuchnął śmiechem, płosząc konie i wszystkich dokoła. Długo nie mógł się opanować. Przez chwilę Sage bała się, że Carter spadnie z konia. Pozostali żołnierze popatrzyli w ich stronę, ale Ash uspokoił ich machnięciem ręki, z trudem łapiąc oddech. Łzy ciekły mu po twarzy. W końcu się uspokoił i otarł oczy dłońmi w rękawiczkach.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Co za podstępny plan.

– Nie sądziłam, że aż tak się powiedzie – odparła Sage, kręcąc głową. –

Chłopak wyleciał z krzesła i przegryzł sobie wargę. Wszędzie była krew. – Ash znów zaczął chichotać. – Najlepsza była jego mina. – Sage przyłożyła sobie pięść do twarzy i zrobiła komicznie przerażoną minę. – Oczywiście wuj William wcale nie uznał tego incydentu za zabawny. Podobnie jak ojciec ofiary.

Ash znów parsknął śmiechem, przyciskając ręce do boków. Nagle Sage usłyszała własny śmiech i zdała sobie sprawę, że nie śmiała się od bardzo dawna.

Na pierwszym popasie Sage uzmysłowiła sobie, że jej strój stanowi pewien problem. Postronny obserwator mógłby ją wziąć za mężczyznę z pospólstwa, więc nie mogła usiąść w towarzystwie dam. Chętnie spędziłaby czas w towarzystwie Asha, on jednak musiał omówić ważne sprawy z oficerami i wyraźnie zaznaczył, że jej obecność przy tej rozmowie jest wykluczona. Sage uznała w końcu, że posiłek spożyty w samotności to niewielka cena za przywilej jazdy w siodle.

Ash natychmiast się ulotnił, wspomniawszy tylko, że kiedy znów znajdą się na drodze, będzie musiał udać się na patrol. Sage już na samym początku podróży wyraźnie zaznaczyła, że nie życzy sobie pomocy przy wsiadaniu na konia i zsiadaniu z niego, więc porucznik Casseck poczekał, aż znajdzie się na ziemi, i dopiero wtedy do niej podszedł. Chyba uporał się ze wstrząsem, jakim był jej widok w takim stroju i męskim siodle.

– Pani – powiedział – przychodzę przekazać prośbę od kapitana Quinna dotyczącą jego brata, Charliego.

Spojrzała na Quinna, który prowadził konia w stronę skleconego naprędce stołu z leżącą na nim mapą, przy którym już czekali Ash i jakiś inny oficer.

– Dlaczego sam nie mógł tego zrobić?

Casseck wzruszył ramionami.

– Na tym polega moja praca.

Sage wywróciła oczami. Chyba zemdleje ze zdziwienia w dniu, kiedy Quinn zrobi coś samodzielnie, zamiast wydawać innym rozkazy. A może czuł się zbyt zażenowany po tym, jak kazał Ashowi ją okłamywać. W takim wypadku nie był leniwy, tylko tchórzliwy.

– Słucham.

– Zdajesz sobie sprawę, że znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie. Kapitan uważa, że jeśli odda ci Charliego pod opiekę, nie będzie musiał tak się o niego martwić. Charlie nadal będzie wykonywał swoje obowiązki, ale będzie towarzyszył również tobie i innym damom. Carter nie może jeździć u twego

boku przez cały dzień, nie może też spożywać posiłków w twoim towarzystwie, a Charlie tak.

Przechyliła głowę, by spojrzeć Casseckowi prosto w oczy.

– Czy słusznie wnioskuję, że jeśli zostaniemy zaatakowani, Charlie będzie bezpieczniejszy, przebywając w grupie kobiet?

Porucznik skrzywił się.

– Tak, ale to nie znaczy, że spodziewamy się ataku.

Możliwe, że mówił prawdę. Tego ranka żołnierze zachowywali czujność, ale nie wydawali się tak zaniepokojeni jak wcześniej. Wszyscy jednak byli w pełni uzbrojeni. Otworzyła usta, by zapytać, czego właściwie mogą się spodziewać, ale Casseck nie dał jej dojść do słowa.

– Pani, pytałaś, jak możesz nam pomóc, a ja mówię prawdę, twierdząc, że dzięki tobie będziemy mogli skupić się na grożącym nam niebezpieczeństwie i zbadaniu jego istoty. To prośba, której wagi nie należy lekceważyć. Kapitan Quinn niechętnie rezygnuje z kontroli, szczególnie jeśli chodzi o brata.

Sage westchnęła i kiwnęła głową.

– Zrobię to ze względu na Charliego. – Czuła, że potraktowano ją nieco protekcjonalnie, ale przede wszystkim niepokoił ją fakt, że Quinn obawia się o bezpieczeństwo brata. Kto chciałby skrzywdzić dziecko?

Sage przyglądała się, jak Ash wyrusza na patrol. Twierdził z przekonaniem, że dołączy z powrotem do orszaku, kiedy zatrzymają się na noc, ale niepokoiła ją mina Cassecka. Dlaczego Quinn wysłał Asha samego? Kapitan przechadzał się dumnym krokiem, wydając władczo kolejne rozkazy. Wszyscy przygotowywali się do odjazdu.

Wskoczyła na konia i zwróciła się do Charliego:

– Twój brat sprawia wrażenie prawdziwego człowieka czynu. Zawsze mu śpieszno.

Chłopiec skinął głową.

– Ojciec mówi, że wyznaczył mu tę pracę, żeby nauczył się cierpliwości.

Sage zdusiła śmiech. Być może ich ojciec wiedział, że Quinn nie jest aż tak wspaniały, jak się wszystkim wydaje.

– Chcesz zobaczyć mój nóż? – spytał Charlie. – Moja mama kazała go ozdobić w specjalny sposób. – Odczepił sztylet od pasa i z dumą pokazał złote inicjały na rękojeści. Sztylet zdawał się ogromny w jego drobnej dłoni. – Mój brat też ma taki.

– Mój ojciec też dał mi nóż, kiedy byłam w twoim wieku – powiedziała. – Ale go zgubiłam. – Opowiedziała mu, jak uciekła, a wuj ją znalazł i zaniósł do domu. Nóż został w wąwozie.

Brązowe oczy Charliego zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Dlaczego uciekłaś, pani? Czy wuj źle cię traktował?

– Wtedy tak myślałam. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Rozumiesz, mój ojciec dopiero co zmarł, a kiedy ktoś, kogo kochasz, umarł czy znalazł się w trudnej sytuacji, nie zawsze myślisz jasno.

– Ojciec powiada, że jasny umysł to największy atut każdego oficera – odparł z powagą Charlie.

– Pewnie wie o tym z doświadczenia – stwierdziła równie poważnie.

Kiedy wieczorem dotarli na miejsce, Ash jeszcze nie wrócił. Dwór Middleton wzniesiono z grubych, wysokich murów, w stylu, który zauważyła w kilku mijanych miejscach po drodze z Underwood. Tasmety miał za sobą wiele stuleci wypełnionych walkami i najazdami. Domyślała się, że dalej na południe w

kierunku Kimisary budynki mieszkalne jeszcze bardziej przypominają fortece. Pomogła Charliemu zanieść skrzynię do swojego pokoju, który i tym razem miała dzielić z Clare. Widziała niepokój na twarzach żołnierzy wypatrujących towarzysza na drogach biegnących ze wschodu. Minęła kolacja, słońce zaczęło zachodzić. Zaczęto organizować grupę poszukiwawczą.

Sage, tym razem już ubrana w suknię, przyglądała się oficerom konferującym na murze zewnętrznym. Charlie stał obok niej, niespokojnie przestępując z nogi na nogę. Próbowwała go uspokoić, mimo że sama czuła lęk. Zamierzała tego wieczoru wydobyć od Cassecka szczerą odpowiedź na kilka pytań, ale w tym momencie przyjmował on rozkazy. Kapitan Quinn stał obok niego, ramiona trzymał splecione na piersi. Wyglądał na całkowicie nieporuszonego całą sytuacją. Jak to możliwe? Czy nie czuł się winien, że wysłał Asha samego? Nigdy nie widziała, żeby jeździł na patrole. Nie wiedziała wprawdzie zbyt wiele na temat armii, ale uważała, że nie jest to słuszne. Dowódca nigdy nie powinien wydawać rozkazów, których sam nie chciałby spełnić.

Nagle w oddali cztery razy krótko odezwał się róg i zaraz pokazało się pięciu uzbrojonych jeźdźców. Żołnierze natychmiast odetchnęli z ulgą, a Charlie oparł się o nią, rozluźniony.

Kilka minut później na piaszczystej drodze pojawił się wielki pies, tuż za nim zaś kasztanowy rumak Asha, biegnący może nie bardzo szybko, ale energicznie, jakby nie mógł się doczekać powrotu. Otworzono bramę. Ash wjechał do środka, dając znaki jeźdźcom na dziedzińcu. Casseck ruchem głowy pokazał, że mają udać się za nim, i wszyscy ruszyli do stajni.

Casseck podszedł do Asha, kiedy ten zsiadł z konia.

– Wybacz, Cass, że kazałem wam czekać – usłyszała Sage. – Ale było warto.

Porucznik przechylił głowę i znacząco zerknął w stronę Sage i Charliego. Ash odwrócił się, pomachał do nich i poszedł za Casseckiem. Charlie już chciał za nimi pobiec, ale go powstrzymała.

– Zaczekaj, Charlie. Na pewno muszą omówić ważne sprawy. Wiemy, że już nic mu nie grozi. Lepiej zmykaj do łóżka.

– Ale na pewno jest głodny. Coś mu zaniosę.

Potrząsnęła głową.

– Nie, późno już. Ja się tym zajmę. – Paź chciał znów zaprotestować, ale ostrzegawczo uniosła palec, mówiąc: – Twój brat powierzył mi opiekę nad tobą, żołnierzu, a ja mówię, że masz iść spać. – Wyciągnęła rękę w stronę koszar. – Natychmiast.

– Tak jest, madame – zgodził się Charlie z ponurą miną.

Sage udała się do kuchni i poprosiła o jedzenie. Z tacą w rękach przeszła przez dziedziniec, stopą otworzyła drzwi do stajni i pchnęła je biodrem. W środku nie było prawie nikogo. Przemknęła wzdłuż przegród, kierując się w stronę głosów dochodzących z samego końca pomieszczenia. Porucznik Casseck właśnie udzielał Ashowi reprimendy.

Ostrożnie podeszła bliżej i przystanęła za ścianką, by pozostać w ukryciu. Przez szparę w deskach widziała Cassecka, który patrzył w dół. Ash pozostał poza zasięgiem jej wzroku.

– Wszystkich wystraszyłeś – powiedział porucznik.

*Łącznie ze mną*, pomyślała.

Ash podniósł się – wcześniej pewnie przykucnął, by obejrzeć kopyta klaczy.

– Potrafię się o siebie zatroszczyć. – Jego głos brzmiał pewnie i władczo, zupełnie inaczej, niż kiedy z nią rozmawiał.

Casseck nie dał się przekonać.

– Na pewno nie stojąc naprzeciw stu trzydziestu ludzi.

Sage zdusiła okrzyk.

Ash prychnął.

– Nie znajdują się w jednym miejscu.

Sage ściągnęła brwi. Czyżby zostali otoczeni? Nic dziwnego, że Quinn nie chciał nikomu nic powiedzieć. Darnessa wpadłaby w panikę.

– No dobrze, przeciwko dziesięciu – przyznał Casseck. – Jesteś dobry, ale nie aż tak dobry. – Ash zacisnął szczęki i przeciągnął szczotką po grzbiecie kasztanowej klaczy, która aż zadrżała z zachwyty. Casseck poklepał ją po kłębie i podjął: – Nie możemy pozwolić sobie na stratę choćby jednego człowieka, a już na pewno ciebie. Od teraz każdy patrol ma liczyć co najmniej dwóch ludzi, a najlepiej trzech.

Ash potrząsnął głową.

– Nie mamy aż tylu żołnierzy. Jeśli rozproszymy siły, staniemy się słabsi.

– Już jesteśmy słabi – odparł Casseck. Zanim Ash zdążył zaprotestować, Casseck podszedł bliżej i położył dłoń na szczotce, by tamten skupił uwagę na jego słowach. – Mówię poważnie. Nikt więcej nie pojedzie sam na zwiad, a już na pewno nie ty. Twój ojciec by mnie zabił, gdybym na to pozwolił.

*Tak, słuchaj Cassecka.* Sage wolałaby, żeby to on dowodził zamiast Quinna. Jemu wyraźnie bardziej zależało na bezpieczeństwie żołnierzy.

Ash odwrócił się ku niemu, rzucając gniewne spojrzenie.

– Chyba zapominasz, kto tu wydaje rozkazy – powiedział.

Sage uznała, że musi interweniować, zanim Ash wpakuje się w kłopoty.



Obeszła ściankę, specjalnie hałasując, żeby nie pomyśleli, że się skrada. Oczywiście Cassecka natychmiast na niej spoczęły, Ash zaś, odwrócony w jej stronę plecami, zeszytywniał. Porucznik popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym zabrał rękę i wsunął kciuk za pas.

– Porozmawiam z kapitanem. On ci wszystko wytłumaczy.

Casseck wyminął Asha i skierował się do wyjścia. Ash obrócił się na pięcie. Casseck minął Sage z uprzejmym skinieniem głowy i wyszedł. Carter przez chwilę wpatrywał się w Sage z nieodgadnioną miną, aż w końcu wrócił do czyszczenia konia.

– Jak długo już tu jesteś? – spytał groźnie.

Równie dobrze mogła się przyznać.

– Wystarczająco długo, żeby usłyszeć różne ciekawe rzeczy. – Nic nie odpowiedział, dalej czyścił klacz szybkimi, gniewnymi ruchami. Sage również poczuła wściekłość. – Nie przyszłam cię szpiegować, jeśli tak sądzisz. Przyszłam, ponieważ pomyślałam, że jesteś głodny. Proszę.

– A teraz wiesz, kim jestem – warknął. – Gratulacje.

Jej gniew uleciał bez śladu. Ash nie chciał, żeby wiedziała. Pewnie Quinn kazał mu ukryć prawdę, bo jako zwykły chłopak mógł zdobyć więcej przydatnych informacji.

– Jesteś synem króla – odparła spokojnie. – Wiem o tym od wczoraj. Nikomu nie powtórzę.

Przerwał pracę i oparł czoło o bok klaczy.

– Wiesz, że ten twój zwyczaj jest niezwykle irytujący.

Jad w głosie nie pasował do ruchu ramion, które opadły jakby z ulgą. Ale był wściekły, więc starała się zachować neutralny ton.

– Jaki zwyczaj masz na myśli?

– Że łazisz dokoła i drążysz, odkrywasz rzeczy, których nie powinnaś wiedzieć, dowiadujesz się tego, czego nie powinnaś słyszeć i wydobywasz na powierzchnię to, co powinno pozostać ukryte. – Ash obrócił się na pięcie i posłał jej oskarżycielskie spojrzenie. – Przez cały czas okłamując mnie co do swojej tożsamości oraz intencji. – Znów się odwrócił i cisnął szczotką do kosza, aż klacz niespokojnie podniosła łeb.

Wziął głęboki wdech.

– Już sama myśl, że wydadzą cię za jakiegoś bogatego beznadziejnego starca była wystarczająco okropna. Ale potem przeczytałem twoje notatki. – Skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił się w jej stronę, posyłając jej mordercze spojrzenie. – Ciebie tam nie ma. Nie jesteś jedną z kandydatek. Nie

występujesz pod nazwiskiem Broadmoor. *Nie istniejesz*. Ale przychodzisz do mnie, udając zatroskaną damę. Dzisiaj rano ubrałaś się i jeździłaś jak mężczyzna, w zeszłym tygodniu bawiłaś się w nauczycielkę. Pytanie: kim będziesz jutro?

Spuściła wzrok.

– Twoją przyjaciółką.

– Mam przyjaciół. Żaden z nich nie bierze tyle ode mnie, dając w zamian tak mało jak ty. – Zrobił parę kroków w jej kierunku i wziął od niej tacę. – Możesz już odejść.

A więc od wielu dni wiedział, że Sage kłamie – może nawet od początku. Jeśli Quinn podejrzewał ją o szpiegowanie czy powiązania z armią tych stu trzydziestu ludzi, Ash musiał pewnie sporo się namęczyć, żeby go przekonać, że się myli. Włamał się do jej pokoju, by oczyścić jej imię. Ale nadal nie wiedział, kim ona jest.

A ona nie mogła mu powiedzieć.

– Dobranoc, Sagerro Broadmoor – powiedział takim tonem, jakby miał na myśli „żegnaj”.

Pragnął jedynie prawdy i zasługiwał na nią jako jej przyjaciel.

– Sage – szepnęła.

– Co takiego?

Wyprostowała plecy i zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Mam na imię Sage.

Przez kilka sekund jego ciemne oczy wpatrywały się w nią pełne oczekiwania. Nie mogła wydobyć głosu.

– A co dalej? – zapytał łagodnie. – Bo nie Broadmoor.

– Fowler – szepnęła. – Mój ojciec był ptasznikiem. Lady Broadmoor to siostra mojej matki. Wzięła mnie do siebie po jego śmierci.

– A teraz?

Spuściła wzrok.

– Praktykuję u swatki. Jestem jej asystentką.

– Jak ci płaci? W nagrodę znajdzie ci bogatego męża?

– Nie, oczywiście, że nie. – Ciemny rumieniec rozlał się po jej szyi i popęłnął aż do linii włosów. – Nie chcę wychodzić za mąż.

– Nigdy?

– Nigdy – odparła stanowczo, znów podnosząc wzrok.

Jakiś dźwięk za jej plecami kazał Ashowi spojrzeć w tamtą stronę. To był porucznik Gramwell. Ash uniósł tacę i powiedział:

– Zaraz przyjdę, sir. Chciałem tylko podziękować; lady Sagerra była tak uprzejma i przyniosła mi jedzenie. – Ukłonił się, po raz ostatni szukając jej oczu.

– Mam nadzieję, że jutro też będziesz jechała u mego boku, Sage Fowler – wyszeptał.

Diuk D'Amiran ze zdumieniem odczytał depezę od barona Underwooda: *Książę Robert podróżuje z orszakiem pańien zmierzających na Concordium*. Wiadomość potwierdzała to, czego dowiedzieli się od kuriera: eskortą dowodził syn generała Quinna. Diuk nie mógł sobie darować, że nie wypytał jeńca o Roberta, uznał bowiem wcześniej, że ten na pewno nie wie na ten temat nic istotnego. Nie miało to jednak znaczenia, teraz D'Amiran już wszystko wiedział. Za kilka dni pod jego dachem znajdą się syn króla i siostrzeniec. Nie mógłby tego lepiej zaplanować.

Oryginalny plan przewidywał, że Kimisarzy na południu porwą księcia Roberta i przewiozą go przez przełęcz Jovan, żeby generał Quinn posłał za nimi w pościg oddział stanowiący sporą część jego sił. Kimisarzy mieli skierować się na północ i zawrócić przez przełęcz Tegann. Potem oba przejścia miały zostać zamknięte, a Demorańczycy złapani w pułapkę nie po tej stronie Gór Catrix, co trzeba. Następnie jego siły, które właśnie się zbierały, bez trudu pokonałyby zachodni odłam sił Demoranu. Potem Kimisarzy mogliby zabrać księcia do Tennegolu z żądaniem okupu. Albo go zabić. D'Amiranowi było to obojętne.

Zawołał kapitana Geddesa i przekazał mu najświeższe informacje, po czym napisał list do swojego brata w Jovanie z poleceniem, żeby przepuścił przez przełęcz sojusznicze siły z Kimisary. Wcześniej D'Amiran przypuszczał, że to z powodu niekompetencji Rewela jego brat nie może odnaleźć Roberta, lecz oto okazało się, że książę wcale nie przebywa na południu z generałem Quinnem. I czuł radosny dreszczyk na myśl, że następca tronu zmierza prosto do Tegannu, ale jednocześnie był przekonany, że powoduje to pewne komplikacje. Kimisarzy nie porwą Roberta na okup, więc generał Quinn pošle za nimi mniejszą grupę żołnierzy, niż zakładał początkowy plan. D'Amiran był jednak zbyt podekscytowany, żeby się tym martwić.

– Książę podróżuje pod fałszywym nazwiskiem – poinformował Geddesa. – Może to oznaczać, że dostrzegli niebezpieczeństwo, więc tym bardziej nie powinniśmy ich płoszyć. Nie zamierzam budzić paniki, moje łupy mogłyby na tym ucierpieć. Ale chciałbym przyjrzeć się młodemu Quinnowi. Powiadają, że jest niezwykle podobny do ojca, chociaż ja nie uznałbym tego za komplement. – Kierowała nim niezdrowa ciekawość.

D'Amiran złożył list i przyłożył paleczkę wosku do świecy stojącej na biurku.

– Zastanawiam się też, dlaczego generał wyznaczył tę misję własnemu synowi.

– Czy Wasza Miłość przypuszcza, że po to, by was szpiegował? – zapytał Geddes.

Zaszyfrowane litery – których nadal nie udało im się odczytać – podpowiadały, że generał Quinn nie ufa nikomu.

– Niewątpliwie. Ale możliwe również, że chce, by książę znalazł się z powrotem w stolicy, co z kolei może znaczyć, że mają informatorów, których musimy zidentyfikować. W każdym razie nie możemy powiedzieć o Robertcie kapitanowi Huzarowi. Kiedy następnym razem wyślecie patrol do przełęczy, powiedzcie tylko, że Robert jest w drodze. Kiedy pojmiemy księcia, może uda nam się uzyskać od Kimisarów nieco większe wsparcie, zanim go oddamy. – Mogą okazać się potrzebni, kiedy jego armia stawi czoła armii Quinna.

– Nie jestem pewien, czy możemy im zaufać, Wasza Miłość – odparł kapitan, przeciągając palcem po nierównym brzegu uszkodzonego ucha.

D'Amiran przystawił pieczęć i zaśmiał się.

– Ja wiem, że nie możemy. Ale już trzeci rok cierpią głód z powodu zarazy niszczącej plony. Kimisara odda wszystko w zamian za jedzenie. Zrobią, co im każę.

Geddes zaczesał brązowe włosy na ucho i wyciągnął rękę po depeczę.

– Zamierzam osobiście zająć się twoimi łupami.

Książę podał mu list i pokręcił głową.

– Spokojnie, kapitanie. Na pewno nie przegramy.

– A co z żołnierzami z eskorty? – spytał Geddes, wtykając list za pazuchę.

– Nie stwarzają problemu. Dzięki nim nie muszę sam zajmować się przewożeniem tutaj tych kobiet. Jeśli sprawy na południu pójdą nie po naszej myśli, zanim wyruszymy, zdążymy jeszcze zwrócić się przeciw Kimisarom. – Zachichotał. – Zostaniemy bohaterami, którzy uratowali Roberta i odwieźli go do stolicy. Może nawet pozwolimy żołnierzom z eskorty, by nam pomogli, nie można jednak wykluczyć, że młodego Quinna spotka nieszczęśliwy wypadek. W najgorszym razie możemy przynajmniej wydobyć z nich informacje. Na razie zostawcie ich w spokoju.

Mysz leżał na swojej pryczy w koszarach; mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Wciąż myślał o Szpaku. Co go napadło, żeby tak ją potraktować? Próbował tłumaczyć swoje postępowanie tym, że Szpak nie poczuje się swobodnie, dopóki nie będzie sobą. Tak naprawdę podjął głupie ryzyko, ponieważ sam czuł się jak oszust. O mało wszystkiego nie zaprzepaścił, nie zdawał sobie sprawy, ile może stracić, aż do chwili, gdy kazał jej odejść.

Ona jednak nie odeszła.

*Sage Fowler*. Znał jej nazwisko, ale kiedy sama je wypowiedziała, poczuł się, jakby ktoś ofiarował mu bezcenny dar. Ufała mu. Chciała mu wyznać prawdę, a on pragnął zrobić to samo.

A po chwili stała przed nim oblana rumieńcem tak ciemnym, że znikły pod nim piegi, a on drążył dalej, wypytywał o wszystko, co chciał wiedzieć. Jej odpowiedzi przyniosły ulgę. I rozczarowanie.

Jęknął i potarł twarz. Na razie dopisywało mu szczęście, ale obawiał się, że wcześniej czy później te szare oczy kompletnie go rozbiją i to w najmniej odpowiednim momencie.

Sage leżała, nie śpiąc, w łóżku, które dzieliła z Clare, myśląc o twarzy Asha, o ułudze, która się na niej pojawiła, kiedy usłyszał jej prawdziwe nazwisko. Wiedział, że kłamała, że nie jest damą z arystokratycznym rodowodem. Wiedział, że jest nikim.

Ale nadal chciał być jej przyjacielem.

– Sage? – mruknęła Clare w ciemnościach. Sage, pewna, że przyjaciółka śpi, aż podskoczyła. – Nie śpisz?

– Nie.

– Wszyscy o tobie mówią.

– Jacy wszyscy? – spytała Sage.

– Wszystkie panny. Obserwują cię i opowiadają okropne rzeczy. Nie wiem, jak mam cię bronić.

Sage zmarszczyła brwi. To mogło oznaczać kłopoty.

– Rozmawiają tylko między sobą?

– Tak, boją się Darnessy. Przy niej nic nie mówią, ale ona i tak wie. Powiedziała im, że nie robisz nic bez jej zezwolenia.

Sage wzruszyła ramionami. Ojciec zawsze powtarzał, że plotki są dla osób o ciasnym umyśle.

– W takim razie nie musisz mnie bronić. Gdybym przejmowała się tym, co ludzie o mnie mówią, to... – urwała.

Miała na końcu języka, że wówczas wyszłaby za męża, ale uznała, że byłoby to nieco niedelikatne, biorąc pod uwagę sytuację Clare. Odchrząknęła.

– Gdzie byłaś? Nie zastałam cię po powrocie.

– Och. – Clare poruszyła się na posłaniu. – Znowu poszłam na spacer z porucznikiem Gramwellem.

– Znowu?

– Spacerujemy codziennie po kolacji, ale dzisiaj żołnierze byli czymś bardzo zajęci, więc wybraliśmy się później niż zwykle. – Clare zamilkła i po chwili dodała: – Uważasz, że to nieodpowiednie?

Sage uśmiechnęła się i uścisnęła jej dłoń.

– Ani trochę.

Niemal odetchnął z ulgą, gdy zobaczył ją wczesnym rankiem, ubraną do jazdy konnej i jedzącą śniadanie ze służbą. Usiadł na ławce obok niej i podał jej wielką dojrzałą truskawkę.

– Dzień dobry, droga przyjaciółko – powiedział cicho.

Sage przyjęła owoc i nieśmiało zerknęła na Asha.

– Chciałbym przeprosić za to, że wczoraj się rozgniewałem – dodał. – Byłem zmęczony i potraktowałem cię niesprawiedliwie, ale cieszę się, że wreszcie zrozumiałem twoją rolę.

– Nie ma za co przepraszać. Oboje wykonujemy rozkazy. – W misce nie było już bułek, więc podała mu połowę swojej. – Od dzisiaj sama podejmuję decyzje, wiem jednak, że ty nie możesz cieszyć się podobną swobodą.

Wziął bułkę, muskając palcami jej palce.

– Odnoszę wrażenie, że przywykłaś robić wszystko po swojemu.

– Możesz podziękować za to mojemu ojcu. – Uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem.

Dałby wszystko, by móc go poznać.

– Chciałbym więcej o nim usłyszeć.

Jej oczy zapłonęły, kontrastując z bladością cery.

– Chętnie ci opowiem.

Wiedział, że po wczorajszym patrolu Casseck nie pozwoli mu pojechać na kolejny. Podstępnie przedstawił jego przypadek na wieczornym zebraniu, w obecności oficerów, więc kapitan musiał się zgodzić, by od tej pory wszystkie patrole składały się z co najmniej dwóch jeźdźców. Przynajmniej miał miłe towarzystwo. Ledwo wyjechali na drogę, a Sage zaczęła zadawać pytania.

– Możesz mi powiedzieć, co się wczoraj stało? – spytała. – Chciałam zapytać o to wieczorem, ale nam przerwano.

Troska w jej oczach sprawiała mu przyjemność, lecz była niepotrzebna. Nie mieli wieści od zwiadowcy jadącego przodem, więc pojechał go szukać. Okazało się, że zachorował, zapewne w miejscu, w którym przebywał kilka dni wcześniej. Choroba nie była groźna, lecz... kłopotliwa i opóźniła podróż.

– Nic niebezpiecznego ani nawet ekscytującego – odparł. – Pobliskie miasto przechodzi kwarantannę. Znaleźli martwe zwierzę w studni, choroba szybko się



rozprzestrzenia, lecz nam nic nie grozi, o ile będziemy unikać wody w tym regionie. Warto jednak było sprawdzić.

– Co to za choroba?

Zawahał się. Sage nie była wydelikacaną panienką, ale nie miał ochoty opisywać objawów sprowadzających się do dwudniowej biegunki i wymiotów.

– Przelotne schorzenie, wolałbym nie wchodzić w szczegóły, obojętnie, czy jesteś damą, czy nie.

Od razu wychwyciła znaczenie.

– *Przelotne?*

Zaśmiał się z mimowolnej gry słów.

– Tak.

– Może przydałoby się zarazić nim naszych wrogów? – rzuciła.

Gwałtownie ściągnął wodze i popatrzył na Sage. Wielki Duchu, co za genialny pomysł.

– Coś się stało? – spytała, wstrzymując klacz i rozglądając się dokoła.

– Nie, tylko... to jest doskonały pomysł. – Mogliby unieszkodliwić żołnierzy z Tegannu. A może i armię na południu.

– Poważnie? Ja tylko żartowałam.

– Ale ja nie. Zaczekaj, muszę porozmawiać z Cassekiem. – Zawrócił konia i pomachał do przyjaciela. Po kilkuminutowej naradzie wrócił do Sage i posłał jej znaczące spojrzenie. – Nikomu o tym nie mów.

Potrząsnęła głową.

– Masz moje słowo. – Odprowadzili wzrokiem dwóch jeźdźców, którzy zabrali psa i oddalili się od orszaku. Cass od razu przystąpił do realizacji planu.

– Możesz powiedzieć, że to był twój pomysł.

– Bzdura. Jeśli odniesie taki skutek, jak zakładam, dostaniesz specjalną pochwałę. – Pochylił głowę i spojrzał na Sage. – Twój ojciec byłby dumny.

Zignorowała te słowa.

– Kiedy zrobisz coś dobrze, starasz się nie zwracać na siebie uwagi, ale przyjmujesz na siebie winę, nawet kiedy to nie jest potrzebne.

Wzruszył ramionami.

– Doceniam cudze zasługi.

– Myślę, że byłby z ciebie dobry oficer. Zastanawiałeś się nad tym?

– Nie ty pierwsza poruszasz ten temat. – Pokręcił głową. – Ale mój brat jest porucznikiem. Nie mogę nosić tego samego stopnia.

– Księżę – mruknęła. – Nie chcesz z nim konkurować.

– Otóż to. I tak nie jest mu łatwo. Wolę go wspierać.

– Rozumiem tę potrzebę. Ale wolałabym, żebyś nie miał tak niskiego mniemania o sobie.

– Zresztą może wcale nie pragnę awansu. Człowiek jest uwiązany na długie lata. – Wskazał na Cassa i Gramwella jadących kilka metrów przed nimi. – Widzisz ich? Jak przez cały czas muszą się zachowywać? Porównaj ze mną, który może spędzać czas w twoim towarzystwie. Oni nie mogą się cieszyć taką swobodą.

Sage zerknęła na niego z boku.

– Nie oszukasz mnie, Ashu Carterze. Masz ambicje i wrodzoną postawę przywódcy. Ale podziwiam twoje poczucie honoru i obowiązku.

Splonął rumieńcem i szybko zmienił temat.

– À propos honoru, skoro twoi rodzice byli małżeństwem, a twój ojciec ptasznikiem, nie chłopem, to dlaczego dali ci na imię Sage?

– Chyba po prostu im się podobało.

– Nie kupuję tego – odparł i spojrzał przed siebie, przysłaniając oczy przed ostrym porannym światłem.

– Szałwia to było ulubione ziele matki. Ojciec powiedział, że smażyła liście i tak je zjadała, szczególnie kiedy... kiedy spodziewała się mnie. – Uśmiechnęła się lekko. – A potem, gdy się urodziłam... – urwała, spuszczać wzrok.

– Kiedy się urodziłaś... – powiedział na zachętę.

Pięgi znikły pod rumieńcem.

– Ojciec stwierdził, że słodko pachnę i mam skórę miękką jak liście szaławii. I już nie było wyjścia, żadne inne imię nie wchodziło w rachubę. Szałwia przynosi wiedzę i mądrość, wartości, które były dla niego bardzo istotne. – Zagryzła wargi. – Ma również właściwości lecznicze. Ojciec nieraz mówił, że jestem jedynym lekarstwem, które potrafi ukoić ból po śmierci matki – opowiadała, skubiąc paznokcie. – Mnie się podoba.

– Mnie też. Jest pełne znaczeń. – Twarz Sage przybrała ciemniejszy odcień różu, on jednak udawał, że niczego nie zauważył. Skupił spojrzenie na drodze. – Zdaje się, że twoi rodzice byli dobrze dobrani. To dlatego wybrałaś naukę u swatki?

– Nie, tak jakoś wyszło. Moi rodzice sami się dobrali. Matka była córką wytwórcy strzał.

– Niech zgadnę. Ojciec twojego ojca, ptasznik, sprzedawał jej ojcu pióra na strzały.

– Blisko. Ojciec dorastał w sierocińcu, nie znał swoich rodziców. Sprzedawał pióra, kiedy terminował u ptasznika. – Jej twarz rozjaśnił rozmarzony uśmiech. –

Dzielił zapasy na mniejsze porcje, żeby odwiedzać ją prawie każdego dnia.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Musiał mieć ciężkie dzieciństwo.

Pokręciła głową.

– Życie w klasztorze rozbudziło w nim chęć do nauki. Gdyby dorastał w innym miejscu, być może nie zdobyłby takiego wykształcenia. Poza tym miał większą swobodę w wyborze zawodu dzięki temu, że nie odziedziczył zajęcia po przodkach. Po raz pierwszy zobaczył mamę, kiedy miał trzynaście lat, a ponieważ wytwórca strzał już miał ucznia, ojciec wybrał zawód najbliższy temu zajęciu, jak to tylko możliwe. Dziewięć lat później uciekli razem.

– *Dziewięć lat?* – powtórzył Ash. – Co za poświęcenie.

– Powiedział żołnierz – odparowała wesoło, ale zaraz spoważniała. – Mogli pobrać się wcześniej, gdyby tylko jej rodzice się zgodzili. Byli okropni, po śmierci mamy ojciec nie chciał oddać im mnie na wychowanie. Zostałam z nim. Wiecznie byliśmy w drodze.

– Co się z nim stało?

– Pewnego lata wybuchła zaraza. Pielęgnował mnie, aż sam zachorował. Długo nie mogłam sobie tego wybaczyć. Pod koniec nazywał mnie Astelyn. Brał mnie za mamę. – Utkwiła wzrok w punkcie między uszami klaczy. – W pewnym sensie mnie to cieszyło, przynajmniej pod koniec zaznał ulgi.

Straciła wszystko w wieku dwunastu lat.

– Przykro mi – powiedział.

– To nie twoja wina.

– Nie, ale przykro mi, że przez moją ciekawość musiałaś powrócić do tych wspomnień.

– Nie, miałaś wtedy rację. – Odetchnęła i zamknęła oczy. – Czuję się znacznie lepiej, oczyściłam ranę. Gorycz wreszcie znikła niemal bez śladu. Może rana wreszcie się zagoi. – Otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na niego jasnymi oczami. – Opowiedz o swojej bliźnie.

Zmiana tematu zbiła go z tropu.

– O czym?

– O bliźnie. – Wskazała na miejsce nad lewym okiem. – Skąd ją masz? Wygląda świeżo.

– A, to – odparł, pocierając czoło. – Kopnął mnie jeleni, mniej martwy niż sądziłem.

– Kłamca. – Wesoły ton krył w sobie ostrzeżenie.

Uznał, że nie zaszkodzi powiedzieć prawdę.

– Spotkanie z kimisarską piką w zeszłym miesiącu. Ale mam też bliznę po jeleniu. – Wskazał na punkt nad uchem. – Miałem trzynaście lat.

Nie dała się zwieść.

– Brałeś udział w wielu bitwach?

– Oczywiście. Wstąpiłem do armii w wieku dziewięciu lat. Ale to były raczej potyczki niż prawdziwe bitwy. Między Crescerą a Kimisarą panują napięte stosunki, nie ma jednak mowy o wojnie. – *Jeszcze*, dodał w myślach.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Domyślał się, co jej chodzi po głowie.

– Tak – powiedział nagle.

Aż podskoczyła.

– Co?

– Chcesz wiedzieć, czy kogoś zabiłem. Odpowiedź brzmi: tak. Nawet kilku.

– O.

– Najtrudniejszy był pierwszy. – Sam nie rozumiał, dlaczego jej to mówi, ale nie mógł się oprzeć. – Cóż, nie przyszło mi to z trudem, biorąc pod uwagę, że tamten zamierzał mnie zabić, ale potem chyba byłem w szoku. Coś takiego zabiera jakąś część ciebie, której już nigdy nie odzyskasz. – Przełknął ślinę. Pamiętał wszystko: krzyki, smród strachu i krwi, słabnące ciało przeciwnika, światło gasnące w jego oczach. – Miałem piętnaście lat. Posłużyłem się włócznią.

Cień współczucia pojawił się na twarzy Sage.

– A potem było już łatwiej?

Przytaknął.

– W dobre dni mówię sobie, że jest łatwiej, ponieważ nabrałem wprawy albo że zabiliby mnie, gdybym ja ich nie zabił, że mszczę przyjaciół, albo wymyślam jakieś inne usprawiedliwienie. W gorsze dni... – Wbił wzrok w drogę przed sobą.

Nie potrafił sobie przypomnieć twarzy swojej ostatniej ofiary, chociaż minęło zaledwie kilka tygodni. Ile jeszcze twarzy zapomniał?

– Uważasz tak, ponieważ sprawia ci to przyjemność – dokończyła za niego. – Uważasz, że jesteś potworem.

Spojrzał jej prosto w oczy, przerażony, że widzi go w ten sposób.

– Tak.

Jej uśmiech był łagodny i pełen otuchy.

– Nie jesteś.

– Skąd wiesz? – Jej przenikliwość dawała mu nadzieję, że to ona ma rację.

– Ponieważ nadal się przejmujesz.

Trzeciego dnia podróż przebiegała według wygodnego schematu dwóch wcześniejszych. Sage dowiadywała się nowych rzeczy na temat nauki, którą przechodzą paziowie i giermkowie. Charlie opowiedział jej o dziadkach mieszkających w Aristelu. Matka Asha również pochodziła z dalekiego wschodu, ale nie zdradził na jej temat nic więcej, tyle tylko, że niedawno wyszła za mąż.

Sage z kolei opowiadała, jak razem z ojcem chwytala i trenowała młode ptaki. A kiedy nie towarzyszył im Charlie, zabawiała Asha historiami o szpiegowaniu zalotników oraz o tym, w jaki sposób poznają z Darnessą oczekiwania mężczyzn wobec przyszłej żony.

– Spodziewałbym się, że wuj wyśle cię do pani Rodelle, żeby znalazła ci męża, a nie zatrudniła jako swoją asystentkę – skomentował.

– Próbował, zeszłej jesieni – odparła. – Umówił mnie na rozmowę bez mojej wiedzy. Byłam wściekła.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dokonałaś sabotażu?

Nie odpowiedziała wprost.

– Nie, próbowałam się dogadać, ze względu na ciotkę, bo tyle dla mnie zrobiła.

– Próbowałaś? A udało ci się?

– Skądże. Wszystko popsułam w ciągu kilku minut. Darnessa mnie sprowokowała, ja z kolei nie wykazałam się zbyt dużą dojrzałością.

– Zabrzmiało tak, jakbyś żałowała, że nie poszło ci lepiej.

Sage wydeła policzki i powoli wypuściła powietrze. W końcu odparła:

– Tak i nie. Nigdy nie byłabym szczęśliwa, udając kogoś, kim nie jestem. Chciałabym tylko, żeby postępowanie w zgodzie ze sobą w moim przypadku nie powodowało tylu kłopotów. Nigdy nie dogadywałam się najlepiej z wujem Williamem, ale zaopiekował się mną, kiedy znalazłam się w naprawdę trudnej sytuacji, jestem mu więc coś winna. A wypadłam beznadziejnie. – Uśmiechnęła się z żalem. – Nie chceć wyjść za mąż to jedno. Ale co innego dowiedzieć się, że i tak nikt by cię nie chciał za żonę.

Ash uniósł brwi.

– Nie jestem pewien, czy to prawda.

– Wiesz, że Darnessa zatrudniła mnie, by przy mnie kandydatki korzystniej wypadły? Żeby, mając wybór między mną a tą drugą, zalotnik wybierał tę, którą Darnessa dla niego upatrzy. – Od dawna o tym nie myślała. Dlaczego nagle zaczęło jej to przeszkadzać?

– Trudno w to uwierzyć.

– Łatwo, kiedy się wie, co lubią mężczyźni. Wielu skupia się na urodzie i nie widzi, że zachodzi niezgodność charakterów. – Ash nie wyglądał na przekonanego, więc wyjaśniła: – Powiedzmy, że mężczyzna lubi spokojne dziewczęta o delikatnej budowie ciała i jasnych włosach, ale tak naprawdę potrzebuje bardziej otwartej dziewczyny, która zrekompensuje jego tendencje do zamykania się w sobie. Kandydatka, z którą chciałaby wyswatać go Darnessa, jest wyższa niż kobiety w jego guście, niezbyt szczupła i ma brązowawy odcień włosów. A więc farbuję włosy na ciemniejszy kolor, wkładam buty na wysokich obcasach i suknię, która... dodaje mi kształtów. Kiedy się spotykamy, paplam jak najęta, a druga dziewczyna trzyma język za zębami. W porównaniu ze mną wypada na bliższą ideału i mężczyzna ją wybiera.

Sage nie wspomniała, że według Darnessy nawet nie musi zbytnio się starać, by wywoływać niekorzystne wrażenie.

– A więc podstępem skłaniacie mężczyznę, żeby wybrał z góry upatrzoną przez was kandydatkę? – Ash wydawał się zniesmaczony.

– Z początku też tak uważałam, ale dobra swatka daje ludziom to, czego potrzebują. A większość osób skupia się na tym, czego pragną. Poza tym nie robimy tak za każdym razem. Niektórzy mężczyźni muszą po prostu czuć, że to oni wszystkim sterują. – Sage skrzywiła się. – To wymagające i satysfakcjonujące zadanie łączyć ludzi w pary tak, by z czasem pojawiła się między nimi miłość, ale sądzę, że nie mogłabym zajmować się tym do końca życia. Któregoś dnia znajdę Darnessie nową uczennicę i poszukam pracy jako nauczycielka. Za kilka lat, na razie jestem za młoda.

Wyraz jego twarzy był nieodgadniony.

– Skoro metoda tak świetnie się sprawdza, dlaczego sama z niej nie skorzystasz i nie poprosisz Darnessy, by znalazła ci męża?

– Ponieważ wolałabym popełnić błąd, niż pozwolić innym decydować o moim losie. – Uśmiechnęła się krzywo. – A uwierz, jestem świetna w popełnianiu błędów.

Ash odwrócił się, ale nie zdołał ukryć uśmiechu.

– Mogę się pod tym podpisać – odparł.

Nagle zatrzymał wzrok na smudze dymu widocznej na południowym wschodzie. Szarpnął wodze i zjechał na pobocze. Sage, niewiele myśląc, poszła w jego ślady, pozwalając, by inni jeźdźcy ich minęli.

– Co się dzieje? – spytała, czując ucisk w żołądku.

Ash wyglądał jednak raczej na podekscytowanego niż zaniepokojonego.

Obrócił się w siodle. Cassecka nigdzie nie było widać – zapewne pojechał na patrol. Ash dał znak kapitanowi jadącemu kilka metrów za nimi. Quinn wzruszył ramionami i dał mu gestem przyzwolenie.

Ash spojrzał na Sage.

– Chcesz zobaczyć, jak twój pomysł dochodzi do skutku? – Pochylił się w jej stronę i wyszeptał: – Jeśli mnie dogonisz. – Spiął konia i ruszył galopem.

Sage ściągnęła brwi i popędziła Shadow, klacz, na której jeździła od dwóch dni. Ash dał znak Charliemu, by do nich dołączył, na co ten zareagował entuzjastycznym uśmiechem. Kiedy mijali psy biegnące na przedzie, Ash zagwizdał na jednego.

Jechali w milczeniu przez niemal godzinę. Ash czujnie się rozglądał, trzymał kuszę i miecz w pogotowiu. Nawet Charlie ścisnął w dłoni włócznię. Sage poczuła się nieswojo, myślała o pierwszym człowieku, którego zabił Ash. Czuła się bezradna, chociaż nie potrafiłaby obchodzić się z bronią, nawet gdyby jakąś miała, była jednak pewna, że Carter nie zabrałby jej i Charliego ze sobą, gdyby przewidywał, że grozi im niebezpieczeństwo.

Ujechawszy kilka kilometrów, skręcili na szeroki trakt i jechali nim przez kolejny kwadrans. Kiedy pies pobiegł przodem i stracili go z oczu, Ash wstrzymał konia.

– Co się dzieje? – spytała szeptem, zatrzymując się obok niego.

Promieniał jak uszczęśliwione dziecko.

– Zaczekaj.

Zawrócili w stronę drzew. Sage przyglądała się Ashowi kątem oka. Z profilu jego nos był prosty, z niewielkim garbem, a wargi wyginały się ku górze, zdradzając poczucie humoru, które jakże często ukrywał. Siedział w siodle wyprostowany, z naturalnym wdziękiem i pewnością siebie, której nie dostrzegała u niego, kiedy powoził. Teraz jednak rozumiała dlaczego. Znała go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest rozluźniony, ale czujnie nasłuchuje wszystkich dźwięków lasu. Jego głowa wykonywała niemal niedostrzegalne ruchy, a oczy błędziły dokoła. Ojciec nazywał to „widzeniem uszami”.

Miecz u jego boku był prosty i zwyczajny, lecz elegancki – i bez wątplenia śmiertelnie niebezpieczny, jeśli tylko Ash posługiwał się nim z tym samym

wdziękiem i skutecznością, tak charakterystycznymi dla wszystkiego, co robił. Zastanawiała się, czy król wie, jakiego ma wspaniałego syna. Co za szkoda, że z powodów formalnych był pozbawiony oficjalnego miejsca w królewskiej rodzinie. Czy dlatego wstąpił do armii?

Sage jeszcze raz zerknęła na jego twarz i zauważyła, że on również jej się przygląda. Na szczęście w tym momencie przybiegł pies, ratując ich z kłopotliwej sytuacji. Kiedy podbiegł bliżej, zauważyła, że z jego pyska zwisają dwa nieduże zwierzęta. Ash dał ruchem głowy znak Charliemu, ten zaś zsiadł z konia i podszedł do psa, który wypuścił zdobycz na ziemię u jego stóp. Charlie ukląkł, poklepał psa i dał mu smakołyk z kieszeni, po czym ze skrytki przy obroży wyjął kawałek papieru. Podrapał psa za uszami, wstał i podniósł zwierzynę – teraz Sage dostrzegła, że są to dwa tłuste króliki.

Podał zdobycz i depeszę Ashowi i uśmiechnął się do Sage. Zrozumiała. Psy nosiły wiadomości między orszakiem a zwiadowcami. Zapewne posługiwali się oni, podobnie jak jej ojciec, gwizdami, które były słyszalne dla zwierząt, ale nie dla ludzi.

Ash przewiesił króliki przez łąk i odczytał wiadomość. Powiedział do Charliego:

– Możesz wsiąść na konia, nie muszę przekazywać wiadomości. Zwiadowca jest już pewnie z kilometr dalej. – Wetknął list za pazuchę.

Sage próbowała nie brać do siebie, że nie pokazał jej treści.

Widziała, że Ash ją rozumie, ale musiał przestrzegać rozkazów. Podniósł króliki za sznurek, którym były związane.

– Może masz ochotę na potrawkę z królika? Bez cebuli.

Coś zwróciło jej uwagę. Chwyciła tylną łapę zwierzęcia.

– Złapały się we wnyki – stwierdziła, wskazując miejsce, w którym wytarło się futro. Zgięła łapę na próbę. – Dzisiaj rano.

– Doskonale, ptaszniczko. – W jego ustach to słowo zabrzmiało jak komplement. – Coś jeszcze?

Przyglądała się królikowi, zastanawiając się, co jej tu nie pasuje. Pochyliła się i nacisnęła ciało zwierzęcia pośrodku.

– Już wypatroszony.

Marszcząc brwi, ścisnęła mocniej, a potem położyła sobie królika na kolanach. Jej palce odnalazły nacięcie na brzuchu, wsunęły się do środka.

Wyciągnęła szklany pojemnik napełniony wodą i zawoskowany. Ash uśmiechnął się.

– Nasz zwiadowca wrócił do zarażonego miasta i sprawił nam drobny prezent.



Sage spojrzała na niego z podziwem.  
– Broń w butelce.

Droga powrotna zajęła im niecałą godzinę. Casseck już wrócił z patrolu i na powitanie rzucił Ashowi groźne spojrzenie. Ten spokojnie na nie odpowiedział. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem z odległości kilku metrów. Sage z niepokojem obserwowała tę scenę z grzbietu Shadow. W końcu Casseck ruszył w ich stronę, wyminął Asha i zwrócił się do niej:

– Pani. Nigdy więcej nie odłączaj się od orszaku, proszę. Carter niefrasobliwie podchodzi do kwestii własnego bezpieczeństwa i niestety lekceważy też cudze. Kapitan Quinn nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało.

Ash spiął konia i pokłusował w kierunku Quinna.

– Przepraszam – odparła Sage. – Nie zdawałam sobie sprawy, że narażam się na niebezpieczeństwo. – Popatrzyła na Cassecka z udawaną niewinnością. – Może gdybyś przedstawił mi naszą sytuację, zachowałabym większą ostrożność. Sir.

Casseck na chwilę przymknął oczy, jakby modlił się w myślach o cierpliwość.

– Panno Sage, nie pomożesz nam, jeżdżąc konno po lesie. Powinnaś obserwować te miejsca i zdarzenia, których my nie mamy jak patrolować.

– Bankiety, tańce i plany matrymonialne? – spytała sarkastycznie.

– Tak – odparł, spokojnie patrząc jej prosto w oczy.

Zmarszczyła brwi.

– I cóż w tym pomocnego?

– Nie wszystkie wojny toczą się na polu bitewnym, pani. Diuk D’Amiran jest ambitnym człowiekiem, a przy winie i w towarzystwie pięknych dam języki szybciej się rozwiązują.

– Powiedziałaś do mnie „Sage”. Wiesz, że nie jestem damą – powiedziała oskarżycielsko.

*Niech to, Ash, czy musisz im wszystko mówić?*

Casseck lekko się uśmiechnął.

– Dlatego bardzo się cieszymy, że możesz odgrywać obie role. Służące też lubią mówić. – Skłonił głowę i popędził konia.

Ash po złożeniu raportu kapitanowi dołączył do niej, ale nie miała ochoty na pogawędkę. Nie wymuszał rozmowy, ale czuła, że obserwuje ją z boku. Zbliżając się do kolejnego miejsca postoju, wjechali na wzniesienie. Ash

wyciągnął rękę w stronę szczytów, teraz widocznych na wschodzie. Wiedział, że Sage wypatrywała ich od wielu dni, teraz jednak ledwo raczyła na nie spojrzeć. Mimo wszystko Ash przez cały czas trzymał się blisko niej, również kiedy wjechali za bramę, zsiadli z koni i ruszyli do stajni.

– Nigdy nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwo, Sage – powiedział cicho, pomagając jej zdjąć siodło.

Spojrzała na niego. Między ciemnymi brwiami widniała zmarszczka zdradzająca zatroskanie.

– Wiem.

– Co ci powiedział Casseck? Od naszego powrotu prawie się nie odzywasz. – Powiesił siodło i ujął klacz za uzdę.

Sage przerwała szcztokowanie Shadow i obróciła się w jego stronę. Rozejrzała się, ale nikt nie patrzył w ich stronę, bo wszyscy byli zajęci czyszczeniem koni.

– Porucznik Casseck poprosił, żebym po przybyciu do Tegannu miała oczy i uszy otwarte. Powiedział też, że diuk jest ambitnym człowiekiem.

Ash zrobił gniewną minę.

– Jak na kogoś, kto tak się zdenerwował, że niby naraziłem cię dzisiaj na niebezpieczeństwo, sam zadziwiająco chętnie gotów jest wystawiać cię na ryzykowne sytuacje.

– Ale skoro i tak grozi nam niebezpieczeństwo – wyszeptała – to co za różnica? Zwłaszcza jeśli mogę pomóc.

Podszedł bliżej i zmusił ją, by uniosła głowę wyżej i spojrzała na jego zaniepokojoną twarz.

– To ja... ja cię w to wplątałem. Powinien się wycofać.

Ash patrzył na nią w taki sposób jak tego wieczoru, gdy wyznała mu, jak ma naprawdę na imię – jakby była jedyną istotą na całym świecie. Tyle że tym razem nie dzieliła ich taca. Oczy Sage spoczęły na jego ustach, na trzech krótkich włoskach w kącie, które widać przeoczył przy porannym goleniu. Zwilżyła wargi językiem w oczekiwaniu... sama nie wiedziała na co.

Nagle Shadow bez ostrzeżenia zrobiła krok w bok, brutalnie popychając Sage w jego stronę. Ash chwycił ją w ramiona i popatrzył ponad jej głowę, wyraźnie rozgniewany. Nad końskim grzbietem pokazała się głowa kapitana Quinna.

– Wybacz, Carter – powiedział. – Niechący uderzyłem ją mieczem.

– Nic się nie stało, sir. – Ash postawił Sage na ziemi i odsunął się od niej pospiesznie, kiedy tylko odzyskała równowagę, starając się jak najmniej jej dotykać.

Jakby stawiał wazon na półce.

Sage, cała czerwona, chwyciła wodze Shadow i uciekła.

Kapitan Huzar wpatrywał się w diuka D'Amirana z kamiennym wyrazem twarzy, plecami zwrócony w stronę paleniska w Wielkiej Hali. Ramiona trzymał splecione na piersi. W tej pozycji atramentowe wzory zlewały się w jeden obraz. Diuk uważał tatuaże za coś wulgarnego, ten jednak, musiał przyznać, miał w sobie coś z poetyckiego dzieła sztuki.

– Moje źródła donoszą, że nasi ludzie przebyli południową przełęcz, ale nie mieli ze sobą księcia – powiedział Huzar. – Jak to możliwe?

Diuk stłumił grymas. Będzie musiał odnaleźć tych szpiegów i ich wyeliminować. Albo ich zatrudnić – byli niebywale sprawni. Z promiennym uśmiechem dał znak Kimisarowi, by dołączył do niego przy stole, na którym czekało jedzenie w ilości wystarczającej dla dziesięciu ludzi, chociaż diuk jadł w samotności.

– Powinieneś coś przekąsić, przyjacielu. Wiem, że zgłodniałeś, czekając.

Huzar nie skorzystał z propozycji.

– Zjem, kiedy moi ludzie będą mogli zjeść.

D'Amiran odchylił się na oparcie zdobionego drewnianego krzesła i wytarł palce w lnianą serwetkę.

– Prawda jest taka: odkryłem, że księżę Robert zmierza w tę stronę wraz z eskortą.

– I nic nam nie powiedziałaś.

– Mówię teraz. Nie chciałem, żebyście przechwycili go wcześniej, niż to jest zaplanowane. – Upił wina, nie odrywając spojrzenia od Huzara.

– Niby czemu nie? Księżę jest naszym celem. Im szybciej, tym lepiej.

– Wcale nie. To by wszystko zepsuło. Nic się nie zmieniło, tylko moment, w którym znajdzie się w naszych rękach. A jest to zmiana korzystna. – Odstawił kielich na stół. – Poleciałem bratu, by nakazał twoim ludziom narobić zamieszania po wschodniej stronie gór. Mogą zatrzymać wszystko, co uda im się przewieźć przez przełęcz. Nie będę się wtrącał.

Twarz Huzara nieco się rozluźniła. Nic jednak nie powiedział.

– Księżę i pozostali będą tutaj za dwa dni. Jeśli twoi ludzie zrobili swoje...

– Zrobili – przerwał mu Huzar.

– ...to nie ma powodu do obaw. – D'Amiran zacisnął szczęki. – Zatrzymamy

księcia i damy znak, kiedy nastąpi odpowiedni moment, by wam go oddać. Wcześniej nie powinniście się tu zjawiać, do czasu, aż was wezwiemy.

Służący postawił na stole wielkie naczynie pełne parującej wołowiny. Huzarowi głośno zaburczało w brzuchu.

– Nie podoba mi się ten plan. Dlaczego chcesz czekać tyle dni, żeby zacząć działać?

D’Amiran pochylił się do przodu, nabrał mięsa na widelec i przeniósł na swój talerz, chlapiąc na stół krwawym sokiem.

– Cierpliwości, przyjacielu. Wystąpienie przeciw Koronie to nie byle co. Muszę dowieść swoim sojusznikom, że potrafię wygrać, i zanim wyruszymy, muszę wiedzieć, gdzie przebywa armia z Demoranu. – Wetknął widelec w mięso, po czym uniósł go wysoko. – Pomyśl: mogliśmy zaszlachtować tę krowę kilka miesięcy temu, ale teraz niewiele zostałoby nam do jedzenia. Jeśli zaczekamy na właściwy moment, będziemy mogli nakarmić znacznie więcej ludzi.

Huzar spojrział na jedzenie.

– Więcej mięsa nic nie da, jeśli inni głodują, czekając na nie.

– Weź również pod uwagę, że solidarne głodowanie wcale nie pomoże ci wypełnić powierzonego zadania. – Diuk wsadził widelec w usta i zaczął niespiesznie przeżuwać.

Kapitan przełknął ślinę.

– Zrozumiałem. Zaczekamy. Jeszcze chwilę.

– Każę kucharzowi przygotować coś dla twoich ludzi. – D’Amiran uśmiechnął się dobrotliwie. – By nie zabrakło wam sił i cierpliwości.

Huzar kiwnął głową.

– Na pewno się przydadzą.

Mężczyźni nie potrafili zrozumieć zamięłowania kobiet do haftu, ale patrząc na panią Rodelle, Quinn podejrzewał, że dzięki temu zajęciu mają doskonałą wymówkę, by nie brać udziału w konwersacji oraz unikać cudzych spojrzeń. Splótł dłonie za plecami i czekał, aż sama zacznie.

– Wszystko układa się po myśli Asha Cartera – powiedziała ze swojego miejsca przy kominku. – Chociaż nie byłam zachwycona, kiedy znikł z Sage na ponad dwie godziny, bez względu na to, czy towarzyszył im paż, czy nie.

Quinn wzruszył ramionami w obojętny, jak przynajmniej miał nadzieję, sposób.

– Nigdy nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Musieliśmy wzmocnić jej zaufanie po tym, jak tyle się od niej dowiedzieliśmy.

– To była prawdziwa przyczyna? – spytała, wydymając wargi.

– Nie wiem, co sugerujesz. Uznałem, że powinna zobaczyć coś ważnego. To bardzo istotne, żeby słuchała poleceń Asha.

– Musisz mi coś obiecać – odparła Pani Rodelle, nie podnosząc wzroku znad robótki.

Poczuł napięcie w ramionach, miał wielką ochotę spleść je na piersi.

– Nie mogę niczego obiecać w ciemno.

– To prosta prośba dotycząca bezpieczeństwa Sage. – Wreszcie spojrzała na niego. – Jeśli ma wykonywać wasze rozkazy, musisz obiecać, że tak jak w przypadku każdego żołnierza, będzie miała możliwość obrony.

Jego brwi podjechały wysoko do góry.

– Mam dać jej broń i uczyć walki?

Drewniany tamborek opuścił się o kilka centymetrów. Pani Rodelle najwyraźniej nie zamierzała ustąpić.

– Nie chcę, żeby była bezbronna. Nie godzi się wystawiać jej życia na niebezpieczeństwo, nie dając jednocześnie możliwości obrony.

Quinn przymknął oczy i szczyptał się w grzbiet nosa.

– Niezbyt przyjemna wizja uczyć zabijania kogoś takiego jak ona.

– Alternatywa jest znacznie gorsza, kapitanie – przypomniała.

– Będzie musiała zaufać Ashowi bardziej niż dotychczas.

Swatka znów utkwiała oczy w robótkę.

– Chyba doskonale wiesz, jak tego dokonać.



Myśli Sage krążyły i wirowały jak liście poruszane wiatrem przed nadchodzącym deszczem. Za każdym razem, gdy już sądziła, że wreszcie się uspokoiły, jej spojrzenie padało na Asha i w żołądku zaczynały trzepotać motyle. Aż do poprzedniego wieczoru nie zdawała sobie sprawy, jak rzadko Ash jej dotyka. A kiedy koń pchnął ją w jego ramiona, poczuła przez krótką chwilę... coś.

Ash nawet na nią nie spojrział. A to coś rozwiało się jak dym.

Powitał ją zwykłym „Dzień dobry, przyjaciółko” i krótko po tym, jak ruszyli w drogę, zostawił samą z Charliem. Sage nie winiła go za to, że jest zbyt zajęty, by jej towarzyszyć, ale mimo obecności Charliego czuła dojmującą samotność. Powtarzała sobie, że ten stan wywołały słowa Darnessy, która oznajmiła, że jutro Sage będzie musiała przesiąść się na wóz, ponieważ tego dnia mają dotrzeć do Tegannu i czeka ją sporo pracy. Nawet jeśli w ten sposób mogła okazać się pomocna Ashowi i pozostałym żołnierzom, to perspektywa ta bynajmniej nie wzbudzała jej entuzjazmu.

W pewnym momencie orszak się zatrzymał. Rozejrzała się. W oddali zobaczyła mgłę zstępującą ze szczytów wzniesień. Żołnierze zaczęli zakrywać wozy i wkładać peleryny przeciwdeszczowe. Ash podjechał do niej z prawej strony na swojej kasztance.

– Zaraz zacznie padać – powiedział. – Kapitan chce, żebyście ty i Charlie resztę drogi przebyli na wozie. Nie ma powodu moknąć. – Zeskoczył na ziemię i podał jej rękę.

– Sama potrafię zsiąść z konia – odparła z irytacją.

Charliemu nikt nie proponował pomocy przy wsiadaniu i zsiadaniu, a miał tylko dziewięć lat.

– Wiem, że potrafisz – odparł Ash. – Ale cierpisz, widzę przecież. Nie przywykłaś do tak intensywnej jazdy. – Wciąż wyciągał do niej pomocne ramię.

Rzeczywiście trzy dni w siodle dały jej w kość. Sage starała się zapanować nad rumieńcem – dobrze wiedziała, którą część ciała konkretnie miała na myśli. Z westchnieniem rezygnacji ostrożnie przerzuciła nogę nad łękiem, by zsiąść twarzą do Asha. Wyciągnęła rękę, on jednak złapał ją w pasie, a potem postawił na ziemi między jej wierzchowcem a swoim. I najwyraźniej nie zamierzał zabrać

rąk. Sage nagle zdała sobie sprawę, że nikt ich nie widzi.

Ash spojrzał na nią.

– Lepiej? – spytał łagodnie.

Kiwnęła głową i sięgnęła po uzdę, ale jego dłonie wzmocniły nacisk. Podniosła wzrok zdumiona. Pochylił się niżej.

– Od jutra znów musisz grać rolę damy, prawda? – spytał szeptem.

Przenikliwe spojrzenie jego ciemnych oczu napełniało ją przerażeniem. Próbując pokryć niepewność, odparła nonszalancko:

– Obawiam się, że tak. Suknia i tak dalej.

Zignorował jej ton.

– Będzie mi brakowało naszych rozmów.

Poczuła gorąco na policzkach.

– Może, kiedy opuścimy Tegann, znów będę mogła wsiąść na konia.

– Miałem nadzieję, że uda nam się spędzić razem trochę czasu w Tennenolu. Mógłbym przedstawić cię ojcu. Może znaleźć ci posadę guwernantki.

– Ja nie... nigdy... – Wzięła głęboki wdech, by się uspokoić. Był tak blisko, wypełniał wszystkie jej zmysły. Zapach jego skórzanej kurtki mieszał się z wonią mydła sosnowego, którego używał do golenia. – Nie oczekuję od ciebie żadnych specjalnych przysług.

– Wiem. Jako jedna z nielicznych. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

Spojrzała na jego wargi. Tym razem przy goleniu nie pominął żadnego miejsca. Nerwowo oblizwała usta.

– Właściwie to mam pojęcie. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, dopóki czegoś ode mnie nie chce.

– Dlatego wolisz towarzystwo dzieci.

Sage zamruwała.

– Ogólnie rzecz biorąc tak.

– I moje? – Delikatny nacisk jego palców przyciągnął ją bliżej.

Poczuła ucisk w gardle. Chwyciła go za rękawy, żeby nie stracić równowagi. Dopiero po fakcie zdała sobie sprawę, że położyła ramiona na jego ramionach. Przesunęła się i zmusiła, aby unieść głowę i zabrać ręce.

– Jest przyjemne.

– *Przyjemne.* – Ash również opuścił ramiona i zrobił krok w tył, jego wargi zacisnęły się w cienką kreskę. Potrząsnął głową i wydał ciche prychnięcie wyrażające zniesmaczenie. – Zapewne nie powinienem był spodziewać się niczego więcej.

Chwycił wodze obu koni i ruszył prędkim krokiem, nie oglądając się za

siebie.

Sage podróżowała tym razem na wozie z wyposażeniem. Próbowwała rozpoznać postacie jeźdźców. Deszcz tak głośno walił w płócienny daszek, że nie mogła rozmawiać z Charliem, który wyciągnął się obok niej i drzemał oparty o siodło. Cieszyła się, że została sam na sam ze swoimi myślami.

Ash trafnie odgadł, mówiąc, że ona lepiej czuje się w towarzystwie dzieci. Kierowały się czystymi i prostymi motywami. Ufały bez zastrzeżeń, kochały i płakały bez oporów, nienawidziły bez poczucia winy – a ona od śmierci ojca była tego wszystkiego pozbawiona.

Darnessa wykorzystywała ją do swoich celów. Wuj William podobnie. Ciotka Braelaura próbowała zmienić ją w kogoś, kim Sage nigdy nie mogłaby zostać. Clare potrzebowała jej siły i przewodnictwa. Ash za to chciał czegoś dla niej.

Chciał, żeby była szczęśliwa, kiedy tylko mógł, włączał ją do swoich spraw, proponował jej rzeczy, które w jego mniemaniu mogły jej się spodobać, ale o które sama nie śmiałaby poprosić. A gdy dowiedział się, że nie jest jedną z kandydatek, zapytał, czy w ogóle zamierza wyjść za mąż. Dlaczego? Mógł mieć każdą, która mu się zamarzy. Jeszcze godzinę temu do głowy by jej nie przyszło, że może ją brać pod uwagę.

A potem spanikowała i wszystko zepsuła. Ash nie był jednak typem człowieka, który szybko daje za wygraną. Czy spróbuje ponownie?

Czy chciała powiedzieć to, co właściwe, kiedy on to zrobi? Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak na nią patrzył, jakie to było uczucie, kiedy objął ją w tali i przysunął się tak blisko.

Tak. Chciała.

Sage zasnęła i przespała całe popołudnie, aż do następnego postoju. Obudziła się, kiedy Ash zdejmował tylną burtę wozu. Z trudem usiadła i spojrzała na niego. Przyciągnął do siebie skrzynię, na której spał Charlie. Sage potarła twarz i przygotowała się, by wypowiedzieć słowa, które powtarzała w myślach.

*Ash, powinnam podziękować za twoją propozycję, po prostu bardzo mnie zaskoczyłeś...*

On jednak ani razu nie spojrzał w jej stronę, wziął Charliego na ręce i odszedł bez słowa. Zeskoczyła na ziemię i dołączyła do dziewcząt udających się do wyznaczonych im komnat. W ostatniej sekundzie przypomniała sobie, jak jest ubrana, wróciła do wozu z bagażami i zdjęła ciężką skrzynię.

Lord Fashell gościł ich tylko przez jedną noc, ale poszedł na całość i wyprawił prawdziwy bankiet. Sprowadził nawet kwartet muzyków, co znaczyło, że później będą tańce. Sage nie mogła się doczekać końca kolacji. Siedziała daleko od Clare, obok młodszych synów gospodarza. Podobnie jak większość mężczyzn, których spotykała, przez cały wieczór próbowali zaimponować jej swoimi osiągnięciami i powiązaniem. Dopiero po pewnym czasie przypomniała sobie o obowiązkach i jej umysł zaczął automatycznie rejestrować wszystko, co później miało znaleźć się w notatkach, ale mimo to słuchała jednym uchem.

– Ponieważ nasz dwór leży najbliżej Tegannu, ciąży na nas wielkie zobowiązanie wobec diuka D’Amirana – powiedział ten siedzący po jej prawej stronie.

Uniosła głowę na dźwięk nazwiska.

– Och, doprawdy?

Młodzieniec – zielone oczy, leworęczny, opalony, jakieś dwa centymetry wyższy od niej, zgrubiałe dłonie, często używany sztylet u boku... Jak też on miał na imię?... A, Bartholomew.

Bartholomew mówił dalej:

– Zatrzymują się tutaj niemal wszyscy podróżni zmierzający do stolicy lub powracający z niej. Przełęcz jest na razie zamknięta dla wozów, więc można się spodziewać sporej liczby gości. Wasz orszak ma oczywiście zapewnione miejsca w Tegannie, zaczekacie tam, aż wszystko się uspokoi, ale wkrótce w fortecy będą tłumy. Niektórzy mogą schronić się u nas również z powodu bardziej uporczywych deszczy.

– Ojciec dostał dzisiaj kilka listów, w których podróżni z wyprzedzeniem proszą o gościnę – dorzucił jego brat siedzący z lewej strony Sage (oczy niebieskie, praworęczny, brak połowy małego palca u lewej dłoni). – Na szczęście może sobie na to pozwolić.

Zrobiła wielkie oczy.

– Macie nade mną przewagę! Ja nie mam pojęcia, kogo mogę się tam spodziewać.

Bracia zaczęli wymieniać nazwiska, wiele z nich rozpoznawała, lecz nie bardzo rozumiała cel ich wizyty w stolicy. Tylko nieliczni mieli na tyle duże

majątki, by można było poważnie traktować ich jako kandydatów do małżeństw aranżowanych podczas Concordium, a większość coś łączyło, coś, czego nie potrafiła określić. Nigdy wcześniej nie spotkała tych ludzi, zachęcała więc braci, by opisali każdego z osobna, śmiejąc się i chwając ich za dowcipne uwagi.

Kiedy uprzątnięto ostatnie naczynia, obaj bracia poprosili ją do tańca, ona zaś zmusiła ich, żeby rzucali monetą dla ustalenia kolejności. Kiedy zwycięski Bartholomew poprowadził ją na parkiet, rzuciła drugiemu – jak też on miał na imię? – zawiedzione spojrzenie, wydymając przy tym usta. Z zadowoleniem dostrzegła, że porucznik Gramwell gawędzi z Clare w ustronnym kąciku, co z kolei przypomniało jej, że powinna porozmawiać z Darnessą. Skrzywiła się. Swatka pewnie nie będzie zachwycona jej poczynaniami. Sage dziwiła się nawet, że jeszcze niczego nie zauważyła.

– Czy coś jest nie tak, pani? – spytał jej partner.

– Och, nie – odparła, udając wesoły ton. – Przypomniałam sobie, że rozdarłam brzeg sukni, zsiadając z tego okropnego wozu, i zapomniałam powiedzieć służącej, by to naprawiła. – Zrobiła nadąsaną minkę. – Pewnie nie zdąży jej zaszyć na pierwszy bal w Tegannie, a w tym kolorze najbardziej mi do twarzy.

– Jestem zawiedziony, że cię w niej nie ujrzę, lady Saggero, jeśli prawdą jest, że wygląda nawet piękniej niż ta, którą masz na sobie.

Zarumieniła się.

– Proszę się ze mną nie drażnić, za kilka tygodni wychodzę za mąż. – Pochyliła głowę i rzuciła mu spojrzenie spod długich rzęs. – Oby mój wybranek tańczył równie dobrze co ty, panie – powiedziała, nieco wstrzymując oddech i pochylając się w jego stronę.

Rozpromienił się i przycisnął ją mocniej do siebie.

Kiedy ją obrócił, pochwyciła spojrzenie porucznika Cassecka, który przyglądał się jej z rozbawionym uśmiechem. Mina jej zrzędała. A jeśli opowie Ashowi o tym flirtowaniu? Czy Ash uzna to za znak, że jego uczucia nic dla niej nie znaczą? Czy będzie podejrzewał, jakie motywy nią kierują, jeśli będzie próbowała odwrócić to, co wydarzyło się rano?

Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane?

Sage przerzucała karty księgi, dodając notatki zebrane podczas wieczornego przyjęcia. Jej wzrok przyciągnęło nazwisko wspomniane podczas jednej z rozmów. Zaczęła czytać zapiski na jego temat. Nic dziwnego, że wydało jej się znajome – zeszłej zimy ów lord oświadczył się jednej z panien z ich orszaku. Zauważyła, że jeszcze jeden złożył podobną propozycję lady Jacqueline.

Oczywiście obaj zostali odrzuceni, ale ten zbieg okoliczności dawał do myślenia. Przerzuciła karty i odnalazła tę z informacjami na temat panien udających się na Concordium.

Ze zmarszczonymi brwiami czytała o kandydatach, których odrzucały – lub raczej, których odrzucali ich rodzice. Dziewczyna, która miała szansę dostać się na Concordium, w ciągu roku poprzedzającego zjazd zwykle odmawiała kandydatom bądź trzymała ich w niepewności. Interesujące wydawało się to, że ani jednego z tych kandydatów nie zaproponowała swatka. Kilka małżeństw jednak, zgodnie z tym, co z żalem stwierdziła w zeszłym miesiącu Darnessa, doszło ostatecznie do skutku bez jej pośrednictwa.

Sage wydarła czystą kartę z tyłu książki i wypisała wszystkie niedawno zawarte związki między rodami z Crescery i Tasmety. Było ich czternaście – wszystkie zaaranżowane przez D’Amiranów. Dlaczego? I dlaczego aż tyle? Owszem, takie związki się zdarzały – zwykle przynosiły rodzinom konkretne korzyści, ale czternaście w ciągu dwóch lat to jednak znacznie powyżej normy. Jeszcze raz przejrzała notatki i obok nazwisk par wypisała wysokość posagów.

W przypadku ośmiu w ich skład wchodziły oddziały wojskowe, rzekomo w celu obrony przed najazdami z Kimisar, w sumie ponad tysiąc osiemdziesięciu ludzi. W przypadku dwóch – wysokie sumy pieniędzy. Trzech – ogromne ilości pszenicy i innych zbóż. Ostatniego – broń, złoto i zapasy jedzenia. To wszystko razem mogłoby pomóc w utworzeniu niewielkiej armii.

I taki właśnie był cel D’Amiranów. Budowali armię.

Sage narysowała kreskę pośrodku kartki, po jednej stronie wypisała nazwiska podróżujących z nimi kandydatek, przy każdej wyliczyła przypisane jej atuty, znane Sage na pamięć: pieniądze, wojska, ziemie, koneksje. Każda z tych kobiet stanowiła niezłą zdobycz. Dlatego Darnessa je wybrała.

A jutro, niczym muchy w pajęczą sieć, wpadną w pułapkę zastawioną w Tegannie.

Uznała, że musi natychmiast powiadomić kapitana Quinna.

Casseck i Gramwell wyminęli Sage i weszli do pokoju na końcu korytarza. Zaczekała, aż pokaże się Ash, i skierowała kroki w tę samą stronę. Kiedy wychylnęła z cienia, Ash chwycił ją za rękę, wykręcił ją do tyłu i zaraz puścił, rzucając jej groźne spojrzenie.

– Nigdy więcej tak się nie zakradaj. Mogłem ci złamać nadgarstek.

– Przepraszam – wydusiła. Na Ducha w niebie, całkiem zapomniała, że Ash śmiertelnie się na nią obraził. Czy w ogóle zechce jej wysłuchać? – Muszę

porozmawiać z kapitanem Quinnem.

Zrobił jeszcze groźniejszą minę.

– Po co?

– To skomplikowane – odparła. – I nikt nie może nas usłyszeć.

Ash zacisnął wargi.

– Dobrze. – Chwyił ją za ramię i zaprowadził do pomieszczenia, które, jak przypuszczała, dzielił z innym żołnierzem. Złapał świecę, wyszedł na korytarz, zapalił ją od pochodni, po czym zamknął i zaryglował drzwi. Ujął się pod boki.

– Nie powinnaś tu przychodzić, to ryzykowne.

– Myślisz, że ptaszniczka nie potrafi poruszać się niepostrzeżenie w ciemności? – Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Najpierw powiedz, dlaczego nie chcesz mnie zaprowadzić do kapitana Quinna.

– Nie powinien z tobą rozmawiać. Jeśli ludzie zobaczą, mogą pomyśleć, że znasz nasze plany. Jutro znowu będę powoził. Możesz zwrócić się do mnie, jeśli będziesz chciała z nami porozmawiać bądź przekazać wiadomość przez Charliego. – Urwał. – Odpowiedziałem na twoje pytanie najlepiej jak potrafię, a teraz powiedz, proszę, cóż to za ważna sprawa, że nie może poczekać do jutra.

– Wiem, co się dzieje. – Sage wyjęła złożoną kartę z notatkami. – Dzisiaj poznałam nazwiska osób, które podróżują w tej okolicy i będą w Tegannie w tym samym czasie co my. – Prędko streściła swoje notatki. – Spójrz na te wszystkie małżeństwa. Przyjrzyj się wniesionym do nich posagom. Wystarczyłyby do zbudowania niewielkiej armii. A tutaj – wskazała na drugą kolumnę – jest to, co wieziemy ze sobą.

Nie popatrzył na kartkę, tylko na nią.

– I do jakich doszłaś wniosków?

Wzięła głęboki wdech.

– Wydaje mi się, że diuk planuje pojmać dziewczęta i zmusić ich rodziny, by wpłaciły ich wiana. Kiedy przekaże wszystkie bogactwa Crescery swoim sojusznikom, zdobędzie armię i środki wystarczające do jej uzbrojenia i wyżywienia. Z tym, co już posiada, może podbić wszystkie ziemie na zachód od Gór Catrix i utrzymać zwycięstwo dzięki temu, co dostanie po porwaniu naszych panien. Ludzie, którzy nas otaczają, ci w liczbie stu trzydziestu, o których rozmawialiście, mają za zadanie dopilnować, że dotrzemy do Tegannu, gdzie zastawiono na nas pułapkę. Wszyscy wysoko urodzeni panowie, zdolni powstrzymać diuka, będą w tym czasie na Concordium. Zanim się zorientują, że nie dotarliśmy na miejsce, będzie po wszystkim.

– I sama na to wszystko wpadłaś? – spytał.

– Tak. – Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Opuściła dłoń z kartką, zawstydzona.

Ash wziął od niej listę i przeczytał ją w milczeniu. Kiedy odważyła się znowu unieść głowę, wpatrywał się w nią z wyrazem twarzy, który dał się zinterpretować wyłącznie jako strach.

– Powiedz mi – wyszeptał ochryplym głosem – powiedz mi natychmiast, że zawsze byłaś z nami, że to nie jest nagła zmiana strony.

Poczuła piekące łzy pod powiekami.

– Nadal mi nie wierzysz?

– Powiedz to, Sage.

– Przysięgam! – niemal krzyknęła. – A ty możesz iść do diabła, jeśli mi nie ufasz! – Obróciła się, by odejść, ale chwycił ją za ramię.

– Przepraszam, Sage. Nie odchodź, proszę. – Przyciągnął ją do siebie za łokcie, ale nie tak blisko jak tego ranka, gdy wszystko popsuka. – Po prostu... Na Ducha, to wszystko zmienia.

– A więc mam rację?

– Omówimy to wieczorem, ale tak, sądzę, że masz rację.

– Co mogę zrobić?

– Nie wiem, ale sytuacja wygląda znacznie groźniej, niż przypuszczaliśmy. – Powaga w jego głosie wzbudziła w niej lęk. Sage zaczęła drzeć. Przesunął dłonie na jej barki. – Ale dzięki tobie być może zdołamy wyrównać szanse.

– Dzięki mnie?

– Tak – odparł. – Mamy twoją broń. Jeśli podziała, zdołamy zredukować liczbę wrogów. Potrzebujemy jednak czasu. Potrzeba około trzech dni, by choroba odniosła skutek.

– Proszę, pozwól, bym wam pomogła. Oszaleję, jeśli nie dasz mi nic do zrobienia.

Ash westchnął.

– Sage, nie jesteś damą. Nie rozumiesz, co to znaczy? Jeśli diuk się dowie, będziesz dla niego bezwartościowa. Za to twoja wiedza może bardzo mu się przydać. Już planuje zdradę. Sądzisz, że się zawaha przed poddaniem cię torturom? Nie trzymamy cię w niewiedzy z powodu braku zaufania, ale po to, żeby cię chronić. W tym sensie wolałbym, żebyś była damą. Wtedy łatwiej byłoby zapewnić ci bezpieczeństwo.

Spuściła wzrok.

– Teraz mi głupio.

– Niepotrzebnie. Bez ciebie bylibyśmy bezradni i ślepi. Taka jest prawda. – Delikatnie ujął ją pod brodę. – Umiejętność, z jaką kojarzysz fakty, jest



wyjątkowa, lecz również groźna. Wiesz zbyt wiele.

Sage znów wzięła głęboki wdech, po czym z rezygnacją wypuściła powietrze.

– Pogodzę się z tym, że na razie nie możesz mi wszystkiego powiedzieć, jeśli obiecasz, że powiesz mi teraz tyle, ile ci wolno, a resztę później.

– Obiecuję.

Jej ramiona opadły z rezygnacją.

– A teraz co? Mam udawać damę? Flirtować i mieć oczy szeroko otwarte?

Ash kiwnął głową.

– Tak. Casseck mówił mi, że jesteś naprawdę dobra. – Jego uśmiech wyglądał trochę niepewnie. – I mam dla ciebie prawdziwe zadanie, jeśli tylko jesteś zainteresowana.

W pomieszczeniu panowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w notatki Szpaka.

– Nie ma sensu pytać, jak byśmy postąpili, gdybyśmy wiedzieli – powiedział Quinn trochę do siebie, a trochę do pozostałych. – Trzeba skupić się na tym, co możemy zrobić teraz.

– Lista możliwości jest bardzo krótka – odparł Robert z goryczą. – Ich przewaga wynosi siedem do jednego, nie licząc Kimisarów. Tylko mnie warto zachować przy życiu. Wy wszyscy jesteście martwi i dobrze o tym wiecie.

Quinn złożył kartkę i wsunął ją za pazuchę. To, skąd nadejdzie armia, nie było tak istotne jak to, w jaki sposób można ją zatrzymać.

– Spójrzcie tutaj – powiedział, machając palcem nad mapą. – Śledziliśmy te oddziały, sądząc, że to przypadkowe, osobne grupy zmierzające na wschód, ale z czasem, w miarę jak ich przybywało, zaczęły tworzyć coś w rodzaju kręgu.

Kawałkiem węgla zaznaczył, w jaki sposób oddziały posuwały się w stosunku do ich pozycji na drodze do Tegannu.

– To krąg – stwierdził Cass – a my znajdujemy się w środku. Ma na celu odcięcie nas, uniemożliwienie nam komunikacji i ucieczki.

Quinn kiwnął głową.

– Właśnie. Ale ponieważ zmierzaliśmy do Tegannu, nie mieli powodu, by interweniować, chyba że zboczylibyśmy z drogi. Robimy dokładnie to, czego od nas chcą.

– Od razu lepiej się poczułem – burknął Rob.

– Ale. – Quinn uniósł palec. – Jest tu dziura. – Wskazał na punkt na północy. – Tutaj nigdy nikogo nie było.

Rob rozpromienił się.

– Zapewne w tym miejscu miał znaleźć się oddział, który wyeliminowaliśmy w zeszłym miesiącu.

– Też tak przypuszczam – odparł Quinn. – A więc może mamy drogę ucieczki. – Wyprostował się i zapytał: – Kto jutro rano przejmuje wiadomości od wysłanego przodem zwiadowcy? – Gramwell uniósł rękę. – Przekaż mu, że będziemy wysyłać patrole z fortecy, dopóki tylko się da; możliwe jednak, że już za dwa dni nie będziemy w stanie nawiązać kontaktu z naszymi zwiadowcami.

– Co ma przekazać pozostałym zwiadowcom? – spytał Gramwell, pochylając

się, by wszystko zanotować.

Po namyśle Quinn odparł:

– Tym z północy i zachodu każ obserwować to puste miejsce. Niech dadzą znać, jeśli krąg zacznie się zacieśniać. Ten z południa może dołączyć do tego ze wschodu na przełęczy. – Gramwell kiwnął głową i zapisał kolejne polecenia.

– A kiedy posłużymy się naszą bronią w butelce? – zapytał Robert.

– Drugiej nocy pobytu w Tegannie wrzucimy ją do cysterny. Na ten wieczór zaplanowano bankiet, wszyscy będą zajęci zabawą.

– A kto zrobi rozpoznanie? – zapytał Casseck. – Kwatermistrz? Chyba nie wzbudzi podejrzeń, że interesuje go, skąd pochodzi woda pitna.

– Wyślemy Szpaka.

Cass wymienił spojrzenia z Robertem.

– Czy to aby rozsądne?

– Absolutnie – odparł Quinn. – Każe się oprowadzić, będzie zadawać mnóstwo głupich i niewinnych pytań, a jak zatrzepocze rzęsami, na wszystkie dostanie odpowiedź.

Rob zmarszczył brwi.

– Chyba przeceniasz jej wdzięki.

– Nie widziałeś jej dzisiaj wieczorem – odparł Cass. – W ciągu kilku minut owinęła sobie wokół palca dwóch młodzieńców i chyba nawet nie musiała się zbytnio wysilać.

Quinn się zjeżył.

– To ma być komentarz do czegoś innego?

– Ani trochę – odparł łagodnie Casseck. – Po prostu wspieram argumentami twoją decyzję.

Quinn niemal żałował, że Cass nie próbuje go od niej odwieść, ale i tak było za późno, bo Szpak już powiedziała Myszy, że to zrobi.

– Zastanówmy się nad innymi metodami stawienia oporu. Niezależnie od tego, czy uda nam się wywołać epidemię, czy nie, i czy stanie się to w odpowiednim momencie, musimy znaleźć sposób na pozbycie się tylu ludzi D'Amirana, ilu tylko się da.

– Trucizna? – zaproponował Gramwell.

– Wątpię, abyśmy zdołali ją zdobyć na jutro – powiedział Quinn. – Ale sami z kolei musimy uważać na to, co jemy. Powiadomcie wszystkich.

– A pożar? – spytał Casseck. – Forteca Tegann jest zbudowana niemal w całości z granitu, więc będziemy mieć zapewnione dobre schronienie. A dzięki pożarowi możemy wywołać panikę i spalić zapasy.

Quinn kiwnął głową.

– Podoba mi się. Ile mamy oleju?

Cass pokręcił głową.

– Niestety niewiele. Możemy zwędzić trochę w Tegannie.

– Alkohol – rzucił Rob.

– Mamy tylko wino i piwo – odparł Gramwell. – Za słabe.

– Owszem – odparł Rob z uśmiechem. – Ale mamy też braci Stiller.

Kilka sekund później książę opuścił spotkanie i wrócił po chwili z szeregowymi Gregorym i Timem Stillerami, którzy pochodzili z rodziny piwowarów i gorzelników z północnej Crescery. Powozili wozami z ekwipunkiem i byli godnymi zaufania, solidnymi żołnierzami, chociaż kilka razy trzeba było ich ukarać za pędzenie gorzałki w obozie. Nagłe zainteresowanie kapitana ich talentem w owej dziedzinie bardzo ich zdumiało.

– Ile czystego alkoholu potraficie uzyskać z... powiedzmy beczki wina?

Bracia wymienili nerwowe spojrzenia.

Odpowiedział Tim:

– Może ćwiartkę beczki, sir, ale większość nie będzie do niczego się nadawała.

– Jak to?

– Trucizna, sir – wyjaśnił Gregory. – Do picia się nie nadaje i jest łatwopalna.

– Bardziej niż normalne trunki?

– Tak, sir. – Gregory kiwnął głową. – I pali się bardzo podstępnie. Płomienie są ledwo widoczne. Trunki palą się znacznie jaśniej. Tak testujemy alkohole.

– Zabawne, że o tym wspomnieliście – stwierdził Quinn, bębniąc palcami o blat. – Bo spirytus jest mi potrzebny właśnie do wywołania pożaru. Ile czasu zajmie proces destylacji?

– W ilości jednej beczki? Sześć godzin, minimum.

– Doskonale. Co będzie wam potrzebne do zbudowania destylatora?

Bracia znów na siebie spojrzeli. Długo nic nie mówili.

– Nie trzeba nam nic, czego już byśmy nie mieli, sir – odparł wreszcie Tim.

Quinn zmierzył ich wzrokiem.

– No dobrze. Biercie się do dzieła.

Rano Sage przygotowała się bardzo starannie, żeby upodobnić się do eleganckich dam. Ash obserwował ją ze swojego miejsca na wozie. Prowadził ją Bartholomew, jeden z młodych mężczyzn, którzy towarzyszyli jej poprzedniego wieczoru. Casseck, przechodząc, uderzył Asha w stopę, ten zaś rzucił mu mordercze spojrzenie i odwzajemnił się kopniakiem. Pamiętając słowa Asha z poprzedniego wieczoru, Sage posłała trzymającemu ją za rękę młodzieńcowi olśniewający uśmiech. Bartholomew pomógł jej wsiąść na wóz. Zerknęła ukradkiem na towarzyszkę podróży. *Będą miały o czym gadać*, pomyślała.

Gdyby krajobrazu nie zasnuwała szara zasłona mgły, Sage mogłaby z przyjemnością przyglądać się mijanym widokom. Ale czas ciągnął się niemiłosiernie, a wozy podskakiwały na koleinach i z pluskiem przedzierały się przez błoto. Ponieważ znów siedziała z tyłu, jej suknia szybko zawilgła i pokryła się cząsteczkami brudu, ale z tego miejsca Sage mogła przynajmniej obserwować Asha prowadzącego wóz jadący tuż za nimi. Kilka razy pochwycił jej spojrzenie i odpowiedział uśmiechem.

Żołnierze znów trzymali broń w gotowości. Panowało wśród nich napięcie znacznie większe niż tamtego dnia, kiedy jechali do Underwood. Sage nerwowo zaciskała dłonie na kolanach, aż zaczęły krwawić otarcia, których nabawiła się od trzymania wodzy. Czy gdyby wcześniej zorientowała się w sytuacji, zdążyłoby opracować plan ucieczki? Nie mogła pozbyć się wrażenia, że to z jej winy zmierzają – wiedząc o tym – prosto w pułapkę, ponieważ nie mają innego wyjścia. Znów spojrzała na Asha, przepełniona poczuciem winy, on zaś lekko pokręcił głową, jakby potrafił czytać w jej myślach.

Czy ponosiła winę, czy też nie, zamierzała zrobić wszystko, żeby im pomóc.

Pogoda opóźniła podróż i do Tegannu przybyli o zachodzie słońca – ponad dwie godziny później niż przewidywali. Blask pochodni rozmieszczonych na murach fortecy tworzył duże zamglone kule. Gospodarz, diuk D'Amiran, podszedł do pani Rodelle w szybko zapadającym zmroku i zaproponował, że służba przyniesie jedzenie i gorącą wodę paniom do komnat, by nie musiały przebierać się do kolacji. Sage pozwoliła porucznikowi Gramwellowi, żeby pomógł jej wsiąść, i zaczęła rozglądać się dokoła, w nadziei, że dostrzeże coś przydatnego, cokolwiek. Ledwo jednak mogła rozpoznać zarys murów czy

budynków. Tylko brama wewnętrzna była wyraźnie widoczna. Przypominała rozwartą pysk bestii, gotowej ich wszystkich pożreć. Sage wzdrygnęła się.

Zgodnie z hierarchią przepuściła wszystkie panny przodem i dopiero wtedy ruszyła za nimi do pokoi gościnnych w głównej wieży. Ash szedł za nią, dźwigając jej skrzynię. Kiedy postawił ją na podłodze komnaty, Sage pomogła przysunąć ją do łóżka. Pochylił się i wyszeptał:

– Cysterna znajduje się w części południowo-zachodniej, gdybyś przypadkiem chciała tam jutro zabłądzić.

Sage zerknęła na otwarte drzwi za ich plecami.

– Mógłbyś być tak uprzejmy i zabrać moje ubranie do prania? – Popatrzył na nią ze zdumieniem, a wtedy wyjaśniła: – Spodnie i tak dalej. Strasznie zabłociły się podczas jazdy w siodle.

Kiwnął głową, a ona prędko otworzyła skrzynię i wyciągnęła tobolek z samego dna. Ash przyjął go i puścił jej oko.

– Ale na pewno nie będą tak ładnie pachnieć.

– Nic nie szkodzi – odparła.

Poczuła ulgę, najwyraźniej wybaczył jej wczorajszą sprzeczkę.

W drzwiach minęła się z nim Clare, za którą weszła służąca z miską gorącej wody. Clare miała rozmarzoną minę, a pod stanikiem jej sukni, o ile wzrok Sage nie mylił, rysował się prostokąt – zapewne złożony kawałek papieru. Sage odwróciła się z uśmiechem i zaczęła przygotowywać herbatę.

Kiedy zostały same, zjadły kolację i wypity kolejną herbatę, a Clare zwierzyła się, co czuje do porucznika Gramwella, powiedziała, że on odwzajemnia jej uczucia i pokazała list od niego. Sage oczywiście nie była ani odrobinę zaskoczona. Doradziła ostrożność i dyskrecję.

– Wiem, obiecałam, że nie dopuszczę, by cię wyswatano, i nadal mam taki zamiar, ale musisz uważać. Nie znasz go za dobrze, a jeśli będziesz próbowała go poznać, możesz zaszkodzić swojej reputacji. Szczerze mówiąc, uważam, że do siebie pasujecie, ale on może się ożenić najwcześniej za trzy lata.

– Skąd taka zasada? – spytała Clare.

– Życie młodego oficera jest trudne i niebezpieczne, ślub i dzieci tylko niepotrzebnie by go rozpraszały. W wieku dwudziestu czterech lat oficer awansuje na kapitana i może wystąpić ze służby. – Sage wzruszyła ramionami. – Takie prawo obowiązuje od ponad stu lat. Nikt nie pamięta, w jakich okolicznościach je ustanowiono. Osobiście przypuszczam, że jego celem jest, by młodzieńcy z arystokratycznych rodzin, zwłaszcza młodszy synowie, nie wstępowali do armii tylko po to, żeby podnieść swoje szanse u młodych dam. W

armii niezwykle istotne jest autentyczne oddanie.

Clare po namyśle stwierdziła:

– Będę miała osiemnaście lat, jeszcze nie tragedia.

– Poza tym sama wybrałabyś sobie męża, nie sprzedaliby cię jak krowy na targu.

Przyjaciółka popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Nie przepadasz za aranżowanymi małżeństwami. Dlaczego wstąpiłaś na nauki do pani Rodelle?

– To długa historia. Ze mną nikt nigdy nie chciałby się ożenić, więc muszę radzić sobie w życiu inaczej. Darnessa zaproponowała mi pracę, a ja się zgodziłam.

Te słowa wyraźnie zaskoczyły Clare.

– Niby czemu miałyby nie znaleźć się nikt chętny pojąć cię za żonę? Swatka tak ci powiedziała?

– Przez całe dzieciństwo łąziłam po drzewach, chwytalam ptaki i nosiłam spodnie – odparła Sage. – Jeśli istnieje odpowiedni moment, w którym da się wpoić dziewczynie zachowanie stosowne damie, to w moim przypadku ten moment z pewnością minął dawno temu, ponieważ ciotka próbowała niemal przez cztery lata i niczego nie osiągnęła.

– Nigdy nie brak ci partnerów do tańca czy rozmowy przy stole – zauważyła Clare.

– Owszem, ale to tylko gra. Ja jedynie zbieram informacje na temat potencjalnych małżeństw.

Clare nie wyglądała na przekonaną.

– Zauważyłam, jak niektórzy żołnierze na ciebie patrzą. Zwłaszcza ten ciemny, z którym spędzasz tyle czasu.

Sage machnęła ręką.

– Jestem dziwaczną ciekawostką. Tak samo gapiliby się na chłopaka w sukience. Jeżdżę w siodle i rozmawiam z nimi, ponieważ poprosili mnie o pomoc.

– W jakiej sprawie? – spytała Clare.

Sage przez chwilę szukała mętnej, ale wiarygodnej odpowiedzi.

– Głównie chodzi o rozkład pomieszczeń w miejscach, gdzie zatrzymujemy się na noclegi. Żołnierze nie mogą wchodzić do części zajmowanych przez panie, ale mają obowiązek nas chronić, więc muszą wiedzieć, czy w danym budynku znajdują się tylne wyjścia, okna, tego rodzaju rzeczy.

– To chyba ma sens.

– À propos. Chciałabyś jutro zwiedzić ze mną fortecę?

Następnego ranka Clare i Sage ubrały się odświętnie, z zamiarem udania się na cotygodniowe nabożeństwo do kaplicy. Miały nadzieję, że uda im się nawiązać kontakt z kimś, kogo mogłyby wykorzystać do swoich celów. Okazja nadarzyła się już przy śniadaniu – syn służącego diuka nalał im herbaty i zapytał, czy mogłyby zrobić dla nich coś jeszcze. Sage właśnie przeżuwała tost i nie mogła odpowiedzieć, ale Clare przyszła jej z pomocą.

Lekko dotykając palcami ramienia młodzieńca, zwróciła na niego wielkie brązowe oczy i spytała, czy ktoś mógłby je oprowadzić po fortecy.

– Nigdy dotąd nie widzieliśmy miejsca równie... wspaniałego.

Jej ofiara kiwnęła głową jak zahipnotyzowana i zaproponowała własne usługi. Clare uniosła kąciki warg w uśmiechu, który rozjaśnił jej kremowe policzki, i powoli zatrzepotała długimi rękami.

– Nie mogę się doczekać, sir.

Młodzieniec uklonił się i napełnił ponownie filizanki, całkowicie zamroczony. Sage popatrzyła z podziwem na przyjaciółkę. Czowała się jak amatorka w towarzystwie wytrawnej mistrzyni. Porucznik Gramwell nie miał szans.

Na szczęście okazało się, że Thomas Stewart jest szczególnie dumny z systemu zaopatrującego fortecę w wodę i zapytany o niego, natychmiast zaprowadził je na miejsce. Nie tak łatwo było jednak tam się dostać. Cysterna znajdowała się dwa poziomy pod ziemią, była zamknięta od góry, wodę odprowadzały umieszczone na dnie rury.

– Napełnia ją deszcz, dzięki czemu naszej fortecy niegroźne jest oblężenie – rozprawiał Thomas. – Akurat teraz poziom jest dość niski, ale wkrótce nadejdą wiosenne opady. Przy okazji oczyszczą przełęcz przed waszą podróżą.

Ale jak się tam dostać? Nie mogli przecież wylać wody z butelki do odpływu przy murze obronnym.

– W jaki sposób konserwujecie cysternę? – spytała Sage.

– Każdego lata opróżniamy ją i czyścimy. – Wskazał kratkę w podłodze. – Chłopcy wchodzą do środka i skrobią ściany. W tym czasie czerpiemy wodę z rzeki.

Clare zrobiła przerażoną minę.

– Tam musi być gruba warstwa brudu i liści, może nawet leżą tam jakieś zdechłe zwierzęta!

– Ależ, pani, umiemy temu zaradzić. – Zaprowadził je do korytarza, z którego korzystała służba, i pokazał właz zamknięty drewnianą klapą umieszczony w



wystającym z podłogi kamiennym prostokącie. – Wszystko, co przepływa wraz z wodą, najpierw przechodzi przez ten szyb.

Thomas otworzył pokrywę i pociągnął za biegnącą w dół linę. Po chwili pokazał się siatkowy kosz. Na jego dnie leżały kamyki i suche liście.

– Ten kosz stoi na samym dole, przy specjalnym sicie umieszczonym w przepływie, i wyłapuje wszystko, co pływa w wodzie. Kosz i sito regularnie czyścimy.

Clare entuzjastycznie wychwalała sprytną konstrukcję. Sage popadła w zamyślenie. Ciężko będzie dostać się do środka, ale chyba nie będzie to niemożliwe.

– Jak daleko stąd do górnej części cysterny? – spytała.

Opuścił kosz z powrotem.

– Niecałe osiem metrów. Jest tam też odpływ odprowadzający nadmiar wody do kanału.

Clare spojrzała w głąb czarnej dziury.

– Nie przypuszczałam, że otwór jest taki szeroki. Odpływ też ma podobną szerokość?

– Musi mieć, pani. Kiedy czyścimy cysternę, jeden pechowy chłopak wchodzi do środka i zdrapuje brud ze ścian w tej ostatniej części systemu.

Clare wzdygnęła się.

– Musi tam być strasznie ciemno, ciasno i ślisko.

– Zgadza się, ale czasem trzeba to zrobić dla bezpieczeństwa oraz wygody takich dam jak wy, moje panie.

Sage kazała Clare pójść na spacer po ogrodzie w towarzystwie porucznika Gramwella, a sama narysowała szkice cysterny i dróg, którymi można się dostać do szybu. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, schowała rysunki i przygotowała się na gęste tłumaczenia, lecz Darnessa nie zapytała, czym się zajmuje.

– Musimy porozmawiać o Clare – oznajmiła.

Sage skrzywiła się i kiwnęła głową.

– Ten oficer poświęca jej stanowczo zbyt wiele uwagi. Osobiście uważam, że byłby dobrym kandydatem, ale Clare jedzie na Concordium. Musi to przerwać.

– Nie możemy jej wyswatać – zaprotestowała Sage. – Ma tylko piętnaście lat. Jej ojciec nas oszukał.

– Wiem – odparła Darnessa. – Chciałam jednak wyrwać ją z jego szponów. Lepiej wydać ją zbyt młodo za męża, niż dopuścić do tego, żeby wybrał dla niej takiego kandydata jak dla starszej córki.

– Opowiadała mi o tym podczas bankietu w Underwood. Rozpaczliwie płakała. – Sage skrzywiła się, dręczona wyrzutami sumienia. – Nie protestowałam, kiedy Gramwell zabrał ją na spacer po ogrodzie, i tak to się zaczęło, chociaż zapewniam, że nie miałam takich intencji. Był silny i miły, dokładnie taki, jak wtedy potrzebowałam.

Darnessa wiedziała równie dobrze co Sage, że Gramwell będzie mógł się ożenić dopiero za trzy lata. Mruknęła z namysłem.

– Może wynajdziemy u niej jakąś wadę, która uczyni ją mniej atrakcyjną, i zatrzymamy ją dla Gramwella. Przypomnij mi, skąd pochodzi jego rodzina.

– Gdzieś z północy. – Sage przysunęła bliżej księgę i otworzyła na stronie z notatkami o Gramwellu. – Jego ojciec był ambasadorem w Reyanie, ale niedawno wrócił do Key Loredy, skąd pochodzi.

Swatka rozpromieniła się.

– Syn ambasadora! To działa na jego korzyść, a w Key Loredzie panuje tradycja, zgodnie z którą narzeczoną mieszka z przyszłymi teściami co najmniej przez rok przed ślubem. Para jest ze sobą związana, podobnie jak małżeństwo, a teściowa ma za zadanie przyuczyć synową do obowiązków domowych.

Sage skrzywiła się.

– Brzmi okropnie.

– Chyba że teściowa polubi dziewczynę, a Clare jest przeuroczą istotą. Nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek rozsądna kobieta mogła nie zapalać do niej sympatią. Zobaczymy, co da się zrobić. – Darnessa przebiegła wzrokiem po kartach dotyczących reszty oficerów i zatrzymała się przy jednej. – Widzę, że nie masz wysokiego mniemania o młodym kapitanie Quinnie. Czyżby w jakiś sposób cię uraził?

– Nigdy z nim nie rozmawiałam – odparła Sage. – Widzę tylko, jak traktuje swoich ludzi.

– Dowódca musi być wymagający.

– Ale jakoś nigdy nie widziałam, żeby sam pobrudził sobie rączki – zaprotestowała Sage. – Mam więcej szacunku dla ludzi, którzy nie wyręczają się we wszystkim innymi.

Swatka wzruszyła ramionami i postukała w sąsiednią stronę, z notatkami na temat Asha Cartera.

– Zabawne, że tak niewiele zebrałaś informacji o człowieku, z którym spędzasz tyle czasu.

– Znam go, więc tak szybko wszystkiego nie zapomnę. – Sage zabrała jej książkę. – Na razie muszę zająć się pozostałymi.

– Widzę również, że odkryłaś jego prawdziwą tożsamość.

Sage rzuciła jej niechętne spojrzenie.

– Mogłaś oszczędzić mi żenującej sytuacji.

Darnessa zachichotała.

– Szczerze, nie byłam pewna. Nie chciałam wprowadzać błędu do twojego dochodzenia.

– Hm. – Sage pochyliła się nad książką. Chciała dokończyć rysunek.

– Mogłybyśmy wyswatać go na Concordium.

– Zapytam go – odparła Sage, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. Sama nie podzielała zamiarów Darnessy. – Ale wydaje mi się, że nie jest zainteresowany. Zbyt zajęty służbą żołnierską.

– Skoro tak twierdzisz. – Darnessa podniosła się z krzesła.

– A, przy okazji – zawołała Sage. Swatka zatrzymała się w połowie drogi do wyjścia. – Nie pytaj o szczegóły, ale od tego wieczoru nie pij świeżej wody. Prawdopodobnie będzie bezpieczna dopiero po przegotowaniu. Powiadom również panny i służące.

Darnessa tylko skinęła głową. Sage nabrała podejrzeń. Czyżby Quinn dzielił się z Darnessą informacjami, którymi Ash na jego rozkaz z nią nie mógł się dzielić?

Zanotowała wszystko, czego dowiedziała się na temat cysterny, oraz inne przydatne informacje, złożyła kartki, schowała je pod stanikiem sukni i udała się na obiad. Służba szykowała Wielką Halę na wieczorny bankiet, więc posiłek podano niezobowiązująco na długich stołach ustawionych w ogrodzie. Nie pojawił się żaden z żołnierzy.

Zdobyte przez nią informacje były niezwykle ważne i miała nadzieję, że wkrótce ktoś zwróci się do niej w tej sprawie. Ogród wydawał się idealnym ku temu miejscem, więc nałożyła sobie jedzenia na talerz i zajęła miejsce na ławce pod drzewem. Czas mijał i zaczęła się zastanawiać, czy nie lepsza byłaby biblioteka. Już miała dać za wygraną, gdy dostrzegła Charliego zajętego zbieraniem naczyń. Kiedy do niej podszedł, posłała mu promienny uśmiech.

– Hej, mały żołnierzu.

Jej uśmiech zbladł przy tym, który pojawił się na twarzy chłopca. Charlie był taki słodki i kochany – zupełnie przeciwieństwo zadufanego w sobie brata.

– Pani, mogę zabrać od ciebie naczynia. – Od razu zrozumiała aluzję, wyjęła papiery i wsunęła je pod talerz.

Popatrzyła za Charliem, który pospieszył z powrotem do kuchni, zastanawiając się, czy chłopak wie, że między dwoma brudnymi talerzami niesie los całego narodu.

– I co? – zapytał Quinn.

Casseck przyglądał się rysunkowi cysterny.

– Jej szkice są lepsze niż Asha.

– Nie powtórzę mu tego.

– Kto idzie na bankiet, ty czy ja? – spytał Robert.

– Ja. Pojawię się na krótko, żeby D’Amiran mnie zobaczył.

Rob rozpromienił się.

– Czy to znaczy, że mogę wybrać się z Charliem na wycieczkę do cysterny?

Quinn pokręcił głową.

– Nie. To mój brat, ja ponoszę za niego odpowiedzialność. Ty na razie masz się przyczaić. I gdyby ktoś pytał, znów jesteś porucznikiem o nazwisku Ryan Bathgate. Wolałbym jednak, żeby nikt nie pytał. Jeśli cię stąd niepostrzeżenie wyprowadzimy lub ukryjemy w późniejszym etapie, lepiej by było, gdybyś na jakiś czas zmienił się w ducha.

Robert westchnął dramatycznie.

– Było miło, ale się skończyło. Może postaram się o awans.

Quinn wywrócił oczami.

– Przed tobą daleka droga. Jakies pytania? – Rozejrzał się. – Doskonale. Przygotuj się do kolacji.

Charlie przemykał ciemnym korytarzem z bratem u boku. Gdyby ktoś się pojawił, był przygotowany do odegrania roli pazia prowadzącego pijanego pana do łóżka. Na szczęście w korytarzu było pusto. Widocznie całą służbę skierowano do pracy na ucztach.

Znaleźli prostokątny drewniany właz dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować według notatek lady Sagerry. Kapitan podniósł klapę i zwinął linę, na której zawieszono kosz. Miała długość półtora metra. Wyciągnął kosz, odstawił na bok i spojrzał na Charliego.

– Spróbuj tam wejść. Najpierw stopy. Chyba powinno być dość miejsca, żebyś mógł swobodnie się poruszać.

Charlie spojrzał w ciemny otwór. Nie bał się ciemności, ale ta różniła się od zwykłej ciemności nocy – wiedział, że nie będzie tam księżycy ani gwiazd. Brat

powiedział, że chłopcy wchodzą tam, kiedy trzeba wyczyścić cysternę, więc na pewno nie miał się czego obawiać. Poza tym jego pomoc była potrzebna Aleksowi, jego kapitanowi. Tylko on mógł tego dokonać.

Nie czekając, aż odwaga go opuści, stanął na skraju otworu, spojrzął w górę i pomacał butelki schowane pod kubrakiem. Uniósł ramiona i szepnął:

– Gotowy.

Alex chwycił go pod pachy i opuścił w głąb szybu. Kiedy umieścił pokrywę na miejscu, zapach wilgoci i kamienia otoczył Charliego ze wszystkich stron niczym pled.

Zaczął macać dokoła, tam, gdzie szyb łączył się z poziomym kanałem. W którą stronę do cysterny? Macał dalej, aż nagle jego palce natrafiły na drucianą siatkę. Przesunął je aż do obramowania. A więc po tej stronie. Przesunął palcami wzdłuż ramy, próbując odgadnąć, w jaki sposób umieszczono sito w otworze. I niemal roześmiał się, gdy z ulgą stwierdził, że jest po prostu zaczepione po bokach za pomocą haczyków. Poluzował sito na tyle, by precyzyjnie się przez otwór.

Powoli posuwał się do przodu. Domyślał się, że ściany normalnie są oślizgłe i wilgotne, ale teraz wyschły, ponieważ od jakiegoś czasu nie padało. Szedł w głąb kanału bez większego wysiłku, tylko od czasu do czasu ocierając knykciami o kamienie. Gęste ciemności budziły w nim niepokój. Nie widział nawet własnych rąk.

Poruszał się powoli, by robić jak najmniej hałasu – bał się, że echo zdradzi jego obecność. W końcu dotarł do krawędzi. Wiedział, że gdzieś tu powinien być odpływ odprowadzający nadmiar wody. Macał dokoła. To odpływ czy cysterna? Trochę żwiru spadło za krawędź, rozległ się plusk. A więc to tutaj.

Przysunął łokcie do ciała i wyjął zza pazuchy pierwszą butelkę. Z rękawa wyciągnął cienki metalowy pręt i przebił wosk, którym zamknięto otwór. Drżącymi rękami wylał zawartość butelki. Trochę zostało mu na palcach. Potem powtórzył całą operację z drugą butelką. Kiedy skończył, cały ociekał potem. Otarł twarz wilgotnym rękawem i schował butelki.

Zakończywszy misję, powoli wycofał się, aż dotarł do końca kanału. Obrócił się w ciasnej przestrzeni i wsunął sito na miejsce. Zagwizdał cicho, a wtedy na górze pokazała się zaniepokojona twarz brata. Alex chwycił go za ramiona i wyciągnął.

Pomógł mu wstać. Po ciemnościach wypełniających wnętrze cysterny korytarz wydawał się bardzo jasny.

– Udało się? – spytał cicho kapitan.

Charliemu kręciło się w głowie z podekscytowania.

– Tak jest, sir. – Obliznął pot wokół warg, zaszalutował i otarł czoło rękawem.

Alex odetchnął z ulgą i przytulił go. Charlie, choć mocno zaskoczony tym gestem, odwzajemnił uścisk z szerokim uśmiechem. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie chłopakom, że właśnie został prawdziwym szpiegiem.

Sage zakręciła włosy i pofarbowała je na lekki odcień czerwieni za pomocą specjalnego płynu, jednego z wielu, które wozila w swojej skrzyni. Czuła się jak wyfiokowana lala, wiedziała jednak, że w ten sposób lepiej wtopi się w grupę dam. Posunęła się nawet do tego, że wypchała górną część sukni i zakryła piegi pudrem. Czekwały pod drzwiami Wielkiej Hali wraz z resztą dam. Porucznik Casseck chodził dokoła, uważnie przyglądając się ich twarzom.

Clare poruszyła się nerwowo.

– Czy byłoby bardzo nieuprzejmie z mojej strony zapytać diuka o Sopię? Nie miałam od niej wiadomości od wielu miesięcy.

– Ani trochę – zapewniła Sage. – Jego brat poślubił twoją siostrę. Jesteście rodziną. – Zastanawiała się, co zrobi Ash, by zapewnić Sopiie bezpieczeństwo. W końcu nie było jej winą, że wyszła za zdrajcę.

Casseck minął je po raz trzeci i nagle przystanął.

– Lady Sagerra? – spytał.

Sage uśmiechnęła się i podała mu rękę.

– Dobry wieczór, poruczniku.

Casseck ucałował jej dłoń, a potem w ten sam sposób przywitał się z Clare. Każda z pozostałych panien wpadłaby we wściekłość, gdyby ktoś postawił ją na drugim miejscu za Sage, ale Clare było to obojętne. W tym momencie zjawiała się Darnessa i zabrała Clare na początek kolejki, żeby przedstawić ją diukowi, który stał w progu, witając gości. Sage została sama z Casseckiem.

– Czy byłoby zbyt wielką arogancją z mej strony żywić nadzieję na taniec z tobą tego wieczoru, pani? – spytał.

Zawahała się. Ash nie wybierał się na bankiet, ale inni żołnierze z pewnością przekażą mu, co się na nim działo. Wiedziała jednak, że z kimś będzie musiała tańczyć, a Casseck wydawał jej się dość sympatyczny.

Jakby czytał w jej myślach, powiedział z uśmiechem:

– Jestem pewien, że sierżant Carter nie miałby nic przeciwko.

Poczuła rumieniec na policzkach. Czyżby przyjaciele dokuczali mu z jej powodu?

– Chętnie przyjmę twą propozycję, poruczniku.

– Nie mogę się doczekać. – Ukłonił się i poszedł, a Sage wróciła do kolejki.



Dwie damy stojące przed nią obejrzały się, po czym zbliżyły do siebie głowy i zaczęły szeptać. Sage jednak myślała tylko o tym, że Casseck w pierwszej chwili jej nie poznał. Skoro potrafiła zwieść ludzi swoim wyglądem, to otwierał się przed nią świat nieskończonych możliwości. Przyglądała się służącym, które biegały w tę i z powrotem. Przy takiej liczbie osób nikt nie zwróci uwagi na jeszcze jedną.

Wielką Halę udekorowano girlandami wiosennych kwiatów przywiezionych z miejsc znacznie cieplejszych niż Tegann. Chodniki z sitowia wydzielały słodką woń pod stopami licznych gości. Zsunięte pod ściany stoły ugięły się pod ciężarem mięs, owoców i ciast. Sage przyglądała się temu wszystkiemu z podziwem, zdając sobie sprawę, że wszystkie te rzeczy musiano sprowadzić z bardzo daleka. Reszta pań zdawała się nie dostrzegać otaczającego je splendoru. Może po prostu przywykły do bogactw i nigdy nie zastanawiały się nad ich źródłem.

Samo pomieszczenie imponowało rozmiarami – zmieściłaby się tu cała część mieszkalna dworu Broadmoor i wcale nie byłoby im za ciasno. Halę dobudowano dość niedawno – czterdzieści lat temu, kiedy D’Amiranowie dostali Tasmety. Najwyraźniej sto pięćdziesiąt lat życia praktycznie na wygnaniu nie pozbawiło ich zamiłowania do luksusów. Wysokie witraże przedstawiały sceny z przeszłości rodu, który zjednoczył Demorę w jeden naród. Brakowało tam jednak scen walki z Casmunem trzysta lat temu, przez którą zniszczyli łączące ich kontakty handlowe, a także sceny przedstawiającej utratę tronu sto lat po tych wydarzeniach.

Czekając, aż przedstawią ją diukowi, Sage miała sporo czasu, by spokojnie mu się przyjrzeć. Morrow D’Amiran liczył ponad czterdzieści lat, czernił brodę i włosy, by wydawać się wciąż młodym, ale na jego dłoniach i czole widniały zmarszczki zdradzające dojrzały wiek. Musiała przyznać, że jest przystojny w konwencjonalnym znaczeniu. Miał regularne rysy i proste białe zęby. Nie zapuścił brzucha jak wuj William. Zachowywał się ujmująco, ale jego jasnoniebieskie oczy były zimne i przebiegłe. Kiedy Darnessa ją przedstawiła, Sage wykonała głęboki dyg i wbiła wzrok w podłogę.

– Nie słyszałem o rodzie Broadmoorów – powiedział diuk, przytrzymując jej dłoń. – Gdzie znajdują się wasze włości?

– Jakiś dzień jazdy na północ i zachód od Garland Hill, Wasza Miłość – odparła Sage.

Nie bardzo wiedziała, czy chce mu się wydać interesująca, w końcu doszła do wniosku, że lepiej robić wrażenie raczej bezbarwnej i zwyczajnej. Miała wielką

ochotę zabrać dłoń z jego miękkiego, lecz stanowczego uścisku, ale jakoś się opanowała.

– Jej wuj to pomniejszy lord, Wasza Miłość – wtrąciła Darnessa. – Zarządza posagiem po jej matce, przeznaczonym na przyszłe wiano. – Te słowa miały zasugerować, że Sage zajmuje wyższą pozycję i dysponuje większym majątkiem niż jej tymczasowy opiekun.

– To by wyjaśniało, dlaczego nigdy o niej nie słyszałem. – Diuk urwał i zmierzył ją wzrokiem. Musiała bardzo nad sobą panować, by nie skulić się z obrzydzenia. – Wyglądasz na osobę, która lubi przebywać na świeżym powietrzu.

Jej cera. Komentował piegi. Teraz żałowała, że nie nosiła tego kretyńskiego kapelusza. Pochyliła głowę i próbowała zrobić zażenowaną minę.

– Ostatnia zima była taka ciężka, że chyba nieco przesadnie cieszyłam się pierwszymi promieniami słońca, Wasza Miłość.

Gospodarz posłał jej szczery uśmiech.

– Moja droga, w pełni rozumiem, co czujesz. Każdego roku od przyjazdu w to miejsce tutejsze zimy każą mi tęsknić za łagodnym klimatem Mondelei, krainy, którą znałem w dzieciństwie. – Melancholia w jego głosie pod koniec zdania ustąpiła nucie goryczy. Mocniej zacisnął dłoń na dłoni Sage.

Był jeszcze dzieckiem, kiedy jego rodzina przeniosła się do Tasmetu, a wcześniej żyli praktycznie w ubóstwie, ale najwyraźniej z tęsknotą i żalem wspominał dom swojego dzieciństwa.

Sage odpowiedziała słowami łączącymi współczucie z pochlebstwem:

– Wasza Miłość pokazał mi, że nie muszę wstydzić się tęsknoty za tym, co sama utraciłam.

Uścisk zelżał.

– Nie, pani, nie ma takiego powodu. – Pochylił się, by złożyć pocałunek na jej dłoni. – Mam nadzieję, że przyjemnie spędzisz tu czas i zapalasz sympatią do swego nowego domu, gdziekolwiek on będzie.

– Dziękuję Waszej Miłości z całego serca – wymamrotała, znów spuszcżając wzrok i nisko dygając.

Darnessa również dygnęła i odprowadziła ją na bok.

– Dobra robota – powiedziała jej do ucha. – A teraz idź się bawić, ale nie zapominaj o obowiązkach.

Darnessa nie miała pojęcia, że teraz chodzi o coś znacznie ważniejszego niż zwykle informacje przydatne swatkom. Być może Quinn jednak nie mówił jej wszystkiego. Sage nie była zachwycona, że nie może wtajemniczyć w sprawę

swojej nauczycielki, ale znała jej nadopiekuńczość i wiedziała, że na razie musi tak pozostać. Tak czy inaczej to nie było ku temu odpowiednie miejsce.

Clare tańczyła z porucznikiem Gramwellem, więc Sage wmieszała się w tłum. Rozglądała się dokoła, próbując przypasować nazwiska do twarzy. Zabawne, ale okazało się, że karykaturalne opisy, które przedstawili jej tamci dwaj młodzieńcy poprzedniego wieczoru, doskonale pozwalają jej zidentyfikować wielu obecnych na balu przedstawicieli arystokratycznych rodów. Na razie nie zjawili się wszyscy potencjalni kandydaci, było za to wielu starszych żonatych arystokratów z Tasmetu, przybyłych zapewne, jak przypuszczała Sage, by przypieczętować sojusz z diukiem D'Amiranem, zanim ten przystąpi do konkretnych działań. A kiedy wyjadą, ich miejsce zajmą następnymi. Miała nadzieję, że te wyjazdy i przyjazdy opóźnią przynajmniej o kilka dni plany wydania panien z Concordium za sprzymierzeńców diuka.

Sądząc po tym, ilu młodzieńców prosiło ją do tańca, przypuszczała, że gości ucieszył widok dodatkowej panny na wydaniu. Domyślała się też, że diuk zechce ją oddać jakiemuś lojalnemu człowiekowi. Oczywiście o ile wcześniej nie odkryje prawdy na temat jej pochodzenia. Wodziła wzrokiem po sali pełnej sojuszników D'Amirana i porównywała ich siły z grupą eskortujących orszak żołnierzy. Zastanawiała się, czy powinna poszukać człowieka, któremu spodoba się na tyle, żeby zapewnić jej opiekę – gdyby doszło do najgorszego.

Nie mogłaby jednak odwrócić się od Asha i pozostałych żołnierzy. Bez względu na rozwój wydarzeń zamierzała trwać u ich boku, nawet gdyby miała wszystko przez to stracić.

Nagle pojawił się porucznik Casseck, jakby przywołany jej myślami.

– Przychodzę, by wyegzekwować złożoną mi obietnicę – powiedział z uśmiechem.

Sage przyjęła jego dłoń i dała się zaprowadzić na drugi koniec sali, gdzie przebywało znacznie mniej osób. Diuk był jak środek tarczy strzelniczej, ludzie gromadzili się wokół niego niczym strzały, im bliżej, tym gęściej. Sage cieszyła się, że może uniknąć jego towarzystwa, poza tym dzięki temu, że było tu luźniej, mogła mówić swobodnie, bez obaw, że ktoś ich podsłucha.

– Co sądzisz o moich notatkach, sir? – zapytała. – Okazały się pomocne?

– Zrobiły wielkie wrażenie – odparł Casseck. – Kapitan Quinn był bardzo zadowolony.

– Nie zrobiłam ich dla niego – powiedziała cierpko.

– Tak czy inaczej jest bardzo wdzięczny. – Casseck obrócił ją dokoła, tak aby plecami była zwrócona w stronę diuka i krążących wokół niego ludzi. Teraz

miała widok na witraż przedstawiający generała Falco D'Amirana, wyganiającego Kimisarów z Tasmetu.

– Kiedy je wykorzystacie? – Nikt nie zwracał na nich uwagi, ale starannie dobierała słowa, by za wiele nie zdradzić przypadkowym słuchaczom.

– Zrobione.

Z wrażenia zgubiła krok w tańcu.

– Już?

– Charlie nawet poszedł do łóżka o zwykłej porze.

Oczywiście Quinn musiał wykorzystać młodszego brata. Sage zazgrzytała zębami.

– Cieszę się, że chłopiec się przydał.

Casseck uniósł brew.

– Rozumiem twoją troskę, ale nie bardzo wiem, kogo innego byłabyś skłonna wyznaczyć do takiego zadania.

Odwróciła głowę, nie chcąc przyznać mu racji. Casseck obrócił ją nieco w lewo. Znow miała naprzeciwko okno witrażowe.

– Kiedy popsuły się kontakty rodziny królewskiej i rodu D'Amiran? – zapytała, żeby zmienić temat. – Po Wielkiej Wojnie wrócili do łask, ale nie trwało to długo. – Pokazała na okno ruchem głowy.

Casseck obejrzał się.

– Dziwię się, że nie wiesz. Chodzi o Concordium sprzed dwudziestu lat.

Im więcej Sage dowiadywała się na temat swatek i władzy, którą dysponowały, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że tak naprawdę to one z za kulis rządzą krajem.

– Nie byłam wtedy uczennicą pani Rodelle. Co się wydarzyło?

– Nasz łaskawy diuk wrócił do domu z pustymi rękami. Proponowano mu kilka kandydatek, ale wszystkie odrzucił.

– Czyżby pragnął tej, której nie mógł dostać?

Casseck wzruszył ramionami.

– Niektórzy powiadają, że upatrzył sobie Gabriellę Carey, ale ona rok wcześniej poślubiła króla Raymonda, więc to raczej wykluczone.

Matka Quinna pochodziła z rodu Careyów – była młodszą siostrą królowej Gabrielli. Wyszła za kapitana Pendletona Quinna mniej więcej w tym czasie, gdy jej siostra się zaręczyła, ślub był jednak wyjątkowo cichy jak na związek dwóch tak potężnych rodów. Zapewne przyćmiły go królewskie zaręczyny.

Taniec, który wykonywali, wymagał sporej liczby obrotów, ale Sage za każdym razem lądowała twarzą do okna.

– Czy specjalnie ustawiasz mnie plecami do wszystkich? – spytała w końcu, nieco zirytowana.

Mina Cassecka zdradzała, że zrobiło mu się trochę głupio.

– Och, po prostu staram się mieć całe pomieszczenie na oku. Żołnierskie nawyki.

– Nie musisz przeproszać – odparła. – Cieszy mnie, że nie wstydzisz się przebywać w towarzystwie panny najniższej rangą spośród wszystkich.

– Z tego, co zaobserwowałem tego wieczoru, niewielu mężczyzn kieruje się tego rodzaju uprzedzeniami. – Dla odmiany obrócił ją trochę.

– Czy tylko mi się wydawało, czy nie mogłeś odróżnić mnie w tłumie, kiedy czekaliśmy przed wejściem?

– Zgadza się. Wyglądasz... inaczej. – Skrzywił się. – Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to obraźliwie.

Ale Sage ledwo zarejestrowała jego ostatnie słowa. Serce biło jej jak młotem na myśl, że nie mógł rozpoznać jej ktoś, kto przecież spędził już sporo czasu w jej towarzystwie.

Postanowiła, że jutro sprawdzi, jak można to wykorzystać.

Cass tańczył ze Szpakiem w odległym krańcu sali. Miała rudawe włosy, więc przez chwilę Quinn nie był pewien, czy to naprawdę ona, lecz kiedy przechyliła na bok głowę – jak zwykle, kiedy intensywnie myślała, wszelkie wątpliwości się rozwiały. Utorował sobie drogę w tłumie otaczającym diuka.

– Wasza Miłość – powiedział z ukłonem. – Proszę wybaczyć, że nie przyszedłem na spotkanie zaraz po przyjeździe. Mieliśmy opóźnienie, więc musiałem się zająć najpilniejszymi sprawami.

D’Amiran łaskawie kiwnął głową.

– Nic nie szkodzi, kapitanie, twoi oficerowie o wszystko zadbali. – Urwał i zmierzył Quinna wzrokiem. – A więc jesteś synem Pendletona Quinna.

– Zgadza się, Wasza Miłość. – Nie umknęło jego uwadze, że diuk pominął stopień wojskowy przy nazwisku ojca. W młodości i diuk, i jego brat wstąpili do armii, ale zrezygnowali, nie dotarłszy nawet do rangi kapitana. Według tego, co mówił ojciec Quinna, Morrow D’Amiran miał potencjał, ale za bardzo opierał się na reputacji swojego ojca.

Jasnoniebieskie oczy wciąż mu się przyglądały.

– Armand, prawda? Nie jesteś do niego zbyt podobny.

– Alexander, Wasza Miłość. Drugie imię mojego ojca.

Diuk prychnął.

Albo usiłował go zdenerwować, albo nie pamiętał, jak wygląda generał. Quinn był niemal jego kopią, tyle że odziedziczył ciemne barwy po matce wschodniego pochodzenia.

– Uważam to za bardzo korzystne, Wasza Miłość.

– Rzeczywiście. – Diuk wziął ciastko z tacy, którą podsunął mu służący. – Czy skorzystasz z okazji, by odwiedzić króla, swego wuja?

Najpierw Quinn pomyślał, że to aluzja, że D’Amiran wie, iż ojciec Quinna wysłał go na przespiegi, ale po namyśle uznał, że to tylko niewinna pogawędka.

– Oczywiście, Wasza Miłość. Czy mam przekazać mu pozdrowienia, czy też Wasza Miłość również wybiera się na Concordium?

Diuk pokazał w uśmiechu zbyt wiele zębów, by dało się uznać go za naturalny.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś przekazał pozdrowienia zarówno jemu, jak i

swemu ojcu.

*W formie mojej uciętej głowy?* Quinn wiedział, jak wygląda spojrzenie człowieka, który kogoś nienawidzi. Na liście diuka zajmował trzecią pozycję, za swoim ojcem i królem. Odnalazł wzrokiem Cassecka i Sage, odwróconą plecami w ich stronę. Powiedział, szerokim gestem obejmując całe pomieszczenie:

– Wasza Miłość wspianiale urządził to miejsce. Chyba nie może się z nim równać nawet to, co widziałem w pałacu.

– A któż mógłby wiedzieć lepiej od ciebie, spędzasz tam przecież tyle czasu.

Ludzie zawsze zazdrościli Quinnowi pozycji, on jednak był tym raczej znudzony. Tylko Robert i Ash mieli jeszcze gorzej od niego. Zdusił uśmiech. Znowu trzecie miejsce.

Diuk mówił dalej:

– Ufam, że komnaty odpowiadają standardom, do których przywykłeś?

– Ależ oczywiście, Wasza Miłość – odparł. – Dziękuję za niezwykłą gościnność.

D’Amiran wyglądał na zirytowanego faktem, że jego drobne przytyki nie wywołują zamierzonej reakcji.

– Cóż, przypuszczam, że obowiązki cię wzywają.

Quinn, nadal nie pokazując po sobie cienia urazy, uśmiechnął się i uklonił. Jeszcze raz zerknął w stronę Sage i Cassecka, po czym wyszedł głównymi drzwiami i skierował kroki do koszar.

Sage wstała przed świtem, włożyła prostą wełnianą suknię, prędko zawiązała w ciemnościach tasiemki przy staniku. Następnie grzebieniem rozprowadziła na włosach płyn nadający ciemniejszy odcień, splotła je, zwinęła z tyłu głowy i zakryła kapturem. Spojrzała do lusterka. Zobaczyła w nim odbicie raczej zwykłej pokojówki niż wielkiej damy, którą wszyscy mieli okazję oglądać poprzedniego wieczoru. Chwyciła kłębek brudnych ubrań i wyszła, kierując kroki do pralni.

Nikt za bardzo nie zwracał na nią uwagi. W ogóle mało kto był już na nogach – wszyscy odsypiali wczorajszy wieczór. Sage wrzuciła tobolek do pustego pomieszczenia, gdzie leżały już ubrania innych członków ich grupy, i postanowiła ruszyć na rekonesans, zaczynając od kuchni. Dostrzegła, że w pralni również znajduje się odpływ rury prowadzącej z cysterny, co podsunęło jej pewien pomysł. Chwyciła z półki pusty dzban i napełniła go wodą. Uznała, że to doskonały moment, by wywołać epidemię.

W kuchni na stole stało kilka koszy pełnych chleba i sera. Skacowany kucharz spojrzał na nią i machnął w ich stronę.

– Czas, żebyście wzięły się do roboty. Zaczynij od głównej bramy. Strażnicy są głodni, pospiesz się.

Widocznie wziął ją za dziewczynę na posyłki. Sage uśmiechnęła się w duchu, chwyciła kosz oraz metalowy kubek, po czym ruszyła w stronę północnej części fortecy. Ostrożnie niosąc swój ciężar, przeszła przez bramę wewnętrzną oraz dziedziniec zewnętrzny i wspięła się po kamiennych stopniach obok stróżówki. Dwaj zaspani strażnicy podnieśli głowy, kiedy weszła do środka.

– Witaj, skarbie – zawołał jeden z nich, rozwalony na chwiejnym drewnianym krześle. – Co za widok. Może nas obudzisz?

W tym momencie Sage zrozumiała, że nie jest przygotowana na awanse ze strony tych mężczyzn, z którymi pewnie zwykle musiały sobie radzić proste dziewczyny. Postawiła kosz na stole i nalała wody do kubka. Kiedy podała naczynie temu, który się odezwał, on chwycił ją za nadgarstek, pociągnął ją na swoje kolana, chwycił za tylną część ciała i wyszeptał do ucha:

– Skutecznie mnie obudziłaś, ślicznotko. Może zostaniesz na chwilę i dotrzymasz mi towarzystwa? Ten tam Hix nie jest zbyt zabawny, ale ty



wyglądasz mi na rozrywkową dziewczynę. – Przycisnął do jej policzka twarz pokrytą tygodniowym zarostem i wycisnął mokry całus cuchnący kwaśnym winem.

Sage zadrżała z odrazy i odsunęła się, a on zaśmiał się i chwycił kubek. Strumyk wody ściekł po jego brodzie na niebieski mundur, dołączając do kilku ciemnych plam, zapewne z wina – a może z krwi. Wyciągnął rękę z kubkiem i puścił do niej oko. Sage wbiła wzrok w naczynie. Nie miała najmniejszej ochoty podchodzić bliżej, chociaż jednocześnie chętnie dałaby mu więcej tej zatrutej wody. Cofnęła rękę i zakołysała kubkiem.

– Chodź i go zabierz, skarbie.

Drugi ze strażników, Hix, podszedł do niego i pacnął go lekko w tył głowy.

– Daj spokój, Barley. Dziewczyna pracuje.

Zabrał kubek i wyciągnął w stronę Sage, która napełniła go drżącymi rękami i zaczęła, aż Hix wypije. Oddał jej kubek, chwycił z kosza dwie bułki i jedną rzucił towarzyszowi, który wciąż pożądliwie łypał na Sage.

– Daj sera, co? – powiedział Barley i Hix rzucił mu kawałek. Barley nie zdołał go złapać. Zaklął, gdy kawałek wymknął mu się z rąk. Podniósł ser z podłogi i ugryzł, nie spuszczając wzroku z Sage. – Później cię znajdę – zawołał, kiedy zamykała drzwi.

Odstawiła kosz i dzban, poprawiła ubranie i wytarła twarz w rękaw. Była głupia, sądząc, że tak łatwo przyjdzie jej udawać służącą. Co z niej za szpieg.

W świetle poranka, które pojawiło się z opóźnieniem z powodu gór rozciągających się na wchodzie, zobaczyła kilku strażników w biało-niebieskich strojach, stojących wzdłuż muru w regularnych odstępach. Ten najbliżej wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym oczekiwania. Wzięła głęboki wdech i zebrała rzeczy, tłumacząc sobie, że na otwartej przestrzeni będzie bezpieczniejsza.

Dalej poszło gładko. Ruszyła wzdłuż północnego muru. Nie spotkały jej więcej żadne przykrości, chociaż jeden ze strażników na północno-wschodniej wieży gapił się na nią tak długo, że wywołał u niej rumieniec. Wbiła wzrok w górskie szczyty, by uniknąć jego spojrzenia, obserwując sokoła, który nadleciał z południa i zataczał kręgi nad punktem niedaleko przełęczy.

Na wschodnim murze minęła mężczyznę siedzącego w połowie drogi między strażnikami, pod niewielką wieżyczką, której nikt nie pilnował.

– Panienko, dasz chleba? – spytał cicho.

Przystanąła gwałtownie, wychlapując wodę z dzbana.

– Co ty tu robisz?

Ash spojrział na nią z gniewną miną. Jego ciemne włosy sterczały na wszystkie strony.

– Mógłbym spytać cię o to samo. – Podniósł się, podszedł bliżej i wyjął z kosza bułkę. – Bo wiem na pewno, że nikt nie wydał ci takiego polecenia.

– To się nazywa „podjąć inicjatywę”.

– Nie, to się nazywa „narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo”.

– Potrafię o siebie zadbać – odparła, próbując zapomnieć tamtego mężczyznę z wartowni.

– Nieprawda. Wracaj do łóżka. – Zabrzmiało to jak rozkaz.

– Dopiero kiedy skończę to rozdawać. – Przełożyła kosz na drugie ramię i odsunęła Asha, który stał jej na drodze. – Gdybym teraz przerwała, wzbudziłabym podejrzenia – rzuciła przez ramię.

– Do licha, Sage, to nie jest zabawa! – warknął do jej pleców.

Gotując się ze złości, ruszyła dalej, na mury od wschodu i południa, by zakończyć swoją misję w południowo-zachodniej części wieży. Zostało jeszcze trochę wody, więc postanowiła wdrapać się na wieżę, której również pilnowali strażnicy. Incydent w wartowni poruszył ją mocniej, niż chciała przyznać. Po części miała ochotę przerwać i wrócić do łóżka, lecz nie zamierzała tego zrobić, na pewno nie po tym, jak Ash jej kazał. Podciągnęła spódnicę, by wdrapać się po stopniach, gdy usłyszała głosy mężczyzn na wieży.

– Mówię, że to był on, sir. Już go kiedyś widziałem, poprzednim razem, jak eskortowaliśmy Jego Miłość do stolicy.

– Nie wygląda jak król – odparł inny głos.

Sage zamarła. Na pewno mówili o Ashu.

– Jego matka pochodziła ze wschodu, mają tam czarne włosy i ciemną skórę. Mówię, to był on, a Jego Miłość na pewno chciałby o tym wiedzieć, sir.

Sage cofnęła się, by jej nie zauważyli, w razie gdyby któryś spojrział w dół. Trzeci głos zapytał władczy tonem:

– Mówiłeś komuś?

Pierwszy odparł:

– Nie, sir. W pierwszej chwili nie mogłem skojarzyć, skąd znam tę twarz. Dopiero potem mi się przypomniało. Tobie mówię pierwszemu, sir.

– No to trzymaj gębę na kłódkę – padła szorstka odpowiedź. – Jego Miłość już wie, a jeśli pokrzyżujesz mu plany, bez potrzeby młóćąc jęzorem, wkrótce będziesz błagał o szybką egzekucję.

Sage, nie czekając na ciąg dalszy, uciekła, szczęśliwa, że włożyła miękkie skórzane buty, których nie było słyhać na kamiennych stopniach. A więc znali

prawdziwą tożsamość Asha i planowali go pojmać. Musi go ostrzec – natychmiast.

Zbiegła na sam dół, obawiając się wrócić na mur, żeby strażnicy jej nie dostrzegli. Okrążyła zewnętrzny dziedziniec, aż znalazła się u stóp tej niewielkiej wieży, przy której spotkała na górze Asha. Wzięła kamyk i rzuciła w mur. Chybiła. Próbowała tyle razy, aż wreszcie udało jej się trafić dokładnie tam, gdzie chciała. Nad murem pokazała się ciemna głowa Asha.

Starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, pokazała mu, żeby zszedł do niej porozmawiać. Pokręcił głową, a wtedy gniewnie tupnęła nogą. Dlaczego nie wierzył, że to coś ważnego? Wreszcie pokazał na budynek za jej plecami i znikł. Wylała resztki wody na ziemię, włożyła dzban i kubek do kosza i skierowała się w stronę podwójnych drzwi.

Kiedy pchnęła prawe skrzydło, uderzył ją zapach metalu i skóry nasączanej olejem. Znalazła się w głównej zbrojowni. Puste wnętrze oświetlała pojedyncza pochodnia umieszczona na ścianie. Zza rogu na drugim końcu pomieszczenia wyskoczył Ash. Nie miała pojęcia, jakim sposobem dostał się tam tak szybko. Podeszedł do niej, chwycił ją za ramię i delikatnie pchnął do jednego z ciemnych jak studnia magazynów.

– Wiesz, w przeciwieństwie do ciebie, siedziałem tam na górze nie bez powodu – wyszeptał z wściekłością.

Potem zamknął drzwi i pchnął ją tak mocno, że wpadła na otwartą skrzynię stojącą w kącie. Poczula ukłucie, sięgnęła za plecy, by sprawdzić, co to jest, i wepchnąć to coś do skrzyni. Przez szpary w drzwiach wpadało bardzo niewiele światła, więc chwyciła Asha za kubrak, żeby mieć pewność, że stoi twarzą do niego.

– Ash, oni wiedzą, kim jesteś. Zamierzają cię pojmać.

Teraz zaczął słuchać uważnie.

– Kto wie?

– Strażnicy na wieży. Podśledzałam ich rozmowę. Jeden z nich cię rozpoznał. Położył dłonie na jej ramionach.

– Powiedz, co dokładnie powiedzieli. Dokładnie.

Sage powtórzyła całą rozmowę słowo po słowie i dodała:

– Musisz uciekać, Ash.

Pokręcił głową w ciemności.

– Nie mówią o mnie.

– Syn króla, Ash. To ty.

– Mają na myśli Roberta.

– *Księcia Roberta?* – Zatkąło ją. – Jak...

– Podróżuje z nami pod przybranym nazwiskiem.

– Ale... skąd możesz mieć pewność, że to o nim mówili?

W końcu Ash również był cenny dla Korony. A także dla niej.

– Zaufaj mi. Ale masz rację, on musi jak najszybciej opuścić Tegann. Jeszcze dzisiaj. – Ścisnął jej ramię. – Wybacz, że się rozgniewałem. Można by pomyśleć, że nauczyłem się ufać twojej ocenie sytuacji, chociaż przyjdzie tutaj...

Nagle urwał. Skrzypnęły drzwi zbrojowni i do środka weszli dwaj strażnicy, roześmiani i pogrążeni w rozmowie. Minęli kryjówkę Asha i Sage, otworzyli szafę na końcu korytarza i zaczęli w niej buszować w poszukiwaniu sprzętu.

Ash przyłożył ucho do drzwi, po chwili wrócił do Sage i wyszeptał:

– Przyszli po kusze, wybierają się na patrol. Jak tylko znajdą bełty, to sobie pójdą.

Sage ścierpła z przerażenia. Spanikowana chwyciła go za kołnierz:

– Ash, bełty są tutaj.

– Co?

– W skrzyni za moimi plecami.

Usłyszała, jak oddech Asha utyka w gardle. Zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Musisz wybaczyć mi to, co teraz zrobię – wyszeptał, sięgając w dół, by unieść jej spódnice.

– Co...

W tym momencie przycisnął wargi do jej warg. Było to tak niespodziewane, tak nagle, że w pierwszej chwili nawet do niej nie dotarło, że się całują. Ash napierał na nią, zmuszając, by zrobiła krok w tył. Podniósł ją i posadził na skrzyni, podtrzymując ją jedną ręką, a drugą rozwiązując sznurówki przy staniku sukni. Odsunął się nieco, wymamrotał coś przeproszającym tonem, po czym biodrem rozdzielił jej kolana i stanął między nimi. Poluźniejszy stanik, pochylił się i przysunął wargi do jej ucha.

– Cokolwiek by się działo, nie pokazuj im twarzy.

Niby komu? Nic nie widziała, przez co jego bliskość zdawała się jeszcze bardziej przytłaczająca. Nagle Sage zrozumiała. Potrzebowali wymówki, żeby usprawiedliwić swoją obecność w tym miejscu. I sprawiać wrażenie, że chowają się tutaj już od dłuższej chwili. Scena wymagała zaangażowania również z jej strony. Ale Sage nie bardzo mogła zebrać myśli, czując, jak jego dłonie jeszcze bardziej poluźniają stanik. Przez chwilę walczyła z tasiemkami przy kubraku Asha, nie chciały jednak się rozwiązać, więc sięgnęła za jego plecy i wyciągnęła mu koszulę ze spodni. Ash zsunął rękaw z jej ramienia i przesunął wargami wzdłuż obojczyka, aż do szyi, pozostawiając na skórze dziwny ślad, jakby lodowatego płomienia. Jego dłonie wśliznęły się między stanik a cienką lnianą koszulkę – tam, gdzie spoczywały, kiedy pomagał jej zsiąść z konia, dokładnie tam, gdzie poprzedniego wieczoru schowała notatki...

Sage trzymała dłoń pod jego koszulą, pośrodku pleców, zaniepokojona kształtem mięśni wyraźnie rysujących się pod palcami. Prawą dłonią ściągnął jej kaptur z głowy. Gorąco jego oddechu paliło skórę. Wtulił twarz w kosmyki na karku, które wymknęły się z upięcia, powoli wdychając ich woń. Wydało jej się to dziwne. Obróciła twarz w stronę jego szyi. Pachniał cudownie – jakby mydłem z esencją sosnową... czystym lnem... skórą... i czymś nieokreślonym, co budziło w niej pragnienie, by wchłonąć w siebie całą tę woń.

Ash zamarł i odsunął się nieco, rzęsami muskając jej policzek. Jego wargi zatrzymały się tuż nad jej wargami.

– Sage – szepnął.

Zamknęła oczy i rozchyliła wargi. Tak.

W tym momencie otworzyły się drzwi, oślepiło ją światło. Krzyknęła, on zaś osłonił ją własnym ciałem jak tarczą. Strażnik z pochodnią w ręku stał przez chwilę w milczeniu, po czym wybuchnął donośnym śmiechem. Jego towarzysz spojrział mu przez ramię i również zarechotał. Sage obciągnęła spódnicę i zaczęła mocować się z tasiemkami przy staniku. Ash tymczasem zasłonił jej twarz przed wzrokiem mężczyzn, jednocześnie podciągając spodnie.

– Wynoście się stąd – powiedział ten z pochodnią. Zrobił krok w tył i szerzej otworzył drzwi. Ash ruszył pierwszy, by Sage mogła schować się za jego plecami. Chwyciła koszyk, odwracając twarz w drugą stronę. – Ciesz się, że nam się spieszy, chłopaku, bo stanęlibyśmy w kolejce.

Ash zacisnął pięści, ale ku jej uldze nie zamierzył się na strażnika, tylko chwycił nakrycie głowy, które upuściła. Przyciskając stanik, który zaczął rozsuwać się pod wpływem ruchów, wypadła na korytarz i oparła się plecami o drzwi. Poczła paniczny strach, widząc, jak żołnierz chwytą Asha za ramię i pochyła się ku niemu:

– Powtórz swojemu kapitanowi, że jak jeszcze raz któregoś z was przyłapię, to będzie miał z kapitanem Geddesem do czynienia. – Pchnął Asha w jej stronę i dodał: – A teraz zmykaj.

Pobiegli przed siebie, odprowadzani rechosem strażników. Ash popędzał Sage, trzymając dłoń na jej plecach. Potknęła się, ale jakoś zdołała utrzymać równowagę.

– Tutaj – szepnął Ash, popychając drzwi maleńkiej kapliczki u stóp wieży, przy której wcześniej siedział.

Sage osunęła się na ławkę. Ash zamknął drzwi i przycisnął oko do szpary w deskach. Przez chwilę obserwował, co się dzieje na dziedzińcu. Sage ledwo śmiała oddychać. W końcu Ash odsunął się i stwierdził:

– Chyba jesteśmy bezpieczni. Nie widać nikogo.

Sage drżącymi rękami podciągnęła pończochy, podniosła się i wygładziła suknię. Ash wsadził koszulę w spodnie. Stał bardzo blisko, a jej serce waliło tak mocno, że na pewno je słyszał.

– Musimy powiadomić kapitana Quinna – powiedziała, ścisząc głos.

– Pójdę do niego, jak tylko... – Ash mocował się z paskiem w słabym świetle wpadającym przez brudne szyby. Wreszcie odnalazł zapięcie, wyprostował się i

wygładził potargane włosy.

Nagle Sage zapragnęła poczuć je pod palcami. Płonąc rumieńcem, spuściła głowę i zaczęła wiązać stanik.

Ash podciągnął lewy rękaw jej sukni. Szybko uniosła głowę i spojrzała na skrytą w mroku twarz.

– Muszę iść – powiedział miękko. – Ale ty zostań jeszcze chwilę, popraw włosy, bo wyglądają okropnie. I jesteś cała czerwona.

– Może nie mam doświadczenia w rzeczach tego rodzaju.

Wyrwała ramię spod dotyku jego dłoni. Przez ostatnie dwa dni zastanawiała się, jak by to było, gdyby ktoś ją pocałował – gdyby on ją pocałował – ale czy to teraz nie było tylko na pokaz? Czy wykazała zbyt wiele entuzjazmu, podczas gdy on tylko grał rolę? Czuła szczypanie pod powiekami i obawiała się, że są to łzy.

Ash długo nic nie mówił. W końcu szepnął:

– Ja też nie.

Zrobił krok w jej stronę. Nie mogła się cofnąć, ławka napierała od tyłu na jej kolana. Jego kubrak otarł się o jej nieruchome dłonie. Zapatrzyła się na nie zakłopotana. Co powinny zrobić? Ash stał tak blisko, że czuła jego oddech. Chciała zobaczyć jego twarz, ale nie mogła się zmusić, by podnieść oczy powyżej linii obojczyków. Skupiła się więc na słabym pulsie widocznym w dolnej części szyi. Kiedy Ash przełknął ślinę, napięły się mięśnie.

Kolejne słowa zabrzmiały jak wyznanie, które niełatwo mu przyszło:

– Jeśli sprawiałem wrażenie doświadczonego, to tylko dlatego, że tyle razy sobie to wyobrażałem.

Sage nagle zapomniała, jak się oddycha.

Z determinacją towarzyszącą podejmowaniu trudnych decyzji Ash wyciągnął rękę, ujął Sage pod brodę i unióś jej głowę, jednocześnie lewym ramieniem oplatając ją w talii i przyciągając bliżej do siebie. Ich oczy spotkały się na chwilę. Sage ledwo zdążyła pojąć, co się dzieje, gdy jego twarz przysunęła się do jej twarzy.

Z początku drżała tak mocno, że nie była w stanie odpowiedzieć. Kiedy przycisnął wargi do jej warg, chciała się poddać, zareagować tak, by pokazać mu, czego pragnie, ale nie wiedziała jak. Jego pewność siebie osłabła pod wpływem jej chłodu. Odsunął się. Zaczęła panikować. To nie mogło się tak skończyć. Pochyliła się ku niemu, przesunęła dłońmi po jego piersi, żeby chwycić za kołnierz koszuli. *Nie przestawaj.*

Ich wargi znów się spotkały. Tym razem to on zamarł bez ruchu, ale tylko na

krótką chwilę. Przyciągnął ją bliżej do siebie, aż stanęła na samych czubkach palców. Przymknęła oczy, gdy jego palce powędrowały wzdłuż jej żuchwy, by zatopić się we włosach.

Z jej gardła wyrwał się pojedynczy dźwięk – raczej cichy okrzyk niż westchnienie, a jego wargi ułożyły się w półuśmiechu tuż przy jej wargach. Co jeszcze kilka sekund temu wydawało się krępujące i niezdarne, teraz przychodziło naturalnie. Sage nawet nie musiała specjalnie decydować, by rozchylić wargi pod łagodnym naciskiem jego ust. Drugie westchnienie było miększe i planowane, a on je powtórzył. Uśmiechnęli się oboje, a potem wrócili po więcej.

Trzecie westchnienie było spontaniczne tak jak pierwsze, a jego reakcja spełniała jej wszystkie nadzieje. Pocałunki Asha stały się głębsze, bardziej stanowcze. Mocne ramiona zacisnęły się wokół jej ciała, całkiem odrywając jej stopy od podłogi. Palce Sage, ściskające tkaninę koszuli, rozluźniły się, podobnie jak wszystkie mięśnie w jej ciele. Gdyby jej nie obejmował, spłynęłaby na ziemię i zmieniała się w kałużę u jego stóp.

Rzeczywistość przerosła wszelkie wyobrażenia.

Ash odsunął się, a ona zamrugła. Nadal stał zbyt blisko, nie widziała wyraźnie jego twarzy. Ich oddechy mieszały się w jeden.

– Muszę... muszę już iść.

Kiwnęła głową, muskając nosem jego nos. Postawił ją na podłodze, a jej ciało opadło bezwładnie. Sądząc po świetle, które nie zdążyło się zmienić, wszystko trwało może dwie minuty, chociaż mogłaby przysiąc, że minęła co najmniej godzina.

Pochylił się i przycisnął czoło do jej czoła. Stali tak przez chwilę stopieni ze sobą. Wsparła dłonie na jego piersi, dostosowując drżący oddech do jego oddechu.

– Musisz już iść – zdołała wykrztusić.

Kiwnął głową, otoczył dłonią jej podbródek i przeciągnął kciukiem wzdłuż dolnej wargi, a potem znów się pochylił.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał tuż przy jej ustach i zakończył najdelikatniejszym z pocałunków.

Powoli rozluźniał objęcia, przesuwając palcami po jej policzku i talii, jakby nie mógł pogodzić się z rozstaniem, ale w końcu cofnął się, poprawiając kubrak. I wyszedł.



Oficerowie dopiero co się przebudzili, ale w ciągu pięciu minut ubrali się i zgromadzili w pomieszczeniu, w którym odbywały się narady. Już wyznaczono patrol na ten ranek – żołnierze właśnie wyruszali w drogę, nie zapraszając do towarzystwa strażników D’Amirana, co ich gospodarz z pewnością uzna za obrazę. Do zwiadowców dołączył Robert. Mieli kierować się w stronę wyłomu w kręgu kimisarskich wojsk na północy. Zamierzali zabrać stamtąd jednego ze zwiadowców w miejsce księcia, który miał uciekać dalej na piechotę w towarzystwie drugiego zwiadowcy. Przy odrobinie szczęścia, zanim ktokolwiek się zorientuje, oni będą już daleko.

Nie mieli czasu do stracenia. Należało zebrać zapasy i osiodłać konie. Quinn pozwolił im odejść. Rob i Gramwell wybiegli z pomieszczenia, Casseck jednak został. Kiedy drzwi się zamknęły, usiadł naprzeciw Quinna i pochylił się nad stołem.

– Dlaczego Mysz nie wprowadził Szpaka do kręgu? Ona już i tak wie prawie wszystko.

Quinn skupił wzrok na mapie.

– To była słuszna decyzja. Kiedy się ją wprowadzi, nie będzie można tego cofnąć.

– Alex. – Casseck wbił w niego ostre spojrzenie. – Co ty ukrywasz?

Quinn przymknął oczy i pomasażował skronie palcami prawej dłoni.

– Pocałował ją.

– Rozumiem. – Ponieważ Quinn nic nie mówił, Casseck odchrząknął, by zamaskować coś, co brzmiało podejrzenie podobnie do śmiechu. – Cóż, czas najwyższy.

Quinn gwałtownie uniósł głowę.

– Sądzisz, że to zabawne?

– Ani trochę. Zazdrość to trudne uczucie.

– Uważasz, że jestem *zazdrosny*? – Quinn walnął pięścią w stół.

Casseck zręcznie złapał kałamarz, który podskoczył na blacie, i odstawił go na miejsce.

– Nie w tobie się zakochała – odparł cicho. – Trzeba ją chronić, zgadza się, ale to nie dlatego nie wprowadziłeś jej do kręgu.

Quinn powoli wypuścił powietrze. Postanowił nie reagować na zarzuty.

– Jest za wcześnie. Najpierw musimy pomóc Robowi w ucieczce, a jeśli nam się nie uda, ostatecznie, czego sobie życzymy, to jej udział w całym przedsięwzięciu. Jeśli jednak odniesiemy sukces, wszystko się zmieni. Mysz musi nauczyć ją czegoś, dopóki cieszy się jej zaufaniem. Ale już niedługo. Obiecuję.

– Jak najszybciej. Jutro.

Quinn przymknął oczy i kiwnął głową.

– Jutro.

D'Amiran wiedział, że zbytńia pewnoś siebie może być zgubna, lecz na razie wszystko szło bardzo dobrze. A nawet lepiej: miał Roberta.

Uśmiechnął się, gdy kolejny lord złożył podpis na liście sojuszników. Chętnie przyrzekli udzielić wsparcia jego sprawie, kiedy dostał w swoje ręce wszystkie obiecane panny. Nie zdradził jednak, że zawarł pakt z Kimisarą. To był drobny szczegół, a im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej, zwłaszcza że większość nienawidziła Kimisarów, znużona latami odpierania najazdów.

Lord Fashell podszedł i nisko się pokłonił.

– Wasza Miłość – powiedział. – Przynoszę aprowizację, trochę wieści i pokorną prośbę. – Kiedy D'Amiran kiwnął głową, lord podjął: – Wszystko, czego sobie zażyczyłeś, za chwilę znajdzie się w twoich magazynach. W moim majątku przyjmujemy podróżników udających się do Tegannu. Z dumą wspieramy twoją sprawę.

– Stwierdzam z radością, że mogę na ciebie liczyć – odparł łaskawie diuk. – Twa lojalność została odnotowana i doceniona.

Fashell w podzięcie złożył kolejny ukłon.

– Jeśli chodzi o wieści, Wasza Miłość, niektórzy podróżni przybędą z opóźnieniem. Wielu dotknęła choroba, kilku musiało chwilowo przerwać podróż.

– Choroba? – D'Amiran ściągnął brwi. – Da się przewidzieć, jak długo potrwa?

– Dzień-dwa, Wasza Miłość – zapewnił Fashell. – Może nawet byś nie zauważył w zamieszaniu związanym z przyjazdami gości, ale uznałem, że powinienem cię powiadomić.

D'Amiran uśmiechnął się nieco uspokojony.

– Ponownie muszę wyrazić uznanie dla uwagi, z jaką podchodzisz do mych potrzeb. Jeśli to koniec wiadomości, chętnie wysłucham prośby.

– Niewielkiej, Wasza Miłość. Dotyczy ona jednej z dam przybyłych dwa dni temu. – Fashell odchrząknął. – Mój syn Bartholomew jest urzeczony lady Broadmoor, a z tego, co wiem, na razie nikomu jej nie przyrzeczono.

Diuk z namysłem ściągnął brwi.

– Broadmoor... – Tak, pamiętał. Dość przeciętne stworzenie, chude i

piegowate, o rozbieganych oczach, które unikały jego wzroku, ale dokładnie rejestrowały wszystko dokoła. – Ależ naturalnie. Nie bardzo mi jednak wiadomo, co wnosi w posagu. Zapewne niezbyt wiele, bo nigdy wcześniej o niej nie słyszałem.

– Majątek nie jest dla nas bardzo istotny, Wasza Miłość, a to dzięki twojej hojności. Nie będziemy protestować, jeśli uznasz za właściwe oddać ją komuś innemu, ale jeśli jeszcze nikomu jej nie przyrzekłeś, moja prośba chyba nie powinna wydać się nazbyt śmiałą.

– Ależ skądże, mój lordzie. – D’Amiran splótł dłonie. – Rozważę twą prośbę, biorąc pod uwagę oddanie mojej sprawie. – Wolał zostawić sobie margines bezpieczeństwa.

Na razie nie mógł jej nikomu obiecać. Skoro Bartholomew Fashell zwrócił na nią uwagę, trzeba sprawdzić, co mu się w niej tak spodobało.

Fashell uklonił się raz jeszcze.

– Na to liczyłem, Wasza Miłość.

W drzwiach minął się z nim kapitan Geddes.

– Wasza Miłość – powiedział bez tchu, składając ukłon – patrol eskorty jeszcze nie wrócił i nie mogliśmy znaleźć – tu powiódł wzrokiem po reszcie zebranych i podrapał się po uszkodzonym uchu – ich – dokończył, próbując znaczącym spojrzeniem przekazać, kogo ma na myśli. – Chociaż na razie nie nazwałbym tego spóźnieniem.

– Ilu pojechało? – zapytał D’Amiran.

– Czterech, sir. Żaden nie wyglądał na oficera. Odjechali, nikogo nie powiadamiając.

– Czy wszyscy oficerowie są na miejscu?

– Widzieliśmy dzisiaj tylko trzech – odparł kapitan. – To nieco dezorientujące, Wasza Miłość, ale jestem pewien, że jest ich czterech: Quinn, Casseck, Gramwell i Bathgate. Tego ostatniego nie widziałem od wczoraj.

Diuk zmrużył oczy.

– A więc sugeruję, żebyś go znalazł.

Tego dnia Sage za nic na świecie nie mogła się skupić. Za rozpaloną skórę winiła ciepłe promienie wiosennego słońca, w myślach zaś przerabiała wciąż na nowo wydarzenia tego poranka. Słowa Asha odzywały się echem w jej głowie. Nikt nigdy nie nazwał jej piękną, ale nie miała wątpliwości, że Ash mówił szczerze.

Raz nawet wyobraziła sobie zajście w zbrojowni bez spoczywającego na nim cienia – wiedzy, że to tylko gra, i strachu, że zaraz ktoś ich zobaczy. Oraz, jak pomyślała cierpko, bez skrzyńki z bełtami wbijającymi się w tylną część jej ciała. Wyobrażała sobie inne wersje tej historii, co tylko pogłębiło rumieniec na jej policzkach, aż przypomniała sobie o grożącym ich grupie niebezpieczeństwie. Dręczyły ją też wyrzuty sumienia – przez nią Ash zapewne nie mógł skupić się należycie na swoich obowiązkach.

Przy kolacji wybrała miejsce, z którego mogła obserwować oficerów siedzących przy stole w rogu sali. Robert na pewno był jednym z nich. Ash nie chciał, by rozmawiała z oficerami, zwłaszcza podczas pobytu w Tegannie, zapewne właśnie z obawy, że mogłaby odkryć prawdę. Casseck był taki bezpośredni i szczerzy, zdawał się niezdolny do kłamstwa, ale Gramwell...

Co kilka minut jego spojrzenie wędrowało w stronę Clare. Zalecając się do niej, zaniedbywał przepisy protokołu, ale nikt nie próbował go powstrzymać. Początkowo Sage sądziła, że jest kompletnie zauroczony i po prostu nie może się opanować, ale bardziej logiczne wydawało się, że nikt nie interweniuje z powodu jego wysokiej pozycji. Tak, to było bardzo prawdopodobne. Gramwell był księciem w przebraniu.

Chyba oboje czytali w jej myślach, bo nagle Clare przeprosiła i wyszła głównymi drzwiami, kierując się w stronę ogrodów, a jej wielbiciel dyskretnie wymknął się za nią niecałą minutę później. Tego wieczoru miał zniknąć, zapewne chciał się pożegnać. Sage uśmiechnęła się. Jeśli którakolwiek z tych panien zasługiwała na zainteresowanie mężczyzny z królewskim rodowodem, to właśnie jej przyjaciółka.

Wracając do pokoju, wpadła na Charliego. Podał jej naręczce czystych złożonych ubrań.

– Pani, dostałem polecenie, by ci to oddać – powiedział.

Były to jej spodnie i koszula. Ucieszyła się. Przez chwilę rozważała, czy zapytać go o Roberta, uznała jednak, że byłoby to nadużycie wobec chłopca. Poza tym obiecała Ashowi, że nie będzie zadawała pytań, na które on później i tak odpowie.

– Dziękuję – powiedziała tylko. – Dobranoc, mały żołnierzu.

Charlie pokiwał głową i pobiegł dalej. Sage nie włożyła od razu ubrania do skrzyni, najpierw je przejrzała w nadziei, że znajdzie wiadomość od Asha. I rzeczywiście, twarda gula w jednej ze skarpetek okazała się ogryzkiem świecy owiniętym kawałkiem papieru.

*Jeśli naprawdę mi ufasz, zapal tę świecę. Kiedy się wypali, spotkajmy się w dolnym korytarzu w zachodnim skrzydle koszar – A.*

Sage drżącą ręką zapaliła świecę i umieściła ją w świeczniku. Oceniała, że świeca wypali się za niecałe dwie godziny, przebrała się w czyste spodnie i położyła na łóżku. Postanowiła przed wyjściem wrzucić liścik do ognia, na razie jednak trzymała go i odczytywała raz po raz. Jeśli naprawdę mi ufasz...

Tak, ufała. I zamierzała tego dowieść.

Pokonała zakręt i zobaczyła go – stał oparty o ścianę naprzeciw pochodni, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, milczący jak cień. Zatrzymał na niej spojrzenie i nie oderwał go, aż podeszła bliżej.

– Miałem niemal nadzieję, że nie przyjdiesz – powiedział.

Nie chciał jej w to wplątywać i narażać na niebezpieczeństwo, ale Quinn jej potrzebował. Miała więc w nim sojusznika. Ale nie robiła tego dla Quinna. Omiotła spojrzeniem zarys twarzy Asha, którą tak dobrze poznała w ciągu tych kilku tygodni – od czarnych brwi, prostych niemal jak kreski, przez oczy, tak ciemne i głębokie, że mogłaby w nich zatonać, aż po zarost, którego dotyk też już знаła.

– Przyszłam, ponieważ ci ufam – szepnęła.

Zacisnął wargi, wziął jej prawą dłoń między swoje dłonie i głęboko wciągnął powietrze.

– Jutro wszystko się zmieni. Jeśli teraz odejdziesz, moje zdanie na twój temat pozostanie takie samo i niczego więcej od ciebie nie zażądam, i zrobię wszystko, by ochronić cię przed tym, co nastąpi. – Obrócił jej dłoń i przesunął kciukiem po wewnętrznej stronie, aż przebiegł ją dreszcz wzdłuż ramienia. – Ale jeśli zostaniesz, to znaczy, że oddajesz się tej sprawie. Zostaniesz graczem, na którym będziemy polegać, któremu będziemy powierzać tajemnice. Nie ma drogi pośredniej ani powrotu. Musisz zdecydować tego wieczoru.

– Jesteś głupcem, jeśli sądzisz, że mogłabym odejść – odparła z przekonaniem.

Skrzywił się.

– Sage, będą ginąć ludzie. Z naszych rąk i z ich. Jeśli się nie zaangażujesz, będziesz bezpieczniejsza. Taka jest prawda.

Zacisnęła palce wokół jego palców.

– Wiem. Nie boję się. – Ale cała się trzęsła.

– Czy obiecujesz wykonywać rozkazy bez wahania, bez zadawania pytań? – Wpatrywał się w nią wymownie.

Dla niego?

– Tak – szepnęła. – Obiecuję.

Odprężył się nieco i kiwnął głową.

– A więc jest coś, co muszę najpierw zrobić.

Uniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował, a potem, mocno ściskając jej palce, poprowadził ciemnym korytarzem do drzwi na samym końcu. Nie pukając, pchnął je i puścił Sage przodem do pozbawionego okien pomieszczenia używanego jako magazyn. Świece umieszczone na kamiennej ścianie oświetlały płataninę drewnianych krzesel, stołów i pryczy oraz stos słomianych materacy w kącie. Kilka sienników leżało też na środku, ułożone w dwóch warstwach i przykryte wielkim pledem. Czuła się całkowicie zaskoczona – to było tak niespodziewane, tak niepodobne do tego, co o nim sądziła – że jej umysł zarejestrował jedynie wielkie „nie”.

Usłyszała, jak Ash zaciąga rygiel w drzwiach i zdejmuje skórzaną kurtkę. Potem poczuła jego dłonie na swoich ramionach. Obrócił ją w swoją stronę, jedną dłonią pogładził jej policzek, a drugą sięgnął do paska.

– Moja słodka, niewinna Sage – wyszeptał.

Wciąż miała całkowity mętlik w głowie.

Pasek rozpiął się z brzękiem. Chociaż wciąż patrzyła mu prosto w oczy, zdążyła dostrzec sztylet w jego dłoni.

– Dzisiaj nauczę cię, jak zabić człowieka.

Sage sięgnęła po sztylet, Ash zaś obrócił rękojeść, żeby mogła chwycić jej koniec kciukiem.

– Trzymaj w ten sposób.

Wiele razy miała nóż w ręku, ojciec uczył ją, jak się nim posługiwać, ale to było coś innego. Sposób, w jaki teraz trzymała broń, mógł służyć tylko zadawaniu ciosów. Przełknęła ślinę.

– Jestem gotowa.

– Na pewno?

Wiedziała, że Ash najbardziej na świecie boi się tego, że jest potworem rozmiłowanym w zabijaniu. A teraz miał wystawić ją na niebezpieczeństwo. Kiwnęła głową z przekonaniem, pokazując mu ufność, której potrzebował. Jego twarz przybrała wyraz determinacji.

Zanim zaczęli, pokazał jej miejsca, w które najlepiej trafiać człowieka ubranego w zbroję, przyciskał jej dłonie do punktów, gdzie arterie leżą tuż pod skórą, i zademonstrował, pod jakim kątem układać ostrze. Potem stanął za jej plecami, by nauczyć ją pozycji obronnej, położył ramiona na jej ramionach, zmuszając, by przykucnęła. Kiedy się odsunął, żeby znów stanąć naprzeciw niej, zadrżała od nagłego chłodu.

Kazał jej atakować sztyletem schowanym w pochwie, zadawać ciosy pod różnymi kątami, zachęcając, by się nie wahała, gdy zdradzała niepewność. Jego krytyczne słowa sprawiały jej przykrość, ale emanował tak wielką powagą, że zdusiła chęć udzielenia ostrej repliki.

Kiedy po raz trzeci się zawahała, wyrwał jej sztylet z ręki i przycisnął ją do maty, przykładając ostrze do gardła. Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Zawsze myślała o nim jako o żołnierzu, wiedziała, że zabijał, ale po raz pierwszy dotarło do niej, jaki jest mocny i śmiertelnie niebezpieczny.

– Przestraszyłem cię? – zapytał, odsuwając się. Kiwnęła głową. – To dobrze. – Kiedy usiadła, rzucił jej sztylet na kolana. – Wstawaj i spróbuj jeszcze raz.

Poczuła zacieklą determinację i zaczęła nacierać na niego tak, jak tego oczekiwał, od czasu do czasu dostając w nagrodę pochwałę wygłoszoną bez cienia uśmiechu. Po niemal trzech godzinach wytrącił jej sztylet z dłoni, mówiąc:



– Nie masz czym się bronić. Co teraz?

Bez namysłu skoczyła na niego, wbijając mu łokieć w brzuch. Zaskoczyła go. Skulił się pod siłą ciosu i padł na matę. Jego głowa uderzyła w siennik z głuchym trzaskiem. Jęknął i przycisnął do niej dłoń. Sage, przerażona, padła na kolana, pochyliła się nad nim, ale nagle zrozumiała swój błąd – chwycił ją za gardło, przyciągnął blisko do siebie i wyszeptał:

– Już nie żyjesz.

Uderzyła go pięścią w ramię.

– To nie fair!

– Myślisz, że to jest zabawa? – spytał. – Czy to fair walczyć z mężczyzną dwa razy od siebie większym?

– Nie – odparła z rezygnacją.

Puścił ją.

– Dobrze. Jeszcze raz.

Atakował ją od tyłu, od przodu, z boku. Wykręcał jej ramiona i wyginał palce, by połuźniła uścisk, zmuszał, by popychała i ciągnęła ze wszystkich sił. Powoli uczyła się, jak znaleźć punkt oparcia i trafiać we wrażliwe punkty, kiedy ją podnosił, a jej stopy nie miały kontaktu z podłożem. Pokazał jej, które z jej kości są najmocniejsze, które miejsca najsłabsze, w jaki sposób narazić się nawet na uszkodzenie ciała w celu zdobycia przewagi, jak upadać. Brutalnie lądowała na materacu tyle razy, że już nawet nie potrafiła zliczyć.

Paliły się jeszcze tylko dwie świece. Sage przypuszczała, że zbliża się świt. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zmęczona, nie śmiała jednak się skarżyć. Nic nie mogła jednak poradzić, że reaguje coraz wolniej, a jej siły słabną. W końcu położyła się na macie, dysząc ciężko.

Ash stanął nad nią i szturchnął ją lewą stopą.

– Jeszcze raz.

– Jestem zmęczona – wyrzęziła.

– Nic mnie to nie obchodzi. Jeszcze raz.

– Nie mogę – zaskomlała, wspierając się na drżących dłoniach i kolanach.

– Możesz. – Szturchnął ją jeszcze raz, mocniej. – Wstawaj.

Zapłonęła gniewem i wykorzystała jego płomień, waląc łokciem w tylną część prawego kolana Asha. Padł z jękiem na plecy, a wtedy chwyciła go za włosy i przycisnęła do podłogi. Zaczął się wyrwać, próbował ją pochwycić, ale przedramieniem zablokowała mu gardło, pochyliła się i wysyczała:

– Już nie żyjesz.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze.

Padła na podłogę obok niego.

– Już starczy, błagam – wymamrotała w jego spocony bark.

Objął ją silnymi ramionami i przyciągnął bliżej, przyciskając policzek do czubka jej głowy.

– Starczy – powiedział uspokajającym tonem. – Skończyliśmy.

Kurczowo ściskając jego koszulę, schowała w niej twarz. Z ulgi o mało się nie popłakała.

– Dlaczego tak okrutnie mnie potraktowałaś?

Ash ujął ją pod brodę, zwrócił jej twarz w swoją stronę i spojrzał na nią z gwałtownością, która odebrała jej oddech.

– Ponieważ jeśli zginiesz, to będzie moja wina, a nie mógłbym żyć z takim ciężarem. – Pochylił się, aż jego wargi musnęły jej wargi, i wyszeptał: – Ani bez ciebie.

Nie wiedziała, kto zaczął tym razem, ale nie miało to znaczenia. Czowała ciepło bijące z dotykanych miejsc, pełne niewyobrażalnej energii. Dłonie i ramiona, które dręczyły ją przez całą noc swoją siłą i sprawnością, teraz poruszały się powoli i dotykały jej delikatnie i czule. Ash zaczął badać wygięcia jej pleców i bioder, a ona zachęcała go westchnieniami, żeby odważył się na więcej, aż poczuła dłonie błędzące po jej udach.

Ash przetoczył się z pleców na bok, by ich twarze znalazły się naprzeciw siebie, a ona objęła go w pasie, by poczuć go bliżej. Palce muskały miejsce, gdzie koszula wysunęła się ze spodni, a on cicho pojękiwał z twarzą w jej włosach. Uśmiechnęła się i wsunęła dłoń pod materiał. Przebiegła palcami wzdłuż twardych mięśni pleców, ciesząc się jego reakcją. Potem jego wargi znów złączyły się z jej wargami z łapczywością, którą również czuła, a ręce podciągnęły jej bluzkę, by odwzajemnić pieśczętę.

Stwardniałe dłonie przesuwają się delikatnie wzdłuż kręgosłupa. Kiedy rozcapierzył palce, miała wrażenie, że objęły całą powierzchnię jej pleców. Palce Sage odnalazły szeroką bliznę pod łopatką – ślad niebezpiecznej przeszłości i przyszłości, znak jego siły. Ale teraz, tutaj, był słaby i wrażliwy, reagował na najłżejszy dotyk. Drżał pod wpływem najcichszych dźwięków, które dobywały się z jej gardła. Kręciło jej się w głowie od poczucia mocy, chociaż to on był silniejszy. Ale Ash nigdy by jej nie skrzywdził. Gdyby powiedziała „nie”, natychmiast by przestał.

Ale nie chciała tego mówić.

Pokrywał delikatnymi pocałunkami jej szyję. Ukryła twarz w jego włosach, a

gdy musnęła oddechem jego ucho, drzenie przeszło przez całe jego ciało.

– Ash – szepnęła.

Dłonie na jej plecach zwinęły się w pięści, ciało zeszywniało. Przycisnął twarz do jej ramienia, jęcząc:

– Na Ducha, NIE!

Widocznie musiała zrobić coś nie tak.

– Nie musisz przerywać...

– Owszem, muszę. – Odsunął się od niej i zabrał dłonie. Z jego oczu wyzierała desperacja. – Są rzeczy, o których nie wiesz, Sage.

– To powiedz mi o nich.

– Już niedługo, słodka Sage. Obiecuję. – Oplótł ją ramionami i czule pocałował. W tym momencie zgasła ostatnia świeca. – Ale jeszcze nie dzisiaj.

Obudził ją hałas w korytarzu. Ash nadal gładził jej plecy, tak jak w chwili, gdy zasnęła. Przykrył ich pachnącym stęchlizną pledem, ale grzała się głównie w ciepło jego ciała.

– Musimy wstawać – wyszeptał.

Przytuliła się do niego.

– Nie chcę – wymamrotała z twarzą w jego koszuli.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Ja też nie, ale musimy.

Sage jęknęła i odrzuciła koc. Dostrzegła światło w szparze pod drzwiami. Pojawił się w nim cień dwóch stóp, a zaraz potem rozległo się pukanie. Ash wstał i podszedł do drzwi w skarpetkach. Niechcący stąpnał na zapomniany sztylet i zaklął. Sage uśmiechnęła się.

Drzwi się uchyliły. Sage zasłoniła oczy ramieniem, chroniąc je przed ostrym światłem.

– Widzę, że lekcja się udała – powiedział sucho jakiś głos.

Porucznik Casseck. Sage nie dbała o to, co sobie pomyśli, ale światło było stanowczo zbyt ostre.

– Zamknij cholerny pysek – odparł Ash. – Co się dzieje?

– D’Amiran odkrył, że Robert wyjechał. Chce natychmiast zobaczyć się z Quinnem, ale jest nieco ospały z powodu wypitego wczoraj wina. – Sage zastanawiała się, czy Casseck ma na myśli diuka, czy kapitana.

Ash spojrzał na nią przez ramię.

– Możesz dyskretnie odprowadzić ją do pokoju?

– Tak.

– Potrzebujemy pięciu minut.

– Trzech.

Ash zamknął drzwi porucznikowi na twarzy, ale gdy ten zapukał, zaraz znów je otworzył.

– Dziękuję – powiedział niechętnie, przyjmując podaną mu świecę. Zaryglował drzwi i odwrócił się do Sage. – Najpierw zajmiemy się tobą. Twoje włosy wyglądają jak jeden wielki kołtun.

Sage usiadła sztywno i zaczęła siłować się z opaską na piersi, która poluźniła

się z tyłu. Nie była pewna, czy zdoła ją poprawić bez zdejmowania bluzki. Ash postawił świecę na stole i przykucnął obok niej.

– Pomogę ci. – Wzdrygnęła się, kiedy uniósł jej bluzkę z tyłu. Pociągnął za tasiemki, ale opaska rozluźniła się jeszcze mocniej. – Och – powiedział z zakłopotaniem. – Tasiemki rozdarły się, przechodząc przez dziurki. Mam nadzieję, że masz taką zapasową.

Przeglądał jej skrzynię, więc powinien wiedzieć. Przemilczała to jednak i odparła tylko:

– Mam.

Zaczęła wiązać buty, Ash zaś próbował przygłodzić jej włosy, ale w rezultacie tylko jeszcze mocniej je potargał. Sage odepchnęła jego dłonie i zręcznie uporządkowała bałagan na głowie. Ash westchnął, chwycił ją pod pachy i wstał, jednocześnie ją podnosząc. Stał naprzeciw niej i poluźnił pasek u jej spodni, by wepchnąć bluzkę do środka. Nie dała się rozproszyć jego dłoniom, zdołała spleść włosy w jeden prosty warkocz i schowała go pod kapturem. Ash rzucił jej kurtkę i ruchem ręki dał znać, żeby zeszła z maty. Zsunął sienniki pod ścianę, a Sage zaczęła składać pled, ale po chwili poddała się i go zwinęła. Ash wziął go od niej i rzucił na stos w kącie.

Z pewnością minęły trzy minuty, ale na razie nikt nie dobijał się do drzwi. Ash pochwycił jej spojrzenie skierowane w tamtą stronę i powiedział:

– Wróci, kiedy uzna, że jest bezpiecznie, i może zaprowadzić cię do pokoju.

– Dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

– Ponieważ wydaje mi się, że jeśli zobaczą mnie idącego u twego boku, od razu stanie się jasne, co wydarzyło się tej nocy.

Uniosła brew.

– Sądziłam, że nic się nie wydarzyło. – Nie odpowiedział. Wetknął koszulę w spodnie.

Sage poczuła ucisk w sercu. Dlaczego nie patrzył jej prosto w oczy?

Kapitan. Chciał ją wykorzystać, ale Ash nie. Widziała jego wahanie, kiedy kazał jej obiecać, że będzie słuchała rozkazów, kiedy uczył ją walczyć. Jakie jeszcze polecenia Quinna musiał wykonywać wbrew swojej woli?

Po ostatniej nocy odpowiedź była oczywista: nie mógł z nią być, choćby nie wiadomo jak tego pragnął. Poczwała gniew. Czyżby kapitan uznał, że nie jest dla Asha wystarczająco dobra? To nie powinno go w ogóle interesować.

– Jesteś gotowa? – spytał.

Splotła ramiona na piersi.

– Nie, nie jestem. Chcę porozmawiać.

Zastygł z jedną ręką w spodniach.

– O czym?

– O tym, czego jeszcze nie wiem. O czym nie powiedziałaś mi dzisiejszej nocy. No, właściwie już rano.

Ash przełknął ślinę. Uratowało go pukanie do drzwi. Rzucił się do nich niemal biegiem.

– Trzydzieści sekund – szepnął Casseck przez szparę. Ash przywołał ją ruchem ręki.

Podeszła do niego.

– Porozmawiaj ze mną, Ash.

Przyciągnął ją do siebie.

– Tego wieczoru, obiecuję. Powiem wszystko.

Jego wargi znów dotknęły jej warg. Stopiła się z nim w jedno. W głowie kołatała się myśl: co jest w tym złego, dlaczego ktoś miałby próbować powstrzymać to, co wydaje się tak wspaniałe? Nawet Darnessa była temu przychylna.

Przerwało im krótkie pukanie do drzwi.

– Zobaczmy się wieczorem – mruknął, po czym otworzył drzwi i przekazał ją Casseckowi.

Porucznik zaprowadził ją na koniec korytarza i podał jej niewielkie naręczne drewna na opał.

– To do komnaty lady Sagerry – powiedział, jakby nigdy nic.

Szli dalej obok siebie, przecięli pusty dziedziniec. Większość służących zapewne jadła śniadanie, a możni panowie i panie jeszcze spali.

Sage wiedziała, że powinna dbać o reputację, ale bardziej martwiło ją zdanie Cassecka na temat Asha. Jeśli doniesie kapitanowi, co zobaczył...

– My nie...

– Wiem. Znam go na tyle, by się zorientować. – Wbił w nią spojrzenie. – Martwię się o ciebie i twój honor. Według tych harpii, z którymi podróżujesz, już kładziesz się z połową żołnierzy. – Sage wywróciła oczami, ale Casseck miał poważną minę. – Jeśli ta opinia się rozniesie, może spotkać cię nieprzyjemna sytuacja, gdy jakiś mężczyzna uzna, że może robić z tobą, co mu się tylko podoba. Musielibyśmy go zabić, miejmy nadzieję, że zanim posunąłby się do czegoś więcej.

Sage przypomniała sobie strażnika z wartowni.

– Może dałoby się to jakoś wykorzystać.

Casseck zatrzymał się i przygwoździł ją spojrzeniem.

– Nie. Mowy nie ma. Nie możemy posuwać się za daleko. Nigdy nie poprosilibyśmy cię o coś takiego.

Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie.

– Kapitan Quinn nie ma oporów przed wykorzystywaniem ludzi, w tym Charliego, do własnych korzyści.

Casseck potrząsnął głową.

– Jeśli naprawdę w to wierzysz, pani, to znaczy, że zupełnie go nie rozumiesz.

Odwróciła się i ruszyła dalej, aż Casseck musiał za nią biec. Miała dosyć, że wszyscy bronią Quinna. Dosyć tego, że nic nie wie, dosyć przyglądania się, jak Ash pokornie i wbrew własnej woli wykonuje jego rozkazy.

A przede wszystkim miała dosyć bycia pionkiem na szachownicy Quinna.

Quinn przeszedł przez dziedziniec, spiesząc na spotkanie z diukiem D'Amiraniem. Energicznym krokiem wspiął się po stopniach prowadzących na zewnętrzny mur obronny.

– Wasza Miłość – zawołał na powitanie – wybac, że dopiero teraz się zjawiam, nastąpiło nieporozumienie co do miejsca, w którym można cię znaleźć.

– Ukłonił się nisko, potem wyprostował się i spojrzał pytająco na diuka, próbując nie zdradzać, jak okropnie jest zmęczony.

– Żądam wyjaśnienia, kapitanie – odparł diuk. – Wczoraj czterech twoich ludzi wyjechało na patrol bez mojego pozwolenia i bez asysty moich straży.

Quinn zamrugał.

– Nie miałem pojęcia, że są nam potrzebne pozwolenie czy asysta, jako że podlegamy bezpośrednio władzy króla. W przyszłości dopilnuję, by was uprzedzono. Nie mieliśmy na myśli nic złego.

– Nic złego? – warknął D'Amiran. – A co powiesz na raport mówiący o tym, że zbrojni żołnierze włóczą się po moich ziemiach, straszą mieszkańców? Jeśli z powodu zamieszania moje nieliczne pola nie zostaną obsiane na czas, kto mi wynagrodzi straty? Może ty? Żołnierze zawsze coś muszą zniszczyć, tak już jest, ale ludzie tacy jak ja muszą dbać o swych poddanych.

Incydent zapewne wymyślono bądź niesłusznie przypisano jego zwiadowcom, Quinn postanowił jednak okazać skruchę.

– Jeśli moi ludzie rzeczywiście są winni takiej szkody, zapewniam, że Korona pokryje straty z nadwyżką.

– Śmiało sobie poczynasz z królewską kieszką, kapitanie – powiedział diuk z szyderczym uśmieszkiem. – Pozwalasz sobie na taką swobodę z racji pozycji matki czy ojca? Twój stopień wyraźnie świadczy o tym, że bycie synem generała gwarantuje udaną karierę.

Quinn zignorował obraźliwą uwagę.

– Nie mnie to oceniać, Wasza Miłość. Ja po prostu staram się wykonywać rozkazy jak należy.

Twarz D'Amirana spochmurniała.

– W takim razie, kapitanie, ponieważ przebywacie pod moim dachem, wydam wam nowe rozkazy. Ty i twoi ludzie macie zakaz opuszczania fortecy aż do



odwołania. Nie wolno wam patrolować moim ziem, poza tym trzy razy dziennie macie stawiać się na apel, który poprowadzi mój kapitan, by więcej nie zdarzyło się, że ktoś nagle zniknie.

– A ktoś znikł, Wasza Miłość?

D'Amiran odpowiedział zimnym spojrzeniem.

– Zdaje się, że zgubiłeś jednego z oficerów.

– Obawiam się, że Waszą Miłość wprowadzono w błąd. – Ton Quinna był neutralny i pełen szacunku. – Dzisiaj nie odbyliśmy wprawdzie apelu, ale widziałem obu dosłownie przed chwilą.

– Tak, ale wczoraj było ich trzech. Czterech razem z tobą. Kiedy zwiadowcy wrócili, jednego zastąpił ktoś inny. Niższy i brudny.

Quinn rzucił mu zdumione spojrzenie.

– Powiedziano mi, że sierżant Porter spadł z konia i zwichnął bark. Mogę jedynie zasugerować, że jeśli to jego ma na myśli Wasza Miłość, to prawdopodobnie nie siedział w siodle tak prosto jak przy wyjeździe i stąd takie wrażenie. Mogę go przyprowadzić, gdyby Wasza Miłość chciał z nim porozmawiać.

– Nie – wypluł z siebie diuk. – Jestem pewien, że wszystko odpowiednio zaaranżowaliście.

– Wasza Miłość – odparł Quinn ostrożnie – naprawdę nie rozumiem, po co miałbym czynić podobną rzecz. I jakim sposobem. Jeśli cię obraziliśmy, zachowaliśmy się nieodpowiednio czy sprawiliśmy wrażenie niegodnych zaufania, to szczerze przepraszam i proszę o możliwość zadośćuczynienia. Może powinniśmy już odjechać. Zdążymy w ciągu dnia zebrać orszak i dotrzeć do posiadłości lorda Fashella. Tam zaczekamy, aż przełęcz będzie przejezdna.

– Nie opowiadaj farmazonów, kapitanie. – Cień paniki, który przemknął po twarzy D'Amirana podpowiedział Quinnowi, że diuk jeszcze nie jest gotowy przystąpić do akcji. – Nie dość, że warunki tam panujące są znacznie mniej dogodne, to jeszcze panuje tam zaraza. Pragnę tylko, by szanowano moją władzę nad tymi ziemiami, przyznaną mi zgodnie z prawem przez Koronę.

Quinn spuścił głowę.

– Jak Wasza Miłość sobie życzy. A czy musimy liczyć się z jeszcze jakimiś ograniczeniami? Czy wolno nam swobodnie poruszać się w obrębie murów i chronić damy, które powierzono naszej pieczy? Zależy nam wyłącznie na ich honorze i bezpieczeństwie, a beczynni żołnierze to przekleństwo każdego dowódcy.

Diuk z irytacją machnął ręką.

– Tak, oczywiście. Ale jeśli któryś z twoich ludzi nagle zniknie, pociągnę ciebie osobiście do odpowiedzialności.

– Tak właśnie należy postąpić, Wasza Miłość – odparł Quinn. – Czas wezwać moich ludzi na apel, o ile wasz kapitan jest gotów. – Zrobił krok w tył i uprzejmym gestem dał znak strażnikowi stojącemu za plecami D’Amirana, by prowadził.

Casseck usiadł na krześle naprzeciw biurka Quinna.

– O co chodziło? – zapytał.

Quinn potarł twarz i powtórzył rozmowę z diukiem.

– Chyba martwi się, że wiele stracił wraz ze zniknięciem Roberta – stwierdził Casseck. – Może obiecał go Kimisarom.

Quinn ziewnął.

– Może i masz rację. Robert byłby cennym zakładnikiem. Ash wspominał, że w Kimisarze panuje głód.

– À propos Asha. Jak miewają się on i pozostali?

– Porter mówił, że mają już dosyć mięsa wiewiórek i przydałaby im się kąpiel, ale ogólnie rzecz biorąc, w porządku. Żadnych rannych. Ash zachorował tylko ten jeden raz, ale dzięki temu zdobyliśmy naszą broń w butelce. Jak Charlie?

– Dobrze. Rano pracował w stajni, oporządzał Surry i Shadow. Trzy dni, tak?

– Co najmniej. – Quinn potarł kark i znowu ziewnął. – Co trzeba dzisiaj zrobić, Cass?

– Wszystko jest w trakcie przygotowań. Wieczorem dostaliśmy kolejne dwie beczułki alkoholu. Drużyna Gramwella dogląda kanałów. Nasi zwiadowcy na zmianę obserwują wszystkie miejsca, które wskazałeś, mamy bieżącą listę, kto przebywa w okolicy. Dzisiaj wyruszy kilka oddziałów, kilka kolejnych jest już w drodze. Ale ludzie są zmęczeni.

– Cóż, teraz, kiedy nie podróżujemy, będzie mniej pracy. Dopilnuj, żeby odpoczęli, potrzebują tego.

– Tobie też przyda się trochę snu, Alex. Idź się zdrzemnąć. – Casseck wskazał ruchem głowy boczne drzwi.

Quinn podrapał się po głowie.

– Może i tak. – Wstał i ruszył do pokoju, który dzielili.

– Szpak będzie na dzisiejszym zebraniu. – Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Tak.

- Jeszcze nie wie, prawda?
- Nie. – Quinn pchnął drzwi, nie patrząc na Cassa.
- *Mysz*. – Casseck zaczekał, aż ten się zatrzyma. – Sugeruję, żebyś włożył zbroję, zanim jej powiesz.

Sage przespała obiad i kolację, obudził ją dopiero dźwięk tacy z jedzeniem stawianej na stoliku przy wezgłowie. Clare przysiadła na brzegu łóżka i odgarnęła włosy z jej oczu.

– Jak się czujesz?

Sage usiadła z głośnym stęknieniem. Czuła się, jakby wóz po niej przejechał.

– Bywało lepiej.

– Gdzie byłaś w nocy? – spytała Clare. – Słyszałam, jak wychodzisz, ale nie wróciłaś. Po kilku godzinach poszłam po Darnesę.

Darnessa czekała na nią tego ranka, kiedy Sage wróciła do pokoju, potargana i śmierdząca potem. Darnessa ledwo powstrzymała się od nazwania jej ladacznicą, ale Sage za bardzo nie przejęła się jej kazaniem.

Potała twarz, próbując zebrać myśli.

– W wygodce – odparła w końcu. – Żołnierze mówili, że przejeżdżaliśmy przez wieś, w której panuje zaraza. Pewnie to złapałam.

– To dlatego Darnessa powiedziała, że mamy nie pić wody?

– Pewnie tak. Ale nie uprzedziła mnie odpowiednio wcześniej.

Clare uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Przyniosłam ci kolację. Jesteś w stanie coś zjeść?

Sage zaburczało w brzuchu.

– Tak, dziękuję. Najgorsze chyba minęło. – Clare podała jej kubek ziołowej herbaty i czekała, aż Sage ją wysączy. – Czy wydarzyło się dzisiaj coś interesującego?

– Mnóstwo wyjazdów i przyjazdów. Diuk D’Amiran jest o coś zły. Niemal przez cały dzień chodził po murach zewnętrznych, obserwując las.

Sage uśmiechnęła się pod nosem.

– A co porabiała nasza eskorta?

Clare podała jej bułkę.

– Prawie nikogo nie widziałam, nie licząc żołnierzy, którzy jak zwykle regularnie sprawdzają, czy wszystko w porządku. Chyba się przyczaili. Jedna ze służących mówiła, że diuk nakrzyczał rano na kapitana Quinna.

Sage, dręczona poczuciem winy, powiedziała:

– Przykro mi, że nie widziałas się dzisiaj z Gramwellem.

– Powiedział mi wczoraj wieczorem, że przez pewien czas nie będzie mógł się ze mną spotykać ani nawet do mnie pisać. I gdyby diuk mówił coś ciekawego, mam ci powtórzyć. – Clare zmrużyła oczy. – Dlaczego rozmowa ze mną miałaby być niebezpieczna dla któregoś z naszych żołnierzy?

– Użył słowa „niebezpieczna”? – spytała Sage.

– Nie, ale nie jestem głupia, a ty tym bardziej.

Ash pewnie czuł się tak samo, kiedy to ona zadawała mu pytania.

– Clare, coś się szykuje, ale nie mogę wtajemniczyć cię w szczegóły, nie dlatego, że ci nie ufam. Każdy, kto o tym wie, naraża się na niebezpieczeństwo.

– A kiedy to coś się wydarzy, jak mam się zachowywać, by był ze mnie pożytek, skoro nic nie wiem?

– Powiem ci. Albo zrobi to któryś z żołnierzy. Czy Darnessa – dodała Sage, podejrzewając, że jej pracodawczyni wie znacznie więcej, niż daje po sobie poznać.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, aż rozległo się pukanie do drzwi.

Clare wstała i postawiła tacę z jedzeniem na kolanach Sage.

– Cóż, na razie tyle musi mi wystarczyć. – Okrążyła łóżko i otworzyła drzwi. Kiedy wróciła, trzymała list. Zanim Sage zdążyła ją powstrzymać, Clare otworzyła wiadomość, przeczytała i dopiero wtedy podała ją Sage.

*Główna kaplica, godzinę po północy. – A.*

Sage spojrzała na Clare, która pytająco uniosła brwi.

– W nocy wcale nie chorowałaś, prawda? Byłaś z nim. – Sage zacisnęła wargi, a Clare wywróciła oczami. – Powiedz mi, kiedy mam zacząć się martwić, że nie wracasz.

Sage stała zdenerwowana w ciemnej kaplicy. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Asha i kiedy spotka się z kapitanem. Poczowała poruszenie powietrza, a zaraz potem ciepło czyjegoś ciała tuż za plecami. Nagle czyjeś ramię oplotło ją w talii, dłoń w rękawiczce zakryła usta. Stopy oderwały się od podłogi. Ugryzła dłoń z całych sił, jednocześnie zamierzając się łokciem na napastnika.

– Na Ducha! – syknął Ash. – To tylko ja.

Puścił ją. Obróciła się twarzą do niego i pchnęła go.

– Śmiertelnie mnie przeraziłeś!

Zęby Asha błysnęły w półmroku. Potrząsnął lewą ręką i stwierdził:

– Tak przy okazji, prawidłowa reakcja. – Zdjął rękawicę i rozprostował palce.

– Au.

– Zasłużyłeś. – Jej serce waliło tak mocno, że czuła uderzenia w czubkach

palców.

– Owszem. – Przyciągnął ją do siebie, rozglądając się dokoła. – Idziemy na zebranie, ale najpierw muszę ci coś wyjaśnić. – Serce Sage, które już zaczęło zwalniać, znów ruszyło galopem. Ash wziął głęboki wdech. – Robert wyjechał, teraz mogę ci powiedzieć, kto to jest.

– Porucznik Gramwell, zgadza się? – uprzedziła go.

– Jak na to wpadłaś?

– Zabroniłeś mi rozmów z oficerami, więc uznałam, że to musi być któryś z nich. Gramwell nie zostawiłby Clare samej ot, tak, poza tym kto jak nie księżę tak odważnie zabiegałby o względy jednej z panien jadących na Concordium? W dodatku uprzedził ją, że przez jakiś czas nie będą się widywać. – Ash cicho jęknął. – Zrobię wszystko, by doprowadzić do tego małżeństwa. Clare będzie wspaniałą królową.

– Tym razem się mylisz. – Gwałtownie uniósł głowę, zaalarmowany jakimś dźwiękiem w pobliżu ołtarza. Pociągnął Sage za rękę. – Tędy.

Wyprowadził ją bocznym wyjściem i pociągnął za sobą w stronę kwater żołnierzy. Przez całą drogę zastanawiała się, gdzie popełniła błąd w rozumowaniu. W końcu dotarli na miejsce. Ash wprowadził ją do środka i zamknął drzwi.

– Quinn – powiedziała, kiedy odwrócił się w jej stronę.

Ash podskoczył.

– Co?

– Księżę Robert występował jako kapitan Quinn.

Ash przełknął ślinę.

– Tak. – Niespokojnie zerknął na drzwi komnaty kapitana.

Czekała, lecz nic więcej nie powiedział. W końcu zapytała:

– A Casseck jest tak naprawdę kapitanem?

– Mogłabyś skończyć z tymi teoriami? – Ash sięgnął prawą dłońią do jej twarzy, zatopił spojrzenie ciemnych oczu w jej oczach. – Muszę ci coś powiedzieć. Coś ważnego.

– Tak? – szepnęła, zapominając o nieodkrytych sekretach.

Już rozumiała, dlaczego zachowywał się tak nerwowo. Chciał jej wyznać coś, czego nie mógł wcześniej powiedzieć. Te słowa miały wszystko zmienić.

Ash zaczął z wahaniem:

– Tyle razy ćwiczyłem, jak to powiedzieć, ale nadal nie wiem.

Przysunęła się do niego i położyła drżącą dłoń na jego ramieniu. *Proszę, pomyśl. Nie potrzebuję wyszukanych słów, potrzebuję tylko...*

Nagle otworzyły się drzwi, padła na nich smuga światła.

– Kapitanie?

Ash, nie zabierając ręki, powoli odwrócił się w stronę porucznika Gramwella, który zbyt późno zdał sobie sprawę z pomyłki.

– Wybacz, sir. Nie chciałem przeszkadzać, ale jeśli jesteś gotowy, to czekamy.

Ash kiwnął głową.

– Dziękuję. Przyjdę za chwilę.

Gramwell zamknął drzwi, rzucając Sage przepraszające spojrzenie. Znów znaleźli się sami w mroku słabo rozpraszającym blaskiem pojedynczej pochodni. Ash nie odrywał wzroku od drzwi. Szczęki miał mocno zaciśnięte.

– Ty – szepnęła. – Ty jesteś kapitanem Quinnem?

Zwrócił na nią zawstydzone spojrzenie. Sage zapłonęła wściekłością, która rozpałała zakończenia nerwowe na jej skórze.

To wszystko było kłamstwem.

Wszystko w nim było kłamstwem.

*Nie istniał żaden Ash Carter.*

Pociemniało jej w oczach. Wyrwała mu się, zabierając z jego ramienia dłoń, która sama zacisnęła się w pięść i wycelowała w jego twarz. Zablokował cios ręką, która chwilę wcześniej dotykała jej policzka, i chwycił ją za nadgarstek, zręcznym ruchem zmuszając, by opuściła ramię. Jednocześnie chwycił ją lewą ręką, przyciskając jej ramiona do ciała i szorstko przyciągając ją do siebie.

– Może i zasłużyłem – powiedział – ale złamany nos opóźniłby nasze działania, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Jego prawa ręka znajdowała się między ich ciałami, wciskając jej lewą dłoń pod jego łokieć. Oplótł jedną nogą jej nogi, tak że nie mogła poruszyć się nawet o milimetr.

– Ty dwulicowy sukinsynu – wysyczała. – To tak postępuje wysoki oficer w służbie krajowi?

– W obronie Korony, tak. – Jego chłód tylko podsycał jej wściekłość. Próbowała wyrwać się z żelaznego uścisku, nie zważając na gwałtowny ból w lewym nadgarstku. Z trudem utrzymywał równowagę na jednej nodze. – Ty też nie zawsze wykazywałaś się szczerością co do swej prawdziwej tożsamości i kierujących tobą motywów, pani.

To było okrutne z jego strony. Z każdą sekundą Ash, którego znała, coraz bardziej się od niej oddalał – ale przecież nigdy nie istniał.

– Ale mną nigdy nie kierowała chęć wykorzystywania czy zranienia innych

ludzi, kapitanie Quinn. – Wypluła jego nazwisko jak przekleństwo.

Patrzył na nią nieporuszenie, aż wreszcie uciekła wzrokiem. Dała się nabrać na jego grę jak zakochana trzpiotka – ona, zawsze taka dumna ze swoich trafnych osądów, z umiejętności zaglądania za fasady, które ludzie prezentują światu. I dlaczego? Ponieważ pragnęła księcia z bajki. Fala gniewu powoli ustępowała, pozostawiając po sobie otchłań bólu, co było zresztą jeszcze gorsze. Sage osunęła się w jego uścisku ze stłumionym łkaniem.

Quinn odsunął nogę, poluźnił ramię obejmujące jej plecy i uwolnił prawą rękę. W tej krótkiej chwili mogłaby uciec, ale już jej nie zależało. Otarł jej łzy opuszkami palców. Sage utkwiała wzrok gdzieś w przestrzeni przed sobą. Jakie to upokarzające. Nie płakała nawet po śmierci ojca.

– Nigdy nie miałem zamiaru cię zranić – wyszeptał.

Nie zamierzała odpowiedzieć ani na niego spojrzeć, nawet nie kiwnęła głową.

– Sage, proszę, jest mi bardzo przykro, że tak wyszło. Od tej chwili prawda i tylko prawda. Obiecuję.

Jak mógł sądzić, że taka obietnica cokolwiek znaczy?

– Nie chcę twojej prawdy. Nienawidzę jej. – Głos Sage brzmiał martwo w jej uszach. – Nienawidzę cię.

– A ja i tak to powiem: kocham cię, Sage Fowler. Ze wszystkiego, co powiedziałem i zrobiłem, to na pewno jest prawdą.

Nic gorszego nie mogła od niego usłyszeć. Jej lewa ręka była już wolna, więc Sage zamierzyła się i z całej siły uderzyła go w twarz.



Sage weszła do pokoju, ignorując przepraszające uśmiechy Cassecka i Gramwella. Nie czuła jednak do nich nienawiści – cała wina spoczywała na kapitanie. Quinn przystawił krzesło i dał jej znak, by usiadła, co też zrobiła, nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem. Odmówiła powrotu do swojego pokoju. Może przez przekorę, może z poczucia lojalności wobec Clare i Darnessy. A może nie mogła znieść myśli, że zostanie wykluczona. W każdym razie, gdy zaproponował, że zwolni ją z roli, którą miała odegrać w ich planach, bez słowa odwróciła się do niego plecami i pomaszerowała do drzwi, za którymi miało odbyć się zebranie.

Porucznicy podnieśli się w milczeniu, kiedy Quinn zajął miejsce obok niej. Wbrew obawom Sage potraktowali ją nie jak maskotkę, a jak jedną z nich, chociaż przypuszczała, że ich pełną szacunku postawę być może wywołał widok powoli blednącej czerwonej plamy na policzku kapitana.

To, czego się dowiedziała, brzmiało przerażająco. Tych stu trzydziestu ludzi, o których wcześniej słyszała, okazało się oddziałami Kimisarów, liczącymi de facto dwustu żołnierzy, z których na razie zginęło co najmniej dziesięciu. Kiedy Quinn pokazał jej, w jaki sposób rozmieszczono oddziały, szybko skojarzyła fakty.

– Ich dowódca znajduje się w tym miejscu. – Wskazała na grupę najbliższej przełęczy.

Wszyscy utkwili w niej spojrzenia.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz? – zapytał Quinn.

– Tamtego ranka, kiedy stałam na murze, nad tym miejscem krążył tresowany sokół. Przyleciał z południa.

– Skąd wiesz, że to nie był dziki ptak? – spytał Quinn. W odpowiedzi uniosła brew, on zaś prychnął bez cienia wesołości. – No tak. Córka ptasznika.

Większość zebrania poświęcono zaplanowaniu działań żołnierzy w przypadku, gdyby diuk przystąpił do akcji, zanim wszyscy zachorują z powodu zatrutej wody. Sage miała za zadanie zebrać i ukryć panny, a gdyby je pojmano, czekać w gotowości na ratunek. A więc po wszystkim, co dla niego zrobiła, Quinn chciał, żeby stała z boku i tylko się przyglądała.

– Mogłabym zrobić więcej – zaprotestowała. – Jako kobieta mogłabym...

odwrócić uwagę.

Quinn się nie zgodził.

– Przyznaję, że w razie potrzeby potrafisz roztaczać obezwładniający urok, ale my mówimy o bitwie, Sage.

W jakimś sensie jej imię w tych ustach brzmiało jak obelga. Nie miał prawa zwracać się do niej w tak nieoficjalny sposób. Sage splotła ramiona na piersi.

– Ja też mam na myśli bitwę. Strażnicy D’Amirana to lubieżne typki, a my możemy to wykorzystać.

Oczy Quinna zrobiły się wielkie jak spodki.

– Nawet o tym nie myśl. – Casseck i Gramwell niepewnie poruszyli się na krzesłach. – Poza tym – podjął ze znaczącym spojrzeniem – o ile pamiętam, obiecałaś słuchać rozkazów.

– A ty obiecałeś... – urwała.

Zapadła niezręczna cisza. Porucznicy patrzyli wszędzie, tylko nie na kapitana. Sage uszczypnęła się w ramię, by zapanować nad emocjami. Nie rozpłacze się. Nie tutaj. Czowała paznokcie wbijające się w skórę przez warstwy kurtki i koszuli. Zachowała kamienną twarz.

– Panno Sage – powiedział porucznik Casseck – takie wyznaczaliśmy ci zadanie. Jest bardzo istotne i pozwoli żołnierzom skupić się na walce.

Sage mocniej wbiła paznokcie w skórę i spojrzała na Cassecka. Jego twarz wydawała się otwarta i szczerą. Ze względu na tę szczerą Sage ustąpiła, nie odezwała się jednak do końca zebrania.

W końcu Quinn kazał Gramwellowi wyjść, a do Cassecka powiedział:

– Muszę sprawdzić jeszcze kilka rzeczy, zanim zaprowadzę ją do pokoju. Możesz z nią poczekać?

Casseck kiwnął głową.

Kiedy Quinn wyszedł, Casseck przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Sage, ale się nie odzywał. Po chwili zapytała:

– Od jak dawna jestem w to wplątana?

– Od tamtego wieczoru, kiedy się poznaliście – odparł Casseck. – Kryptonim, którym określamy pierwszego agenta wkraczającego do akcji, brzmi „Mysz”, ponieważ ma on za zadanie zbierać okruchy tak, by nikt nic nie zauważył. Ale ty go widziałaś, a to zmieniło postać rzeczy.

Zacisnęła dłonie pod stołem. A więc wykorzystywał ją od samego początku.

– Ja też mam kryptonim?

– Nazwał cię Szpakiem.

Szpak. Beznadziejny irytujący ptak, który na okrągło trajkocze i zdradza

wszystkie swoje sekrety.

Casseck przyglądał się jej, podczas gdy walczyła ze łzami.

– Kłamstwa niełatwo mu przyszły – dodał. – A z czasem było mu coraz trudniej.

– Co się stało, to się nie odstanie – powiedziała ze smutkiem. Miała ochotę zasnąć i o wszystkim zapomnieć. – Gdyby nie grał roli Myszy, być może nie zorientowalibyście się, co się dzieje. – Kiwnął głową. Znow zapadła cisza. W końcu powiedziała: – Pamiętam, że wspominaliście o Myszy podczas zebrania. Mówiliście o nim, jakby nie siedział obok.

– To zwykła szpiegowska taktyka. Bardzo przydatna w razie, gdyby rozmowę podsłuchiwał ktoś niepowołany. Poza tym pomaga zmniejszyć zamieszanie w kwestii: kto czym się zajmuje, w jakiej występuje roli i jakie ma powiązania z resztą. – Casseck przysunął krzesło bliżej do Sage, wsparł się łokciami na stole. Chyba mu ulżyło, że może skupić się na sprawach czysto zawodowych. – Jest to również taktyka korzystna dla tych, którzy często zmieniają tożsamość. W ten sposób mogą łatwo oddzielić w głowie poszczególne role, zakładać i zmieniać kolejne maski, nie myląc ich ze sobą.

Zrobiło jej się niedobrze na myśl, co to może oznaczać. *Kocham cię, Sage Fowler*. Która osoba to powiedziała? I czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Jedna z tych osób była kłamcą, a druga budziła w niej nienawiść.

Casseck potrząsnął głową, jakby czytał w jej myślach.

– Nie, panno Sage, jestem jego najbliższym przyjacielem i zapewniam...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Quinn. Sage i Casseck mało nie spadli z krzeseł. Quinn powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, po czym ruszył do drzwi sypialni.

– Cokolwiek zamierzałeś powiedzieć, poruczniku, zachowaj to dla siebie.

Casseck wzruszył ramionami, rzucając Sage zakłopotane spojrzenie.

Chwilę później Quinn wrócił, chowając coś za pazuchą.

– Wygląda na to, że możesz już pójść do siebie. – Wyszedł, nie czekając na Sage, która spojrzała na Cassecka, odsunęła krzesło i wstała.

– Sage! – zawołał Casseck. Przystanęła i obejrzała się. – Potraktuj go... łągodnie. – Uśmiechnął się lekko. – A przynajmniej już go nie bij.

Kapitan Quinn czekał w korytarzu.

– Miła pogawędka? – spytał, unosząc jedną brew.

– Bardzo pouczająca – odparła zimno.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie, chyba wyraziłam się wystarczająco jasno.

Potał policzek.

– Zasłużyłem na to.

– Przynajmniej w jednej kwestii się zgadzamy.

Czuła pewną satysfakcję, ale wiedziała też, że Quinn, gdyby tylko chciał, mógł z łatwością zrobić unik przed tym ciosem. A jednak pozwolił się uderzyć.

Przebyli drogę w milczeniu. Przy wejściu do Wielkiej Hali stał tylko jeden strażnik, zainteresowany chyba jedynie drapaniem się w ucho. Dotarli do skrzydła gościnnego, nie spotykając nikogo więcej. Bez słowa podeszła do drzwi, ale chwycił ją za łokieć.

– Tkwisz w tym, na dobre i na złe – powiedział – musisz więc zachować wyjątkową ostrożność. – Niechętnie skinęła głową, a on podjął: – Od teraz nigdzie nie chodź sama, chyba że absolutnie musisz, i zawsze mów komuś wcześniej, gdzie będziesz. Nie ufaj żadnym wiadomościom, których nie dostaniesz bezpośrednio od nas. I żadnym, które nie będą wyglądały tak, jakby pochodziły ode mnie. – Sięgnął za pazuchę, wyciągnął sztylet i wsunął w jej dłoń. – Zawsze miej go przy sobie.

Sage spojrzała w dół. Na czarnej rękonożce widniały złote litery: AQ.

– Jeśli wpadniesz w kłopoty, któryś z moich ludzi od razu go rozpozna, a jeśli akurat żadnego z nich nie będzie w pobliżu... pamiętaj, czego cię uczyłem.

Nie chciała tego sztyletu – należał do niego – ale Quinn niezaprzeczalnie miał rację.

Wciąż trzymał dłoń na jej dłoniach.

– Dasz sobie radę?

Chwyciła sztylet i kiwnęła głową.

– Dobranoc, Sage. – Uniósł jej dłoń do ust i musnął knykcie pocałunkiem lekkim jak piórko.

Natychmiast cofnęła rękę, a on ją puścił.

Sage otworzyła drzwi i weszła do pokoju, nie patrząc na niego, zatrzasnęła drzwi i zaciągnęła rygiel, który odezwał się echem w całkowitej ciszy.

Nie miała pojęcia, jak zdoła sprostać kolejnemu dniu.

Następnego dnia Quinn wypełniał swoje obowiązki, przypominając sobie, jak ojciec powiedział, że chce nauczyć go cierpliwości. No cóż, chyba właśnie odbywał skuteczną lekcję.

Każdego dnia kilka razy przemierzał mury zewnętrzne i wewnętrzne, często na dłużej przystając w punktach, z których było widać ogród. Ze swojego obecnego miejsca widział Sage siedzącą na kamiennej ławce. Ufarbowała włosy i miała na sobie suknię, w której wyglądała jak te wszystkie malowane pawice, których bezpieczeństwa miał chronić, ale rozpoznał ją po sposobie poruszania się, po tym, jak przekrzywiła głowę, kiedy się uśmiechała, jak splatała dłonie w chwilach zdenerwowania. Krążyło wokół niej dwóch młodzieńców, zabiegając o jej uwagę. Quinn oparł się o drewnianą balustradę i patrzył, zaklinając ją w duchu, by na niego spojrzała, lecz na próżno.

Był tak zajęty obserwacją, że nie zauważył Cassecka, dopóki ten nie stanął tuż obok niego.

– Co jej powiedziałaś wczoraj wieczorem? – zapytał.

Quinn wbił wzrok we własne dłonie.

– Prawdę.

– Rozumiem. I jak brzmiała odpowiedź?

– Była niewerbalna, lecz jasna. – Potarł wciąż obolały policzek.

– Przykro mi.

– Spodziewałem się takiej reakcji, ale musiałem jej powiedzieć. – Ból i wściekłość go nie zaskoczyły. Znacznie gorsze było to, co nastąpiło po nich – obojętność jej spojrzenia.

Poczuł ulgę, kiedy mimo tego chłodu wykrzesła z siebie choć tyle emocji, by przyłożyć mu w twarz.

– Przejdzie jej, Alex, tylko potrzebuje czasu. Możesz jej to jakoś wynagrodzić.

Quinn prychnął.

– O ile D’Amiran wcześniej nas nie pozabija.

– Zawsze pełen optymizmu. Co mi przypomniało, że przyszedłem złożyć raport.

Quinn wyprostował się.

– Słucham.

– Przyjechało tylu gości, że rozstawiają namioty. – Casseck ruchem głowy wskazał na wewnętrzny dziedziniec, na którym właśnie rozciągano wielką okrągłą konstrukcję z płótna. – Ale jest z nimi zaledwie kilku strażników, co znaczy, że musimy się martwić tylko żołnierzami D’Amirana.

– I Kimisarami. – Quinn wskazał na szczyt granitowej wieży. – Dzisiaj rano przesunięto te flagi. Domyślam się, że w ten sposób diuk się z nimi komunikuje, chociaż nie mam pojęcia, co te sygnały oznaczają, a zwiadowcy też nie mają jak się tego dowiedzieć. – Postukał palcem w dolną wargę, obserwując ruch na dziedzińcu. – Dobre wieści w kwestii nowych gości, chociaż przybyli za późno, żeby się zarazić. O ile nasz pomysł w ogóle wypali.

– To kolejna dobra wiadomość – odparł Casseck. – Zastąłem Charliego w wygodce. Nie czuł się zbyt dobrze.

To rzeczywiście była dobra wiadomość, ale Quinn czuł zbyt wielkie wyrzuty sumienia, by skwitować ją uśmiechem.

Pokojówka weszła do komnaty sypialnej, by przygotować wszystko na noc. Ułożyła drewno na opał koło paleniska, wymiotła popiół i rozdmuchała żar. Potem postawiła na ogniu czajnik, by panie miały po powrocie gorącą wodę na herbatę i wytarła dłonie w fartuch. Ten pokój łatwiej było sprzątać niż pozostałe – jego mieszkanki miały znacznie mniejsze wymagania. A ponieważ były takie miłe i wdzięczne, przykładała się do pracy wyjątkowo starannie. Tego wieczoru jednak trochę bolał ją brzuch, więc spieszyła się, żeby zdążyć odpocząć przed kolacją.

Odkurzyła i wytrzepała starannie poduszki leżące na krzesłach, wymieniła najkrótsze świece i już miała zamiar poprawić pościel, gdy otworzyły się drzwi za jej plecami i do środka wszedł strażnik zamkowy, łypiąc na nią pożądliwie. Był potężny i sprawiał groźne wrażenie. Brakowało mu połowy jednego ucha. Intencje strażnika stały się jasne, kiedy zaryglował drzwi i ułożył wargi do pocałunku. Dziewczyna w panice spojrzała na wąskie okno. Czy, jeśli zacnie krzyknąć, ktoś zdoła przyjść jej z pomocą na czas? Wahała się, niepewna, czy zdąży dobiec do okna, zanim strażnik ją dopadnie. Widząc jej strach, uśmiechnął się krzywo.

Skoczyła na łóżko, przetoczyła po satynowym posłaniu, skoczyła na równe nogi po drugiej stronie i rzuciła się do otwartego okna. Wzięła głęboki wdech, by krzyknąć z całych sił, ale w tym momencie strażnik przycisnął pięść do jej ust i pociągnął ją do tyłu. Pchnął ją na podłogę i oderwał dłoń od ust, ale tylko po to, by zacisnąć grube paluchy na jej gardle.

– Proponuję, żebyś siedziała cicho – wyszeptał groźnie.

Zaczęła płakać.

Wyjął zza pasa wielki nóż i postukał ją ostrzem w bark.

– Nie jestem w nastroju, ale to może się zmienić, w zależności od twoich odpowiedzi na moje pytania. Zaczniemy od czegoś prostego. – Odchylił się i popatrzył na nią z góry. – Jak ci ma imię?

– Poppy – zaskomliła. – Poppy Dyer.

– A skąd pochodzisz, mała Poppy Dyer?

– Z Garland Hill.

– Swatka wynajęła cię, żebyś usługiwała paniom podczas podróży?

Przytaknęła, łzy spływały po policzkach i znikwały we włosach.

– Proszę, nie rób mi krzywdy.

– Na razie dobrze sobie radzisz, Poppy. – Uśmiechnął się, ale to jej bynajmniej nie uspokoiło. – Spróbujmy nieco trudniejszych pytań. Jak nazywają się damy śpiące w tej komnacie?

Poppy dusiła się w jego uścisku.

– Lady Clare Holloway i lady Sagerra Broadmoor.

Strażnik pokręcił głową, wyraźnie rozczarowany.

– Cóż, wiem, że nie do końca jest to prawda, mała Poppy. – Przesunął nóż od jej obojczyka do talii, rozcinając tasiemki stanika. Próbowwała się wyrywać, lecz na próżno. – Spróbujmy jeszcze raz, dobrze? Jak nazywają się damy śpiące w tej komnacie?

Pani Rodelle nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że Sage jest w rzeczywistości jej uczennicą. Ale żaden głupi sekret nie wydawał się wart takiej ceny.

– Clare Holloway – załkała. – I Sage Fowler.

– Znacznie lepiej – stwierdził z zadowoleniem, zatrzymując czubek noża na wycięciu jej lnianej halki. – A teraz sprawdzimy, co wiesz na temat Sage Fowler.



Sage wracała do pokoju całkiem otumaniona. Nie mogła przypomnieć sobie połowy rzeczy, które wydarzyły się tego dnia. Jak koń z klapkami na oczach skupiała się tylko na tym, co akurat w danej chwili miała zrobić. W ten sposób nie dostrzegła Quinna, nie musiała o nim myśleć.

Rzuciła się na łóżko. Najchętniej od razu by zasnęła, nawet w tej idiotycznej sukni, gorsecie i całej reszcie, ale wieczorem czekało ją zebranie, a miała wieści do przekazania. Quinn pewnie wkrótce po nią przyjdzie, chyba że był zbyt wielkim tchórzem, by zjawić się osobiście.

Ktoś zapukał do drzwi. Sage jęknęła i zwlokła się z łóżka, po czym z powrotem na nie opadła. Niebo widoczne za oknem wciąż było jasne, więc to nie mógł być Quinn. Clare by nie pukała, więc za drzwiami zapewne stała Darnessa.

– Wejdz – zawołała Sage.

Kiedy Darnessa przestąpiła próg, Sage poczuła gwałtowny przyływ gniewu. Silne przeżycia ostatnich dni przypomniały jej chwilę, kiedy wuj William oznajmił, że ma spotkanie u swatki. To wszystko, przeszłość i przyszłość, zaaranżowała właśnie ta kobieta. Sage podniosła się i stanęła naprzeciw niej.

– Od jak dawna wiesz? – zapytała. – Od początku?

Darnessa westchnęła i zamknęła drzwi.

– Od Underwood. Zgodziłam się, by się tobą posłużył. Ale nie tak miało być.

Sage zrobiła krok w jej stronę, groźnie mrużąc oczy.

– A jak dokładnie miało być?

Swatka nerwowo wykręcała dłonie. Po raz pierwszy wyglądała na zawstydzoną.

– Mieliście po prostu się zaprzyjaźnić. Miałaś mu zaufać, pomagać mu. Liczyłam też na to, że już po wszystkim może zobaczysz w nim kogoś więcej.

– Kogoś. Więcej. – Dłonie Sage zacisnęły się w pięści.

Krucha kontrola, którą udawało jej się utrzymywać przez cały dzień, teraz zaczynała pękać.

– Chciałam tylko, żebyś była szczęśliwa. I byłaś szczęśliwa.

– Okłamał mnie.

– Ty jego również.

– *Na twój rozkaz!* – wrzasnęła Sage.

Darnessa opuściła ramiona i wyprostowała plecy.

– Nie robiłam tego dla zabawy, Sage. On też nie.

Sage, chociaż wściekła, wiedziała, że pierwsza część tej wypowiedzi jest prawdziwa – Darnessa nigdy nie nadużywała władzy i karała tych, którzy to robili. A co do niego... Łatwiej było go nienawidzić, niż przyznać, że dała się nabrać na romantyczną wizję. Wyobrażała sobie, że pokochał ją księżę. Nie była jednak tak obojętna na pozycję i władzę, jak jej się wydawało.

– Nie jest tym, za kogo go uważałam.

– A kim ja jestem, Sage? Główną swatką? Darnessą?

– Co masz na myśli?

– Każdy gra w życiu wiele różnych ról, ale to nie znaczy, że wszystkie są kłamstwem. – Darnessa podeszła bliżej, unosząc dłonie proszącym gestem. – Jestem najważniejszą swatką Crescery. Podejmuję przemyślane decyzje, które wpływają na losy setek, jeśli nie tysięcy ludzi. Oto, kim jestem. – Zatrzymała się, kiedy jej suknia otarła się o suknię Sage. Wyciągnęła dłoń w jej stronę. – Ale jestem też po prostu Darnessą. Twoją przyjaciółką.

Sage zrobiła krok w tył, zanim Darnessa zdążyła ją dotknąć.

– Nie jesteś moją przyjaciółką – wyrzuciła z siebie. – Od tak dawna grasz rolę wielkiej swatki, że zapomniałaś, jak nie manipulować ludźmi. Przyjaciele tak nie postępują.

– Nie jesteś autorytetem w kwestii przyjaźni. – Darnessa opuściła rękę. – Ale masz rację. Przepraszam.

– Napraw tymi słowami rozbity talerz, to przyjmę przeprosiny. – Okrążyła Darnessę, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. Tuż za progiem stała Clare z miną winowajczynie. Sage odwróciła się i rzuciła do Darnessy:

– Dobranoc.

Darnessa kiwnęła głową. Jej twarz skurczyła się jak pomięta serwetka. Clare odsunęła się na bok, by zrobić swatce przejście, po czym zaryglowała za nią drzwi. Przez chwilę patrzyły na siebie z Sage.

– Wszystko w porządku? – wyszeptała Clare.

– Nie – odparła Sage. – To wszystko było kłamstwem.

Wybuchła płaczem, a Clare ją objęła.

Quinn otarł czoło Charliego chłodną szmatką.

– Jak się czujesz, mały?

– Lepiej. – Charlie przycisnął dłonie do brzucha i podciągnął się na posłaniu, w pokoju, który Quinn dzielił z Cassem. – Za minutę wstanę i dokończę pracę.

Quinn potrząsnął głową.

– Nie, zostań. To potrwa jeszcze parę dni. Odpoczywaj.

– Skąd wiesz?

Supel winy w żołądku Quinna mocniej się zacisnął.

– Widziałem już coś podobnego.

Charlie kiwnął głową.

– To przynajmniej wyniosę wiadro.

– Nie, ja to zrobię. Quinn wstał i podniósł śmierdzące wiadro przykryte mokrym poplamionym ręcznikiem. – Muszę zająć się paroma sprawami, ale ty zostań i wołaj, gdybyś czegoś potrzebował. I wypij tę herbatę, kiedy poczujesz się na siłach. Potraktuj moje słowa jak rozkaz.

Charlie kiwnął głową, przymykając błyszczące gorączką oczy.

Quinn wyniósł wiadro do wychodka, wylał je i wypłukał. Potem umył twarz i ręce w przegotowanej wodzie i wrzucił koszulę do parującego kotła, w którym żołnierze gotowali zakażone ubrania. Nie mógł sobie pozwolić na straty w ludziach, a przede wszystkim sam nie mógł zachorować.

Ale pozwolił, by przydarzyło się to Charlie'emu. Tłumaczyła go żelazna logika – paż nie brał udziału w walkach, więc strata była niewielka, a musieli zdobyć dowód, że ich pomysł odniesie skutek. Poza tym Charlie naraził się na zakażenie już w chwili, gdy wylewał do cysterny zawartość butelek. Te argumenty nie potrafiły jednak osłabić wyrzutów sumienia.

Quinn przemknął z powrotem do pokoju, postawił wiadro przy łóżku, włożył czystą koszulę i poszedł po Sage, by zaprowadzić ją na wieczorne zebranie. Specjalnie zjawił się wcześniej, żeby przypadkiem nie poszła do koszar bez eskorty.

Otworzyła, ubrana w spodnie, gotowa, lecz przestąpił próg, zanim zdążyła wyjść na korytarz. Jedyne źródło światła stanowił słaby ogień w palenisku, ale jego wzrok na tyle przywykł do półmroku, by dostrzec czerwoną opuchliznę

wokół jej oczu. Płakała.

Przez niego, z powodu tego, jak wobec niej postąpił.

Nie zdawał sobie sprawy, że w komnacie jest ktoś jeszcze – aż dostrzegł ruch w pobliżu paleniska. Ale to była tylko lady Clare. Wstała na powitanie. Zastanawiał się, ile wie, i doszedł do wniosku, że raczej niewiele. Sage na pewno nie chciałaby narażać jej na niebezpieczeństwo. Ale sądząc po wrogim spojrzeniu, jakie mu rzuciła, Clare wiedziała wystarczająco dużo, by winić go za łzy przyjaciółki.

– Kapitanie Quinn – powiedziała, podając mu dłoń – chyba nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni.

Quinn dotknął wargami jej palców. Sage przyglądała się tej scenie z całkowitą obojętnością.

– Lady Clare, miło mi poznać.

Clare zabrała rękę.

– Właśnie wychodziłam, muszę porozmawiać z jedną ze służących. Przypuszczam, że kiedy wrócę, ciebie już nie będzie, sir.

Jej brązowe oczy patrzyły twardo, przekazując milczącą wiadomość: *Jeśli jeszcze raz skrzywdzisz moją przyjaciółkę, będziesz miał ze mną do czynienia.*

Uklonił się, a Clare wyszła, rzucając Sage spojrzenie. Kiedy zostali sami, Quinn odchrząknął i zaczął:

– Powiedz to, co musisz powiedzieć.

Sage zrobiła zdziwioną minę.

– O tym, czego się dzisiaj dowiedziałam?

– O tym. – Zaszurał nogami. – Albo o wszystkim, co chciałabyś mi powiedzieć. O wszystkim, co chciałabyś wiedzieć. Odpowiem na każde pytanie.

Na jej twarzy odbiło się zaskoczenie, iskra życia w nieruchomym i obojętnym posągu.

– No dobrze. Dlaczego dalej mnie okłamywałeś, kiedy powiedziałam ci, kim naprawdę jestem? I nie mów, że po to, by mnie chronić.

– Głównie po to, by chronić Roberta. – Próbował stać spokojnie i się nie wiercić. – W ostatniej chwili wyznaczyłem inne zadanie człowiekowi, który początkowo miał być Myszą, a ponieważ nigdy wcześniej nie pracowałem pod przykrywką, postanowiłem skorzystać z okazji i zobaczyć, jak to jest. Potrzebny nam był jednak kapitan, a Rob jest do mnie bardzo podobny. Myślałem, że po kilku dniach wrócę do swojej zwykłej roli i nikt się nie zorientuje, pod warunkiem że Rob będzie trzymał się na dystans.

Kiedy zaproponowałaś, że nauczysz mnie czytać, nie mogłem odmówić i

postanowiłem grać dalej, zwłaszcza że ty i twoja księga wzbudzałyście we mnie coraz większe zaciekawienie. Poza tym cieszyłem się wolnością od funkcji kapitana. – Próbował się uśmiechnąć. – Oraz twoim towarzystwem.

Czekała w milczeniu.

Wziął głęboki wdech.

– Ale nagle okazało się, że jesteśmy okrążeni, i ukrywanie Roba stało się koniecznością. Gdybym wrócił do swojej zwykłej roli...

– ...to byś go wydał – dokończyła.

Kiwnął głową i spuścił wzrok.

– We wszystkich moich decyzjach przyświecał mi jeden cel: pokrzyżować plany D’Amirana. Udało się, Robert jest bezpieczny. Nie żałuję niczego, z wyjątkiem tego, że cię zraniłem. Ale... – zawahał się – owszem, mogłem wcześniej wyznać ci prawdę. Byłem tchórzem.

– Nie musiałeś mnie całować – odparła sztywno. – W każdym razie nie po udawanej scenie w zbrojowni.

– Nie musiałem, zgadza się. – Uniósł wzrok, by spojrzeć Sage prosto w oczy. Całując ją, czuł się tak, jakby smakował blask słońca. – Ale chciałem.

Sage zarumieniała się i odwróciła wzrok, przyciskając łokcie do brzucha, nie wiedział, ze złości czy z zakłopotania.

– Stanowisz problem, Sage, nie przewidziałem takich komplikacji w swoich planach. Chciałbym, żebyś rozumiała. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Ale sam siebie nie rozumiem. Wiem tylko, co czuję.

Znów zwróciła na niego swoje szare oczy, nic jednak nie powiedziała.

Quinn przełknął ślinę. Był durniem, licząc na wybaczenie tych wszystkich kłamstw. To, że ją kochał, czyniło je tylko gorszymi.

– Nawet nie znam twojego imienia – powiedziała nagle. – Ale pewnie mogę zwracać się do ciebie „kapitanie”, tak jak cała reszta. – Znów odwróciła wzrok, a jej rumieniec przybrał ciemniejszy odcień różu.

Na Ducha, nic dziwnego, że traktowała go jak obcą osobę.

– Alexander – szepnął. – Alex.

– Alex – powtórzyła, również szeptem.

Jej głos brzmiał miękko i łagodnie.

Na razie tyle musiało wystarczyć.

Alex. To imię rozbrzmiewało echem w jej głowie za każdym razem, gdy na niego patrzyła. Mocne imię, pasujące do pewnego siebie i silnego człowieka, który cieszy się autorytetem wśród swoich oficerów. Ale kryła się w nim też łagodność i intymność, jak w chwili, gdy je wyszeptał. Czasem chwyciła spojrzenie jego ciemnych oczu. Z ich przepastnej głębi wyzierała niepewność. Sage przypomniały się słowa Darnessy.

*Każdy gra w życiu wiele różnych ról, ale to nie znaczy, że wszystkie są kłamstwem.*

Gramwell właśnie składał raport na temat próbnych działań. Żołnierze zdobyli kilka beczek oleju i dwa rodzaje czystego alkoholu, zamierzali rozmieścić je w różnych punktach po całej fortecy, by powiększyć panikę oraz zniszczyć broń. Zaobserwowano, że kilku strażników diuka zrezygnowało z posiłku bądź ograniczyło się do lekkiej przekąski, a Sage zauważyła nieobecność trzech lordów na kolacji, co uznano za dowód, że choroba skutecznie się rozprzestrzenia.

– Ale mogli zarazić się w drodze – zauważyła.

Martwiła się, że pokładają zbyt wielkie nadzieje w pomysłe z zatrutą wodą. Na Ducha, jak Quinn mógł podejmować decyzje takiej wagi, dysponując tak niewielką ilością informacji?

– Jestem dobrej myśli. Charlie zachorował dzisiaj po południu.

Zaraził własnego brata, żeby przetestować skuteczność broni. Cały Quinn. Splotła ramiona na piersi i odwróciła wzrok, ale zdążyła jeszcze dostrzec jego skruszoną minę.

Uważnie słuchała, gdzie zamierzają rozstawić beczki z olejem i alkoholem, by trzymać kobiety z daleka od tych miejsc. Potem dyskutowali, jak zdobyć koszary na dziedzińcu zewnętrznym – długi budynek z jednym pomieszczeniem. Liczyli na to, że przebywający w nich strażnicy zachorują. Sage tymczasem skupiła się na planie fortecy. Narysowano go głównie na podstawie jej szkicu, dodano tylko kilka szczegółów. W pewnym momencie Gramwell wyszedł i po chwili wrócił z dwoma mężczyznami, którzy wyglądali jak bracia. Oficerowie zaczęli wypytywać ich, w jaki sposób można wywołać w krótkim czasie potężny pożar.

– Nie jest to trudne, sir – odparł niższy. – Trzeba po prostu jakoś rozprowadzić alkohol dokoła. Dość szybko rozchodzi się w powietrzu, ale też szybko się ulatnia. Trzeba działać błyskawicznie, wtedy może posłużyć jako skuteczny materiał wybuchowy.

– Materiał wybuchowy? – zaciekawiał się Quinn.

Obaj żołnierze przytaknęli. Niższy mówił dalej:

– W zamkniętym pomieszczeniu to śmiertelnie niebezpieczna broń. Mogę zademonstrować?

– Jeśli przy okazji nas nie pozabijasz – odparł Quinn, unosząc brwi.

– Ma się rozumieć, sir. Potrzebna mi butelka i odrobina alkoholu.

Kiedy podano mu to, o co prosił, nalał nieco cieczy do butelki – tak mniej więcej objętości naparstka. Zatkał szyjkę kciukiem i zamieszał, tak że niemal cały płyn został na ściankach. Potem, nie odrywając kciuka, postawił butelkę na stole i dał znak, by wszyscy się cofnęli.

Quinn pociągnął Sage do tyłu, a ona z zaciekawieniem wyjrzała zza jego pleców. Opiekuńczym gestem trzymał przed nią wyciągnięte ramię, gotów w każdej chwili zasłonić ją własnym ciałem. Stojąc tak blisko, mimowolnie wdychała zapach skóry, mydła sosnowego i lnu – mieszanki tak mocno kojarzącej się z jego osobą. Poczwała, że przysuwa się bliżej. Oczywiście, żeby lepiej widzieć.

Wyższy z żołnierzy zapalił cienką drzazgę od pochodni na ścianie – trochę nerwowo, jak pomyślała Sage. Ramię Quinna lekko zacisnęło się wokół jej ciała, mięśnie były napięte jak cięciwa łuku.

Pierwszy żołnierz zręcznym ruchem zabrał kciuk, drugi wrzucił płonąca drzazgę do butelki i obaj błyskawicznie odskoczyli do tyłu. Rozległo się donośne *bum*, w butelce zajaśniał niebieski płomień, wybuchając na moment ponad szyjką. I zaraz wszystko się skończyło. Niższy z braci wziął butelkę do ręki i ponownie nią zakręcił. Niebieski płomień zamigotał i zgasł.

Quinn puścił Sage i podszedł bliżej.

– Doskonale. A jak tego dokonać w większym pomieszczeniu?

Bracia mieli niepewne miny.

– Trzeba by jakoś rozpylić alkohol w powietrzu – stwierdził niższy. – Można by wrzucić parę takich butelek do środka, żeby się zbiły, wtedy zawartość rozleje się na większej przestrzeni.

– Ale szybko paruje, tak? – zauważył Casseck.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Chwilę potrwa, zanim osiągnie się taki efekt. Ale może to wystarczy.

Płomienie rozpląną się dokoła jak rzeka, inaczej niż w butelce. – Pomachał naczyniem.

Zaczęto rozważać taką wersję, ale Sage nagle przypomniała sobie połykacza ognia, którego widziała w dzieciństwie. Ten człowiek wypluwał w powietrze chmurę rozpylonego alkoholu, po czym przytykał do niej pochodnię. Raz utworzył z alkoholu krąg, cofnął się i podpalił – ognisty wieniec zawisł w powietrzu. Uśmiechnęła się.

– Mam pomysł – oznajmiła.

– Jak zwykle. – Quinn spojrział na nią, a wszyscy umilkli. – Opowiedz.

– No więc – zaczęła, zauważając, że wszyscy na nią patrzą. Kapitan zachęcająco kiwnął głową. – Myślałam o miechach.

– Miechach? – powtórzył, marszcząc czoło. – Takich do podsycania ognia?

Nerwowo wykręciła dłonie.

– Tak. Kilka lat temu, kiedy lato było naprawdę gorące, razem z kuzynami wzięliśmy miechy, nalaliśmy do środka wody i opryskiwaliśmy się nawzajem. Jeśli wleje się tylko trochę, to robi się mgiełka...

Oczy Quinna zrobiły się wielkie jak spodki.

– Łatwopalna mgła.

Sage kiwnęła głową. Wszyscy uśmiechnęli się od ucha do ucha.

– Genialne – stwierdził wyższy z żołnierzy. Wlepił wzrok w Sage. – Kim jesteś?

– Szeregowy Stiller, to jest Sage Fowler – powiedział Quinn. Alex. Z uśmiechem, od którego poczuła falę ciepła w całym ciele. – Nasza sekretna broń.



D'Amiran przysłonił oczy przed ostrym słońcem i przez kilka minut obserwował dziewczynę. Wyglądała tak niewinnie, kiedy siedziała na ławce pod wypuszczającym pąki drzewem w ogrodzie, z ciężką księgą na kolanach. Niezbyt ładna i dosyć chuda. Co widział Quinn w tej pospolitej dziewczynie? D'Amiran wzruszył ramionami. Może po prostu dawała mu to, czego pragną młodzi mężczyźni – tylko udawała arystokratkę na wydaniu, nie musiała dbać o cnotę.

Geddes był jednak zdania, że wcale nie chodzi o powierzchowną znajomość. Tym lepiej, że Quinna tu teraz nie było. D'Amiran zgodził się, kiedy ten zapytał, czy nie mógłby zabrać swoich ludzi nad rzekę po świeżą wodę – oczywiście w towarzystwie strażników diuka. Dureń wyraził troskę o niski poziom wody w cysternie i marudził, że jego psy myśliwskie czują się jak w więzieniu. Tym sposobem diuk pozbył się go na kilka godzin.

Kiedy padł na nią jego cień, uniosła głowę i zaraz zerwała się z ławki. Dał jej znak, by nie wstawała.

– Mogę się przysiąść, pani? – spytał.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Miłość – odparła. Jej jasne oczy rozszerzyły się z zachwyty.

– Zaciekawilo mnie, co czytasz, pani – rzucił D'Amiran, siadając na wygrzanej kamiennej ławce i pochylając się w stronę Sage. – Nieczęsto widuje się damy pogrążone w lekturze tak obszernych woluminów.

– Pochodzi on z wyśmienitej biblioteki Waszej Miłości – odparła nieśmiało. Obróciła kolana w jego stronę tak, że nie mógł przysunąć się bliżej. Pewnie miała przy sobie ten sztylet, który, jak doniósł Geddes, dał jej Quinn. – Mam nadzieję, że Wasza Miłość się nie gniewa, iż ją stamtąd zabrałam. Tutaj czyta mi się znacznie przyjemniej.

– Już niedługo, niestety. – D'Amiran wskazał na chmury zbierające się ponad szczytami na wschodzie. – W końcu nadchodzą deszcze, przełęcz stanie się przejezdna. Za kilka dni będziecie mogli ruszyć dalej.

Westchnęła marzycielsko.

– Będzie mi brakowało tego miejsca. Pochodzę z Crescery, gdzie krajobraz jest płaski i otwarty, więc zawsze wyobrażałam sobie góry jako miejsce ciemne i

nieprzystępne, ale okazało się to nieprawdą. Tegann jest jak gniazdo, jak ramiona kochanka. Nigdy nie czułam się tak bezpiecznie.

Dobra była. D'Amiran mimo woli poczuł się oczarowany.

W tym momencie pojawił się paż zmierzający od strony głównej wieży.

– Wasza Miłość – powiedział z ukłonem. Był blady i nieco przykurczony, jakby bolał go brzuch. – Mieliśmy poinformować, kiedy kapitan Quinn wróci znad rzeki.

Dziewczyna uniosła głowę.

Diuk uśmiechnął się w myślach i odparł:

– Bardzo dobrze. Przekaż kapitanowi Geddesowi, żeby spotkał się ze mną na południowym murze.

Kiedy paż poszedł, diuk zwrócił się do dziewczyny:

– Nasza pogawędka, choć krótka, sprawiła mi wielką przyjemność, ale teraz muszę prosić o wybaczenie, pani. Obowiązki wzywają.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Można spytać, dlaczego nasza eskorta udała się nad rzekę?

– Zdaje się, że wasz kapitan nie wierzy, iż jestem w stanie zapewnić wszystkim wystarczającą ilość wody – odparł. – A może po prostu smak mu nie odpowiada.

– Wody z cysterny? Och, widziałam to wspaniałe urządzenie, Wasza Miłość. Kapitan z pewnością przesadza. Niemądrze z jego strony.

Zdziwił go wyraz jej twarzy, stanowiący mieszanekę lęku i urazy. Może bała się, by ktoś nie odkrył jej powiązań z Quinnem. D'Amiran ukłonił się, ucałował jej dłoń i ruszył w stronę zewnętrznego dziedzińca i muru południowego. Kapitan Geddes czekał w miejscu, z którego było widać wszystkich zbliżających się do tylnej bramy.

Quinn nie protestował przeciwko zakazowi noszenia broni, a kilka psów myśliwskich, które ze sobą zabrali, chyba złapało króliki czy inną drobną zwierzynekę. Wcale nie spieszyło im się do powrotu między ciasne mury, płąsały wokół żołnierzy, przepełnione energią. Przez kilka minut diuk i kapitan obserwowali wozy wspinające się w górę wzniesienia.

– Czy Wasza Miłość rozmawiał z dziewczyną? – spytał Geddes.

D'Amiran kiwnął głową.

– Nie jest w moim typie, ale dostrzegam w niej pewien urok. Jeśli tylko chce, potrafi być prawdziwie czarująca. – Diuk uśmiechnął się. – Domyślam się, że ta mała zdzira zamierza go uwieść, by ożenił się z nią zgodnie z nakazami honoru, ale nie wydaje mi się, żeby już zdążyła tego dokonać. To by zrujnowało jego

kariere i wywołało straszny skandal. Zabawnie byłoby popatrzeć. Pytanie brzmi: czy poczułby się mocniej zraniony, gdyby mu ją zabrać, zanim poczuje smak, czy też później? Każda z wersji wydaje się poetycka na swój sposób, nie sądzisz?

Geddes pociągnął się za zniszczone ucho.

– Uważam, że nie należy dłużej czekać, Wasza Miłość.

– Zgadzam się z tobą. – D’Amiran westchnął. – Ale przez tę chorobę wymarsz się opóźni. – Zamyślił się. Po chwili dodał: – Uznałem opóźniające się deszcze za znak, że Duch sprzyja mojej sprawie. Upewniłem się w tym przekonaniu, kiedy okazało się, że księżę zmierza prosto w nasze ręce, ale teraz dręczą mnie same problemy. Robert uciekł, ta koszmarna zaraza opóźnia naszych sojuszników, a mój brat idiota ciągle wymyśla jakieś wymówki, dlaczego jeszcze nie wyruszył.

– Jutro wszystko będzie w najlepszym porządku, Wasza Miłość – uspokoił go kapitan. – Opóźnienia były nieuniknione.

– Wyeliminowanie eskorty wiąże się ze sporym zamieszaniem. Są irytująco czujni, a nie możemy wyzwać ich do otwartej walki, nie ryzykując strat w ludziach, którzy są mi potrzebni. – Diuk ruchem głowy wskazał żołnierzy wjeżdżających właśnie przez bramę w dole. – Pewnie trzeba było załatwić ich teraz, kiedy część przebywała nad rzeką, ale ten moment minął. Może zrobimy to podczas któregoś apelu?

– W takim przypadku również nie obędzie się bez strat w ludziach, Wasza Miłość. Dobrze wybrali lokalizację – przyznał kapitan.

D’Amiran machnął ręką.

– I tak nie mielibyśmy z tego zbyt wiele uciechy. Nie wiem, jak Quinn zdołał zorganizować księciu ucieczkę, w każdym razie ten mały gnojek spowodował mnóstwo komplikacji. Chcę, żeby cierpiał, a potem zdam jego ojcu dokładną relację. A więc wracamy do dziewczyny.

Geddes odchrząknął.

– Odwiedza go wieczorami w koszarach ubrana jak mężczyzna, lecz on zawsze odprowadza ją na te schadzki i z powrotem. Może dałoby się ich rozdzielić i wtedy ją pojmać. Skoro nie jest jedną z dam, to może być tylko szpiegiem, bo kim innym?

– I powiesimy ją? – rzucił D’Amiran z krzywym uśmieszkiem. – To na pewno by go zdenerwowało, jest jednak nieco zbyt prozaiczne. – Zapatrzył się tęsknie w dal. – Potrzebuję w życiu poezji, by jakoś wytrzymać w tym ponurym, szarym miejscu.

– A więc wykorzystajcie ją wedle własnego uznania, Wasza Miłość. To zwykła dziewczyna z pospólstwa. Quinn natychmiast pospieszy jej na pomoc. A podniesienie broni przeciwko Wam będzie zdradą, za którą należy się kara śmierci.

– Taak – odparł diuk, przeciągając samogłoskę. – To brzmi jak prawdziwa ballada.

Paź wbiegł po stopniach, zgięty w pół jeszcze mocniej niż przedtem.

– Wasza Miłość! – wydyszał, przyciskając dłonie do brzucha.

D’Amiran zrobił krok w tył. Chłopak cuchnął jak ścieki.

– O co chodzi?

– Wasza Miłość ma gościa. Z lasu.

Huzar. Diuk skrzywił się i spojrzał na Geddesa.

– Spotkaj się z nim i zaprowadź go do moich komnat. Tam go przyjmę.

– On już tam czeka, Wasza Miłość! – zawołał paź.

D’Amiran zmrużył oczy.

– Kiedy przybył, chłopcze? – zapytał Geddes.

– Jakies pół godziny temu, sir.

– I dopiero teraz się o tym dowiadujemy?! – ryknął Geddes i trzepnął chłopaka otwartą dłonią.

– Błagam o wybaczenie, ale musiałem skorzystać z wygódki! Bardzo pilnie.

Geddes uniósł rękę do kolejnego ciosu, ale D’Amiran dał mu znak, żeby przestał. Kapitan zamarł.

– Dlaczego zamiast ciebie nie przysłano z wiadomością kogoś innego? – zapytał diuk.

Paź odsunął się od Geddesa.

– Wszyscy chorują, Wasza Miłość. Gorzej ode mnie.

– Wszyscy?

Chłopak przytaknął.

D’Amiran wydał z siebie niezadowolony jęk, odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Geddes pospieszył za nim. Okrążyli dziedziniec, kierując się w stronę bramy wewnętrznej. Kiedy przechodzili obok ogrodów, diuk dostrzegł tę całą Fowler spacerującą w towarzystwie lady Clare. Dziewczyna obserwowała go, kiedy wszedł po stopniach prowadzących do głównej wieży, i w tym momencie już wiedział na pewno, że nie jest ona obiektem uczuć Quinna – jest szpiegiem. Z rozkoszą każe im obojgu za wszystko zapłacić.

Kiedy dotarł do swoich komnat, zatrzymał się, by odzyskać oddech. Podniósł głowę. Tym razem kapitan Huzar przysłał podwładnego. D’Amiran usiadł i

spojrzał na pozbawioną emocji twarz Kimisara.

– Przynoszę wiadomość od dowódcy – powiedział żołnierz bez wstępów w postaci uprzejmego powitania; wypowiadał spółgłoski w charakterystyczny sposób, podobnie jak Huzar.

Diuk, urażony jego brakiem manier, dał ręką znak, by mówił dalej. Kiedy sprawy się ułożą, nauczy się Kimisarów, jak należy zwracać się do osób wysokiego pochodzenia.

– Kimisarzy wracają do domu.

– Że co proszę?! – ryknął D’Amiran, zrywając się na równe nogi.

Młodzieniec nawet nie drgnął.

– Układ został złamany. My dotrzymujemy warunków, ale wy nie. Wasza armia wciąż nie wyruszyła. Nie ma żadnego księcia. Nie będziemy dłużej czekać na wypełnienie obietnic. Wracamy do domu, a wynagrodzenie pobierzemy po drodze.

– Będę was ścigał i wszystkich powieszę za flaki wzdłuż granicy...

– Nie. Zanim wasi chorzy żołnierze zdołają wsiąść na swoje chore konie, my będziemy już daleko stąd.

Diuk zakipiał z wściekłości, ponieważ Kimisar miał rację. Chwycił nóż od stojącego najbliżej strażnika i podszedł do posłańca. Z bliska było widać, że to właściwie jeszcze chłopiec.

– W jednej kwestii się mylisz – powiedział D’Amiran. – Nie ma żadnego „my”.

Kiedy ostrze zagłębiło się w szyi chłopca, ten zaledwie lekko się skrzywił. Nie zachwiał się nawet, kiedy krew trysnęła na dywanik przed kominkiem. D’Amiran stał nad nim, aż ten wreszcie osunął się na podłogę. Teraz leżał u jego stóp – dokładnie tak jak powinno być. D’Amiran z krzywym uśmiechem wytarł twarz i oddał nóż strażnikowi.

– Posprzątajcie ten bałagan i powieście go na głównej wieży, tak by wiedzieli, że nie muszą czekać na jego powrót. – Odwrócił się i ruszył w stronę sypialni, żeby zdjąć zniszczoną koszulę i zmyć krew z brody. – I przyprowadźcie dziewczynę. Tego wieczoru.

Quinn – Alex, przypomniała sobie w myślach – przyszedł po nią zaraz po zapadnięciu zmroku. Wpuściła go do komnaty, a on zaczął niespokojnie chodzić w tę i z powrotem.

– Dzisiaj wszystko zmieniło się dwa razy.

– Słyszałam, że pojechaliście nad rzekę.

Przytaknął.

– Przywieźliśmy czystą wodę i skontaktowaliśmy się ze zwiadowcami. Znaleźli Roberta i kuriera głównej armii, która teraz przebywa w Jovanie. Zdaje się, że generał postanowił urządzić tam sobie kwaterę, chociaż naprawdę nie rozumiem przyczyn tej decyzji.

– To chyba dobre wieści.

– Tak i nie – odparł. – Zaczęły się deszcze, rzeka Nai zapewne wyleje i większa część armii utknie po niewłaściwej stronie. Ale po drugiej stronie przełęczy czeka jeden batalion. Mogliby dotrzeć tu w ciągu pięciu, sześciu dni po otrzymaniu wiadomości. Zwiadowcy chcą przekroczyć przełęcz i poprosić o pomoc, ale jeśli nie użyjemy czerwonego sygnału, potrwa to dwa razy dłużej.

– Czerwonego sygnału? – powtórzyła Sage.

– To takie specjalne pakunki zapieczętowane woskiem – wyjaśnił. – Kiedy się je zapali, bucha czerwony płomień i wydziela się mnóstwo dymu. Używa się ich jedynie w razie najwyższej konieczności w celu wezwania oddziałów z całej okolicy. Mam takich pięć.

Przypomniała sobie pewien szczegół z wycieczki po fortecy w towarzystwie Clare.

– Tutaj również mają coś podobnego. Tylko zielone, z tego, co pamiętam.

Alex kiwnął głową.

– Zielony dotyczy lokalnych oddziałów. Czerwony armii królewskiej, chociaż można zakładać, że na takie wezwanie stawi się każdy, kto jest wierny Koronie. Zastanawiam się, czy powinienem jutro jeden wystrzelić. Jeśli nawet nie odniesie zamierzonego skutku, to przynajmniej spłoszy sojuszników D’Amirana, jeśli pomyślą, że w naszą stronę zmierza armia królewska.

– Ale jak dostarczysz je zwiadowcom?

– Nie mam jak tego zrobić – odparł, kopiąc nogę łóżka. – Nawet jeśli uda nam

się wydostać z tej fortecy, to otacza nas krąg Kimisarów, którzy, wedle tego, co mówią zwiadowcy, znów ruszyli w drogę.

Sage przypomniała sobie, co chciała mu powiedzieć.

– Widziałam mężczyznę, którego prowadzono do głównej wieży. Wyglądał według mnie na Kimisara.

Alex zatrzymał się.

– Kiedy?

– Jakąś godzinę temu.

– Nadal tam jest?

– Nie wiem...

Alex machnął ręką.

– Zapytam żołnierzy z patrolu, co widzieli. Jesteś gotowa?

– Tak. Clare ma mówić wszystkim, że zachorowałam.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dzięki tobie wszyscy padają jak muchy. – Zarumieniła się, a on zrobił kilka kroków w jej stronę. Minę miał poważną. – Wiele ci zawdzięczamy, Sage.

Jej puls przyspieszył pod spojrzeniem Aleksa. Kiedy dowiedziała się, że pojechał nad rzekę, ogarnęło ją przerażenie. Bała się, że wpadną w zasadzkę. Nagle przypomniała sobie, co jeszcze wydarzyło się tego dnia.

– Po twoim wyjeździe przyszedł do mnie diuk.

Alex struchlał.

– Czego chciał?

– Tak tylko pogawędzić. – Powtórzyła całą rozmowę. – Sądysz, że to coś znaczy?

Zmarszczył brwi.

– Może, może nie.

– Zwykle gawędzi z Clare, ale akurat poszła wtedy po wodę. Może to właśnie z nią chciał porozmawiać.

– Byłaś sama?

Przytaknęła.

– Niech to, Sage, mówiłem, że masz nigdy nie zostawać sama.

– Byłam na otwartej przestrzeni – zaprotestowała. – To trwało tylko kilka minut.

– Liczymy godziny, aż rozpęta się piekło. – Chwycił ją za ramię. – W ciągu kilku minut wiele może się zdarzyć.

Nie ufał jej na tyle, by ocenić, czy to była niebezpieczna sytuacja. Wściekle odtrąciła łokciem jego rękę.

– Tak jakbym nie wiedziała, że kilka minut może wszystko zmienić!

Krew odpłynęła mu z twarzy, zwykle śniada skóra pociemniała. Znów wyciągnął rękę, palce musnęły ramię, zostawiając ślad gęsiej skórki.

– Sage, proszę. Nie dbam o to, co mnie może zrobić, ale ty...

Jak on to robił? W jaki sposób potrafił sprawić, że w jednej chwili miała ochotę wydrapać mu oczy, a w następnej obsypać go pocałunkami i pocieszyć?

– Co to? – Moment minął. Ciemne oczy Aleksa gwałtownie zwróciły się w stronę okna. Z dziedzińca dobiegały krzyki. Podszedł i wyjrzał. – Coś jest nie tak. – Ruszył do wyjścia. – Zostań.

Sage zignorowała polecenie.

– Myślałam, że nie wolno mi zostawać samej.

Spodziewała się, że Alex zaprotestuje, on jednak chwycił jej dłoń i powiedział:

– A więc, na Ducha, trzymaj się blisko mnie i rób, co ci każe.

Ledwo drzwi się za nimi zamknęły, Alex ruszył biegiem do wyjścia z wieży, ciągnąc Sage za sobą. Wszyscy ludzie zgromadzeni na dziedzińcu wewnętrznym patrzyli w górę.

W wielkiej misie ustawionej na słupach płonął potężny ogień, rzucając złocisty blask na granitowe mury. Poniżej zwisało zakrwawione ciało mężczyzny, na którym namalowano białą, czteroramienną gwiazdę Kimisary. Podszedł do nich żołnierz w czerni i wyjaśnił, że wszyscy twierdzą, jakoby ten człowiek był schwytanym szpiegiem.

– Zdaje się, że ten Kimisar, którego widziałas, nadal przebywa w fortecy – stwierdził sucho Alex.



Sage przysłuchiwała się dyskusji oficerów.

– Jeśli ktoś chce przekazać wiadomość za pomocą trupa, to wiesz go w miejscu, gdzie wszyscy mogą go zobaczyć – upierał się Casseck. – Ten zaś wisi po zachodniej stronie, a nie na samym szczycie wieży. Kimisarowie znajdują się na zachodzie. Porzucili D’Amirana.

– Pewnie to był nieszczęśnik, którego przysłali z wiadomością – zauważył Gramwell. – Tylko dlaczego mieliby odejść? Czy jakieś inne wojska zbliżają się od tamtej strony?

Alex podniósł rękę.

– To nie ma znaczenia. Teraz poranny raport nabrał sensu. Dzięki temu, że już ich tam nie ma, można dostarczyć zwiadowcom czerwony sygnał. Ale ten obszar nie pozostanie długo otwarty. Trzeba działać. – Casseck i Gramwell zgodnie kiwnęli głowami. – Kiedy już dostaną sygnał, paru ludzi dotrze w ciągu dwóch dni do miejsca, skąd można go nadać. Posiłki dotrą w ciągu pięciu dni, powiedzmy w zaokrągleniu, że wszystko potrwa dni dziesięć. Ponieważ stracimy na jakiś czas tego, kto zanieś sygnał, w fortecy zostaje nas dwudziestu dziewięciu.

– Da się zrobić – stwierdził Casseck. – Szczególnie jeśli pozostali zwiadowcy do nas dołączą.

– Czyli będzie nas trzydziestu trzech. – Alex skrzyżował ramiona na piersi. – Teraz jeden z nas musi się stąd wydostać. Gram, da się kanałem? Znalazłeś wylot koło rzeki od południowej strony. – Wskazał punkt na mapie.

Gramwell potrząsnął głową.

– Wylot zamyka krata z żelaznych sztab, stara, lecz solidna. Jedną udało mi się wyjąć, ale reszta jest nie do ruszenia. Charlie dałby radę się przecisnąć, ale nigdy nie przebywał sam w ciemności tak długo, a w lesie roi się od strażników D’Amirana.

Alex kiwnął głową. Sage pomyślała z ulgą, że choroba Charliego przynajmniej do czegoś się przydała.

– A pies? – zaproponował Casseck. – To daleko, ale chyba jest szansa.

– Wszystkie psy chorują – odparł Gramwell. – Widocznie też są wrażliwe na zarazę. Szczęście, że dzisiaj rano zdołały dobiec do zwiadowców.

– Jakiej wielkości jest otwór w tej kracie? – zapytała Sage.

Gramwell podwinął rękaw, żeby pokazać znaczki, które narysował na swojej skórze. Casseck rozciągnął między nimi sznurek.

– Jakież siedemnaście centymetrów wysokości i około trzydziestu szerokości.

Sage położyła sznurek na stole, żeby lepiej wyobrazić sobie otwór. Po chwili uniosła głowę.

– Ja dałabym radę się przecisnąć.

Alex westchnął.

– Wiedziałem, że to powiesz.

Casseck i Gramwell wymienili spojrzenia, lecz nie odważyli się skomentować.

– Może zajrzę do Charliego, a wy sobie to przedyskutowujcie – powiedziała, uznając, że lepiej, aby jej przy tym nie było.

Alex bez słowa wskazał boczne drzwi. Sage weszła do pokoju, uklękła przy posłaniu Charliego i odgarnęła mu z czoła sklezione potem włosy. Jego oddech był głęboki i regularny – znak, że jutro Charlie powinien wydobrzeć. Na łóżku obok leżał miecz Aleksa i Sage domyśliła się, że to właśnie on opiekuje się bratem. Tylko jednej osobie był skłonny powierzyć Charliego – właśnie jej.

W tym momencie Alex wszedł do pokoju, stanął w nogach łóżka, splatając ramiona na piersi.

– Nie podoba mi się ten pomysł.

Nie spojrzała na niego.

– A masz lepszy?

– Jeszcze nie. Potrzebuję czasu.

– Nie mamy czasu. – Podniosła się i stanęła naprzeciw niego. – Umiem poruszać się cicho po lesie, potrafię odnaleźć drogę w ciemnościach. Wspinam się po drzewach i skałach. Zanim zorientują się, że mnie nie ma, będzie już za późno. A może w ogóle nie zauważą mojej nieobecności. Moglibyście wysłać mnie przed wieczornym apelem.

– A jeśli wpadniesz na kogoś ze strażników D’Amirana?

– Chorują, nie ma ich tam tylu co zwykle. – Uniosła głowę. – Poza tym nauczyłeś mnie walczyć. Poradzę sobie.

Zmrużył oczy.

– Jedna lekcja jeszcze nie uczyniła cię wojownikiem. Teraz jesteś nieco mniej bezbronna, to wszystko.

– To ty mnie w to wplątałeś. – Skrzyżowała ramiona tak jak on.

– I źle zrobiłem. – Zamknął oczy i przyłożył dłoń do czoła. – Nie musisz mnie

karać. Sam dobrze sobie z tym radzę.

– Tu nie chodzi o ciebie i o mnie – odparła. – Chodzi o to, co trzeba zrobić i kto może to zrobić.

– Wiem, że mnie nienawidzisz. – Opuścił rękę i wbił spojrzenie w Sage. Nagle dostrzegła zmęczenie na jego twarzy. Czy on w ogóle spał? – Ale nie mogę cię stracić, Sage. To by mnie zabiło.

– Alex. – Drgnął.

Nie słyszała jego imienia od poprzedniego wieczoru i zastanawiała się, czy w ogóle ktokolwiek tak się do niego zwraca. I co to dla niego znaczy. Jeśli wszyscy mówili do niego tylko „sir” czy „kapitanie”, łatwo mógł zapomnieć, że jest kimś jeszcze. Czyżby przybrał rolę Myszy, by choć na chwilę przed tym umknąć?

– Jutro prawdopodobnie będę bezpieczniejsza tam niż tutaj – szepnęła. – Pozwól mi iść.

Opuścił ramiona. Wiedziała, że wygrała.

Alex mocno zaparł się stopami o ziemię, pochylił się i chwycił rzeźbioną kamienną kratę zamykającą otwór kanału. Wraz z nią oderwała się gruba warstwa brudu. Sage zauważyła jednak, że niedawno ktoś musiał tę kratę wyjmować, a szlam i mech wetknięto tam, by to zakamuflować. Krata była bardzo ciężka, Alex zdołał ją odsunąć tylko odrobinę – tak by Sage zdołała wśliznąć się do środka. Oboje spojrzeli w czarną czeluść.

– Jesteś pewna?

– Tylko ja mogę to zrobić.

Kiwnął głową, nie odrywając wzroku od otworu.

– Znasz drogę?

– W takim stopniu, jak to tylko możliwe.

– I wiesz, gdzie masz się spotkać ze zwiadowcami?

– Na południe od przełęczy.

– I masz sztylet, który ci dałem?

– Schowany tak, by bez trudu po niego sięgnąć.

Alex obrócił ją w swoją stronę, chwycił za łokcie i pochylił się, by dotknąć czołem jej czoła. Nie wiedziała, które z nich mocniej drży. Tak łatwo byłoby sobie wyobrazić, że to Ash. Przez chwilę pozwoliła sobie tak myśleć, poczuć to. Przymknęła oczy i dostosowała oddech do jego oddechu.

Uniósł rękę i odgarnął nieposłuszne kosmyki z jej twarzy.

– Pozwól, że powiem to jeszcze raz, Sage. Proszę.

– Nie. – Odsunęła się, potrząsając głową.

To nie był Ash, a ona nie chciała tego słuchać.

Puścił ją, jego ramiona opadły bezwładnie.

– To pozwól mi przynajmniej powiedzieć, że chciałbym prze...

– Nie – powtórzyła.

Patrzenie, jak jej słowa trafiają go niczym ciosy, przyniosło jej znacznie mniejszą satysfakcję, niż sądziła.

Znów otworzył usta, żeby coś dodać, ale zaraz zacisnął wargi i kiwnął głową.

– Jestem gotowa – powiedziała, chociaż nie była to prawda.

Alex jeszcze raz kiwnął głową, chwycił ją za ramiona, podniósł i powoli opuścił w głąb wilgotnego otworu.

– Stoję – powiedziała, kiedy jej buty dotknęły dna tunelu.

Wtedy ją puścił. Przez chwilę szukał jej oczu, ale widziała, że nie może dostrzec jej w ciemności.

– Jeśli wpadniesz w tarapaty, przysięgam, że nie spocznę, dopóki cię nie znajdę – zawołał cicho.

Sage mogła udać, że już jej nie ma, lecz nie chciała odchodzić bez słowa.

– Wiem.

Szła przed siebie w całkowitych ciemnościach, po omacku odnajdując zakręty, które opisał Gramwell. Musiała iść przez cały czas schylona, ostrożnie stawiając kroki w zimnej, szlamowatej wodzie. Czasem trafiała na kamień lub – co gorsza – na miększe niezidentyfikowane przedmioty. Na szczęście jej palce ścierpły z zimna w ciągu kilku minut.

Próbowała nie myśleć o nim – o Aleksie. O jego błagalnym spojrzeniu i delikatnym dotyku, o drzeniu rąk w chwili, gdy puścił jej dłonie. O obietnicy, że w razie gdyby miała kłopoty, rzuci wszystko, żeby jej szukać. Jeśli żołnierze zawiodą, być może nigdy więcej go nie zobaczy. Albo zobaczy wiszącego na szczycie najwyższej wieży.

Niezależnie od tego, jak mocno go nienawidziła, nie zasłużył na taki los.

Potknęła się na sterczącym kamieniu, chwyciła się czegoś, co, miała nadzieję, było korzeniem drzewa przerastającym ścianę kanału. Brak czucia w palcach stóp i dłoni powoli rozszerzał się na całe członki. Czy tak właśnie wygląda śmierć – nic się nie widzi, nie słyszy i nie czuje, po wieczność błądzi się w ciemności?

Daleko z przodu na murze zajaśniało blade światło. Ruszyła ku niemu z pełnym wdzięczności łkaniem. Jeszcze jeden zakręt i na końcu tunelu pokazała się krata. Kolejnych kilkanaście kroków i już chwyciła za pręty, słuchając odgłosów owadów i nocnych zwierząt, starając się oddzielić je od echa za swoimi plecami. Nic nie wzbudziło jej podejrzeń.

Przez chwilę macała pionowe kraty, aż wreszcie znalazła obłuzowany pręt. Wyszarpnęła go, przy okazji wywołując fontannę piachu i rdzy. Zauważyła, że w blasku księżyca jej ręce mocno świecą bledością, więc wpadła na pomysł, żeby wysmarować ziemią twarz, szyję i dłonie. Dokładnie jak w dniu, kiedy miała spotkać się ze swatką, tyle że teraz zamierzony efekt był nieco inny. Ta myśl wywołała u niej lekki uśmiech. Wykorzystała ją, żeby skupić się na zadaniu, tak jak mówił Alex.

Zadowolona z kamuflażu pochyliła się i zaczęła przeciskać ciało przez otwór powstały między prętami, najpierw ramiona i głowa, twarzą w dół. Wreszcie jej chuda sylwetka i płaska pierś okazały się zaletą. Woreczek, w którym niosła zaszyty czerwony sygnał, tkwił tuż przy jej talii, nie przeszkadzał. Inaczej

sprawa miała się z biodrami.

Sage, stękając z wysiłku, próbowała precyzyjnie je między prętami, wyrzucając sobie w myślach, że nie zabrała odrobiny masła, którym mogłaby nasmarować kratę. Opuściła nieco spodnie i znów zaczęła się przeciskać, z trudem zyskując kolejne dwa centymetry. Przerdzewiały metal drapał nagą skórę. Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć z bólu, i jedną stopą odepchnęła się z całych sił od ziemi. Potem oderwała drugą stopę, niechcący uderzyła twarzą w kamień, którego się trzymała, i otarła kolana o pręty. Mimo bólu w tyłu miejscach na całym ciele czuła ogromną ulgę. Chciwie łąpała powietrze.

Ale teraz była cała mokra i zabłocona, w dodatku krwawiła. Całkiem wysunęła stopy z otworu i podciągnęła spodnie. Usiadła i spojrzała na wyjście z tunelu, zastanawiając się, czy ma sens wkładać pręt na miejsce. W końcu wyjęła go i zważyła w ręku. Dodatkowa broń na pewno nie zaszkodzi. Jeszcze przez moment nasłuchiwała odgłosów nocy, po czym, ostrożnie stawiając stopy, zeszła po nasypie i skierowała się na południowy wschód.

Teren był skalisty, a wiosna późno przysłała tego roku, więc prawie nic tu nie rosło i nie spowalniało jej marszu. W krótkim czasie pokonała dystans pięciu kilometrów i skręciła na wschód, wzdłuż stromego wzniesienia. Nagle poczuła, że coś jest nie tak – w lesie panowała niepokojąca cisza. Przycisnęła plecy do drzewa i wstrzymała oddech. Po prawej stronie, jakieś czterdzieści metrów dalej, trzasnęła gałązka, protestując pod ciężarem czyjejś stopy.

Ktoś tu był.

Nie mogła wstrzymać oddechu bez końca. Tak cicho, jak tylko potrafiła, wzięła kilka drżących oddechów, starając się nie robić zbyt wielkich chmur pary w zimnym powietrzu, chociaż ten ktoś na pewno zdążył się zorientować, gdzie jej szukać. Ścisnęła zardzewiały pręt w spoconych dłoniach. Przez dźwięk mocno walącego serca przebijał szelest suchych liści kruszonych pod stopami. Coraz bliżej.

Sage wzięła głęboki wdech i pobiegła wzdłuż wzniesienia. Jakiś duży kształt ruszył za nią, łamiąc zarośla. Jeszcze nigdy w życiu nie pędziła tak szybko. Wiatr świstał jej w uszach, ale wiedziała, że wkrótce się to skończy.

Doganiał ją.

Skoczyła między drzewa, z trudem łapiąc oddech, kluczyła, zmieniała kierunek tak często, jak pozwalało na to ukształtowanie terenu. Blask księżyca oświetlał jej drogę, ale pomagał również jej prześladowcy. Już słyszała jego ciężki oddech. Gwałtownie skręciła w lewo i zobaczyła ruch ręki sięgającej po kaptur przy jej kurtce. Sekundę później palce chwyciły tkaninę.

Sage obróciła się na pięcie i zadała cios prętem w wyciągnięte ramię. Mężczyzna krzyknął, trzasnęła kość, ale chwila triumfu nie trwała długo – Sage straciła równowagę i poleciała do tyłu. Stoczyła się po stromym stoku. Pręt poleciał w powietrze, a ona wciąż spadała, skupiając się raczej na tym, by osłonić głowę i kark, niż próbując się zatrzymać. Mężczyzna, postępując z bólu, stoczył się za nią.

Bezwładnie koziołkując nad paprociami i kamieniami, w końcu uderzyła w wielki pień leżący na dnie wąwozu. Straciła dech w piersi. Już myślała, że nigdy go nie odzyska, lecz w końcu powietrze wypełniło jej płuca, jak zimny płomień. Zaczęła gwałtownie dyszeć i kaszleć.

– Ty mały draniu!

Wielka pięść złapała ją od tyłu za włosy, jej stopy oderwały się od ziemi. Mężczyzna rzucił nią o drzewo. Zobaczyła gwiazdy, poczuła, że związane włosy rozsypują się na karku. Opadła na czworaka, zobaczyła jego uniesioną stopę, a zaraz potem poczuła kopniaka w żebra. Upadła na plecy, prosto na ostre kamienie. Z gardła wyrwał się jęk bólu.

– No, no, co my tu mamy? – powiedział szyderczo. – Dziewczynka zgubiła się w lesie.

Czuła kształt sztyletu Aleksa w dole obolałych pleców. Jakimś cudem go nie zgubiła. Sięgnęła do tyłu. Zdążyła zacisnąć palce na rękojeści, gdy wielki cień pochylił się i złapał ją za gardło.

Przyciągnął ją bliżej i powiedział, opluwając przy tym jej twarz i owiewając ją cuchnącym oddechem:

– Nic się nie martw, złotko. Jego Miłość zajmie się tobą.

Gwiazdy – prawdziwe i te wyobrażone – zbladły, ustępując przepastnej czerni. Sage wyciągnęła sztylet z pochwy. Z całych sił uderzyła ostrzem w odsłoniętą pachę żołnierza. Uścisk wokół szyi zelżał na tyle, by zdążyła złapać oddech. Przekręciła rękojeść. Gorąca krew buchnęła na jej dłoń, potem jeszcze raz – ostrze trafiło w tętnicę. Żołnierz wreszcie ją puścił, ale na skraju widzenia pokazała się biała mgła. Było za późno. Sage zaczęła spadać – nie wiedziała jednak, czy jeszcze kiedyś dotknie ziemi.



Quinn patrzył na wolno spalającą się świecę, która odmierzała kolejne nocne godziny. Cass już dawno temu położył się spać, upominając go, by zrobił to samo, chociaż chyba musiał wiedzieć, że Quinn za nic nie zaśnie. Cisza była mu towarzyszką, a on chętnie ją przyjął, zanurzył się w niej.

Cisza znaczyła, że Sage nie złapano. Cisza znaczyła, że jest bezpieczna.

Sage go nienawidziła.

Początkowo postanowił, że wyzna jej miłość ponownie dopiero wtedy, gdy będzie gotowa; potem pomyślał, że jutro o tej porze jego już może nie będzie, próbował więc, ale ona nie chciała słuchać. Bolało bardziej niż za pierwszym razem, ból o mało go nie zabił.

Zerknął na świecę. Trzecia w nocy.

Casseck powiedział, że Sage w końcu ochłonie i mu wybaczy, ale nie znał płonącego w niej ognia, nie rozumiał bólu i straty, jaką była dla niej śmierć ojca. Od tak dawna nie miała nikogo bliskiego. Wiedział bez wątplenia, że jest pierwszą osobą, której zaufała od dawna, którą pokochała. To było najgorsze: być może przez niego już nigdy nie otworzy się na drugiego człowieka. Potrafiłby znieść utratę własnego szczęścia, ale przekonanie, że zniszczył jej szansę na szczęście, była nie do wytrzymania.

Nie powinien był jej pozwolić na tę wyprawę. Jej odwaga nie wystarczała, nie mogła zmienić tego, że Sage jest drobna i krucha. To, że ją puścił, oznaczało, że albo nie kocha jej wystarczająco, albo nigdy nie będzie w stanie niczego jej odmówić.

Czwarta.

Rozumiała go lepiej niż wszyscy inni ludzie, może to podziiała na jego korzyść. Wyznał jej najgłębszy ze swoich lęków – że jest zwykłym potworem – a ona odrzuciła tę myśl od razu, bez namysłu. Oczywiście to zdarzyło się, zanim poznała jego kolejną stronę – zdolność do kłamstwa w imię wyższej konieczności. To, że nawet ją potrafił okłamać.

Czasem ktoś odnosi rany.

Ash rzucił te słowa tak lekko. Wtedy Alex nie zrozumiał ich znaczenia na tyle, by potraktować je poważnie. Ale ta rana okazała się gorsza niż rany fizyczne, gorsza niż ciosy miecza i blizny. Dałby wszystko, żeby cofnąć się do

tamtego pierwszego wieczoru i zacząć od nowa. Zobaczyć, jak Sage uśmiecha się tęsknie i mówi: *Alex to ładne imię.*

Bo tym był dla niej. Alex. Kiedy usłyszał, jak wypowiada jego imię, odkrył coś, co do tej pory tkwiło w nim pogrzebane głębiej, niż przypuszczał. Ze wszystkich przyjaciół tylko Cass jeszcze zwracał się do niego po imieniu, i to tylko kiedy byli sami, a on chciał podkreślić wagę tego, co mówi. Nawet dla Charliego był teraz kapitanem. Ale przy Sage nie musiał zawsze podejmować słusznych decyzji ani nieustannie nad sobą panować. Albo raczej mogło tak być. Tych kilka minut, kiedy pozwolił sobie na pozbycie się wszelkiej kontroli, było najpiękniejszą chwilą w jego życiu, chociaż dziękował siłom wyższym, że nazwała go wtedy imieniem Ash. Gdyby w ten sposób nie przywołała go do porządku, ta noc mogła skończyć się zupełnie inaczej, a ona już na pewno nigdy, przenigdy by mu nie wybaczyła. Teraz przynajmniej miał jakąś szansę, choć bardzo nikłą.

Piąta.

Za niecałe szesnaście godzin będzie po wszystkim. Jeśli Sage się udało, nie miało znaczenia, czy on poniesie klęskę, czy zginie. Właściwi ludzie będą potrafili powstrzymać diuka, a Sage przeżyje. Słusznie postąpił, zgadzając się na tę misję. Sage była odważna i mądra. I już nic jej nie groziło.

Do pokoju wszedł Casseck. Potarł twarz. Chyba nie spał za wiele. Wymienili spojrzenia. Alex kiwnął głową. Cass uśmiechnął się z ulgą. Chwilę później zjawił się Charlie, blady, ale niemal całkiem zdrowy. Poprzedniego dnia o tej porze wił się w cierpieniach. Alex w ramach pokuty wynosił po nim wszystkie wiadra. Pomyślał, że wszystko świetnie się składa – to będzie idealna noc do rozpoczęcia ataku.

Paź poszedł po wodę, żeby mogli się ogolić. Na śniadanie zjedli czerstwy chleb i zimną potrawkę z zeszłego wieczoru – przyrządzoną z królików, które przyniosły psy. Zbliżała się pora apelu pod dowództwem kapitana Geddesa. Ciekawe, czy bardzo się zdenerwuje, gdy się dowie, kto wymknął się z jego sieci. Alex uśmiechał się do siebie, wkładając czystą koszulę i czesząc włosy.

Dość mocno mżyło, co oznaczało, że przełęcz będzie przejezdna akurat na czas, żeby przeszły przez nią zmierzające im na pomoc posiłki. Jego żołnierze będą musieli tylko zaszkozić D'Amiranowi na tyle, by nie mógł wcześniej zamknąć przejścia. Dzięki genialnemu pomysłowi Sage, jak unieszkodliwić koszary, czuł jak nigdy dotąd, że musi im się udać.

Żołnierze ustawili się w rzędach. Geddes podszedł do nich, jak zwykle z krzywym uśmiechem na twarzy. Alex, skinieniem głowy odpowiadając na

pozdrowienie, również złośliwie się uśmiechnął. Już nigdy więcej nie będzie musiał salutować temu sukinsynowi.

– Wszyscy w komplecie.

Kapitan ledwo raczył spojrzeć na żołnierzy.

– Ach, tak. – Pociągnął za ucho i zmierzył Aleksa spojrzeniem. – Ciężka noc? Wyglądasz na zmęczonego.

– Dach w naszych kwaterach cieknie jak sito. Trudno spać, kiedy na człowieka pada deszcz.

– Proszę o wybaczenie. – Nie zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście było mu przykro. – Dla mnie ta noc również była pełna tortur.

Alex puścił te słowa mimo uszu. Sage była bezpieczna, a jego czekało sporo pracy, musiał przygotować wszystko na wieczór.

– Jeśli nie masz do nas więcej spraw, zobaczymy się za kilka godzin na kolejnym apelu.

Geddes kiwnął głową i odwrócił się. Alex spojrzął na Cassecka, który dał rozkaz „spocznij”. Tego ranka nie mieli nic do zakomunikowania. Każdy znał swoje zadania i wiedział, co ma robić.

– Och, kapitanie. – Geddes odwrócił się nagle. – Byłbym zapomniał. Znalazłem coś, co zgubiłeś. – Wsadził rękę za pazuchę, mrucząc: – Gdzieś tu jest.

Alex czekał, zgrzytając zębami. Geddes wybrał specjalnie ten moment, by narazić na niedogodności jak najwięcej osób. Alex czuł, jak jego kurtka nasiąka deszczem, i wiedział, że to samo czują wszyscy jego podwładni.

– A, jest.

Niemożliwe, żeby przez okrągłą minutę musiał szukać za pazuchą czegoś tej wielkości...

*Nie.*

*Dobry Duchu, NIE.*

Geddes wysoko uniósł sztylet o czarnej rękojeści, tak by wszyscy mogli go zobaczyć. Złote inicjały pokrywał brud.

Pod Aleksem ugięły się kolana. Cass chwycił go za łokieć i podtrzymał.

– Spokojnie – szepnął.

Alex wyprostował się, a Geddes zrobił krok w jego stronę, z uśmiechem podając mu sztylet. Deszcz spływał ciemnymi strużkami wzdłuż ostrza, zmywając wszelkie zabrudzenia.

Strumyki czerwieni.

Krew.

Alex doczołgał się do swojej komnaty i natychmiast zwymiotował do wiadra, z którego wczoraj korzystał Charlie.

Ile godzin siedział na zewnątrz beztroski i zadowolony? Od ilu godzin nie żyła, podczas gdy on sądził, że jest bezpieczna? Uśmiechał się, golił i jadł, jak gdyby nigdy nic.

Chwyciła go kolejna fala nudności. Wymiotował, jednocześnie łkając. Było mu obojętne, że Casseck, Gramwell i Charlie zobaczą jego słabość, ponieważ nic już się nie liczyło oprócz faktu, że Sage nie żyje. A on ponosił winę za jej śmierć i również chciał umrzeć.

W końcu, kiedy jego żołądek od dawna był pusty, torsje ustąpiły. Przed jego twarzą pojawiła się wilgotna ściereczka. Ponieważ nie sięgnął po nią, Casseck sam otarł mu nią twarz. Alex, siedzący na podłodze między posłaniami, oparł się o łóżko Charliego.

– Zabiłem ją – wyszeptał.

– Nie – odparł stanowczo Cass. – To nie twoja wina.

Alex potrząsnął głową i uniósł dłoń do twarzy. Nagle zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma sztylet. Z trudem rozprostował palce, całkiem skurczone, tak mocno zaciskał je na rękojeści. Wryte na niej inicjały odcisnęły się na skórze i teraz siniąły. W liniach po wewnętrznej stronie dłoni zebrała się brązowawa krew.

Jej krew na jego rękach.

Znów pochylił się nad wiadrem. Przez kolejne pięć minut walczył z torsjami – w żołądku od dawna nic już nie zostało.

Tym razem sam otarł sobie twarz. Cass podał mu kubek wody. Charlie stał z boku ze zmartwioną miną.

– Ty też zachorowałeś? – spytał.

– Nie, ja tylko... – urwał.

Nagle w jego głowie pojawiła się nowa myśl.

Zabije ich wszystkich.

Dopiero kiedy Casseck zapytał: „Co?”, Alex zrozumiał, że powiedział to na głos.

– Zabiję ich. Diuka, Geddesa i każdego człowieka, który stanie mi na drodze.

Cass pokręcił głową.

– Jeśli się podda, nie zrobisz tego.

Narastała w nim wściekłość. Grzał się przy jej ogniu.

– Zobaczymy.

– Przysługują mu pewne prawa i przywileje. To mogłoby zniszczyć twoją karierę. Wylądujesz w więzieniu.

– Nie dbam o to – odparł, podnosząc się.

Rozległo się pukanie do drzwi wychodzących na korytarz. W szparze pokazała się głowa sierżanta Portera.

– Proszę o wybaczenie, ale pani Rodelle pragnie porozmawiać.

Alex zamknął drzwi do pokoju, żeby gość nie poczuł smrodu z wiadra i dał znak Porterowi, by ją wprowadził. Casseck szeptem wydał Charlie’emu polecenie i chłopak wymknął się na korytarz, mijając się z panią Rodelle. Jej niebieskie oczy lśniły gniewem. Strzepnęła mokrą spódnicę i zapytała:

– Gdzie ona jest?

– Pani Rodelle...

– Nie jestem głupia. Wiem, że spędziła tutaj noc. Zgodziłam się, żebyś zrobił z mojej uczennicy szpiega, a nie...

– Ona nie żyje.

Swatka zamarła w połowie zdania. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Słucham?

– Nie żyje. – Za każdym razem, gdy Alex wypowiadał te słowa, ogarniał go coraz większy spokój. – Złapano ją podczas wykonywania zadania, które miało na celu wcześniejsze sprowadzenie posiłków.

– Ale... masz pewność?

– Tak. – Alex zacisnął palce na rękojeści sztyletu. – Mam pewność.

– Widziałeś ją? – naciskała.

Alex po raz pierwszy się zawahał.

– Nie.

– Czy jest zatem możliwe, że jednak żyje?

Ale gdyby ją pojmano, Geddes nie drażniłby się z nim w taki sposób. Powiedziałby...

*Dla mnie ta noc również była pełna tortur.*

Alex zachwiał się, złapał za brzeg stołu, by nie upaść. Sztylet wysunął mu się z ręki i zabrzęczał na blacie. Alex osunął się na krzesło, to samo, na którym siedział przez całą noc, podczas gdy ona...

– Nie wiem.

– Żywa czy martwa na pewno jest gdzieś w twierdzy – wtrącił Casseck. – W lochach lub w infirmerii. Albo w prywatnych komnatach D’Amirana.

– Albo w jeszcze innym miejscu. – Gramwell odezwał się po raz pierwszy. – Pewnych obszarów w budynku wieży nie umieliśmy namierzyć. To mogą być słupy konstrukcyjne, tajemne pomieszczenia czy korytarze.

– Przyspieszamy całą akcję – oznajmił Alex. – Nie będę czekał do wieczora. – Ciemność byłaby ich sprzymierzeńcem, ale czas był wrogiem. – Czy będziemy gotowi na posiłek południowy? Wtedy wszyscy i tak zgromadzą się w Wielkiej Hali, więc połowa zadania z głowy.

Cass przytaknął. Pani Rodelle zrobiła zdumioną minę.

– Myślałam, że po prostu stąd odjedziemy jak gdyby nigdy nic. Najwyraźniej plany się zmieniły.

Alex spojrzał na nią.

– Owszem. Okazało się, że to twoje podopieczne są celem, który upatrzył sobie diuk.

Nagle dotarła do niej prawda. Usiadła ciężko na krześle.

– Na Ducha, te wszystkie małżeństwa zawarte w ciągu ostatnich dwóch lat... dzięki nim przywiązał do siebie połowę Crescery.

– A teraz usiłuje zdobyć resztę – dokończył Alex. – Sage odkryła jego plany.

Pani Rodelle słabo się uśmiechnęła.

– Oczywiście.

– Dlatego tym bardziej musimy ją znaleźć.

Wszystko w nim krzyczało, żeby natychmiast przystąpić do działania, rozebrać tę wieżę, cegła po cegle. Ale nie, musiał zaczekać na odpowiedni moment. Zacisnął pięści, żeby powstrzymać drżenie ramion.

Cierpliwości.

– Możemy zacząć działać dopiero za kilka godzin – powiedział. – W tym czasie chcę się dowiedzieć, gdzie ona jest i czy żyje.

Casseck ruchem głowy wskazał sztylet na stole.

– To miało skłonić cię do poszukiwań. Diuk tego właśnie oczekuje. Jego ludzie schwytają każdego, kto będzie węszył.

– Mam pomysł, kogo wyślemy – powiedział Gramwell.

D'Amiran obserwował ze swojego okna, co się dzieje. Żołnierze z eskorty kręcili się po dziedzińcach, zbierając zapasy na drogę, on jednak wiedział, że to tylko przykrywka. Tak naprawdę szukali dziewczyny.

Uśmiechnął się. Nigdy jej nie znajdą.

Jeszcze trochę i Quinn zacznie szaleć. Geddes widział wyraz jego twarzy w chwili, gdy podał mu sztylet – chłopak ledwo nad sobą panował. D'Amiran z przyjemnością wykonałby na nim wyrok na oczach tłumu. Wśród żołnierzy z eskorty rozpięta się chaos, a jego ludzie bez trudu nad nimi zapanują.

A wieczorem nastąpi zakończenie całego przedsięwzięcia.

Wtedy ostatni z jego sojuszników będą już na miejscu. Skrybowie właśnie kończyli obwieszczenia o ślubach i wezwania do wypłaty posagów, posłańcy wyruszą o pierwszym brzasku, kiedy zbierze się prześcieradła na dowód nierozzerwalności związków. On zaś da armii rozkaz do wymarszu. Zdawał sobie sprawę, że trochę popsuje niespodziankę, wcześniej wysyłając głowę Quinna jego ojcu, nie mógł się jednak oprzeć poezji tego pomysłu.

– Wasza Miłość – usłyszał głos za plecami. Odwrócił się i zobaczył zgiętego w ukłonie służącego. – Posiłek gotowy, jeśli Wasza Miłość zechce zakończyć post. – Służący wskazał nakryty stół.

– Właściwie chyba udam się do Wielkiej Hali – odparł D'Amiran.

Służący z trudem ukrywał niezadowolenie. Niełatwo było wnieść te wszystkie naczynia na wieżę, ale diuk o to nie dbał. Chciał zobaczyć twarz Quinna, rozkoszować się tym widokiem.

Strząsnął z ramion długą szatę, a służący prędko pobiegł po jego kubrak. Po drodze syknął do pazia, żeby poleciał opóźnić posiłek do przybycia diuka. Kiedy guziki obcisłego kubraka były już zapięte, a rękawy starannie wygładzone, D'Amiran zszedł na dół energicznym krokiem. Wszedł do Wielkiej Hali tylnym wejściem i powitał uśmiechem wszystkich zgromadzonych, którzy podnieśli się z miejsc. Jedną ręką dał znak, by usiedli. Powiódł wzrokiem wzdłuż stołu, przy którym siedzieli oficerowie z eskorty. Wszyscy trzej.

Lady Clare wstała ze swojego miejsca, podeszła do niego i nisko dygnęła.

– To dla nas wielki zaszczyt – powiedziała.

Tę wybrał dla siebie. Owszem, ich rodziny już były związane dzięki

małżeństwu jej siostry z jego bratem, ale w końcu był to najbogatszy ród w całej Crescerze. Poza tym była prześliczna. Castella Carey również była śliczna. To małżeństwo w pewnym stopniu wynagrodzi tamto rozczarowanie.

Jeden z oficerów czujnie podniósł głowę i w tym momencie D'Amiran zrozumiał, w jakim celu Clare do niego podeszła. O, to będzie prawdziwa przyjemność.

– Moja droga, nie chciałbym stracić żadnej okazji, by spędzić czas w twoim towarzystwie – powiedział, po czym ujął jej dłoń i położył ją sobie na ramieniu.

Mówił na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli. Obserwujący ich oficer zeszywniał, gdy D'Amiran poprowadził Clare do swojego stołu. Wskazał jej miejsce po swojej prawej stronie. Nastąpiło niewielkie przetasowanie.

Na stole pojawiły się półmiski. Diuk odczekał, aż służący nałoży mu jedzenie na talerz, po czym zwrócił się do lady Clare:

– Jak twoje samopoczucie dzisiejszego ranka, pani? Mam nadzieję, że pogoda nie wpłynęła przygnębiająco na twój nastrój.

– Och, nie – odparła beztróska. Zbyt beztróska. – Tylko martwię się nieco o przyjaciółkę. Lady Sagerra zachorowała wczoraj wieczorem. Jeszcze jej dzisiaj nie widziałam.

Dziewczyna niezbyt dobrze potrafiła skrywać emocje. Wciąż zerkała w stronę oficerów. Wszyscy trzej przyglądali im się w milczeniu, nie ruszając jedzenia.

Zgodnie z planem Geddes miał podczas popołudniowego apelu puścić wyjątkowo nieprzyjemną aluzję co do tego, gdzie może przebywać córka ptasznika. Taką, która sprawi, że Quinn natychmiast ruszy jej na ratunek. I która wpędzi go prosto w pułapkę w prywatnych komnatach diuka. Ale oto nadarzyła się wspaniała okazja. Byłoby grzechem z niej nie skorzystać.

D'Amiran spojrział na Clare ze współczującym uśmiechem.

– Rzeczywiście, leży w mojej infirmerii. Rozmawiałem z nią ledwo godzinę temu.

Clare wyprostowała się jak struna.

– Czy mogłabym ją zobaczyć, Wasza Miłość?

– Och, nie, pani – odparł. – Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybyś również zachorowała. – Z krzywym uśmiechem zerknął w stronę stołu oficerów. – Poza tym nie jest w stanie z nikim rozmawiać.



Sage obudził jednostajny dźwięk kapiącej wody. Twarz bolała ją w tylu miejscach, że wydawało się to prawie niemożliwe. Na jedno oko ledwo widziała. Odwróciła głowę od światła i odkryła kolejny bolący punkt w tylnej części czaszki. Przez jakiś czas walczyła z mdłościami i zawrotami głowy, a kiedy już je pokonała, przypomniała jej się ostatnia noc. Mdłości gwałtownie powróciły. Przetoczyła się na bok i zwymiotowała na kamienie skromną zawartość żołądka.

Potężne dłonie odgarnęły pojedyncze kosmyki z jej twarzy – włosy kleiły się do czaszki za sprawą zaschniętej krwi. Kiedy mięśnie napięły się z powodu torsji, poczuła, że na całym ciele ma mnóstwo sińców i zadrapań. Osunęła się bezwładnie, jęcząc z bólu.

– Będzie dobrze – powiedział kojąco niski głos. Przycisnęła ręce do brzucha. Woreczek z czerwonym sygnałem znikł. Gorączkowo macała dokoła. Tylko to się liczyło. – Mamy go – powiedział mężczyzna. – Spokojnie.

Próbował ją posadzić, ale stawiała opór, aż znów poczuła zawroty głowy. Podtrzymał ją i po chwili świat przestał wirować. Dojrzała mglisty zarys ciemnej, brodatej twarzy, który powoli się wyostrzał. Teraz go rozpoznała, chociaż było ciemno, kiedy spotkali się w lesie ostatniej nocy. Upewniwszy się, że Sage jest w stanie siedzieć o własnych siłach, puścił ją, zmoczył kawałek tkaniny wodą z manierki i zaczął wycierać jej twarz. Sage drgnęła z bólu, ale on nie przerywał.

– Najpierw nie zauważyliśmy, że jesteś dziewczyną, dopiero kiedy wstało słońce i mogliśmy lepiej ci się przyjrzeć. Wybacz, jeśli cię poturbowaliśmy.

– To nic. – Kiedy odnalazła zwiadowców Aleksa, była bliska utraty przytomności, więc nawet nie protestowała, gdy przygnietli ją do ziemi i przeszukali. – Strażnik zamkowy, który dopadł mnie wcześniej, był znacznie brutalniejszy. – Mężczyzna zachichotał. Sage rozejrzała się dokoła. Siedzieli schowani pod nawisem skalnym na stoku stromego wzniesienia. – Gdzie są pozostali?

Ponownie zmoczył szmatkę i odparł:

– Dell sprawdza wnyki, a Stephen poszedł na zwiad. Rob i Jack są już pewnie przy przełęczy. Jeśli się pospieszą, może zdążą nadać sygnał jutro o świcie i posiłki będą na miejscu w ciągu niespełna tygodnia. Dzięki tobie. Możesz pić?

Kiwnęła głową i odkryła, że ten ruch na pewno nieprędko będzie miała ochotę powtórzyć.

– Tak – wychrypiała.

– Proszę. – Przytknął jej manierkę do ust. – Ale sącz powoli, chociaż chciałabyś wypić więcej. – Posłusznie przełknęła odrobinę wody. Bolało ją nawet gardło. Mężczyzna popatrzył na nią uważnie i dodał: – Pierwszy jest zawsze najtrudniejszy. Ale lepiej on niż ty.

Sage przypomniała sobie, jak ocknęła się pod ciężarem trupa. Cud, że się nie udusiła. Zepchnęła go z siebie i zwymiotowała prosto na jego ciało. Kiedy już była w drodze, cała w jego krwi, przypomniała sobie, zbyt późno, że zostawiła sztylet.

– Ty też wymiotowałeś po swoim pierwszym zabójstwie? – spytała między jednym łykiem a drugim.

– Nie znam nikogo, kto zareagowałby inaczej.

Od razu lepiej się poczuła.

– Nawet kapitan Quinn?

– Alex? Przez kilka dni. – Mężczyzna przysiadł na piętach. – W nocy byłeś w takim stanie, że nawet się sobie nie przedstawiliśmy. – Podał jej rękę. – Sierżant Ash Carter.

Sage westchnęła.

– No oczywiście.

Sage przedstawiła plan Aleksa Ashowi, zajętemu przygotowywaniem posiłku na niewielkim ognisku. Woń krwi, którą nasiąkło jej ubranie i włosy, zabiła apetyt, ale zmusiła się, żeby coś zjeść. Musiała wkładać jedzenie do ust bardzo ostrożnie, ponieważ wargi pękły w dwóch miejscach. Przeżuwanie również okazało się trudne, z powodu sińców i zadrapań na lewym policzku. Przynajmniej zęby i szczęka były całe.

Ash przyglądał się, jak brudnymi palcami wsuwa do ust kawałek chleba żołnierskiego, właściwie upieczonej owsianki.

– A więc jesteś pokojówką?

W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie pokręcić głową.

– Nie. Pracuję dla swatki. Miałam za zadanie wmieszać się między kandydatki i pomóc kapitanowi Quinnowi w zdobyciu informacji. To długa historia.

– Chętnie jej wysłucham. – Podał jej kawałek mięsa z wiewiórki.

Sposób, w jaki patrzył na Sage, nieco ją krępował.

Odchrząknęła i wzięła od niego mięso.

– Kiedy poznałam Aleksa, przedstawił się jako Ash Carter. A ty naprawdę się tak nazywasz, czy jest to po prostu ulubione nazwisko wszystkich szpiegów?

Uśmiechnął się ironicznie.

– Naprawdę. Zwykle to ja zajmuję się zbieraniem informacji, lecz Alex chciał spróbować swoich sił, a mnie wysłać na zwiady. Moja legenda była gotowa, więc zaproponowałam, żeby się nią posłużył, zamiast tworzyć kolejną osobę.

Sage przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami, przeżuwając jedzenie.

– Trzeba stworzyć całkiem nową tożsamość, by działać skutecznie. – Ash kiwnął głową. – A więc dobrze znasz Aleksa? Wychowywaliście się razem? – Znów przytaknął. – I naprawdę jesteś bratem przyrodnym księcia Roberta? – Kiwnął głową. – Pozostajesz w randze sierżanta, żeby nie przewyższać go stopniem?

Skrzywił się.

– Widzę, że sporo o mnie wiesz.

– Tylko tych kilka szczegółów. Chyba trochę potrwa, zanim ułożę sobie to wszystko w głowie. Twoja historia miesza się z jego przybraną tożsamością.

Ash zachichotał.

– Tak, trudno utrzymać pewne rzeczy w tajemnicy. – Przyglądał jej się przez chwilę. – Czy on odwzajemnia twoje uczucia?

Sage gwałtownie uniosła głowę.

– *Moje co?*

Ash zrobił zaskoczoną minę.

– Twoje uczucia – powtórzył powoli. – Bardzo ci na nim zależy.

– Ja nie...

– Czyżby? W takim razie coś mi się zdawało... – Ash wsadził do ust kawałek mięsa. – Ale nie ma się czego wstydzić, gdyby tak było. Połowa znanych mi panien wolałaby go nawet od Roberta. Gdybyś widziała, jakie zamieszanie panuje na dworze przy każdej jego wizycie.

Sage uważnie otrzepała okruszki z kurtki, która nadal była mokra, więc większość tylko się rozmazała.

– Co tłumaczy jego biegłość w oszukiwaniu kobiet.

– Ani trochę. – Ash usiadł wygodnie i powiedział: – Alex jest nieco... skryty, ale ci z nas, którzy dobrze go znają, zwykle potrafią określić, co tam się dzieje. – Tu popukał się w skroń. – Ale jak już wymyśli coś konkretnego i postanowi wprowadzić plan w życie, zwykle wychodzi to na światło dzienne.

– Jasne. I zwykle jest to kłamstwo. Na dobry początek podał się za ciebie.

Ash uśmiechnął się niewesoło.

– Pewnie bolało.

Sage drgnęła.

– Nie jestem durną, sentymentalną gęsią...

– Mam na myśli, że bolało jego – odparł spokojnie Ash. – Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jak to wyglądało z jego perspektywy? – Podniósł patyk, na którym piekło się mięso, i zaczął wyginać go w tył i przód. – Próbowałem go ostrzec. Zabawa w szpiega daje mnóstwo radości aż do chwili, gdy zdajesz sobie sprawę, że ludzie nie lubią ciebie, tylko tę osobę, którą udajesz. A kiedy poznają prawdę... – Ash wzruszył ramionami i wrzucił patyk w płomień. – Cóż, wtedy zaczynają cię nienawidzić.

*Nienawidzę cię.* To były jedne z pierwszych słów, które cisnęła mu wtedy w twarz. A odpowiedź brzmiała...

*Kocham cię, Sage. Ze wszystkiego, co powiedziałem i zrobiłem, to na pewno jest prawdą.*

Sage zapatrzyła się przed siebie, ale po chwili znów spojrzała na Asha, który uśmiechał się zachęcająco.

– Jeśli powiedział, że mu na tobie zależy, uważam, że powinnaś uwierzyć. A co do twoich uczuć, nie miałem najmniejszych wątpliwości już w chwili, gdy po raz pierwszy wypowiedział jego imię.

Sage zacisnęła powieki, walcząc ze łzami. Bolało tak bardzo, ponieważ sądziła, że Alex kłamał, teraz jednak zrozumiała, że tak nie było – w każdym razie nie w istotnym znaczeniu tego słowa. Pokazał jej prawdziwego Aleksa, człowieka ukrytego za swoją pozycją. Aleksa pogrzebanego tak głęboko, że nawet on powoli zapominał o jego istnieniu. I ten Alex złożył swoje serce u jej stóp, doskonale wiedząc, jaka będzie jej reakcja. Przypomniała sobie ich rozstanie i poczuła gwałtowny ból w głębi piersi. Nawet nie pozwoliła mu się wytłumaczyć, a on przyjął jej nienawiść jak zasłużoną karę.

Ale nie czuła do niego nienawiści. Gniew był płaszczem, który nosiła z przyzwyczajenia, chociaż na dłuższą metę nie dawał jej ciepła. Tak naprawdę nienawidziła tego, że wyciągał ją z ukrycia, rozbudził w niej uczucia po tych wszystkich latach, które spędziła w skorupie samotności. Nienawidziła tego, że zranił jej dumę, wydobył jej wady i kochał ją pomimo nich, a może nawet dla nich. Nienawidziła tego, że nie może znieść myśli, iż mogłoby go zabraknąć.

Kochała go.

Kochała go i musiała mu o tym powiedzieć, zanim będzie za późno.

Otworzyła oczy. Na twarzy Asha widniał szeroki uśmiech.

– Żałuję tylko, że oddałem Aleksowi posadę szpiega, bo mogłem poznać cię pierwszy. – Z rezygnacją wzruszył ramionami. – Ale nie martw się, nie zamierzam wchodzić mu w drogę.

W tym momencie do groty weszli Stephen i Dell; ten drugi na polecenie Asha przyniósł wiadro wody i teraz zaczął przemywać rany i zadrapania na ciele Sage. Wcześniej nawet nie zauważyła połowy z nich, w tym długiego głębokiego skaleczenia na czole, na linii włosów. Resztą wody wypłukała włosy i wyżeła je, ubraniem się nie przejmowała. Tymczasem żołnierze przygotowali broń i zaczęli obmyślać, jak pozbyć się patroli z fortecy.

– Ilu ich będzie? – zapytała.

– Widzieliśmy dwudziestu patrolujących strażników – odparł Ash. – Ale od kilku dni widzimy raczej ośmiu – dziesięciu.

Sage kiwnęła głową.

– Chorują.

– Przypomnij, abym powiedział Aleksowi, że to było genialne. Ojciec będzie z niego dumny.

Sage skupiła się na zaplataniu włosów w warkocz. Nie zamierzała

przechwalać się, jaką odegrała rolę w tym przedsięwzięciu.

– Jak mogę pomóc?

– Może zostaniesz? Tu jest bezpieczniej. – Kiedy na niego spojrzała, prychnął śmiechem.

Zmrużyła oczy.

– Co cię tak śmieszy?

Stephen i Dell wymienili rozbawione spojrzenia. Ash potrząsnął głową.

– Nic. Po prostu rozumiem, dlaczego on cię lubi. Jesteś potwornie uparta.

– On też. – Mimo woli Sage się uśmiechnęła. – A poza tym idę z wami.

– Potrafisz strzelać z kuszy? – zapytał.

– Nie sądzę.

– Posługiwać się włócznią czy mieczem?

Przełknęła ślinę.

– Nie.

– Nożem?

– Tylko trochę. Poza tym swój zgubiłam. – Jej pewność siebie coraz bardziej słabła.

Ash westchnął.

– Panno Sage, przykro mi to mówić, ale jeśli czegoś nie wymyślisz, będę nalegał, żebyś tu została. Jestem pewien, że kapitan się ze mną zgodzi.

Sage spuściła wzrok. Jej policzki płonęły. Nie chciała być ciężarem, ale nie mogła trzymać się z boku. Musi istnieć jakieś rozwiązanie. Jej wzrok przyciągnął sznurek przy torbie podróźnej Della. Uśmiechnęła się.

Podczas gdy żołnierze przeglądali sprzęt, wybierając, co ze sobą zabrać, a co zostawić, Sage przystąpiła do pracy. Pożyczyła nóż od Asha i rozmontowała worek dla własnych potrzeb. Kiedy pokazała Ashowi, co wymyśliła, zmarszczył brwi i spytał:

– Jak dobrze sobie radzisz?

– Wystarczająco, żeby upolować zwierzę – odparła.

Brwi Asha pozostały ściągnięte, ale kiedy obiecała słuchać rozkazów i nie wchodzić im w drogę, zgodził się, żeby poszła z nimi. Stephen i Dell też chyba nie mieli nic przeciwko jej towarzystwu, zwłaszcza gdy udowodniła, że potrafi dotrzymać im kroku przy zejściu w dół zbocza. Kiedy dotarli do rzeki wezbranej od deszczu i topniejącego śniegu, Ash zatrzymał się i puścił Sage przodem.

Zaczęła przerzucać kamienie leżące na brzegu, szukając najgładszych i najlepiej wyważonych. Ash przyglądał jej się z ramionami splecionymi na piersi. Nadal nie był przekonany do jej pomysłu, a ona nawet nie miała mu tego za złe.

Sama czuła, że odwaga ją opuszcza, kiedy zastanowiła się, od jak dawna nie posługiwała się procą. A tej nowej, którą skleciła ze sznurka i z kawałka skóry, jeszcze nawet nie zdążyła wypróbować.

Włożyła kilka okrągłych kamieni do kieszeni. Nie mogła tracić czasu na wybrzydzenie. Miała nadzieję, że w ogóle nie będzie musiała ich użyć.

– Starczy – zawołała, wychodząc z zimnej wody.

Ash nie ruszał się z miejsca.

– Proponuję krótki pokaz.

Nerwowo przełknęła ślinę.

– Pierwszy rzut musisz mi darować. Nie używałam tej procy.

– Daję ci trzy rzuty.

Kiwnęła głową i przeplotła sznurek między palcami. Dostrzegła na ziemi u swoich stóp idealny kamień i pochyliła się, żeby go podnieść. Był właściwie za dobry, by marnować go na pierwszy rzut, mimo to wsunęła go w skórzaną miseczkę i mocno ją ściągnęła. Zakręciła procą na próbę. Jakby nigdy jej nie odkładała. Miała ochotę się roześmiać.

– Spróbuj trafić w ten zielonkawy sęk na zwalonym drzewie. – Ash pokazał jej cel znajdujący się w odległości niecałych dwudziestu pięciu metrów.

Szybciej zakręciła procą i wymierzyła we wskazany punkt. *Nie myśl*. Po prostu rzuć. Skórzany woreczek świsnął tuż przy jej twarzy. Poderwała ramię i wypuściła kamień. Poleciał do przodu i uderzył w pień z głuchym *bum*, zagłębiając się w rozmiękle drewno tuż pod wyznaczonym punktem. Chybiła zaledwie o kilka centymetrów. Otrząsnęła się z zaskoczenia, przywołała na twarz zadowolony uśmiezek i odwróciła się w stronę Asha.

– Może być?

Alex nie wiedział, czy uwierzyć w to, co D'Amiran powiedział Clare, czy nie. W każdym razie diuk chciał, by Alex myślał, że Sage żyje, żeby ruszył jej z pomocą, a to znaczyło, że jest gotowy.

Alex również był gotów.

*Nadchodzę, Sage.*

Zapukał do drzwi.

Swatka otworzyła i wpuściła go do komnat.

– Są tu wszystkie – powiedziała, uprzedzając jego pytanie. Powiódł wzrokiem po zebranych. Niewiele ich było. – Niektóre się przebierają – wyjaśniła, pokazując na drzwi sypialni. – „Ubrać się prosto i zwyczajnie” dla nich znaczy coś innego niż dla mnie.

Alex kiwnął głową i pchnął drzwi bez pukania, wywołując kilka przerażonych okrzyków. Żadna z panien nie była jednak nadmiernie obnażona, on zaś nie miał czasu na ceregiele. Wymierzył palcem w jedną z dziewczyn, po czym powiódł nim dokoła.

– Pójdziecie za mną. Macie być cicho, nie zwracać na siebie uwagi. Jeśli odmówicie współpracy bądź zostanieie w tyle, oznacza to, że rezygnujecie z mojej ochrony.

Wysoka blondynka zrobiła krok do przodu, oddychając gwałtownie, tak że jej pierś mocno się unosiła, co zapewne w jej mniemaniu było bardzo atrakcyjne, i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Co nam zagraża, sir? – spytała.

Popatrzył na pomalowane paznokcie. Jacqueline. Przypomniał sobie imię i jej złośliwe zachowanie pierwszego wieczoru. Sage narażała życie dla tej beznadziejnej baby. Cierpiała za nią. Zimnym gestem oderwał jej palce od swojego ramienia.

– Śmierć.

Po tym słowie zapadła cisza.

Kiedy żołnierz pełniący wartę w korytarzu kiwnął głową na znak, że droga wolna, Alex wyprowadził dziewczęta z komnaty. Każda z nich niosła w ramionach zwinięty szal. Ruszyli w dół schodami prowadzącymi do pralni znajdującej się pod skrzydłem gościnnym, trzy kondygnacje niżej. Choroba



przetrzebiła pracowników, w dodatku zbliżała się pora posiłku, więc po drodze nie spotkali nikogo. Żołnierz zamykający pochód stanął na czatach za drzwiami, Alex zaś pochylił się i otworzył pokrywę zamykającą odpływ, próbując nie myśleć o dniu, kiedy to robił poprzednio. Powiódł wzrokiem po twarzach dziewcząt, na których malował się szok.

– Mamy tam wejść?! – wykrzyknęła jedna z nich.

– Tak, i to szybko. – Wyciągnął ramiona w ich stronę. – Która pierwsza?

Lady Clare bez wahania zrobiła krok do przodu, wciskając fałdy sukni między nogi, by zmniejszyć jej objętość. Chwycił ją za ramiona i opuścił w głąb otworu.

– Wejdz głębiej, żeby zrobić miejsce dla innych. – Odwrócił się do pozostałych i znów wyciągnął ramiona. – Następna. – Żadna z dziewczyn się nie poruszyła, więc pani Rodelle pchnęła w jego stronę tę, która stała najbliżej. Kiedy ją opuszczał, suknia zaczęła się w otworze i zakryła jej głowę. Pozostałe dziewczęta zebrały suknie na wzór Clare.

Jacqueline ustawiła się na samym końcu. Posłała Aleksowi kokietyrnyj uśmiezek. Zmierzył wzrokiem jej niezwykle obszerną spódnicę.

– Chyba się nie zmieścisz. – Wyjął nóż i odciął nadmiar materiału przy wtórze jej protestów. – Cisza – warknął.

Kiedy znikła w ciemnościach, kopniakiem strącił odciętą tkaninę. Została jeszcze swatka. Popatrzył jej prosto w oczy.

– Odnajdę ją – powiedział.

Uśmiechnęła się lekko.

– Wiem.

Wyciągnęła ręce i Alex opuścił ją w głąb kanału, potem wrzucił tam płócienny worek, wyjaśniając, że jest w nim trochę jedzenia, woda i kilka sztyletów. Zasuważąc kamienną kratę i maskując szpary, usłyszał jeszcze, jak pani Rodelle ostrzega, że utnie język każdej pannie, która będzie marudzić. Uśmiechnął się ponuro. Nie miał wątpliwości, że spełniłaby swoją groźbę.

Alex i Charlie wspinali się po schodach prowadzących na główną wieżę. Diuk i jego goście udali się na posiłek do Wielkiej Hali, więc na piętrach nie było prawie nikogo. W komnatach diuka panowała całkowita cisza. Ruszyli dalej.

Alex obrał sobie za cel sam szczyt wieży i pełniących wartę strażników. Jak zwykle miał wyrzuty sumienia, że wykorzystuje Charliego, nie mógł sobie jednak pozwolić na utratę żołnierza. Pozostała mu tylko nadzieja, że chłopcu nic się nie stanie. Ponieważ Sage nie udało się dotrzeć do zwiadowców, postanowił sam ich wezwać. Sygnał miał zarazem rozpocząć atak. Na razie szczęście im

sprzyjało. Właśnie zbliżali się do kłapy w suficie, gdy ta otworzyła się i jeden ze strażników ruszył w dół po stromych drewnianych schodkach, burcząc, że dłużej nie wytrzyma i musi udać się do wygodki. Na dole czekał już na niego Charlie niosący dwie niewielkie beczułki. Wyminęli się w ciemnościach, a Charlie wyjąkał przeprosiny. Kiedy żołnierz ustawił się odpowiednio, Alex zrobił krok w jego stronę, zatkał mu usta i zatopił w jego plecach sztylet, kierując ostrze tak, by przebiło nerkę. Pod wpływem gwałtownego bólu mężczyzna drgnął, tylko raz, i osunął się na ziemię. Alex chwycił go i ściągnął po kamiennych schodach, by dokończyć dzieła poza zasięgiem wzroku Charliego.

Wytarł zakrwawione ostrze w koszulę swojej ofiary i ponownie wszedł wyżej, dając Charlie'emu znak, by ruszył przodem. Chłopak kiwnął głową i wspiał się po stopniach na platformę. Mieli przy sobie dwie ostatnie paczki z czerwonym sygnałem. Strażnicy zwykle palili ogień w specjalnej misie, żeby nie marznąć podczas warty. Alex odczepił trzpienie, na których wspierały się drewniane schodki, i przez chwilę słuchał, jak jego brat rozmawia z drugim strażnikiem. Nagle Charlie z powrotem wyskoczył na schody, a strażnik wrzasnął za nim:

– Co u licha?

W momencie, gdy strażnik postawił stopy na pierwszym stopniu, Alex puścił schodki, a mężczyzna spadł, boleśnie uderzając się w głowę. Zanim zdążył się pozbierać, Alex wyciągnął miecz i przebił mu serce. Usunął ostrze i spojrzał na Charliego, który wpatrywał się w drgające ciało oczami rozszerzonymi przerażeniem.

Alex zrobił krok nad trupem.

– Hej – powiedział, chwytając chłopca pod brodą i zwracając jego brązowe, pełne strachu oczy w swoją stronę. – Masz zadanie do wykonania, żołnierzu. Skup się. – Charlie przełknął ślinę i kiwnął głową. – Chodźmy. – Podsadził brata, po czym schylił się, by zepchnąć ze schodów martwego strażnika. Rzucił drewniane schodki na platformę. – Przyciśnij tym klapę.

– Wciąż leży tu jego kusza – zawołał Charlie, zamykając klapę.

– Użyj jej w razie potrzeby.

– Tak jest, sir. – Charlie spojrzał na niego po raz ostatni. Za jego plecami wzbijał się czerwony dym. – Alex! – zawołał i ich oczy się spotkały. – Powodzenia.

– Uważaj na siebie, mały.

Kłapa się zatrzasnęła, usłyszał szcęk rygła. Z mieczem w dłoni zbiegł po kamiennych schodach.

Był pewien człowiek, którego zamierzał zabić.

D'Amiran chodził w tę i z powrotem wzdłuż paleniska w Wielkiej Hali, czekając, aż goście zajmą miejsca. Żołnierze właśnie powinni zbierać się na apel, podczas którego Geddes miał zasugerować, że dziewczyna znajduje się w prywatnych komnatach diuka. Quinn dopełni w wyobraźni puste miejsca i bez zastanowienia rzuci się prosto w pułapkę. D'Amiran wykona egzekucję, akurat wtedy, gdy cała publiczność będzie na miejscu.

Oczywiście panny zostaną w hali, ale cała reszta będzie mogła wyjść na dziedziniec. Postanowił, że go powiesi. Niech sobie dynda i sra pod siebie, a jego ludzie będą patrzeć, otoczeni ze wszystkich stron i bezradni. Diuk już nie mógł się doczekać.

Przystanął i spojrzał w górę. Panny jeszcze się nie zjawily. Może zamierzały skorzystać z tylnego wejścia, przez wieżę główną, by uniknąć deszczu. Ale tak czy inaczej powinny już być na miejscu. Wiedział, że żadna z nich nie chorowała, czego niestety nie dało się powiedzieć o jego ludziach.

Z zamyślenia wyrwały go krzyki dochodzące z dalekiego końca hali. Ludzie wbiegali do środka, wołając, że na dziedzińcu wybuchł pożar. Na posadzce rozsypały się plamy koloru – tworzył je blask płomieni przesiany przez witrażowe okna – płomieni, które buchały wysoko w górę, oślepiająco jasne, pomimo deszczu. Żołnierze popędzali ludzi, wołając, żeby uciekali do środka, jeśli im życie miłe.

Żołnierze w czerni. Jazda Quinna.

Po krótkiej chwili niemal wszyscy sojusznicy D'Amirana znaleźli się w Wielkiej Hali. Nagle tłum rozstał się przed kapitanem Quinnem, który dzierżył w dłoni zakrwawiony miecz.

Tego plan nie przewidywał.

D'Amiran zrobił kilka chwiejnych kroków w tył, patrząc, jak Quinn chwyta któregoś ze służących i przyciska go do ściany, zbliżając ostrze do jego brzucha. Po chwili puścił go i powiódł ciemnymi, pełnymi gniewu oczami po twarzach zgromadzonych, szukając jednej konkretnej. Wreszcie zatrzymał spojrzenie na diuku, który zobaczył w tych oczach zapowiedź własnej śmierci.

Odwrócił się i zaczął uciekać.

Alex przepychał się przez tłum zgromadzony w Wielkiej Hali. Kątem oka dostrzegł spanikowaną twarz służącego D'Amirana, chwycił go za gardło i pchnął na ścianę. Przyciskając czubek zakrwawionego miecza do jego brzucha, zapytał:

– Gdzie dziewczyna?

– Jaka dziewczyna? – wydyszał mężczyzna.

Alex przebił mieczem pierwszą warstwę ubrań.

– Strażnicy przyprowadzili wczoraj w nocy dziewczynę. Gdzie ją umieszczono?

Oczy mężczyzny tak rozszerzyły się ze strachu, że wokół tęczęw pokazały się białe obwódki.

– Nie widziałem żadnej dziewczyny!

– Wsadzili ją do lochu? – spytał Alex, mocniej wciskając ostrze.

Mężczyzna krzyknął, gdy przebiło skórę.

– Nie wiem! Nie wiem!

Alex puścił go wzgardliwie, a mężczyzna osunął się na kolana, przyciskając dłonie do brzucha. Alex szukał dalej, a ludzie rozbiegali się przed nim na boki. Wreszcie na drugim końcu hali dostrzegł D'Amirana. Diuk zrobił wielkie oczy, a potem obrócił się na pięcie i pobiegł do tylnego wyjścia, którego jeszcze nie zablokowano.

Alex ruszył za nim. Instynkt podpowiadał mu, że diuk pójdzie tam, gdzie przetrzymuje Sage, i że zamierza ją zabić. Alex musiał podjąć decyzję: na górę do komnat diuka w głównej wieży czy na dół, tam gdzie lochy i magazyny. Zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. W końcu wybrał drugą możliwość.

Kiedy pojawił się czerwony dym, strażnicy na murach zewnętrznych nagle zaczęli padać; z ich piersi i pleców sterczały głęboko wbite bełty. Porucznik Casseck wychylił się z wewnętrznej wartowni i przeciągle zagwizdał. Z dymiącej zbrojowni wychynęli bracia Stillerowie wraz z dwoma towarzyszami, niosąc beczki z alkoholem i miechy wykradzione z kuźni. Dotarwszy do koszar, rozdzielili się. Dwóch zostawiło w drzwiach ciekącą beczkę.

Casseck obserwował, jak otwierają pozostałe beczki i napełniają miechy alkoholem. Modlił się w myślach, by nikt w koszarach nie zapalił w tym momencie świeczki, bo jego ludzie nie zdążyliby uciec przed wybuchem. Teraz ustawili się po dwóch na przeciwległych krańcach budynku i zaczęli naciskać miechy, pompując łatwopalną mgiełkę do środka przez otwarte okna. Casseck uniósł dłoń, dając znak stojącemu kilka metrów dalej na murze łucznikowi, który podpalił końcówkę strzały.

*Jeszcze nie.*

Miał wrażenie, że usłyszał krzyk dobiegający z wnętrza koszar, ale wielki namiot ustawiony na dziedzińcu wewnętrznym dopiero zaczynał płonąć, więc trudno było stwierdzić, czy mu się tylko nie zdawało. Wśród kamiennych ścian odbijało się echem mnóstwo różnych dźwięków. Tim Stiller podniósł się i wrzucił miechy przez okno, a jego partner zrobił to samo z opróżnioną do połowy beczką.

Casseck wyżej uniósł ramię, łucznik naciągnął cięciwę, mierząc w otwarte okno.

Wszyscy czterej rzucili się do ucieczki, chowając się, gdzie popadnie. Drzwi do koszar otworzyły się gwałtownie i wypadli zza nich strażnicy, pocierając oczy i kaszląc. Jeden potknął się o beczkę i niechcący ją przewrócił, wylewając całą zawartość.

Casseck opuścił ramię.

Łucznik wypuścił strzałę i koszary eksplodowały, zanim którykolwiek z żołnierzy zdążył znaleźć schronienie za murem.

Sage, Dell, Stephen i Ash znajdowali się jakieś półtora kilometra od fortecy Tegann, gdy ze szczytu wieży podniósł się czerwony dym. Kilka minut później opuszczono jedną z flag. Dym tworzył teraz wzór z regularnych kłębow. Nie widać było, kto porusza flagą.

Ash uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zabawa wcześniej się zaczęła. – Wymierzył palcem w Sage. – Znajdź jakieś bezpieczne miejsce i się przyczaj. Załatwimy strażników, jak tylko wrócą.

Sage rozejrzała się dokoła.

– Może wejść na drzewo? Widziałabym stamtąd, co się dzieje za murami. – Wskazała na ogromny świerk. Większość drzew jeszcze nie zdążyła pokryć się liśćmi.

– Dobry pomysł. Wrócimy po ciebie, kiedy skończymy. Podsadzić cię?

Szybki marsz rozluźnił jej mięśnie, w żyłach buzowała adrenalina. Sage podskoczyła, chwytając upatrzoną gałąź, i przerzuciła nogi przez sąsiednią. Podciągnęła się i znikła w chmurze igieł.

– To chyba znaczyło „nie” – stwierdził Ash.

Dał znak kompanom i ruszyli, trzymając broń w gotowości.

Ze swojej kryjówki na drzewie Sage obserwowała, co się dzieje na murach fortecy, zewnętrznych i wewnętrznych. Deszcz utrudniał rozpoznanie barw mundurów. Z wewnętrznego dziedzińca buchał czarny dym. Pewnie namioty wojskowe. Chwilę później płomienie zaczęły lizać mur wschodniej zbrojowni. Wiedziała, że deszcz wkrótce ugasi ogień, ale na razie podsycił go olej, powoli wyciekający z beczek i nasączający wszystko na swojej drodze.

Plan zakładał, że ogień wywoła panikę, dzięki czemu bez trudu będzie można zebrać wszystkich w jednym miejscu, zabić tylu strażników, ilu tylko się da w ciągu kilku pierwszych minut, i opanować mury wewnętrzne. Idealem byłoby zdobycie całej fortecy, ale żołnierze byli gotowi w razie potrzeby wycofać się na dziedzińiec wewnętrzny bądź nawet do głównej wieży.

Najpierw jednak zamierzali poczynić jak największe spustoszenie na dziedzińcu zewnętrznym. Żołnierz na szczycie wieży, ledwo widoczny, dalej machał zmoczoną flagą. W pewnym momencie Sage dostrzegła go wyraźniej

pośród dymu i stwierdziła, że ten człowiek wcale nie klęczy ani nie stoi pochylony, jak jej się wcześniej zdawało. Był tego wzrostu co misa z ogniem. *Charlie*. Poczowała ucisk w żołądku. Widocznie Alex nie miał wyboru. Poza tym chłopiec pewnie był nawet bezpieczniejszy tam na górze.

Mrużąc oczy, próbowała dojrzeć, czy plan dotyczący koszar się powiódł. Nagle nastąpił potężny oślepiający wybuch – dźwięk dotarł do niej dopiero po jakimś czasie. Sukces nappełnił ją ponurą satysfakcją. Zastanawiała się, ilu ludzi właśnie zabił jej pomysł. Podmuch zmiotł strażnika stojącego na murze zewnętrznym, rzucił nim o kamienną ścianę. Mężczyzna, bezradnie machając rękami, spadał na spotkanie śmierci. Sage odwróciła wzrok. Zemdlilo ją.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Kiedy w dolinie rozległo się echo wybuchu, ptaki zerwały się z gałęzi. Teraz jeden z nich, wielki sokół, z powrotem usiadł na drzewie oddalonym od niej o kilkadziesiąt metrów. Poczowała ciarki na plecach. To był oswojony ptak. Może nawet ten sam, którego widziała kilka dni temu, chociaż pewności mieć nie mogła. Być może Kimisarzy jednak nie odeszli.

Podciągnęła się wyżej, krzywiąc się, czując, jak igły drapią jej delikatną twarz. Z nowego miejsca wyraźnie widziała sokoła. Nie dostrzegła jednak żadnego człowieka ani na drzewach, ani na ziemi poniżej. Może ptak niósł wiadomość z daleka. Nikogo jednak nie szukał. Czekał. Jego pan był gdzieś w pobliżu.

Jeśli sokół niósł wiadomość ich wrogom, zabicie go mogło okazać się kluczowe dla dalszego rozwoju wypadków. Sage drżącą ręką sięgnęła do kieszeni po procę i kamień.

Tak się denerwowała, że przy pierwszym rzucie chybiła o dobry metr albo i więcej. Sokół przekreślił łeb, śledząc wzrokiem trajektorię kamienia, lecz nie ruszył się z miejsca. Z pewnością oswojony. Sage podciągnęła się, przycupnęła na konarze i wychyliła się, by zapewnić swobodę ramieniu. Jeśli ktoś tu był, teraz na pewno mógł ją zobaczyć.

Odchyliła nadgarstek, wypuszczając kamień z procy. Ptak odwrócił się i zerwał z gałęzi – zbyt późno. Kamień trafił go w skrzydło. Sokół wrzasnął i poleciał bezwładnie do tyłu. Sage cofnęła się i objęła pień drzewa, nasłuchując.

Nie doszedł jej żaden dźwięk, ale czuła na sobie czyjś wzrok.

Przez kilka minut ledwo śmiała oddychać. Odwróciła się i spojrzała w głąb lasu. Dostrzegła go niemal natychmiast. Stał bez ruchu na pobliskim wzniesieniu, w odsłoniętym miejscu. Z jego ramion spływał niemal do ziemi ciemny płaszcz, kaptur zakrywał twarz. Jeden krok między zarośla i stanie się niewidzialny. Patrzył na nią, splatając na piersi ramiona pokryte wymyślnymi

tatużami. Jakby czekał, aż ona też na niego spojrzy.

Miał przy sobie kuszę, a Sage znajdowała się w zasięgu strzału.

Niemal leniwym ruchem zdjął broń z pleców, ale na razie z niej nie mierzył. Drażnił się z Sage czy się zastanawiał? Cała się trzęsła. Wiedziała, że powinna się przenieść niżej, tam gdzie gałęzie i pień są grubsze, ale strach ją paraliżował.

– Fowler! – rozległo się w oddali.

To zwiadowcy po nią wracali. Odwróciła głowę w stronę dźwięku, próbowała odpowiedzieć, ale przy dwóch pierwszych próbach jej głos zabrzmiał jak słabe chrypienie. Obróciła się. Mężczyzna znikł.

Zacząła schodzić, łamiąc przy tym połowę gałęzi i parę razy spadając bezwładnie. Ledwo dotknęła ziemi, rzuciła się do biegu, nie oglądając się ani razu.



W dolnym magazynie nie było nikogo, nie licząc kilku zwiewających szczurów. W lochu leżącym poniżej Alex zabił trzech strażników, z których dwóch było zbyt chorych, żeby w ogóle przystąpić do walki. Trzeci, zanim padł pod ciosem jego miecza, zdołał drasnąć nogę Aleksa. Ten zerknął na ranę i stwierdziwszy, że to nic poważnego, przestąpił nad ciałem strażnika i wszedł w korytarz biegnący wzdłuż śmierdzących cel.

Znalazł tam jednego z kurierów ojca, załamanego i półprzytomnego. Zostawił go tam, uznając, że zapewni mu lepszą pomoc, kiedy opanują całą fortecę. Pozostałe cele okazały się puste.

Sage tu nie było. Źle wybrał.

Pobiegł z powrotem do infirmerii na parterze, przy okazji bez skrupułów zlikwidował rannych i osłabionych strażników, ale i tam jej nie znalazł. Zajrzał do chłodni, chociaż bał się, co może tam zastać. W pomieszczeniu leżało ciało jednego z zamkowych strażników, który zmarł zapewne dobie wcześniej, prawdopodobnie z upływu krwi. Miał złamane lewe ramię i tylko jedną ranę, tuż pod prawym barkiem. Pewnie załatwił go któryś ze zwiadowców.

Alex z ulgą wrócił do infirmerii. Trzech osłupiałych znachorów wpatrywało się w leżące dokoła martwe ciała.

– Nie stanie wam się krzywda, jeśli natychmiast udacie się do Wielkiej Hali – powiedział. – Jeśli nie, skończycie jak oni. – Tu wskazał mieczem na swoje wcześniejsze ofiary.

W tym momencie nastąpił wybuch w koszarach przy dziedzińcu zewnętrznym, zaraz potem rozległy się krzyki.

– Albo tamci – dodał, po czym odwrócił się i wybiegł z pomieszczenia.

Casseck czuł się, jakby miał w głowie dzwon, taki jak w kaplicy. Ruszył w dół po stopniach prowadzących na parter bramy wewnętrznej. Potarł lewe ucho i zobaczył krew na dłoni. Wszystkie dźwięki brzmiały jak pod wodą. Podszedł do niego sierżant Porter i zameldował, że zewnętrzna brama jest zabezpieczona. Casseck przekazał mu dowodzenie w tym miejscu i dołączył do Gramwella czekającego przed Wielką Halą.

– Znalazła się?

Casseck potrząsnął głową.

– Nie sędę. – Alex właśnie przeszukiwał główną wieżę.

Gramwell spojrział w górę.

– Im dłużej to trwa, tym bardziej martwię się, że coś pójdzie nie tak.

Casseck odczuwał te same obawy. D’Amiran w każdej chwili mógł poderznąć Sage gardło. Zajrzał do Wielkiej Hali. Niemal połowa przebywających tam możliwych miała ręce związane z tyłu. Kapral Mason trzymał kuszę w pogotowiu, podczas gdy dwaj żołnierze wiązali pozostałych, którzy wyglądali na mocno oszołomionych i zrezygnowanych.

Niezależnie od tego, gdzie była Sage, musieli schwytać diuka.

– Weź dwóch ludzi – powiedział do Gramwella. – Poszukajcie kapitana i służcie mu pomocą w razie potrzeby. Ja zostanę tutaj.

Czerwony płomień stopniowo przygasał, a resztki dymu rozwiały się w deszczu. Charlie już nie próbował kierować dymem za pomocą flagi. Spojrział w dół. Czarne kłęby dymu niemal całkowicie zasłaniały rozgrywającą się tam scenę. Z miejsca wybuchu dochodziły okrzyki bólu. Charlie’emu został jeszcze jeden czerwony sygnał, Alex polecił jednak zachować go na później, żeby zwiadowcy mogli zabrać go na drugą stronę przełęczy. Jego zadanie polegało teraz na czekaniu, aż zjawi się po niego Alex czy któryś z żołnierzy.

Chłopiec skulił się w kręgu ciepła bijącego od misy z ogniem, grzejąc palce na jej spodzie.

Nagle drewniana podłoga pod jego stopami gwałtownie się zatrzęsała – ktoś próbował otworzyć kłapę.

Charlie przyblokował klapę kijami od flag, wiedział jednak, że to tylko kwestia czasu, że za chwilę strażnicy ją wyważą. Nagle, zbyt późno przypomniał sobie, że nie umieścił bełtu w kuszy. Był za słaby, żeby naciągnąć cięciwę bez pomocy korby, a nie miał jej pod ręką. Spojrzał na linę obwiązaną wokół jednego z zębów blankowania. Wisiał na niej martwy Kimisar, zbyt ciężki, by zdołał go podnieść. Pozostało mu tylko po niego zejść. Może gdyby odciął ciało, dałby radę rozhuścić się na linie i wskoczyć do środka przez okno, ale szczerze w to wątpił. Nawet gdyby zdołał utrzymać ją w zziębniętych palcach, zapewne nie zdążyłby jej przeciąć, zanim strażnicy pokonają klapę i go dopadną.

Albo zanim to oni przetną linę.

Wychylił się i zadrżał. Cofając się, potknął się o jedną z maleńkich baryłek, które ze sobą przyniósł. Zwykle trzymano w nich piwo, lecz Alex napełnił je mocniejszym alkoholem, jednym z tych łatwopalnych. Charlie rzucił się na kolana i zaczął podwazywać wieko sztyletem.

W chwili, gdy udało mu się otworzyć drugą beczułkę, kłapa uniosła się i ukazała się w niej czyjaś głowa. Charlie prędko chlusnął zawartością beczułki w otwór i na człowieka stojącego na skrzyni z podpałką. Żołnierz zaklął i prychnął, puszczając klapę. Charlie obwiązał sobie rękę mokrą flagą, sięgnął pod daszek osłaniający przed deszczem misę z ogniem i chwycił płonące polano.

Kłapa znów zaskrzypiała i uniosła się. Charlie ponownie chlusnął alkoholem, ale tym razem przyłożył płomień do strumienia, tworząc prawdziwy wodospad ognia, po czym posłał kopniakiem płonące polano i beczułkę prosto w twarz strażnika. Kłapa znów się zatrzasnęła. Rozległy się krzyki. Charlie przetoczył się na bok, klepiąc się po nogawkach, które zajęły się ogniem.

Przycupnął pod murem. Drewniana podłoga parowała, a pod spodem trwało piekło, płomienie trawiły ludzkie ciała i zapasy drewna na opał. Ale chociaż z całych sił przyciskał dłonie do uszu, to i tak słyszał krzyki ofiar.

Alex wrócił do rozwidlenia i tym razem ruszył drugim korytarzem, prowadzącym do kwater służby. Wiedział, że głupio postępuje, działając w pojedynkę, ale pchała go wizja Sage kończącej życie jak żołnierz Kimisarów wiszący na szczycie wieży.

Na kolejnej kondygnacji znajdowała się obszerna komnata, która niegdyś pełniła funkcję Wielkiej Hali. Teraz służyła jako magazyn i sypialnia dla części gości. Wydawała się pusta, lecz Alex nie mógł ryzykować. Okrążył komnatę, kopniakiem zwalając krzesła na podłogę. Nikt się nie pokazał.

Zanim wyszedł na korytarz, zatrzymał się przy drzwiach i nasłuchiwał. Dobiegł go dźwięk kroków strażnika. Skądś dochodziła woń płonącego drewna, inna od zapachu oleju, którym posłużyli się do podpalenia namiotów i zbrojowni. Alex wyciągnął sztylet i odsunął się od wyjścia. Strażnik pojawił się w otworze i ledwo przystanął na jego widok, gdy ostrze zatopiło się w jego karku.

Alex wyszarpnął sztylet i ruszył schodami na górę.

Charlie siedział skulony przy kamiennej ścianie między zębami blankowania. Drewniana podłoga coraz mocniej dymiała. Zapadła się z jednej strony, tam, gdzie spłonęła podtrzymująca ją belka. Widocznie w zapasach drewna na opał umieszczono też jakieś łatwopalne substancje, dzięki którym można było nadawać sygnały – coś w rodzaju używanego przez nich czerwonego sygnału – bo w otworze pojawiły się zielone języki ognia. Charlie, mimo skrajnego przerażenia, z ulgą zauważył, że krzyki wreszcie ustały.

Wiedział, że musi się stąd wydostać, ale jedyna droga ucieczki prowadziła przez płomienie. Dostrzegł mokrą flagę, skoczył i podniósł ją. Wyszła niemal zupełnie i była gorąca, lecz nic innego nie miał. Owinął się nią, czując ciepło przenikające przez podeszwy wysokich butów. Przypomniawszy sobie, co powiedział jego ojciec kilka tygodni temu: *Kiedy wybierzesz strategię działania, trzymaj się jej z całej mocy.*

Rogiem flagi zakrył głowę i rzucił się w dół, starając się niczego nie dotykać. Dym oślepił go i dusił. Wreszcie jego stopy dotknęły kamiennej posadzki – i nagle znalazł się twarzą w twarz z płonącą ludzką czaszką. Niechcący potrącił ciało, które odchyliło się do tyłu, a żuchwa opadła, wydając milczący krzyk. Charlie, tłumiąc przerażone łkanie, poczołgał się dalej na brzuchu, byle dalej od kłębow dymu.

Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, na chwilę oparł się o ścianę. Zastanawiał się, czy może tu zostać. Nagle resztki sufitu zwały się z ogłuszającym hukiem i Charlie pobiegł dalej na dół, po drodze przeskakując przez ciało strażnika, którego zabił Alex.

Na kolejnej kondygnacji znajdowała się większa komnata, służąca za pokój dzienny, z szeregiem drzwi prowadzących do komnat sypialnych. Podobnie jak pokoje na dole, także te były puste. Woń dymu przybrała na sile i mieszała się ze smrodem spalonego ciała. Nagle coś huknęło na górze i budynek zatrzęsł się gwałtownie. Alex domyślił się, że płonie górna część głównej wieży. Natychmiast wypadł na korytarz. Dobiegł go piskliwy okrzyk. Od razu rozpoznał ten głos.

*Charlie.*

Skierował się w stronę komnat diuka na kolejnej kondygnacji. U szczytu schodów stał kapitan Geddes. Trzymał Charliego w żelaznym uścisku. Chłopiec był osmalony i brudny, ale poza tym chyba nic mu się nie stało. Alex miał ochotę rozplakać się z ulgi – ale to uczucie szybko ustąpiło wściekłości.

Charlie miał głowę wykręconą na bok i wciśniętą w brzuch strażnika, więc mógł patrzeć na Aleksa tylko jednym okiem. Alex posłał mu dodający otuchy uśmiech, po czym przeniósł wzrok na chytrą twarz Geddesa.

– Często zdarza ci się gubić różne rzeczy, kapitanie – powiedział ten, wyciągając wielki nóż. Machnął nim w stronę Aleksa. – Rzuć miecz.

Alex tylko opuścił klingę.

– Puść chłopca.

– Tak z ciekawości, kapitanie, gdybyś musiał wybrać jedną osobę, którą możesz ocalić, kto by to był? – Przekrzywił głowę na bok. – Pewnie on. – Wyszczrzył się złośliwie. – Ale mamy kogoś, kto jest ci naprawdę bliski. Rzuć miecz.

– Zrobię to, jeśli ty rzucisz swój – odparł spokojnie Alex i posłał Charlie’emu znaczące spojrzenie.

Charlie domyślił się, co ma zrobić, i zwiśł całym ciężarem ciała. Geddes, stojący na samym skraju podestu i z trudem podtrzymujący chłopca jedną ręką, walczył, by nie stracić równowagi. Alex wprawnym ruchem puścił miecz i jednocześnie jednym płynnym ruchem wyciągnął sztylet i wbił go w twarz strażnika. Ten zastygł na krótki moment, po czym osunął się na ziemię, przygniatając Charliego.

Alex wszedł wyżej i ściągnął martwe ciało na dół, uwalniając chłopca. Już

miał zapytać, czy widział D'Amirana, gdy diuk we własnej osobie pojawił się w drzwiach, chwycił Charliego za włosy i pociągnął z powrotem na podest.

Alex rzucił się do przodu, by chwycić za stopy chłopca, lecz D'Amiran błyskawicznym ruchem pociągnął jego drobne ciało w stronę komnaty. Kiedy Alex zdążył dopaść do drzwi, te już się zatrzasnęły. Zaczął kopać w nie i walić, z trudem powstrzymując się od panicznego krzyku.

Jakiś dźwięk na schodach kazał mu się odwrócić i sięgnąć po miecz. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że ten nadal leży niżej na stopniach, tam gdzie go rzucił. Został mu tylko sztylet. Ścisnął rękojeść. W tym momencie z za rogu wypadł Gramwell.

Na widok Aleksa zatrzymał się i rozejrzał dokoła.

– Co...

– Charlie – wydyszał Alex, wskazując na drzwi komnaty. – D'Amiran go zabrał. Wydaje mi się, że strażników tam nie ma, że jest sam.

Sage. Prawdopodobnie Sage też tam była. Zostało tylko to jedno miejsce.

Gramwell kiwnął głową, podniósł miecz Aleksa, wbiegł po stopniach i podał mu go. W tym momencie z za tego samego rogu wychynęli kapral Denny i szeregowy Skinner, zdyszani od biegu po schodach. Alex wskazał na drzwi komnaty.

– Otwórzcie je.

Schował miecz do pochwy i odsunął Gramwella na bok. Żołnierze zaczęli rąbać drzwi toporami bojowymi, które jednak zdołały zaledwie drasnąć solidne dębowe drewno.

– Musimy znaleźć inny sposób. Nie ma czasu.

– Po wschodniej stronie znajdują się dwa okna – powiedział Gramwell. – Moglibyśmy spuścić się ze szczytu wieży. Poszukam liny. – Odwrócił się, jednak Alex chwycił go za ramię i wskazał na szczyt schodów.

– Tam jest.

Razem pobiegli na kolejne piętro. Alex błagał w duchu, żeby ogień nie strawił liny, na której powieszono Kimisara.

Podłoga była gorąca, lecz ogień niemal wygasł z powodu deszczu, który zaczął padać do środka, gdy zawalił się strop. Alex chwycił mokrą flagę leżącą na ostatnim stopniu i zaczął nią machać, by ugasić resztki płomieni zagrządzające im drogę. Dostrzegł linę obwiązaną wokół zęba blankowania, ledwo osmaloną, i podziękował w myślach. Ruszył dalej na górę, ale w tym momencie przepalona drewniana konstrukcja pod jego stopami ustąpiła i Alex spadł na kamienną posadzkę.

Gramwell chwycił go za ramię i podciągnął do pozycji stojącej, otrzepując jego ubranie z żaru. Alex ledwo poczuł jego ciepło na skórze.

– Podsadź mnie – powiedział.

Gramwell przykląkł na jednym kolanie i splótł palce. Alex postawił na nich stopę, a Gramwell go podsadził. Alex chwycił się muru, podciągnął się wyżej i przerzucił nad nim nogę.

– Wszystko w porządku? – zawołał Gramwell.

Alex kiwnął głową i przechylił się, by pochwycić ciało wiszące na linie. Gram podniósł mokrą flagę i kopniakiem odsunął na bok zwęglone resztki stropu. Owinął sobie dłoń tkaniną i chwycił płonący kawałek drewna.

– Podpalę drzwi do komnaty diuka.

Alex kiwnął głową i wyciągnął sztylet. Poczul ucisk w żołądku, gdy jego palce zwały się na zakrwawionej czarnej rękojeści zdobionej złotymi literami. Zaczął odcinać Kimisara. Minutę później ciało poleciało na dół wzdłuż kamiennego muru. Alex zdjął pętlę i wdrapał się na szerokie blankowanie. Pobiegnął po murze, aż znalazł się po przeciwnej stronie wieży.

Były tam dwa okna: jedno od komnaty sypialnej i jedno od salonu. Które wybrać? To od sypialni zapewne zaryglowano od wewnątrz. Jeśli jednak wybierze salon, może ponownie znaleźć się po niewłaściwej stronie zamkniętych drzwi. Ale przynajmniej będzie mógł wpuścić Gramwella, a drzwi do sypialni prawdopodobnie nie były tak mocne jak te prowadzące na korytarz.

D'Amiran zapewne przetrzymał Sage w sypialni – na tę myśl Aleksowi zrobiło się niedobrze. Jeśli wejdzie przez okno, diuk może spanikować i ją zabić. Dopóki Sage i Charlie żyli, D'Amiran miał nad nim przewagę. Powróciły słowa Geddesa: *Kogo byś wybrał?*

D'Amiran każe mu wybierać.

W końcu Alex uznał, że lepszy będzie salon. Tam mógł liczyć na pomoc, w sypialni byłby zdany tylko na siebie.

Przywiązał linę nad oknem salonu i zaczął po niej schodzić, mocno wciskając stopy w mur.

Alex odbił się stopami od muru i z całym impetem uderzył w szybę. Diuk odskoczył od Charliego. Alex wyprostował się, dobywając miecza, D'Amiran zaś podciągnął chłopca do góry i przycisnął go do siebie, oplatając mu szyję ramieniem. Charlie był zakneblowany i miał związane ręce, ale stopy wolne. Kopał nimi z całych sił, aż diuk pchnął go nożem w plecy.

– Starczy tego.

Charlie wydał stłumiony okrzyk i znieruchomiał. Łzy spływały mu po brudnych policzkach. Spojrzeniem błagał Aleksa o wybaczenie za to, że dał się złapać. Ze szpary pod drzwiami wpełzał do środka dym. A więc Gram zaczął działać. Sądząc po zapachu, dodał alkoholu, by drewno szybciej zajęło się ogniem.

Alex wziął głęboki wdech i opuścił miecz, jednocześnie unosząc lewą dłoń.

– To koniec, Wasza Miłość. Proszę go puścić i oddać mi dziewczynę, a podczas twego procesu wystąpię z prośbą o ułaskawienie.

D'Amiran wykrzywił usta w uśmiechu.

– Dziewczynę? A więc jeszcze jej nie znalazłeś?

W komnacie jej nie było.

Alex próbował nie poddawać się panice, chociaż wyobrażenia podpowiadała mu przerażające obrazy.

– Powiedz, gdzie ona jest, a zapobiegnę twojej egzekucji.

Diuk pokręcił głową.

– Sam byś mnie zabił. Widzę to w twoich oczach.

Alex nie mógł odmówić mu racji. Ostrożnie dobierał w myślach słowa. Znów rozległo się walenie w drzwi prowadzące na korytarz, dym zasnuwał już całą komnatę. Nagle dolna połowa drzwi mocno się wybrzuszyła, diuk gwałtownym ruchem odwrócił się w stronę sypialni, jednocześnie przykładając nóż do szyi Charliego. Alex z trudem się powstrzymał, żeby się na niego nie rzucić.

– Nie pogarszaj sprawy – powiedział. – Dostyc już spowodowałeś śmierci i cierpienia.

Lodowato niebieskie oczy zwróciły się w jego stronę, ramię przyciskające Charliego nieco zwolniło uścisk, aż stopy chłopca oparły się o podłogę.

Nagle D'Amiran uśmiechnął się.



– Jestem innego zdania.

A potem przeciągnął ostrzem po szyi Charliego i odepchnął go na bok.

Drzwi do sypialni zatrzęsły się z hukiem. Alex rzucił się do przodu i pochwycił brata, zanim ten osunął się na podłogę. Brązowe oczy Charliego gorączkowo szukały jego oczu. Alex wyrwał knebel z ust chłopca i przycisnął do ziejącej rany. Mocno tulił brata w ramionach, błagając Ducha, by go nie zabierał, obiecując mu wszystko, ale słyszał okropne bulgotanie dobywające się z rany i wiedział, że już nic nie da się zrobić. Wargi Charliego poruszyły się, formując słowa, których Alex nie mógł usłyszeć. Światło zaczęło znikać z jego oczu. Wyglądał na oszołomionego. Alex wiedział, że ma zaledwie chwilę. Szukał słów, które przyniosłyby Charlie'emu ukojenie, które wyraziłyby, jak bardzo go kocha, jaki jest dumny, że jest jego starszym bratem. Zalewając się łzami, przyciągnął Charliego do siebie i przycisnął wargi do jego brudnego czoła.

– Nigdy nie znałem dzielniejszego żołnierza – wyszeptał.

Charlie wygiął plecy w łuk, zakrztusił się jeszcze raz, aż krew i ślina poleciały na szyję Aleksa. Uścisk dłoni kurczowo chwytających poły kurtki Aleksa zelżał, głowa opadła do tyłu i zapadła cisza, głośniejsza niż jakikolwiek dźwięk znany Aleksowi.

Charlie odszedł.

Łkając, ułożył ciało brata na podłodze i podniósł się, macając dokoła w poszukiwaniu miecza. Jego palce odnalazły rękojeść i zacisnęły się na niej. Otarł łzy i zaryczał jak dziki zwierz.

Widział, że jeszcze chwila i Gramwell zdoła otworzyć drzwi prowadzące na korytarz, więc przestąpił nad ciałem brata i z całych sił pchnął drzwi do komnaty sypialnej. Nieco ustąpiły, ale usłyszał, jak ktoś przysuwa pod nie meble.

Czy Sage tam jest? Wątpił w to, ale z pewnością był tam jedyny człowiek, który to wiedział. A Alex pragnął krwi. Potrzebował jej.

Schował miecz do pochwy i zrobił dwa kroki w tył. W tym momencie drzwi na korytarz rozpadły się na kawałki, płonące fragmenty drewna rozsypały się na kamiennej posadzce. Gramwell i pozostali żołnierze wpadli do środka z bronią w rękach. Na widok Charliego leżącego w kałuży krwi porucznik zamarł.

Alex zaś był już znowu za oknem.

Casseck obserwował, jak Alex okrąża szczyt głównej wieży, a potem zrzuci linę tuż nad oknem komnat diuka, który zapewne się w nich zabarykadował. Casseck zastanawiał się, czy powinien posłać tam kogoś na pomoc.

Na dziedzińcu wszystko szło zgodnie z planem. Mdlący smród palącego się mięsa i włosów mieszał się z jękami umierających. Bracia Stillerowie dobijali żołnierzy, którym udało się przeżyć wybuch w koszarach. Tim dzielnie machał i dźgał jednym ramieniem, drugie zwisało bezużytecznie, zakrwawione. Wokół Cassecka leżało kilku martwych ludzi, ale tylko jeden z nich miał na sobie czarny strój. Na razie nie słyszał o większej liczbie ofiar wśród swoich, ale przy tak małej liczbie żołnierzy każda strata była bardzo kosztowna.

Uniósł głowę na dźwięk rogu, powtórnego cztery razy.

– Słyszałeś to? – zawołał do Portera.

Sierżant uśmiechnął się szeroko.

– Chyba zwiadowcy wracają.

Casseck dał znak biegnącemu w jego stronę żołnierzowi, by zajął jego miejsce przy drzwiach do hali.

– Brama wewnętrzna jest zabezpieczona. Pilnujcie hali, kiedy będę ich wpuszczał.

Przebiegł przez zewnętrzny dziedziniec do bramy głównej. Jednym ciosem miecza odciął ramię, które wyciągnął w jego stronę ktoś leżący na ziemi. Za kratami zobaczył biegnących w stronę wejścia czterech mężczyzn, nic jednak nie wskazywało na to, że przed kimś uciekają – prowadził ich Ash Carter. Casseck zagwizdał, dając sygnał ludziom w wartowni nad bramą. Ciężka krata z drewna i metalu zaczęła powoli się podnosić.

Czterej zwiadowcy wbiegli na most zwodzony i nie czekając, aż krata do końca się podniesie, pokonali ostatni odcinek, czołgając się pod nią bądź przetaczając. Casseck dał znak wartownikom, by zatrzymali kołowrót, po czym chwycił Asha w objęcia.

– Jak dobrze was widzieć.

Ash uśmiechnął się od ucha do ucha i klepnął Cassecka w plecy.

– Widzę, że świetnie sobie bez nas radzicie. – Odwrócił się i pchnął do przodu najdrobniejszego ze swoich towarzyszy, zakrwawionego i pokrytego sińcami.

Casseck domyślał się, że to kurier generała. – Znaleźliśmy waszą zgubę.

Nagle Casseck rozdziawił usta ze zdumienia. To była Sage.

Uśmiechnęła się i spytała:

– Co słyszeć, poruczniku? Możemy jakoś pomóc?

– Udało ci się – powiedział oszołomiony.

– Wątpięś we mnie?

– Sądziłeś...

Przerwała mu.

– Gdzie Charlie? Widziałam go na szczycie wieży, ale chyba wybuchł tam pożar.

Spojrzeni w górę akurat w momencie, gdy Alex chwycił wiszącą za oknem linę. Naciągnął ją, odchylił się i przebiegł po murze do sąsiedniego okna.

Sage, nie czekając na pozostałych, rzuciła się biegiem w stronę bramy wewnętrznej.

Alex wskoczył do środka, wdzięczny, że okiennice są otwarte. Stopy zaplątały mu się w ciężką tkaninę zdobiącą okno i bezwładnie poleciał do przodu. Kiedy próbował wyplątać się z pułapki, stanął nad nim diuk. Alex przetoczył się na bok, w ostatniej chwili zasłaniając się ramieniem. Poczul palący ból w lewym przedramieniu – ostrze sztyletu przebiło je na wylot. Szarpnął się w bok, wytrącając broń z dłoni D’Amirana.

Dobyl miecza i zamachnął się nim z całych sił. D’Amiran uskoczył do tyłu, wpadł na ciężką szafę, którą wcześniej zastawił drzwi. Z boku widać było w podłodze drewnianą klapę, wcześniej zapewne zasłoniętą meblem. Wystarczyłaby chwila i diuk zdołałby zbiec. Zabił Charliego, żeby zyskać na czasie, lecz to niewiele mu dało.

D’Amiran chwycił miecz wiszący na ścianie. W tym samym momencie Alex zerwał się na równe nogi, odparował cios bez większego wysiłku, natarł na diuka i uderzył go w twarz napierającymi na siebie rękojeściami obu mieczy, aż ten padł tyłem na szerokie łóże.

Cofnął się, a diuk przetoczył się i wstał, chowając się za meblem jak za barykadą. Alex, nie odrywając oczu od wroga, sięgnął do swojego lewego ramienia i powoli wyciągnął tkwiący w nim nóż. Prawie nic przy tym nie poczuł. Szkarłatna krew zaczęła kapać z ostrza i skórzanego naramiennika. Rzucił nóż na podłogę. W jego głowie było miejsce na tylko jedną myśl.

D’Amiran stał pośrodku komnaty, wsparty na mieczu, ciężko dysząc.

– *Gdzie ona jest?* – spytał Alex ze złowieszczym spokojem.

Diuk pokazał w uśmiechu zakrwawione zęby.

– Nadal jej szukasz? Zamierzasz mnie zabić, chłopcze? Jeśli to zrobisz, już nie będę mógł opowiedzieć ci o ostatniej nocy.

Alex widział, że D’Amiran próbuje zebrać siły do kolejnego ciosu, więc uprzedził go i swoim mieczem wytrącił mu miecz z dłoni, zanim diuk zdążył wziąć zamach. D’Amiran zatoczył się do tyłu i wpadł na krzesło stojące przy łóżku. Alex przytknął czubek klingi do jego szyi.

– *Gdzie ona jest?*

– *Ognista ta twoja ptaszniczka. Musiałem ją związać.*

*Dobry Duchu, tylko nie to.* Dłoń, w której Alex miał miecz, drżała z gniewu i

ze strachu.

– Mam ci opowiedzieć, chłopcze, jak krzyczała? Jak wołała cię w nadziei, że usłyszysz, ale kiedy z nią skończyłem, przeklinała twoje imię? – Pochylił się w przód, kaszląc krwią na lnianą koszulę. – To jak, opowiedzieć?

Alex próbował odsunąć obrazy, które podpowiadała mu wyobraźnia. Najważniejsze było to, gdzie teraz jest Sage.

D’Amiran zaśmiał się, chociaż w ten sposób pozbawił się resztek oddechu.

– Jakie to uczucie, kiedy odbierają ci jedyną rzecz, jakiej naprawdę pragnąłeś? Tak jak mnie odebrano twoją matkę?

– Co to ma znaczyć?

– Castella Carey należała do mnie. To mnie ją obiecano. Twój ojciec mi ją zabrał. Chyba słusznie odebrałem ci w zamian twoją małą ptaszniczkę, nie uważasz?

– Mógłbym się założyć, że obie chętnie obcięłyby ci jaja. – Alex mocniej przycisnął czubek klingi do szyi diuka, zmuszając go, by przykleił plecy do oparcia krzesła. – Może nawet jej to zaproponuję. A teraz gadaj, gdzie ona jest.

D’Amiran uśmiechnął się i wskazał na otwarte okno.

– Powstrzymałbym ją, gdybym tylko mógł, ale cóż, wciąż miała w sobie jeszcze tę odrobinę odwagi.

Te słowa odebrały Aleksowi mowę, sparaliżowały go. Miecz wysunął się z jego dłoni, po czym z trzaskiem uderzył o kamienną posadzkę.

– Jakie tu uczucie, kapitanie? – wydyszał triumfalnie D’Amiran. – Jakie to uczucie przegrać?

Sztylet mierzył prosto w jego serce.

– Nie wiem, Wasza Miłość – szepnął mu Alex do ucha. – Ty mi powiedz. – Zrobił krok w tył. D’Amiran spojrzał na ostrze zatopione w swojej piersi, zatrzymał wzrok na złotych inicjałach.

– Dość... poetyckie. – Jego powieki zadrżały, głowa opadła na bok.

Alex przez chwilę przyglądał się karmazynowej plamie rozlewającej się na koszuli diuka. Potem odwrócił się i utykając, ruszył w stronę okna, zostawiając za sobą ślad z krwi ciekącej z rany na ramieniu.

Sage i Casseck biegli schodami prowadzącymi w górę głównej wieży. Po drodze przeskoczyli przez dwa martwe ciała. Drzwi do komnat diuka były zwęglone i roztrzaskane. Gramwell i dwaj inni żołnierze właśnie próbowali wyważyć drzwi do sypialni. Sage wpadła do środka i potknęła się o coś miękkiego.

Charlie.

Rzuciła się na kolana i ujęła w dłonie jego drobną głowę.

– O nie! Nie! Nie! *Nie!* – zawodziła, przyciskając martwe ciało do zakrwawionej bluzki.

Drzwi ustąpiły. To, co je blokowało, zajęczało w proteście, ona jednak nie zwróciła na to uwagi, wciąż tuliła Charliego do piersi, płacząc. Wreszcie Casseck chwycił ją za ramiona.

– Sage. – Potrząsnęła głową. – Sage – powtórzył. – Jego już nie ma. Nic nie możemy zrobić.

W końcu Sage kiwnęła głową przez łzy, ucałowała zakrwawione czoło chłopca i delikatnie ułożyła jego ciało na podłodze. Wyciągnęła rękę, by Casseck pomógł jej wstać. Pociągnął ją za sobą w stronę komnaty sypialnej.

Wszędzie na posadzce była krew, częściowo płynąca z ran diuka, który siedział bez życia na krześle. Z jego piersi sterczał sztylet. W większości jednak była to krew z rany na lewym ramieniu Aleksa, który klęczał opodal, wpatrzony w okno, próbując nie stracić przytomności.

– Musimy zatrzymać krwawienie. Grozi mu wstrząs – powiedział Gramwell, po czym ściągnął zarękawie z ramienia Aleksa i przycisnął dłonie do dwóch ziejących ran.

Sage rzuciła się do przodu, wyrwała sztylet z piersi diuka, chwyciła prześcieradła z łoża i zaczęła drzeć je i ciąć na odpowiednie kawałki. Uklękła obok Aleksa i obandażowała mu ramię. Tkanina szybko nasiąkała.

– Alex! – krzyknął mu do ucha Gramwell, puszczać ramię. Poklepał go po twarzy, obrócił ją w swoją stronę. Przyjaciel popatrzył na niego na wpół przytomnym wzrokiem. – To koniec! Gdzie są panny? Gdzie je ukryłeś? – Gramwell co chwila uderzał go w policzki, żeby Alex nie zemdleł.

– Tam, gdzie... – wymamrotał Alex – gdzie widziałem ją po raz ostatni.

Gramwell spojrzał na Sage.

– Co to znaczy? – Znow zwrócił się do Aleksa: – Gdzie? Gdzie one są?

– Tam, gdzie... – zamrugał – widziałem ją żywą po raz ostatni.

Gramwell westchnął z irytacją, puszczając głowę Aleksa, który znow utkwiał wzrok w oknie.

Sage nagle zrozumiała.

– Kanał połączony z pralnią! Pędź tam! Prędko! – Gramwell wybiegł z komnaty, a Sage zwróciła błagalne spojrzenie na Cassecka. – Czy on przeżyje?

Casseck pokiwał głową.

– Widywałem ludzi w znacznie gorszym stanie.

Sage załkała z ulgą, on zaś pochylił się nad ramieniem Aleksa, żeby mogła je puścić.

Uklękła tuż obok niego i chwyciła jego głowę w zakrwawione dłonie.

– Alex, jestem tu! Zostań ze mną! Jestem przy tobie!

Na chwilę zdołał skupić na niej spojrzenie, potem wyszeptał jej imię i opadł bezwładnie w jej ramiona.



Alex obudził się i poczuł, że leży na twardej pryczy. Obrócił się, co sprawiło mu dojmujący ból, i zmusił powieki, żeby się uniosły. Powoli obraz nabierał ostrości. Po chwili zobaczył Cassecka, który podszedł i stanął obok jego pośłania.

– Nie umarłem? – wychrypiał.

Usta miał potwornie spierzchnięte.

Casseck zachichotał.

– Nie, chociaż bardzo się starałeś. – Alex chciał się podnieść, ale Casseck pchnął go z powrotem na pośłanie. – Leż. Straciłeś mnóstwo krwi, ale za parę tygodni będziesz jak nowy.

Alex opadł na poduszkę i zamknął oczy, bo cały pokój wirował.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Jakieś dwanaście godzin.

Alex kiwnął głową, przy okazji wywołując w niej pulsujący ból. Potarł skronie palcami prawej ręki. Lewa zdawała się bezwładna, a całe ramię bardzo bolało. Podobnie jak prawe udo. Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało.

– Raport.

Niemal słyszał uśmiech Cassecka.

– Wszystko jest pod kontrolą, kapitanie. Opanowaliśmy całą fortecę, chociaż w razie ataku zapewne będziemy w stanie obronić tylko mury wewnętrzne. Diuk D’Amiran nie żyje, co zresztą już wiesz. Podobnie większość jego żołnierzy. Sprzymierzeni z nim panowie siedzą w Wielkiej Hali. To było najprostsze rozwiązanie, aczkolwiek kilku zamknęliśmy w lochu. Panny przeżyły lekki wstrząs, ale nic im się nie stało. Odnieśliśmy niewielkie straty: kilka niegroźnych ran, jedno złamane ramię, kilka pękniętych żeber, trochę oparzeń i mnóstwo drobnych obrażeń od odłamków podczas wybuchu. Timowi Stillerowi grozi utrata ręki. Kilka osób się zaraziło, zapewne było to nieuniknione. Straciliśmy kaprała Smitha, sierżanta Grassleya... i...

Alex skrzywił się.

– I Charliego.

– Tak. Charliego.

Alex stwierdził ze zdumieniem, że mimo poważnego odwodnienia z jego oczu

tryskają prawdziwe strumienie. Charlie, który tak go podziwiał, który tak jak on chciał zostać żołnierzem. Charlie, który nie doczekał dorosłego wieku.

Charlie, którego nie udało mu się obronić.

Nie tylko jego zawiódł. Czy znaleźli już jej ciało?

– I Sage – wykrztusił.

Poczuł miękkie muśnięcie palców na policzku.

– Nie, Aleksie – usłyszał jej głos. – Jestem tu. – Natychmiast otworzył oczy i odwrócił się w stronę dźwięku. Siedziała zaledwie pół metra od niego. Na jej twarzy widniał zalękniony uśmiech.

Na lewym policzku miała wielki ciemny siniec, przy linii włosów płytkie draśnięcie, dolną wargę spuchniętą i pękniętą z boku, i kilka innych ran i zadrapań, ale wszystkie już się goiły.

Na Ducha, ależ była piękna.

– Sage – wydyszał. – Tak mi przykro. – Wyrzucał słowa w desperackim tempie. – Skrzywdził cię, a ja dowiedziałem się dopiero, kiedy było za późno...

Wstała z krzesła i uklękła obok niego, ocierając łzy.

– Szs. Wszystko dobrze. Ja chyba zrobiłam mu większą krzywdę. Złamałam mu ramię i zraniłam w pachę, tak jak mnie uczyłeś. Ale było tyle krwi, a potem wymiotowałam i przez to wszystko zapomniałam zabrać twój sztylet. – Uśmiechnęła się krzywo. – Ale widzę, że go odzyskałeś.

Próbował przetrwać sens jej słów.

– Co takiego?

Casseck odchrząknął.

– Sage uciekła. D'Amiran jej nie dopadł.

Alex załkał. Odwrócił się w stronę Sage i wyciągnął do niej zdrowe ramię. Próbowała go uciszyć, gładziła go po włosach i obsypała jego twarz delikatnymi pocałunkami.

Cass zostawił ich samych.

– Sage – szepnął Alex. – Ja... – Przerwała mu, kładąc palec na jego ustach.

– Teraz moja kolej. – Jej szare oczy lśniły od łez. – Przepraszam, że byłam taka nienawistna. Wiem, że nigdy nie chciałeś mnie zranić. Kocham cię. – Uśmiechnęła się słabo. – To prawda.

Nie wiedział, jak długo już ją całuje, ale nie mógł się nasycić, wiedział, że nigdy nie będzie miał dość. W końcu Sage odsunęła się, żeby obmyć mu twarz ciepłą, wilgotną szmatką i dać wody do picia. Podciągnął się do pozycji siedzącej, co kosztowało go sporo wysiłku. Po chwili poczuł się senny, ale nie chciał zamykać oczu, kiedy ona była obok.

Mimo najlepszych chęci jednak zaczął zapadać w sen.

– Nadal będziesz żyła, kiedy się obudzę? – wymamrotał.

Sage pochyliła się i pocałowała jego suche, popękane usta.

– Nigdzie się nie wybieram.

Śmierdziało potwornie, rodem jak z koszmaru sennego, ale teren był zbyt kamienisty, a ciał zbyt wiele, by je wszystkie pogrzebać. Nieustanny deszcz sprawiał, że do rozpalenia ognia musieli używać oleju i alkoholu, na szczęście mieli też do podsycania płomieni mnóstwo drobnych kawałków drewna z wartowni i zbrojowni. Śmierzący dym unosił się znad otwartej przestrzeni za główną bramą. Sage odwróciła wzrok od stosu. W jej stronę zmierzał Alex.

– Co ty wyprawiasz? – spytała, rzucając mu groźne spojrzenie i podtrzymując go z prawej strony. – Na Ducha, potrzebujesz odpoczynku.

– Potrzebuję ciebie – odparł. Odprowadziła go na bok, żeby usiadł. Pociągnął za chusteczkę, którą zakrywała nos i usta, i pocałował ją. – Obudziłem się, a ciebie nie było.

Posadziła go i obejrzała obrażenia.

– Przykro mi. Jest mnóstwo do zrobienia, a zbyt mało ludzi do pracy.

– Nie powinnaś tu przebywać. Nie chcę, żebyś to oglądała.

– Chyba za późno. – Rany goiły się jak należy. Uśmiechnęła się z ulgą. – Poza tym zapędziłam nasze drogie panie do pracy w kuchni i pralni. Wolę być tutaj, niż znosić ich towarzystwo.

Alex oparł plecy o kamienną kolumnę na końcu mostu zwodzonego. Przez chwilę myślała, że znów zasnął, ale nagle otworzył oczy.

– Słyszałaś?

– Co takiego?

Jakby w odpowiedzi rozbrzmiały rogi na murach.

– Niemożliwe, żeby już przybyły posiłki – stwierdził Alex, z trudem się podnosząc. – Wszyscy do środka!

Casseck już wydawał rozkaz. Ledwo opuścili kratę i podnieśli most zwodzony, gdy zjawiała się grupa kilkunastu jeźdźców. Wstrzymali konie, patrząc na dymiący stos ciał i flagi Demoranu powiewające nad bramą i wieżą główną. Kapral Mason przybiegł z raportem.

– Setki, sir. Nadchodzą z południa i zachodu. Piechota.

– Nie waż się – ostrzegł Casseck Aleksa, który już ruszał w stronę stopni prowadzących na mur zewnętrzny. – Ja się tym zajmę. – Alex wsparł się na ramieniu Sage, z ulgą kiwając głową. – Chyba potrafię ich przekonać, żeby się

wycofali – dodał Casseck. – Ale musimy być gotowi do odwrotu.

– Kto jest teraz ich dowódcą? – spytała Sage.

– Możliwe, że jest z nimi hrabia – odparł Alex. – To na pewno armia, którą zdołali zebrać.

– Powiedz im, że D'Amiran nie żyje – zaproponowała.

– Powiem tym na koniach – odparł Cass, wzruszając ramionami – ale wcale nie jestem pewien, czy to skłoni armię do odwrotu. Im bliżej zdążą dotrzeć, tym mniej prawdopodobne, że odejda.

– Powieś ciało D'Amirana na głównej wieży – powiedział Alex. – To była jego ulubiona metoda postępowania z byłymi sojusznikami. Na pewno zrozumieją przesłanie.

Piątego dnia wybrali się na przechadzkę po ogrodzie. Alex próbował przekonać Sage, że jest w wystarczająco dobrym stanie, by udać się na zwiad. Nagle straż na murach zasygnalizowały, że zbliża się grupa jeźdźców.

– Sądysz, że wrócili? – spytała, kiedy skierowali się w stronę bramy wewnętrznej.

Armia przez dwa dni otaczała fortecę i w końcu się wycofała. Wszyscy jednak siedzieli jak na szpilkach, spodziewając się, że przeorganizuje się i wróci.

Rozległ się dźwięk rogu, oznajmiający, że nie grozi im niebezpieczeństwo.

– A niech mnie! – powiedział Alex dwadzieścia minut później, gdy na dziedziniec wjechał jego ojciec na czele oddziału konnicy.

Sage ruszyła za nim, ale zatrzymała się w pewnej odległości. Alex zaszutował i oficjalnie powitał przybyłych jako dowódca fortecy.

Generał Quinn ze zdumieniem powiódł wzrokiem po zniszczonym dziedzińcu.

– Chyba mogę się spodziewać bardzo ciekawego raportu.

Alex kiwnął głową.

– Tak jest, sir. Najpierw jednak chciałbym poprosić, żebyś udał się ze mną do kaplicy.

– Do kaplicy? – powtórzył jego ojciec ostrym tonem. – A to dlaczego?

Alex nie potrafił wypowiedzieć tych słów, ale ojciec wyczytał prawdę z wyrazu jego twarzy.

– Charlie? – szepnął.

Alex kiwnął głową.

– Zaprowadź mnie do niego.

Generał milczał przez całą drogę. Alex zatrzymał się przed wejściem i puścił

ojca przodem. Ten wszedł sam do środka i podszedł do najmniejszej z trzech trumien. Alex już nie miał łez. Trzeciej nocy zdołał opowiedzieć Sage o ostatnich minutach swojego brata. Tuliła go do siebie, a on kilka razy wymiotował i płakał przez długie godziny. Sage zajęła się też ciałem Charliego, umyła go, ubrała i odcięła kosmyk włosów na pamiątkę dla matki.

Teraz zrobiła krok do przodu i powiedziała:

– Mogę otworzyć trumnę, sir.

Generał po raz pierwszy na nią spojrzał. Miała na sobie prostą wełnianą sukienkę, jasne włosy splotła w pojedynczy warkocz. Opuchlizna na twarzy niemal znikła, ale zostały kolorowe sińce na policzku i czole. Generał popatrzył na nie, po czym odwrócił się i położył dłoń na trumnie.

– Nie, dziękuję, pani – odparł. – Wolę zapamiętać go żywego.

Sage kiwnęła głową i cofnęła się, lecz Alex chwycił jej dłoń i pociągnął za sobą.

– Ojczy, to jest Sage Fowler.

Sage zagryzła wargi, zarumieniła się i spuściła wzrok.

Generał zatrzymał wzrok na ich splecionych palcach.

– Przyjmę teraz raport, kapitanie.

Alex zaprowadził ojca do głównej wieży, do dawnej Wielkiej Hali, w której urządzili punkt dowodzenia. Panny zajmowały teraz komnaty na piętrze powyżej, a większość żołnierzy spała w infirmerii na dole. Generał chodził w tę i z powrotem, Alex zaś usiadł na krześle. Poruszył lewą ręką i stwierdził, że ma przed sobą długą rekonwalescencję. Ponad godzinę opowiadał ojcu o wszystkim, co się wydarzyło. Nie zapomniał podkreślić, ile zawdzięczają Sage.

Kiedy skończył, ojciec z kolei opowiedział, co działo się na południu.

– Eskorta wioząca kandydatki z Tasmety znikła tydzień po waszym wyjeździe. Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale sądziłem, że chodzi o przełęcz na południu. Udałem się do Jovanu z całym regimentem. Hrabia zapadł się pod ziemię dokładnie w czasie, kiedy przestaliśmy dostawać od was wiadomości. Bałem się najgorszego.

– To dlatego byłeś już w połowie drogi, kiedy rzeka wylała? – spytał Alex.

Ojciec prychnął.

– Cierpliwość nie zawsze jest cnotą. – Zatrzymał się. – Jestem z ciebie dumny, synu.

– To nie tylko moja zasługa.

– Tak mówisz. Ale ja cię znam. – Oparł pięści na blacie. – Podjąłeś kilka bardzo trudnych decyzji.

Alex przełknął ślinę. Ojciec nie miał pojęcia. I nigdy się nie dowie. A na szydercze słowa D'Amirana nie było miejsca w żadnym raporcie. W końcu stały się pozbawione znaczenia, puste. Jedno pytanie cisnęło się Aleksowi na usta.

– Diuk powiedział przed śmiercią różne ciekawe rzeczy. O tobie i mamie.

– Doprawdy? – Ojciec zrobił zaskoczoną minę. – Na przykład?

– Powiedział, że mu ją ukradłeś.

Generał usiadł naprzeciw Aleksa, lecz nie odpowiedział.

– Kryje się za tym jakaś historia?

Ojciec wbił wzrok w dłoń.

– Czy matka wspominała ci, że wybrano ją na Concordium?

– Nie przypominam sobie. Nigdy nie brałem tego pod uwagę. Urodziłem się na rok przed kolejnym zjazdem.

– Ale tak było, zapewniam więc, że nikomu jej wcześniej nie obiecano. – Generał urwał na chwilę, po czym podjął: – Poznaliśmy się na uroczystości towarzyszącej zaręczynom jej siostry z królem. Wszyscy o niej mówili. Z powodu jej pochodzenia i związku z rodziną królewską spodziewano się, że na kolejnym Concordium będzie najbardziej pożądaną kandydatką.

Alex zdziwił się.

– Nie wiedziałem, że znałeś ją wcześniej. Myślałem, że wasze małżeństwo było podyktowane względami politycznymi, nawet jeśli nie zostało zawarte na Concordium.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Większość ludzi tak sądziła. A nam bardzo to odpowiadało.

– Ale tak nie było.

– Nie. – Uśmiechnął się lekko. – Straciłem głowę.

– I przekupiłeś swatkę, żeby was połączyła? – spytał Alex.

Ojciec znów wbił wzrok w dłoń.

– Możliwe, że przedsięwzięliśmy różne kroki, za sprawą których musieliśmy się pobrać, żeby zapobiec skandalowi.

Związki dwóch potężnych rodów bardzo rzadko opierały się na miłości i Alex zawsze uważał małżeństwo swoich rodziców za coś oczywistego. To ironiczne, ale właśnie łączące ich uczucie budziło w nim strach przed swataniem – czuł, że on na pewno nie będzie miał tyle szczęścia co oni. Bardzo się zdziwił, słysząc, że połączyła ich miłość, tak samo jak rodziców Sage.

Ojciec odchrząknął.

– A ta cała Fowler...

– Ma na imię Sage.

Generał uniósł głowę.

– Ta Sage. Jakie masz wobec niej zamiary?

– Zamierzam się z nią ożenić.

– Czy istnieje powód, dla którego musisz to zrobić?

– Kocham ją i nie chcę żadnej innej.

– Miałem na myśli...

– Wiem, co miałeś na myśli, ojczu. – Alex spojrzał mu prosto w oczy. –  
Odpowiedź brzmi: nie. Ale jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, dopilnuję, aby  
taki powód się pojawił. – Uniósł brew. – A teraz wiem, że istnieje precedens.

– Spokojnie, synu. Dziewczyna mi się podoba. Chciałem tylko wiedzieć, co  
przekazać twojej matce.



Posiłki przeszły przez przełęcz Tegann dwa dni później, a grupa zmierzająca na Concordium przygotowywała się do dalszej podróży. Do końca pobytu w fortecy Alex musiał chodzić na niezliczone spotkania, lecz czasem znajdował spokojniejszy moment i wymykał się do niewielkiej kapliczki stojącej niedaleko spalonej zbrojowni. Clare zdziwiła się nagłym przyływem religijnej gorliwości u Sage, która chodziła się modlić nawet kilka razy dziennie, ale kiedy poznała prawdę, również ona i porucznik Gramwell odkryli u siebie wzmożoną pobożność.

Gdy jednak orszak opuścił mury fortecy, Sage rzadko widywała się z Alekssem. Gdyby nie jego obrażenia oraz śmierć Charliego, podejrzewała, że wysłano by go w pogoń za hrabią bądź żołnierzami z Kimisary, którzy właśnie najeżdżali Tasmety, więc starała się nie narzekać i cieszyć się nielicznymi chwilami, gdy mogła go oglądać choćby z daleka. Zaczęła się martwić, że Alex może o niej zapomnieć, ale pewnego wieczoru znalazła liścik wetknięty do jej skrzyni. Jego treść nie pozostawiała wątpliwości, że Alex nie zapomniał tych wszystkich obietnic, które składali sobie szeptem w nielicznych wykradzionych chwilach.

Ich przyjazd do Tennegolu wywołał niemałe zamieszanie. Wieści o ich przybyciu dotarły znacznie wcześniej i kiedy jechali przez miasto ku bramom pałacu, zgotowano im przywitanie godne bohaterów. Nie mieli jednak najmniejszej ochoty na świętowanie. Alex i jego ojciec zostali w Tennegolu tylko jedną noc, a większość czasu spędzili na obradach z królem i jego radą. Wczesnie rano wyruszyli do Cambrii, by zawieźć ciało Charliego do domu. Alex znalazł jednak chwilę, żeby napisać do Sage kolejny list, a odjeżdżając, chował za pazuchą odpowiedź.

Do przesilenia letniego, kiedy to tradycyjnie odbywały się śluby podczas Concordium, został zaledwie tydzień, więc Sage i Darnessa wzięły się ostro do pracy. Chociaż najważniejsza w tym momencie była kwestia utrzymania stabilności w kraju, szczególnie istotna w obecnych okolicznościach, to duży nacisk kładły również na dobro każdej z kandydatek. Codziennie rano i po południu wszystkie trzy pomocnice swatek pilnie wypełniały tabele dotyczące

korzyści politycznych i zgodności charakterów każdej z potencjalnych par.

Chociaż czasu było niewiele, cały proces przebiegał dość gładko. Ponieważ opiekunowie dziewcząt pokładali w swatkach pełne zaufanie, osoby postronne w większości uważały, że kandydatka musi przyjąć tego, który zostanie dla niej wybrany. W rzeczywistości każda panna mogła odrzucić zaproponowanego kandydata. Zabawne, ale dzięki Concordium dziewczęta miały do powiedzenia znacznie więcej niż w przypadku małżeństw zawieranych poza nim. Odmowy zdarzały się jednak bardzo rzadko.

Sage słuchała z podziwem, jak swatki przewidują (nieomylnie, co do tego nie miała wątpliwości), które moźne rodziny dostaną zagarnięte dobra i tytuły w Tasmecie, i odpowiednio dobierały kandydatki na tej podstawie. Kobiety zgromadzone w tym pomieszczeniu grały na strunach władzy jak kwartet muzyków, tworząc równowagę sił, która służyła Demorze od ponad dwustu lat.

Wieczorami, przy herbacie, miejscowe swatki wymieniały informacje na przyszłość. Większość rozmów dotyczyła oficerów z eskorty, którzy ostatnio zdobyli wielką sławę. Kobiety naciskały na Darnesę, żeby zapytała kapitana Quinna o zdanie w kwestii trwałego związku. Wykręcała się od odpowiedzi najlepiej jak potrafiła, Sage zaś rumieniała się pochyłona nad swoją księgą i bąkała, że biorąc pod uwagę niedawną śmierć jego brata, byłoby wysoce nieodpowiednie zwracać się teraz do niego w tej sprawie.

Mimo pośpiechu proces łączenia kandydatów w pary przebiegał gładko, częściowo dzięki temu, że brakowało reprezentacji z Tasmetu. Zaplanowano też kilka dodatkowych związków na niedaleką przyszłość. Nawet Gabriellę Quinn wyswatano pod jej nieobecność – dziewczyna pojechała bowiem do domu z ojcem i bratem. Ślub miał jednak odbyć się najwcześniej zimą.

Na trzy dni przed wielkim balem i uroczystością Sage odwiedził księżę Robert. Zapytał Darnesę, czy mógłby ją porwać na godzinę czy dwie. Sage, nieco podenerwowana, wzięła go pod ramię i pozwoliła się prowadzić. Przypuszczała, że specjalnie zabrał ją do ogrodu, gdzie przebywały niemal wszystkie panny, tylko po to, żeby się gapiły. Robert rozmawiał z nią swobodnie i okazał się wesołym towarzyszem, może odrobinę zuchwałym z natury. Był niepokojąco podobny do Aleksa, z wyjątkiem oczu.

Po chwili podzielił się z nią wieściami: porucznik Gramwell dostał rano wiadomość od matki – zgodziła się przyjąć do swojego domu lady Clare.

– Pani Rodelle ma dopracować szczegóły. – Uśmiechnął się. – Luke chyba właśnie jej o tym mówi, ale potem będzie musiał dodać, że za cztery dni wyjeżdża.

– Masz jakieś wiadomości od Aleksa? – spytała.

– Niedługo wraca – odparł Robert. Miał minę winowajcy. – Ale tymczasem jest ktoś, kto chciałby cię poznać.

Znajdowali się w nieznannej jej części pałacu. Robert zapukał do drzwi. Weszli do niewielkiej biblioteki. Z krzesła przy kominku podniósł się łysiejący mężczyzna około czterdziestki. Miał takie same wesołe orzechowe oczy jak Robert.

– Ojczy, pragnę ci przedstawić pannę Sage Fowler z Garland Hill.

Król uśmiechnął się, a Sage dygnęła i ucałowała podaną jej dłoń, czerwieniejąc jak cegła.

– Panno Sage – powiedział król uprzejmie, wskazując jej krzesło. – Wiele o tobie słyszałem.

Dziewczyna zajęła wskazane miejsce i groźnie łypnęła na księcia, który usiadł na trzecim krześle i puścił do niej oko, wyraźnie rozbawiony jej zakłopotaniem. Alex powinien był ją ostrzec, że księżę uwielbia robić ludziom niespodzianki. Może zresztą ostrzegął, ale zapomniała o tym na rzecz znacznie przyjemniejszych spraw.

Na szczęście król starał się zapewnić jej dobre samopoczucie.

– I moi synowie, i siostrzeniec opowiadali, że odegrałaś znaczącą rolę w udaremieniu planów D’Amirana. Nie mogli się ciebie nachwalić.

Sage była tak zła na Roberta, że nawet nie poczuła się zażenowana.

– Nie jestem pewna, jak dobrze Wasza Wysokość mnie zna. Nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji rozmawiać.

Król Raymond zaśmiał się.

– Cóż, informacji dostarczył mi głównie kapitan Quinn, a częściowo również Ash.

Sage kiwnęła głową, rumieniąc się na myśl o Aleksie i własnej pomyłce – kiedy sądziła, że jest zakochana w jakimś Ashu. Miała nadzieję, że o tej sprawie król nie słyszał.

– Wasza Wysokość, zrobiłam tylko to, co zrobiłby każdy mieszkaniec Demoranu w obronie swego kraju.

– Możesz tak uważać – odparł król. – I może nawet jest to prawda. Ale jest też prawdą, że mam wobec ciebie dług, którego nigdy nie będę w stanie spłacić.

– Nie oczekuję nagród – zapewniła pospiesznie.

Król Raymond uśmiechnął się.

– Zapewne nie. Ale wydaje mi się, że pewne twoje życzenie jest zgodne z moim.

Sage nie miała pojęcia, co to może być.

– Będę służyć Waszej Wysokości najlepiej, jak tylko potrafię.

– Słyszałem, że znasz kimisarski.

Odpowiedziała w tym języku:

– Lepiej radzę sobie z czytaniem niż konwersacją, ale tak, zgadza się, Wasza Wysokość.

Kiwnął głową.

– Reyański?

Dzięki znajomości z Clare, która radziła sobie w tym języku znacznie lepiej, Sage miała ostatnio okazję trochę poćwiczyć.

– W stopniu umiarkowanym, panie – odparła po reyańsku.

– Twój ojciec był ptasznikiem, więc zakładam, że masz sporą wiedzę w dziedzinie nauk przyrodniczych.

Sage spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie wiem, co dokładnie macie na myśli, panie.

– Znasz i rozumiesz zwierzęta i ich zachowanie, wiesz, jak rosną rośliny i które są przydatne, rozumiesz zmiany pogody i erozję gleby, tego rodzaju rzeczy.

– Och, tak! – odparła i zaraz zarumieniła się zakłopotana własnym entuzjazmem. – Ale nigdy nie uważałam tych wiadomości za dziedzinę nauki.

– Wszystko jest nauką, jeśli skupimy się na procesach. – Po namyśle dodał: – Geografia?

– Mam raczej ograniczoną wiedzę w tej dziedzinie, ale często studiuje mapy.

Sage zaczynała podejrzewać, dokąd zmierza ta rozmowa. Alex, jeszcze w czasach, kiedy udawał Asha, proponował, że przedstawi ją królowi i znajdzie jej pracę nauczycielki w stolicy. Tylko nie dawało jej spokoju pytanie, dlaczego król poświęcił czas, by przeprowadzić z nią taką rozmowę, zanim ją komuś poleci.

– A jak z historią? – zapytał król.

Sage zerknęła na Roberta, który uśmiechał się konspiracyjnie.

– Historia jest jak każda opowieść, Wasza Wysokość. Łatwo się jej nauczyć, jeśli uczyni się ją interesującą.

Król kiwnął głową.

– A matematyka? Potrafisz coś więcej niż dodawać?

Skrzywiła się.

– Potrafię mnożyć i dzielić, geometrię też znam nieźle. Moją słabością jest algebra.

Ojciec uczył ją algebry tuż przed śmiercią. Próby wykonania trudniejszych działań bardzo ją zniechęcały.

Rozmowa ewidentnie zmierzała w jednym, określonym kierunku. Sage nie mogła się dłużej powstrzymać.

– Mogę wiedzieć, dlaczego Wasza Wysokość zadaje te wszystkie pytania?

Król uśmiechał się w sposób niemal identyczny jak jego syn.

– Kiedy odpowiesz na jeszcze jedno. Mówiono mi, że lubisz uczyć. Co w tym zajęciu podoba ci się najbardziej?

Sage zamrugała. Nigdy się nad tym nie zastanawiała, lecz Alex, Darnessa, Clare i ciotka wyraźnie dostrzegali u niej to upodobanie.

– Ojciec lubił uczyć mnie różnych rzeczy. Sądzę, że to zajęcie mi o nim przypomina. Najbardziej jednak podoba mi się to, że daję innym osobom coś pożytecznego. Narzędzia, dzięki którym moi uczniowie będą mogli zbudować sobie życie wedle własnego uznania. – Sage spuściła wzrok zawstydzona.

– A jakie życie tobie by odpowiadało, panno Sage? – spytał król łagodnym tonem.

A jeśli Alex chciał się z nią ożenić? Można było tak wywnioskować z tego, co mówił, ale miną przecież lata, zanim to się stanie możliwe. W tym czasie wiele może się wydarzyć.

Sage wzięła głęboki wdech.

– Chciałabym uczyć oraz zdobywać wiedzę, jeśli tylko nadarzy się taka sposobność. W ten sposób osiągnęłabym spełnienie.

Usłyszała uśmiech w głosie króla.

– Znam dwie młode damy, które potrzebują guwernantki. Może chciałabyś je poznać?

Sage gwałtownie uniosła głowę. Król chyba nie miał na myśli...

Król zwrócił się do Roberta:

– Przyrowadź Rose i Carę, proszę.

Dopiero kiedy za księciem zamknęły się drzwi, Sage odzyskała głos.

– Wasza Wysokość, to chyba żart! Nie mam kwalifikacji, by uczyć osoby z królewskiego rodu!

– Zrezygnujemy z tego pomysłu, jeśli nie jest zgodny z twoim życzeniem, ale królowa wyraziła ostatnio troskę, że księżniczki nie czerpią radości z nauki. Poza tym pragnie dla nich towarzyszek w podobnym wieku. Oczywiście mówimy o okresie próbnym, ale jestem dobrej myśli.

Sage wykręciła dłonie. Jak ona się znalazła w tej sytuacji?

– A jeśli się nie uda?

– Znajdziemy ci odpowiednią posadę gdzie indziej. Królestwo ma u ciebie spory dług. Uważam, że należy ci się nagroda. – Urwał i przechylił na bok głowę. – Chyba że wolisz dalej praktykować u swatki. Ale pani Rodelle i lady Clare chyba są zdania, że raczej nie jest to twoim życzeniem.

A więc już rozmawiał o niej z Clare i Darnessą. Mogłaby się rozgniewać, że wszyscy – łącznie z Alekssem – działają za jej plecami, ale robili to przecież dla jej dobra. A jeśli tyle osób uznało, że zasłużyła na ten honor, to szczęście, być może mieli rację.

Sage wytarła spocone dłonie w spódnicę i uniosła głowę.

– Wasza Wysokość, przyjmuję tę hojną propozycję. Zamierzam zrobić wszystko, żeby dowieść, że jestem godna pokładanego we mnie zaufania.

– Pod jednym warunkiem, panno Sage – odparł król, a jego orzechowe oczy zalśniły. – Musisz być szczerą w kwestii postępów moich córek oraz własnych odczuć co do tej pracy.

– Panie, co do pierwszej części, możecie na mnie polegać. A co do drugiej...  
– Sage zawahała się. – Jeśli nie będę zadowolona, to wszyscy raczej łatwo się zorientują.

Król wciąż jeszcze chichotał, kiedy zjawiły się księżniczki ciekawe nowej nauczycielki.

Darnessa, zajęta przygotowaniami do uroczystości ślubnych, i Sage, gorączkowo wdrażająca się w nową rolę, rzadko miały okazję spotkać się przez kolejne dwa dni. Swatka zwolniła ją ze zwykłych obowiązków, kiedy Sage przedstawiła jej propozycję króla, nie skomentowała jednak tej decyzji. Sage czuła się zbyt skrępowana, żeby rozpocząć rozmowę na ten temat.

Ku swojemu zażenowaniu odkryła też, że stała się kimś w rodzaju sławy, zwłaszcza od czasu, gdy przyjęła posadę guwernantki księżniczek. Bankiet i bal, poprzedzające tradycyjne zaślubiny, okazały się bardzo wyczerpujące. Ciągłe przedstawiano ją nowym osobom, aż wszystkie twarze zaczęły zlewać jej się przed oczami. Kiedy zaczęły się tańce, Clare podeszła do niej ukradkiem i wsunęła jej w dłoń liścik. Sage od razu rozpoznała pismo. Jej serce mocniej zabiło. Poderwała głowę i powiodła wzrokiem dokoła, szukając śniadej twarzy. Stał przy drzwiach, pozerając ją oczami.

Otworzyła liścik.

*Ostatnio przeżyłem kilka najdłuższych i najgorszych dni swego życia. Nie mogę się doczekać, kiedy wezmę cię w ramiona.*

*Wymknij się. Czekam w ogrodzie*

*Alex*

Sage znów uniosła głowę, ale jego już nie było. Drżącymi palcami złożyła papier i zaczęła obmyślać plan ucieczki. Już sądziła, że to koniec obowiązków towarzyskich, gdy podeszła do niej Darnessa.

– Tutaj jesteś. Nie widziałam cię od kilku dni.

Sage skrzywiła się.

– Przepraszam. Odniosłam wrażenie, że jesteś bardzo zajęta, a sama miałam tyle zajęć i spotkań, że ledwo mogłam odetchnąć.

Darnessa machnęła ręką.

– Nie przejmuj się. Przy okazji, ślicznie wyglądasz.

Sage przyglądała prostą, lecz bardzo ładną niebieską suknię, podarunek od królowej, która natychmiast wzięła ją pod swoje skrzydła. Sage nie mogła się doczekać, kiedy pokaże się w niej Aleksowi.

– Dziękuję. Kiedy wyruszasz w drogę powrotną?

– Za dwa dni. Jutro czeka mnie głównie pakowanie. Przydzielili mi eskortę,

ale poza tym będę sama. Wszystkie służące zostają z pannami, nawet Poppy. Mam może coś zabrać do twojej ciotki i wuja?

Sage zaśmiała się na myśl, jak zareaguje jej rodzina na najświeższe wieści. Cieszyła się myślą, że jej wuj wreszcie się uspokoi, słysząc, iż Sage ma zapewnioną odpowiednią opiekę, chociaż na pewno będzie też bardzo zaskoczony. I pewnie rozczarowany, podobnie jak ciotka, że Sage nie znalazła sobie męża. Na razie.

– Jutro chyba napiszę do nich bardzo długi list.

– Dobry pomysł. – Darnessa uśmiechnęła się z czułością. – Będę za tobą tęskniła, Sage, ale cieszę się z twojego powodu. Zasłużyłaś na taką szansę, takie życie.

Sage uściskała swoją nauczycielkę.

– Ja też będę za tobą tęsknić, za tym zajęciem pewnie mniej. Chyba nie nadaję się na swatkę.

– Moja dzika Sage, nigdy nie uważałam, że się nadajesz. – Darnessa przytuliła ją mocno i zamruła, walcząc ze łzami. – Chciałam ci pomóc.

Sage odsunęła się, nie wypuszczając jej z objęć.

– Jak rozumiem, udało ci się skojarzyć wszystkie pary? Może jeszcze potrzebujesz mojej pomocy, zanim wyjedziesz?

– Jest jeszcze jedna para i rzeczywiście potrzebuję twojej pomocy.

Sage uniosła brwi.

– To lepiej się pospieszmy. Co mam zrobić?

Darnessa ruchem głowy wskazała drzwi i powiedziała:

– Idź do ogrodu i porozmawiaj z żołnierzem, który tam na ciebie czeka.

Sage podparła się pod boki i popatrzyła groźnie na Darnessę, a ta w odpowiedzi puściła jej oko.

– I nie martw się o moje wynagrodzenie w tej sprawie. – Poklepała Sage po policzku. – Idź już.

Alex siedział na ławce pod ogromną wierzbą w południowo-wschodnim zakątku ogrodu. Ciemny mundur mocno kontrastował ze srebrną fontanną liści za jego plecami. Na widok Sage Alex zerwał się z miejsca i porwał ją w ramiona.

– Czy ktoś ci mówił, jak pięknie dzisiaj wyglądasz? – wyszeptał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pociągnął ją za sobą do kryjówki pod opadającymi gałęziami wierzby, które skryły ich przed wzrokiem ewentualnych przechodniów. Obrócił jej twarz w swoją stronę i musnął wargi w najdelikatniejszym z pocałunków.



– Wiesz – powiedziała, oplatając ramionami jego kark. – Ty mówiłeś mi to wiele razy, ale ja nigdy nie miałam okazji powiedzieć tobie, jaki jesteś piękny.

Wzruszył ramionami.

– Chyba całkiem zwyczajny.

Zaśmiała się i wplotła palce w jego ciemne włosy.

– Byłeś głównym tematem rozmów swatek. Możesz się spodziewać, że nie dadzą ci spokoju.

– Czeka je trudne zadanie. Jestem zajęty.

Przycisnął czoło do jej czoła i przyciągnął ją bliżej do siebie. Poczowała znajomą falę ciepła. Przypuszczała, że gdyby chciał od niej czegoś więcej niż pocałunki, nie potrafiłaby się oprzeć. Ale nie próbował niczego na niej wymuszać, chociaż z jego oddechu odczytywała, że czuje to samo co ona. Nawet nie próbował znów jej pocałować, jakby bał się, że straci kontrolę.

– Wyjdź za mnie, Sage – wyszeptał.

Tego było zbyt wiele. Nie wątpiła w jego szczerość, ale propozycja całkowicie ją zaskoczyła.

– Za późno. Do północy nie zdążę znaleźć odpowiedniej sukni.

– Niech to, Sage, wiesz, co mam na myśli. Chcę, żebyś mi to obiecała. – Rozluźnił objęcia rozszłoszczony jej żartem, który podyktowało zdenerwowanie.

Rozumiała go tak dobrze, że nie poczuła się dotknięta.

– Co się stało, Aleksie?

Zamknął oczy, przeciągnął dłonią po włosach i podrapał się w tył głowy.

– Jutro wyjeżdżam. – Serce Sage ścisnęło się boleśnie. – Sojusznicy D’Amirana i Kimisarzy nadal stanowią zagrożenie, poza tym jeszcze nie odnaleźliśmy hrabiego. Dostałem rozkaz, żeby się tym zająć. Po tym, co zrobili, co odebrali mojej rodzinie, muszę pojechać.

Kiwnęła głową.

– Tak, musisz.

– Kilka kolejnych miesięcy będzie bardzo ciężkich, ale przetrwam, jeśli...

– Obiecuję – przerwała mu Sage, chwytając jego dłonie. – Zaczekam na ciebie.

Alex westchnął i splótł palce z jej palcami, przyciągając ją bliżej do siebie.

– Dziękuję.

Sage wsparła głowę na szyi Aleksa, wdychając jego zapach.

– Jak długo cię nie będzie?

– Pewnie do zimy. Będę pisał tak często, jak tylko się da.

– Ja też.

– A potem, jeśli zechcesz, porzucę służbę i będziemy mogli się pobrać, kiedy tylko odzyskam wolność.

Sage odsunęła się i pokręciła głową.

– Nie wygłupiaj się. Nie możesz tego zrobić.

– Zajmę się uprawą roli.

Zaśmiała się.

– Przestań żartować.

– Jestem bardzo poważny. Jeśli tylko będę miał cię u swojego boku, mogę nawet codziennie sprzątać chlewik.

Spojrzała na ich splecione palce i znów potrząsnęła głową.

– Nie, właśnie dlatego, że cię kocham, nigdy nie mogłabym zażądać, żebyś porzucił służbę. To twoje życie.

– Chyba nie doceniasz ogromu moich uczuć do ciebie. – Jego ton był lekki, ale czaiła się w nim zraniona nuta.

Sage zbliżyła dłonie Aleksa do swoich ust i ucałowała jego palce.

– Mam teraz dom pełen przyjaciół, szacunek i ważne, pożyteczne zajęcie, no i szansę, żeby dalej się uczyć... – Spojrzała na niego. – Byłbyś gotów odebrać mi to wszystko?

– Za nic na świecie.

Uwolniła prawą dłoń i musnęła bliznę nad jego brwią. Zamknął oczy i ciężko odetchnął.

– Dlatego ja też nie mogę odebrać ci tego, co masz – wyszeptała. – To część ciebie. Nierozłączna. Jedna z rzeczy, które najbardziej w tobie kocham.

Alex chwycił ją w ramiona i pocałował z namiętnością, która kazała jej poważnie przemyśleć ostatnie słowa.

– Niech diabli wezmą twój talent do przekonywania – wymruczał jej do ucha, po czym powiódł wargami w dół jej szyi, aż do barku.

– Nawzajem – zdołała wydusić.

Położył ją na miękkiej trawie i więcej nic nie mówili. Alex zdjął kurtkę i wsunął jej pod głowę jak poduszkę. A potem, zaczynając od palców, zaczął eksplorować wargami każdy skrawek jej odsłoniętej skóry. Kiedy skończył z nadgarstkiem i ruszył w górę ramienia, już kręciło jej się w głowie. Nie próbował odsłonić więcej, chociaż niemal pragnęła, by to zrobił, i czuła, że w tym stanie oszołomienia nie potrafiłaby się oprzeć. Nagle zacisnął dłonie na jej spódnicy, jakby próbował powstrzymać się od czegoś więcej i jęknął tuż przy jej szyi w sposób, który przyprowadził ją o drzenie.

Przez długą chwilę trwał tak tuż przy jej ciele, a ona nie ruszała się.

Wiedziała, że szarpia nim te same pragnienia, które odbierały jej oddech. Potem wyszeptał jej imię i znów ją objął. Westchnęła tuż przy jego piersi, z trudem wstrzymując się od łez na myśl, że wkrótce go straci. Dwa miesiące temu nawet nie wiedziała o jego istnieniu, a teraz nie mogła bez niego żyć.

Musnął wargami jej skroń i powiedział:

– Powinnaś poprawić włosy, zanim wrócimy. Są okropnie potargane.

Sage zaśmiała się z twarzą wciśniętą w jego koszulę.

– To prawda. – Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. – Twoje wyglądają nie lepiej.

– W takim razie chyba będziemy musieli zostać tu do rana. – Alex westchnął z udawanym smutkiem.

– Nie zamierzam dyskutować. Dopiero za sto osiemdziesiąt długich dni i nocy będę miała okazję znów potargać ci włosy.

Alex przejechał kciukiem po jej wargach.

– Kto by liczył? Na pewno nie ja. To zbyt przygnębiające.

Pocałował ją w czoło, a ona wygodnie ułożyła się w jego ramionach, zbierając się na odwagę, żeby podzielić się z nim najgłębszymi lękami.

– Alex?

– Mmm? – wymruczał w jej włosy, jeszcze mocniej je targając.

– Trzy lata to długo. – Jego ramiona stężały. – Ja... Wiem, że pewne rzeczy mogą się zmienić, zwłaszcza gdy ludzi dzieli spora odległość.

Przez chwilę leżał bez ruchu, spięty. Nagle rozluźnił się i odparł:

– Jeśli o mnie zapomnisz, będę musiał po prostu użyć mojego talentu do przekonywania. Może pozwolisz, że jeszcze trochę poćwiczę.

Przesunął się, żeby pocałować ją w szyję.

Skrzywiła się i odepchnęła go.

– Mówię poważnie.

– Ja też. – Alex znów pochylił się nad nią i tym razem jego wargi osiągnęły cel. – Poza tym – dodał szeptem, owiewając jej ucho ciepłym oddechem – to wcale nie trzy lata, tylko dwa i pół. Dokładnie dziewięćset dwadzieścia dni.

Sage uśmiechnęła się.

– I kto teraz liczy?

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim podziękowania należą się tobie, czytelniku, który dotarłeś aż do tego miejsca, i dla którego powstała historia o Sage. Mam nadzieję, że poznanie jej sprawiło ci taką samą radość jak mnie. Jest zresztą ode mnie znacznie fajniejsza.

Ta książka nie powstałaby jednak bez niezmordowanego wsparcia i wysiłków wielu osób. Najważniejszy jest Bóg, od którego wszystko pochodzi. A zaraz potem Francis, która interweniowała w kwestii słów, i Dymphna, która dbała o moje zdrowie psychiczne. *Deo gratias.*

W sensie bardziej konkretnym wiele zawdzięczam mojej bohaterce i superagentce Valerie Nobel, która wydobyła moją książkę ze stosu rękopisów i miała odwagę marzyć, kiedy ja się tego bałam. Gdyby nie ty, nie byłabym teraz w tym miejscu. Podziękowania niech przyjmą również: Erin Stein z wydawnictwa Imprint, która mówiła „łal”, a nie „lee”. Rhoda Belleza, wspaniała redaktorka, i jej pomocnica Nicole Otto, które zakasały rękawy i wzięły się ostro do roboty. Ellen Duda i jej zespół grafików za to, że uczynili tę książkę piękną w środku i z wierzchu, i Ashley Woodfolk z działu marketingu. Molly Brouillette i Brittany Pearlman, specjalistki od reklamy obdarzone magicznymi mocami oraz zespół prowadzący blog Fierce Reads, za to, że zaprosili mnie do swojego klubu, chociaż nie byłam na to całkiem gotowa. I przede wszystkim: niech Bóg was błogosławi za okazaną mi cierpliwość.

Specjalne podziękowania należą się Devon Sharon za piękne zdjęcie i spotkanie w parku dinozaurów na kompletnym pustkowiu. I za to, że nie uznałaś tego za dziwny pomysł.

Podziękowania niech przyjmie także Kim, która w gimnazjum czytała ze mną *Alannę*, a dwadzieścia pięć lat później przeczytała pierwszy szkic mojej powieści i powiedziała *Tak!* Oraz wszyscy inni moi czytelnicy (w porządku alfabetycznym): Alissa, Amy, Brit, Carol Carolee, Caroline (która wydrukowała całość!), Dan, Kammy, Katie, Kim M., Kim P., Leah, Melisa, Natalie i Ron... Każdy z was, dzięki komentarzom, ulepszył co najmniej jedną scenę. Ryan, za porady i wariacki optymizm (który okazał się nie taki znowu wariacki). Moi krytycy: Joan Albright, która delikatnie uświadomiła mi, co schrzaniłam, i Sarah Willis, która wygładziła tekst. Któregoś dnia spotkamy się, jeśli nie osobiście, to

na półce z książkami.

Mama, ponieważ pokazałaś mi, że dziewczynki kochające nauki ścisłe i matematykę są normalne, i pozwoliłaś mi rozwijać przeróżne zainteresowania, nawet jeśli ich nie rozumiałaś, i Tata, za to, że po piętnaście razy sprawdzałeś moje wypracowania w liceum (i dopiero przy dziesiątej rundzie mówiłeś, co jest nie tak). Dla was obojga za niezachwianą miłość i wsparcie, za to, że pozwalaliście mi czytać wszystko, co chciałam, i nauczyliście mnie, że tylko ja sama mogę wyznaczać sobie granice.

Ośrodek Krav Magi w Nebrasce (i znowu Tata), za to, że nauczyliście mnie, jak zabija się ludzi (oczywiście w samoobronie).

Kisa Whipkey. W końcu nie pracowałyśmy razem, ale twój mejl, który przyszedł w chwili rozpaczy, był jak koło ratunkowe, które zapewne ocaliło tę książkę.

Andrew Jobling, który rozpalil ogień i pokazał, jak podsyca się płomienie. (Spoiler: to miało niewiele wspólnego z samym procesem pisania.)

Tamara Pierce, która zainspirowała mnie jako osoba, książkami, które zapragnęłam przeczytać.

Moje dzieci: bycie waszą matką to największy przywilej, jaki spotkał mnie w całym moim życiu. Dziękuję, że wyrastacie na ludzi mimo moich marnych wysiłków. Tak, możecie zjeść coś słodkiego. Ale najpierw posprzątajcie w pokoju. No dobra, może być teraz, ale potem odróbcie lekcje.

I Michael, ponieważ kiedy już wszyscy dostaną podziękowania, kiedy wszystkie słowa znajdą się na papierze, kiedy kończy się dzień, zawsze zostajesz ty.